

Zaproszenie na ślub

W marcu na moich dwudziestych szóstych urodzinach Gośka wymyśliła wakacje w Grecji. Tylko my dwie. Za dnia wysmażymy się na plaży do karnacji Salmy Hayek, nocami ululamy się winem na białych tarasach schodzących w morze. Opalona kobieta wśród słonecznych bieli jest supersexy – rozpoetyzowała się Gośka. Och! Wygląda, jakby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nie odstępował jej wiążysta.

Upojone winem, morzem i wyglądem sexy zaśnieimy w białym domku z zasłoną zamiast drzwi, a nad nami rozgwieżdżone niebo, i do tego granie cykad. Identyecznych słuchał Achilles, czyli wypisz wymaluj Brad Pitt, jak wynika z filmu *Troja*. Rano obudzi nas optymistyczna zorba, która tam nazywa się inaczej, tylko że Gośka zapomniała jak. Sitraki czy coś w tym guście. No nie bajka? Wytańczymy się na każdym placu objęte z nieznajomymi za ramiona. Zapoznamy tłum zgrabnych chłopców pachnących oliwką. Tę do opalania i tę do martini. Niekończący się paniński wieczór! Miejscowe Greczynki to już przebrzmiała kultura – cera zniszczona, stroje niemodne, średnia wieku pięćdziesiąt pięć, palą papierosy w firkach. Będziemy błyszczały na ich tle w południowym słońcu.

– Zaszalejmy, Dominiko! Ty nie masz nikogo, ja też tylko męża. Trzeba żyć, póki się żyje!

Przecież nie pójdę z pustymi rękami, skoro już mam iść jak ta głupia.

– Kup im lodówkę. Ładną, z barkiem – podpowiedziała mi bez namysłu Gośka, gdy siedziałyśmy nad salaterką truskawek.

Ona nigdy nie ma problemu z zakupami, bo z jej pieniędzmi najpierw się kupuje, a potem stwierdza, że to do niczego niepotrzebne. U mnie odwrotnie. Najpierw stwierdzam, że to czy tamto jest mi niezbędne, a potem nie kupuję, bo nie mam za co.

– Dlaczego lodówkę? – zapytałam, obtaczając truskawkę w cukrze.

– Na nowe gospodarstwo. Prezerwatywy i lodówka to podstawa, żeby ułożyć sobie życie po bożemu. Reszty się dorobią.

– Na prezerwatywy za późno.

– Ale na lodówkę w sam raz.

– Nie stać mnie – stwierdziłam. – Sama mam starą.

– W takim razie kup im... – zaczęła Gośka, ale na wszelki wypadek przerwałam jej:

– Nie kupię im niczego powyżej stu złotych. Wybij to sobie z głowy!

Popatrzyła na mnie z niebotycznym zdumieniem.

– Ilu złotych? No to wychodzi na prezerwatywy, wybacz. Co innego kupisz za takie pieniądze?

– Myślę raczej o symbolicznym prezencie.

– Chyba o symbolicznej cenie.

– Gośka! – zirytowałam się. – On mnie wystawił do wiatru, ona mi wlała w paradę, a ja zapożyczę się dla nich do końca życia? W jakim celu mam szastać pieniędzmi?

– Co za problem znaleźć cel dla szastania pieniędzmi? – obruszyła się Gośka. – Mnie się to zawsze udaje! Szarpniesz się, żeby im okazać swoją wyższość na przykład.

– Nie bój się, ja im okażę wyższość za sto złotych. W pięty im pójdzie.

Przez cztery następne dni łaziliśmy po sklepach. Zdecydowałam się na urządzenie do czyszczenia sreber w cenie stu

dwunastu złotych dziewięćdziesięciu dziewięciu groszy. Ona mnie namówiła, Gośka, ponieważ miało elektroniczny programator, a moja nowoczesna przyjaciółka dostała na głowę, od kiedy samodzielnie porusza się po Internecie. Dawniej zegar na piekarniku musiała jej ustawiać pani Lidka, starswiecka pomoc domowa.

Przez cały wieczór Gośka z instrukcją w ręku objaśniała mi i Szatanowi zasady działania tego czegoś. Dwieście stron w trzech językach.

Urządzenie odróżniało łyżeczki od cukiernic, cukiernice od łańcuszków, dla każdej próby srebra uruchamiało reakcję chemiczną na optymalny czas, posiadało opcję czyszczenia mosiądzu i przyspieszania fazy redox, regenerowało automatycznie wkładkę aluminiową do postaci metalicznej i należało mu uzupełniać elektrolity w stężeniu podanym na wyświetlaczu. Oceniało też aktualne zaawansowanie procesu i mogło służyć jako odtwarzacz płyt CD. Chyba że symbol kółka na spodzie oznaczał coś innego? Aha, to durne urządzenie koniec czyszczenia sygnalizowało melodyjką, którą można było sobie dobrać do muzycznych upodobań spośród dwudziestu czterech załączonych hitów.

Teoretycznie, gdyż w praktyce Gośka nie dała rady otworzyć pokrywki, żebyśmy sprawdziły, czy w środku jest to, o na rysunkach.

– Daj spokój – powstrzymałam ją w końcu. – Oni i tak nie mają sreber.

Błada i wściekła zapakowała urządzenie z instrukcją z powrotem do pudełka.

– To po co im kupiliśmy ten szajs?

– Żeby się martwili, że gdyby mieli srebra, nie będą potrzebni tego użyć.

Kiedy Gośka wróciła mieszkać z Bernim, zaczęłam mówić do Szatana „śłodki piesieczek”. Inaczej był całym godzinar z tęsknoty za nią. Widocznie ja sama nie wydawałam się atrakcyjna już nawet temu psu, na którego zesłałam. Co drugi dzień przez piętnaście minut tańczyłam też z nim przy radi

O ile to był taniec. W każdym razie podrygiwaliśmy, trzymając się za łapy i wymieniając ogólne uwagi, że „śłodki pieseciek” albo że „hauhau”. Miało to w sobie coś z choroby psychicznej. Z rozdwojenia jaźni. Bo wesoło podrygując, myślałam posępnie o radzie pedagogicznej, która zakończy moje zmarnowane wakacje i rozpocznie kolejny zmarnowany rok pracy zawodowej w charakterze nauczycielki języka ojczystego. Potem w drugim tygodniu września ten nieszczęsny ślub. I to już całe moje plany na resztę życia.

Oglądałam telenowełe z wyłączoną fonią, próbując odgadnąć, o czym ci aktorzy rozmawiają, kiedy tak poruszają niemo ustami. Co ciekawe, wszyscy mówili: „Ale ty masz w życiu przerabane, biedna Dominiko!”. Byłam tego samego zdania. Może bym się zajęła czymś pożytecznym? Jestem młoda, mam dwadzieścia sześć lat, w moim wieku Mata Hari szpiegowała dla dwóch krajów. Nie samą miłością człowiek żyje. Kobiety są stworzone do wielkich czynów, nie tylko do płakania w poduszkę po facetach, którzy na to nie zasługują. A jak na razie na tym upływa moje życie. Jeszcze mogę tyle dać z siebie ludzkości. Dlaczego nikt nie bierze?

Na obiady zamawiałam pizzę, ponieważ nie chciało mi się gotować. Konsumowałam ją wraz z Szatanem, ale po ludzku, przy stole. Pozostałych posiłków nie jadłam, żeby nie stracić tych kilogramów, które wytrzesłam na rumaku Apollo.

Nigdy wcześniej nie brałam pod uwagę, że znajdę się w takim życiowym zaułku, gdy będę miała do stracenia tylko to, czego już i tak nie mam.

No ale tak właśnie się porobiło.

W ogóle poza codzienną wizytą chłopaka z pizzą nic się nie działo.

Nie licząc dwudziestu dziewięciu telefonów.

Dwadzieścia siedem od Gośki. Co słyhać, bo u niej nic nowego. To były długie rozmowy. Poza nimi odbyłam też dwie krótkie. Pierwszą z mamą. Bawią się świetnie, pogoda dopisuje, jezioro zachwycające, ciotka Ramona serdeczna. Żałuje, że nie przyjechałam. Muszę koniecznie pojawić się następnym razem.

Powiedziałam, że oczywiście. Szatan do tego czasu się usamodzielniał: sam popilnuje dorobku życiowego swoich państwa oraz zamówi sobie pizzę Italiano z pomidorami. Mama odpowiedziała, że bym nie była sarkastyczna. Po ich śmierci ten dorobek będzie mój, więc jakbym pilnowała swojego.

Czyli okazało się, że mam jednak co robić w życiu. Będę pilnowała mojego dziedzictwa. Czy mogą istnieć ambitniejsze plany?

Ostatni telefon był od faceta. Ale nie od takiego, jakiego bym sobie życzyła, niestety. Przedstawił się, że z telekomunikacji i czybym chciała darmowe rozmowy w weekendy?

- Jasne! - odpowiedziałam z przekonaniem. - Kto by nie chciał! Nawet codziennie!

Miał zmysłowy, ciepły głos. Irytowało mnie, że nigdy tym głosem nie poprosi mnie o rękę, a zawraca głowę, jakby miał poważne zamiary.

- Świetnie! - ucieszył się. - Natychmiast prześlemy umowę.

- Szkoda papieru. Odliczcie mi po prostu zniżkę przy rachunku.

- Tak się nie da - zapewnił. - Prawnie musi być absolutnie w porządku.

- Przecież jedną umowę już mamy podpisaną, zdaje mi się, że całkiem prawną? Odliczcie na jej podstawie. Daję słowo, nie zaskarżę was, że rozmawiam za darmo.

- Ma pani rację, Dominiko, tylko że...

- Powiem panu, po co wam następna umowa! - przerwałam mu bezlitośnie. - Dajecie mi za darmo weekendy, żeby mnie orzynać w innym miejscu. A ja nie wiem, w którym. Więc dziękuję, nie skorzystam! Strzeżonego Pan Bóg strzeże!

- Nie, pani Dominiko, to zupełnie nie tak.

- Nie strzeże?

- Być może strzeże, ale mam na myśli to, że wprowadzimy nowe usługi, nie zarabiając na naszych klientach.

- Czyżbyście na tym tracili? - zmartwiłam się nieszczerz

- Pracuje pan we wspaniałej instytucji. Inni tylko patrzą, ja

na mnie zarobić! Lansujecie szlachetny trend w biznesie. Życzę wam, żebyście, nie daj Boże, nie splajtowali z powodu swojej bezinteresowności. Wasz wzór trzeba upowszechniać! Dlatego nie ma mowy, żebym oszczędzała pieniądze akurat na was. To już wolę odjąć sobie od ust w tym krwiopiczym markecie! A u was nic za darmo! Ani weekendu! Będę płaciła co do grosza. Niech wam się wiedzie jak najlepiej!

Rzuciłam ze złością słuchawkę i zastanowiło mnie, skąd znał moje imię?

Długo jednak nie główkowałam, bo zaraz aktor z *Codzienniej miłości* powiedział do teścia: „Kompletnie przerąbane, Dominiko! Nie masz do kogo zatelefonować w weekend i jeszcze za to zapłacisz!”.

Mrożony szampan

Trzymałam się z tyłu, jak się domyślacie. Żeby nie rzucać się w oczy. Nie miałam jeszcze pojęcia, czy choć tu być. W sali unosił się zaduch perfum i pudrów, dębowe meble miały solidną mieszczańską konstrukcję, za to główny urzędnik z orłem zrobił sobie trwałą i wyglądał, jakby miał udzielić ślubu w obrębie jednej płci, tylko nie wiadomo której. Stałam obok dziewczyny wyższej ode mnie o głowę i jej partnera niższego o pół głowy. Gdyby nie brać pod uwagę ich wzrostu, wyglądaliby na dobranych. On trzymał czule wielki bukiet żółtych róż i jej rękę, ona bez przerwy poprawiała troskliwie aksamitną muchę pod jego szyją albo wstążki w bukietcie. Jeszcze nie ucichła płyta z Mendelssohnem, kiedy wysoka dziewczyna nachyliła się do mnie i szepnęła uśmiechnięta:

- Ty ze strony pana młodego czy panny młodej?
- Jeśli już, to pana młodego – odburknęłam bez uśmiechu.
- Jak fajnie! – ucieszyła się nie wiadomo dlaczego. – Jestem Mariola. Ze strony panny młodej. Dla ciebie pan młody jest kim?

Popatrzyłam jej w oczy zimnym spojrzeniem Maty Hari i powzięłam decyzję, że nie będę uczestniczyła w tym cyrku. Od progu komplikacje. Ponadto dostałam czkawkę w wyniku konsumpcji uspokajających pastylek, których nałykałam się po drodze bez umiaru i popicia. Czknęłam i odpowiedziałam wyniosłe, jak Mata Hari:

- To mój chłopak.

- Ops! Musisz nieźle się bawić - stwierdziła Mariola z niezmaconym uśmiechem. - Ja jestem kuzynką panny młodej po linii stryjecznego dziadka. - Nachyliła się do mojego ucha, żeby uzupełnić konspiracyjnie: - Ale nie cierpię jej! To kłępa!

Lekko zaskoczona, zrewanżowałam się ciepłym uśmiechem i błyskawicznie powzięłam decyzję, że jednak trochę tutaj zabawię. Bardzo sympatyczne towarzystwo. Nie całe, oczywiście, gdyż z przodu ponad głowami gości widać było Romana i Magdę. Starłam się tam nie patrzeć, ale nie da się być na ślubie i nie widzieć młodych. Pomimo że instynkt samozachowawczy protestuje. On miał na sobie garnitur, w którym wyglądał na fordansera. Na fordansera superprzyzwoitego, niestety. Ona odstrzeliła się w błękitną suknię do pół kolana, bez ramion. Do tego granatowe korale i granatowy kapelusz opuszczony na lewe ucho. Kolorystycznie zimna jak góra lodowa, ale nie wyglądała na fordanserkę, niestety. Szczęście, że przynajmniej kłępa, jak mówią tutejsze plotki. Wózka z ich dzieckiem nie zauważyłam. Widać zaproszenia rozsyłali losowo - ja wygrałam, dzieciak przegrał.

Ondulowany urzędnik zapytał, czy ten tu oto taki a taki chce pojąć za żonę tę tu oto taką a taką i w zapadłej ciszy czknęło mi się donośnie. Pewnie z emocji. Z wyjątkiem młodej pary, która wymieniała się obrączkami (zawsze parę groszy do pilnowania), wszyscy odwrócili się w moją stronę. W mgnieniu oka przestałam być anonimowym gościem na imprezie, choć usilnie kryłam się za okolicznymi plecami.

Mariola, chwala Bogu, nachyliła się znowu i szepnęła, że-
byśmy przeszły obok. Tam naszykowano szampana, łyknę

i przejdzie mi. Prezent niech zostawię Lutkowi. Jest nieśmiały, ale sprytny, poradzi sobie. Czyli temu kurdupłowi z różami i muszką, który był jej parą. Jakoś zmieścił pod pachą zapakowane w różowe amorki urządzenie do potencjalnego czyszczenia sreber, mimo że trzymał już bukiet żółtych róż i dwie pękate reklamówki.

A my wymknęłyśmy się na palcach za dwuskrzydłowe drzwi.

Popić te cholerne pastylki i zniknąć stąd na zawsze, tłuło mi się po głowie. Dobierałam kreację przez tydzień, łącznie ze stringami, chociaż nie było szans, żeby ktokolwiek je docenił na tej smętnej imprezie. Roman miał paść trupem, zanim wejść na salę. Od samego zapachu perfum, który poprzedzał mnie niczym fanfary Kleopatrę. A tu proszę! Zwykła prymitywna czkawka i pstryk! – po Kleopatrze! Mówi się, że gdyby miała inny nos, losy świata potoczyłyby się inaczej. Już widzę ten świat, gdyby miała czkawkę.

Sala obok była pusta. Dywanowa wykładzina, ława przy drzwiach. Zza firanek świeciło wrześnie słońce. Od zmrożonych szampanów zastawiających ławę wiało chłodem jeszcze bardziej niż od tej tragicznej ceremonii po tamtej stronie drzwi.

Mariola otworzyła butelkę zgrabnie i cicho, żeby za drzwiami nie usłyszeli. Resztę eleganckiej ślubnej baterii wskazała mi pogardliwym ruchem głowy.

– No nie kłępa? Sama widzisz. Różowy szampan! Nie chciała słyszeć o innym! Różowy, różowy, o Boże, błagam, różowiutki w kropki bordo! Kto dziś pija różowego szampana? Sama powiedz! Skończone sztywniaki! – podsumowała i napełniła dwa płaskie kieliszki.

Tryknęłyśmy się, wypiliśmy.

Lodowaty, smaczny, czułam, że czkawka nie ma z nim szans. Jestem uratowana! Przytaknęłam Marioli, że trzeba być snobem, by pić różowego szampana, i spytałam, czy mi doleje. Wypiliśmy jeszcze po jednym. Boski, mówię wam! Zaszumiało mi w zestresowanej głowie, ogarnęła mnie bło-

gość. Powtórzyłam kolejkę, a następny kieliszek przyłożyłam do czoła. Rzeźwił mnie swoim ozdrowieńczym chłodem.

Za drzwiami huknęła następna dawka Mendelssohna i podwoje otworzył swoją odwrotną stroną kamerzysta. Idąc tyłem, poprzedał rozanieloną parę młodą i gości. Ze zbawczym kieliszkiem u czoła uśmiechnęłam się do panny młodej, żeby wiedziała, że wybaczyłam jej różowego szampa. Do Romana nie uśmiechnęłam się, żeby wiedział, że nie wybaczyłam mu niczego. Ani szampa, ani reszty mojego zmarnowanego życia.

Za to Roman uśmiechnął się do mnie, no wiecie? Kretyn!

Lutek bagaże już opchnął, łącznie z moim prezentem. Bez pytania. Drugi kretyn! A gdybym tak w ostatniej chwili postanowiła nie wyrzucać w błoto stu dwunastu złotych i dziewięćdziesięciu dziewięciu groszy? Widocznie wstydzil się mnie o to zapytać. Taki bardziej wstydlivy z natury. Jak panienka! Kiedy Mariola szepnęła mu, żeby pomógł roznosić szampa, odszepnął, że krępuje się, bo nikogo tu nie zna.

To już ją najwyraźniej ruszyło. Syknęła przez zaciśnięte zęby, że mógłby opanować się z tą nieśmiałością. Ma dwadzieścia cztery lata, stary byk, a mizdrzy się jak przedszkolak.

To z kolei ruszyło mnie. Chryste! – przyplątała mi się od razu wstrząsająca myśl. – Jeżeli dwudziestoczteroletni mężczyzna jest starym bykiem, to co dopiero kobieta o dwa lata starsza od niego? Pomyliłam imprezy. Powinnam być w tej chwili na pogrzebie, najlepiej własnym.

Spięłam się, żeby podejść do młodej pary z życzeniami.

Ale co zrobiłam krok, uśmiechali się do mnie. Ich zadowolone miny odbierały mi chęć do życia. To mogła mnie ostrzegać moja kobieca intuicja. I marokańska róża, trzymająca mnie za biodro, żebym zapanowała nad fatalnym przeznaczeniem. Nie powinnam podchodzić, stanowczo nie powinnam się do tego zmuszać. Potknę się i wyłożę tak widowiskowo, że ostatecznie jednak goście nagrodzą moji stringi oklaskami. To mnie zniszczy do końca. Zwłaszcza że mam teraz w sobie sporą porcję szampa pół na pół ze środ

kami uspokajającymi, czyli wewnętrznie wyglądam jak Marilyn Monroe w swój ostatni wieczór.

Jaka szkoda, że tylko wewnętrznie.

Z drugiej strony – jeśli nie podejść, będą mnie do rana obgadywali, że mam lękowe przecucia jak stara panna. A jeśli to już po mnie widać? Te kompromitujące zadatki staropanieństwa!

Spytałam Mariolę, czy pozwoli skorzystać z Lutka. Skoro nikt go nie zna, nie wiedzą, że nie mój. Łyknęłam dla kurażu wprost z butelki, przyłgnęłam do nieśmiałka w formie upojnego damskiego bluszczu, mimo że zaczerwienił się od tego jak od damskiej pokrzywy.

– Chodź! – szepnęłam mu. – Złożymy życzenia.

– Ja nie składam – wykręcił się. – Zostawiłem tylko prezenty.

– Składasz, bo wypada! – zadecydowałam i pociągnęłam go za sobą.

Kobieta nawet w towarzystwie cudzego kurdupla nie jest już godną pożałowania bidulką, której w życiu nie wyszło. Tyle że byłam zmuszona iść na ugiętych kolanach, żeby ukryć zawstydzającą różnicę wzrostu. Skutkiem tych akrobacji zarzuciło mnie ze dwa razy razem z Lutkiem. Ale co tam! Tylko gdybym zataczała się samotnie, wszyscy gapiliby się zgorszeni! Co za seksistowski świat!

Roman przestał promiennie szczerzyć zęby i wydawał się nadzwyczajnie zaciekawiony, gdy szłam do niego z Lutkiem.

– Życzę ci, Romanie, żeby układało ci się z tą... – pokazałam palcem na zarumienionego błękitka koło niego – z tą kobietą!

Cedziłam uroczyste słowa bez uśmiechu, bo i tak w okolicy było za dużo towarzyskiego lukru.

– Jej życzę tego samego. Waszemu nieobecnemu aktualnie dziecku życzę, żeby też mimo wszystko układało mu się jakoś z wami. Biedactwo jest przecież niczemu niewinne, niestety.

– Dzięki, Do! Naprawdę dzięki! – uściśnął mnie Roman i odwrócił się do natapirowanej pociotki z Bóg wie czyjej strony, pchającej się z pęką kopertą.

Babsko nosiło kwiecistą kieckę i pachniało jak klomb przy perfumerii. Aż kichnęłam. Bezczelna! Kto tu w końcu miał więcej praw do Romana, ona czy ja? Odepchnęłam na bok to święto wiosny, konsekwentnie zapewniając sobie równowagę przy pomocy Lutka. Radził sobie ze mną całkiem niezle.

- Tak po prostu dzięki, Romanie? - zapytałam surowo.

- Miło, że przyszłaś, Dominiko.

- Dzięki, miło, że przyszłaś, i to wszystko?

- A co jeszcze? - zawahał się Roman.

- Dobrze sobie! „Co jeszcze?” - przedrzeźniłam go. - Życze ci wszystkiego najlepszego, a ty się pytasz, co jeszcze? Czego chciałbyś więcej? Powinieneś być szczęśliwy, że nie mówię ci tego, na co naprawdę zasługujesz! Albowiem szanuję twój ślub, Romanie, niestety! Mogłabym ci wygarnąć, że jesteś zennem, które traktuje kobiety jak ścierki do podłóg! Jednak nie robię tego! A ty nie umiesz docenić mojej klasy! Kompletnie nie umiesz! Bo gdybyś umiał, nie stałbyś jak semafor obok obcej góry lodowej w krzywym kapelutku!

Dawniej nadużywałam słowa „proszę”, kiedy byłam zdenerwowana, teraz najwidoczniej wyewoluowałam na „niestety”. Co ten paskudny świat ze mną zrobił!

Uciszyło się. Zebrani z kieliszkami w dłoniach słuchał moich najserdeczniejszych, choć trochę zawitych życzeń. Zwłaszcza parę osób ze strony pana młodego, którym byłan znana, nadstawiało wścibskie uszy. Okrążali mnie jak złe wilki biednego, zagubionego wędrowca. Aż zrobiło mi się żal sa mej siebie.

Magda nerwowo kiwała na kelnera z tacą, odciągając Romana na bok.

Mnie odciągał Lutek, ale nie dawałam się.

- Masz rację, Do, jestem ci wdzięczny za wszystko - z pewnością ugodowo Roman. - Pozwól, że poczęstujemy ci z Magdą szampanem.

- Już piłam! - wyjaśniłam z pogardą. - Nie zmieniaj tu matu!

– Gorzko! – zawołał zniecka ktoś za moimi plecami.

Był prawdopodobnie pogubiony w sytuacji jeszcze bardziej niż Roman. A ten patrzył na mnie, jakby w życiu nie widział Maty Hari.

– Wyjdź na zewnątrz, Dominiko. Ochłoń, proszę cię! – wygęgał ze sztucznym uśmiechem na użytek gości. – Psujesz mi najważniejszy dzień w życiu!

Co za cholerny egoista, widzicie go? Nie rozwód z pierwszą żoną, nie wielki romans ze mną, tylko nędzna imprezka z tą błękitnogradową myszką, o której za pół roku nie będę pamiętała. To znaczy, mam nadzieję, że nie będę!

I to żalosne zdarzenie uznawał akurat za ważny dzień! Aż szkoda faceta!

– Sama się tu nie wprosiłam! – pociągnęłam z tego żalu nosem.

– Masz rację, Dominiko, chyba to mój błąd. Przepraszam.

Wyciągnęłam do niego rękę na pożegnanie.

– Wychodzę, Romanie! – oznajmiłam po królewsku. – Twój ostatni błąd też zapisz na mój rachunek! Zapłacę do końca! Na biednego nie trafiło!

Pociągnęłam zapłonionego Lutka za sobą. Nie wspierał mnie czynnie w trakcie składania życzeń, ale w każdym razie wytrwał lojalnie u mego boku. Nie zbiegł w nieznane. Przyzwyczajony człowiek.

Goście też byli pod wrażeniem. Rozsunęli się, robiąc mi przejście. Przede mną pojawił się wyfraczony kelner z serwetką. Na srebrnej tacy przyniósł pojedynczy wysoki kieliszek i szampana. Smukły brunet o krowio poczciwych oczach. Magda wreszcie się go dowołała.

Chmknęłam z uczuciem w wygolony kelnerski policzek.

– Nalej! – pozwoliłam. – Na ciebie jednego można tu liczyć.

Kiedy zabrał się za otwieranie, wyjęłam mu butelkę z ręki.

– Ja sama! Oni tutaj nie zasłużyli, żebyś im usługiwał, pamiętaj. Sami niech sobie usługują! Mamy wolność, równość i powszechną szczęśliwość!

Wypchnęłam kciukiem korek. Zamknęłam oczy, nim huknęło. Gdy je otworzyłam, szampan w moich dłoniach eksplodował pod sufit. Spod palca, którym przycisnęłam szyjkę butelki, sikał spieniony gejzer. Skierowałam go radośnie na pobliską parę młodą i okręciłam się wokół Lutka, fundując dyngusa reszcie gości.

Zebyście widzieli efekt! Jakby w środek towarzystwa łupnął granat!

Wokół mnie błyskawicznie zrobiło się pusto. Panie piszczwały, panowie klęli. Z sufitu kapąło na różowo. Śmiało się zaledwie kilka osób, tych z wyrobionym poczuciem humoru. Przeważnie suchych, których żywioł nie sięgnął.

— Chrzczę was na nową drogę, kochani! Płyńcie po morzach i oceanach!

Odrzuciłam pustą butelkę. Odepchnęłam z godnością pomocne ramię Lutka i wyłożyłam się jak długa na mokrej wykładzinie, zalanej miodowym blaskiem słońca. Tak jak przeżywałam od początku.

Niech ktoś mi powie, że nie jestem bystrą dziewczuchą!

Mariola z Lutkiem pomogli mi się pozbierać. W tym czasie machałam zebranych dłonią na pożegnanie, ale mało kto odmachiwał. Panowie wyglądali jak załoga kutra w sztormową pogodę, panie jak misski mokrego podkoszulka. Byli źli. Suszyli się z wściekłością chusteczkami.

Niektórzy w ogóle nie potrafią się bawić i zepsują najlepszą imprezę, niestety!

— Będę uciekać — oświadczyłam zatem wszem wobec — Dalej już nudy na pudy!

Na moim przytulnym stryszku, w moim mięciutkim łóżeczku zorientowałam się, że Mariola wciąż mi towarzyszy. No nie w łóżku, rzecz jasna, tylko w ogóle.

Pomogła mi się rozebrać, wleźć pod kołdrę, dała coś mi sującego do wypicia. Niezbyt smaczne. Takie kwaskowe. Było w łazienkowej apteczce, ale nie miałam pojęcia, co to takiego. Na razie Mariola lepiej ode mnie orientowała się w moim mieszkaniu. A nawet w moim życiorysie.

– Słyszałam o tobie – powiedziała, rozsiadając się na pufie ze szklanką wody, do której też dołała sobie tego czegoś. – Uczysz polskiego w gimnazjum, a w wolnych chwilach jesteś pisarką czy kimś takim. Wydałaś ponoć książkę o waszej wielkiej miłości... Twojej z Romanem, tak? To rzeczywiście prawda? Bo właściwie trudno uwierzyć, kiedy się na was patrzy...

Chryste, ta zdezaktualizowana książka o miłości do Romana będzie za mną łaziła do końca życia jak potwór z ludzkich resztek za doktorem Frankensteinem!

No napisałam ją swego czasu – i co z tego? Wydawało mi się wtedy, że złapałam Pana Boga za nogi. Odkryłam sekret miłości, którego reszta ludzkiego rodu szuka bezskutecznie i musi zadowalać się komediami romantycznymi w kinie. Każdy by pomyślał, że takie metafizyczne uczucie trzeba utrwalić na wieczność. Wykuć w marmurze! Operę skomponować! A że umiem tylko pisać, więc napisałam! Czy to moja wina? Mało bzdur człowiek nawypisuje w swoim życiu? Listy miłosne, wiersze o przyrodzie, krzyżyki na listach wyborczych. A potem to się wlecze za człowiekiem.

– Tam są tylko kłamstwa, w tej książce! – zaparłam się samej siebie wobec Marioli. – Też dałam się na to nabrać jak idiotka, mówię ci! Myślałam, że wieszczę narodowi prawdę o miłości. Jak Mickiewicz o odrodzeniu ojczyzny! Wpiszą mnie do lektur szkolnych, gdy tylko pojmą moją głębię. Po między Safoną a Szymborską. Na polskim będę o sobie uczyła! Postawię jedyńki z samej siebie, jeśli ktoś mnie niedokładnie zinterpretuje!

– Muszę koniecznie przeczytać – zapewniła Mariola.

– Ale po co? Przecież tłumaczę ci, że nie warto! W ogóle nie powinnam uczyć w szkole! Co mądrego mogę przekazać tym biednym uczniom, skoro sama wierzyłam w takie naiwne hocki-klocki? Jeszcze rok temu dałabym głowę, że dopiero ja pokażę światu, jak się kocha. Stworzę coś bardziej pouczającego niż instrukcja do czyszczenia srebra w trzech językach! Owidiusz to przy mnie amator! Będą mnie

sprzedawać z płytami DVD w każdym kiosku! A teraz co? Najwyższy czas na wnioski! Nie istnieje miłość. Przykro mi, ale tak jest. Nie zauważyłaś dzisiaj? Pan młody wszystko spieprzył, widziałaś na własne oczy! Nie czytaj książek o miłości, bo ci się tylko meble w głowie poprzestawiają! To zamaza! Wielkie oszustwo! Lutek też wszystko spieprzy, przekonasz się. Spokojnie czekaj i to wystarczy. Rozumiesz? Teraz właśnie takie przesłanie niosę światu, tylko już nie zamierzam się z tym wygłupiać na piśmie! W duchu je niosę! Ale taka jest brutalna prawda, niestety!

- Gdzie tam - zaprzeczyła smętnie Mariola. - Lutek nie spieprzy. Nie wierzę, że pozwoli mi zostawić siebie z czystym sumieniem. Aż mi strach, że jak tak dłużej niczego nie spieprzy, to w końcu za niego wyjdę. Mówię ci, jak Boga kocham, mnie też się nie układa, tylko akurat z nadmiaru faceta, a nie z braku. Wszystkie to mamy, albo urok, albo przemarsz wojsk! - Poprawiła mi troskliwie kołdrę. - Zdrzemnij się, Dominiko. Gdybym miała takie przytulne mieszkanie jak ty, w kółko bym spała.

Kiwnęłam głową, że zgadzam się. Tak właśnie będę odtąd żyła.

- Jak wypadłam? Kupiłam specjalnie nowe stringi prawie za stówę.

- Jakoś wypadłaś. Nie tak źle - zapewniła Mariola i natychmiast zmieniła temat. - Fajną masz różyczkę. Ile za nią dałaś?

- Marokańska - pochwaliłam się. - Pozwala panować nad przeznaczeniem.

- Serio? No dziś ci się może nie sprawdziła, ale wygląda super.

Byłam zdania, że zostałyśmy przyjaciółkami, kiedy nagle Mariola ocknęła się, że musi wracać na wesele. Wypada. Jest w końcu kuzynką dziadka.

Zadzwoniła po Lutka, żeby po nią przyjechał.

Ledwie wyszła, ktoś zapukał do drzwi. Zwlokłam się spod koca, otworzyłam półprzytomna. Znowu Mariola.

– Nie otwieraj bez pytania – ostrzegła mnie. – Jesteś goła. Rzeczywiście, miałam na sobie tylko stringi i marokańską różę.

– Okej – zgodziłam się.

Zamknęłam dokładnie na zamek.

Jeszcze nie przekręciłam drugi raz, a już puk, puk. Znowu. Jak na dworcu. Tym razem przezornie spytałam, kto tam. Okazało się, że też Mariola. Nie zdążyła wejść poprzednio, bo zamknęłam jej przed nosem. Lutek przywiózł mi kawał weselnego tortu, ale wstydził się dać. Więc ona przyniosła.

Podziękowałam, wzięłam tekturowy talerzyk z tortem, ustawiłam na łóżku, położyłam się obok. Będzie cudownie! Noc poślubna z weselnym tortem byłego!

Prezentował się, że palce lizać: kolorowe warstwy, marcepanowe serduszka, kandyzowane winogrona. Ale apetyt mi odszedł. Mdlilo mnie na różowo. Zасыpiając, obiecałam solennie tortowi, że zjem go rano. Co do okruszka. Odtąd będę jadła torty, czekoladowe różki, ptysie z kremem, waniliowe ciasteczka, lody z bakaliami, wszystko i codziennie. Góry słodczy! Aż zrobię się gruba, brzydka i zrozumiem, że już nikt mnie nie pokocha. I wreszcie przestanę na to czekać.

W moim życiu nastanie święty spokój.

Sprawy życia i śmierci

Obudziłam się skacowana w upačkanej tortem pościeli.

Wykąpałam się, włączyłam pranie, usiadłam nad kawą (małą i ostrożną), żeby przemyśleć, co się stało. W głowie mnie łupało, ale niekoniecznie od szampana. Miałam lepsze powody. Prawdopodobnie byłam najbardziej skompromitowaną kobietą w mieście od czasu, gdy pewna tutejsza kupcowa zaszła w ciążę z rosyjskim zaborcą. Wszyscy już wiedzą o moim wczorajszym wybryku, nie może być inaczej. Wśród

znajomych od świtu kursują szkalujące mnie plotki. Zaraz zamknę się telefony z wyrazami pogardy.

– Kto pierwszy? Oczywiście mama. Na jej poczuciu moralnym nigdy się nie zawiodę. Odezwie się, gdy tylko wróci z konfesjonału, gdzie w tej chwili spowiada się z moich grzechów głównych.

Dochodziła dwunasta w południe i wciąż trwała grobowa cisza. Sprawdziłam telefon, czy z nim też czegoś nie wywinęłam w pijanym widzie. Działał. Ale nie dzwonił. Może pogarda znajomych osiągnęła ten poziom, kiedy już się nie dzwoni? Towarzyska izolacja!

W porze obiadowej otworzyłam lodówkę, popatrzyłam na jedzenie, zwymiotowałam w łazience i zrobiłam kolejną kawę, z cytryną, na kaca.

Pijąc ją, postanowiłam, że w takim razie ja zadzwonię. Niech się dzieje, co chce. Trzeba się wytłumaczyć. Odkręcić sprawę. Przecież muszę żyć z tym, co zaszło. Czasy dzisiaj takie, że włączacie telewizor, a tam na ekranie mało kto nieskompromitowany. I wszyscy cieszą się, bawią, są z siebie dumni osobiście i nawzajem. Widocznie można przywyknąć. Chyba nie jestem mniej inteligentna niż oni?

Wystukałam numer rodziców. Odebrał tata, ale poprosił mamę. Gdyby tata nie słyszał o moim upadku, to jeszcze żaden dowód. Jest niedziela. Żonaci mężczyźni kontaktują tylko w tygodniu. W niedzielę bywają nieobecni duchem. Maniakalnie szukają strony gazety, na której jest druga część artykułu, albo próbują wystukać taką kombinację na pilocie od telewizora, jakiej nigdy dotychczas nie użyli.

– Dlaczego nie dzwonicz?

– Do ciebie? Miałam zadzwonić? – mama zająknęła się w słuchawkę. – Przepraszam, zupełnie wyleciało mi z głowy. A po co?

– Po nic. Wcale nie miałaś zadzwonić. – Teraz ja się zająknęłam, niemniej dokończyłam z konsekwencją: – Ale nie dzwonicz.

Mama przez moment zastanawiała się nad moimi słowami. Nie byłam tym zdziwiona.

– Mhm, mhm – zgodziła się w końcu bez przekonania. – I co, odbębniłaś ten wczorajszy ślub? Na pewno okropny. Jak ci poszło?

– Co miało pójść? To nie był mój ślub.

Uświadomiłam sobie, że mama chyba nie wie o kompromitacji swojej córki. Co nie znaczy, że się wkrótce nie dowie. Lepiej, żeby poznała prawdę ode mnie. W wersji łatwiejszej do przyjęcia.

– Wynikły jakieś szopki... Z szampanem... – wyjaśniłam bagatelizująco.

– Szampan nie był na twojej głowie. Do. Pytam o twoje sprawy.

– Na mojej nie był, to fakt – zgodziłam się z czystym sumieniem.

– Aha, wiem, po co miałam zadzwonić! – przerwała mi radośnie mama.

– Nie miałaś po nic zadzwonić. Pytałam cię przez grzeczność.

– Miałam, miałam! – zapewniła z werwą. – Nie zgadniesz, kto się odezwał! Szuka cię, wyobraź sobie, chce się spotkać! Nad życie mu na tym zależy! Dzisiaj o wpół do szóstej. Zapisz sobie i zapamiętaj! Dałam słowo, że będziesz! Tylko proszę cię, Do, nie spóźnij się, jak zwykle, bo nie mam pojęcia, o czym z nim rozmawiać!

– Ja też nie mam. Nawet nie mam pojęcia, o kim teraz rozmawiasz.

– Nie powiedziałaś? O Jarku Derdzie! Pamiętasz go? Tylko nie mów, że nie! I tak ci nie uwierzę, córeczko! Był czas, kiedy świata poza nim nie widziałaś!

Jarek Derda! A ten skąd się wziął? Coś było kiedyś pomiędzy nami, ale co? Zdecydowanie nic takiego. Jedno z nas zakochało się na pewien czas w drugim z nas, już nie pamiętam które w którym. Co to za różnica dzisiaj? On poszedł na studia, ja dostałam się do liceum... Był o trzy lata starszy

ode mnie. W małopolskim wieku to nieomal różnica pokole-
nia.

Nie do wiary, chyba posunęłam się w latach, skoro mam romantyczne wspomnienia z młodości. Ale na jaki konkretnie temat je mam? Nawet jego twarzy nie mogłam sobie przypomnieć. Jak przez mgłę. Czy Jarek Derda to był Wojtek Matynia? Ten z kurzajką na powiece... No co ja najlepszego plotę! Zresztą tamtego nawet nie lubiłam. Więc który to z nich w rezultacie? I do czego mi potrzebna ta nagła wiedza w wieku dwudziestu sześciu lat? Kiedy to ostatecznie straciłam złudzenia. Koniec, kropka!

– Po co mam się z nim spotykać? – zapytałam oschle. – Daj spokój, mamo! Było, minęło! Chyba nie będziesz mnie swatała z każdym dawnym znajomym? Na razie zamierzam oddać się pracy społecznej. Albo będę oglądała telewizję, jeszcze nie postanowiłam.

Nie wiem, jak wasze matki, ale moja zawsze staje po stronie kogoś, kto okazuje mi choćby szczątkowe zainteresowanie. Zawsze! Nawet gdy opowiada się w ten sposób przeciwko mnie. Zwykle wydaje jej się, że jest to zainteresowanie o podłożu matrymonialnym i że jeżeli przepuszczę okazję, zostanę sama do końca życia. Nikt mi nie poda słynnych ziółek na starość. Nikt mi nie umyje zgarbionych wiekiem pleców. Bo kto się zainteresuje dobrą może w gruncie rzeczy, ale postrzeżoną dziewczyną? Jakimś rarogiem, dziwolągiem matrymonialnym! Przecież wszyscy faceci mnie zostawiają. Najpierw mąż, potem nie mąż. Wszyscy. Pozostaje liczenie na cud.

Mama nie miała na mój temat wygórowanych wyobrażeń. Nie postrzegała mnie równie pozytywnie jak reszty świata. Współczująco kochała swoją skomplikowaną emocjonalnie córkę, ale po obcych nie spodziewała się aż tyle serca dla mnie.

Więc oczywiste, że musiała doprowadzić do mojego spotkania z tym kimś, kto nawet nie wiadomo, czy był Derdą, czy Matynią. Jak mogła pozwolić, żebym przegapiła taką gratkę! Sympatyczny chłopak ma do mnie sprawę życia i śmierci! Co ja

sobie w ogóle wyobrażam? To niekulturalne! Przecież nie każdy dawny znajomy chce się od razu ze mną ożenić.

No i tu trafiła mnie w czuły punkt! Chytrze! Nikt nie chce się ze mną żenić, święte słowa – uświadomiłam sobie w trakcie jej moralizatorskiej reprimendy. Nawet moi narzeczeni nie chcą. Aż zrobiło mi się wstyd. Przestałam się upierać, bo w końcu szczerą prawdą. O co mi chodzi? Niby dlaczego mam się nie spotkać z kimś, za kogo nie będę wychodziła za mąż? Przecież to taka ludzka rzecz.

– Dobrze już, dobrze! Przyjdę o wpół do szóstej – zgodziłam się fatalistycznie.

Odłożywszy słuchawkę, sprawdziłam na zdjęciu, jak wygląda Jarek Derda. Wywaliłam pół pawlacza. Tonę zdjęć. Znalazłam go na zbiorowej fotce z moich szesnastych urodzin. Chyba że to był Wojtek Matynia? Oczy miał oczywiście otwarte, więc nie mogłam sprawdzić, czy jest w posiadaniu kurczajki na powiece. W ogóle na pierwszy rzut oka niewiele w sobie posiadał. Kędzierzawy blondyn w białej koszuli, siedzący na oparciu wersalki z puszką piwa. Skromnie siedzący. Typ liryczny.

Bo ja wiem, czy w ogóle był podobny do siebie? Zakładając, naturalnie, że to ten Derda, którego miałam na myśli.

Wystukałam Goškę. Nie mogłam się zdecydować, czy zapytam ją o echa mojej wczorajszej kompromitacji, o ile już do niej dotarły, czy pochwalę się, że Wojtek mnie odnalazł. To znaczy Jarek.

Ale zamiast mojej przyjaciółki usłyszałam w jej telefonie *Podmoskownyje wiecziera*, katowane z alkoholowym zacięciem przez chór męskich głosów.

Zza tych głosów, jak zza lasu, krzyczała Goška.

– To ty, Do?!

– To ja, Gosiu! Co się u ciebie wyrabia?

– Tak, to ja! Mów, poznałam cię.

– Halo, słyszysz mnie?

– Co mówisz? Po numerze cię poznałam! Twój numer mi się wyświetlił, ale nie słyszę cię, Do. Czy to ty?

– Gosiu, to ja dzwonię do ciebie! To ja, Dominika!

Za chwilę już z chrypką Gośka zadysponowała, żebym się rozłączyła. Ona zejdzie do piwnicy, tam jest w miarę cicho, odzwoń z komórki.

Odłożyłam słuchawkę ogłuszona. Nie wiem, jak Gośka wytrzymała w tej zapijaczonej muszli koncertowej! U mnie natychmiast wystąpił nawrót kaca. W głowie łomot, w gardle pieczenie, w oczach zaćma. Zdjęłam z haczyka klucze od kłódki i w drzwiach uprzytomniłam sobie, że to Gośka ma zejść do piwnicy, a nie ja.

Telefon brzęknął, odebrałam go o pół tonu za głośno. Skutkiem autosugestii.

– Jejku, kto tak u ciebie gębę drze?!

– Oj! To kanarek! Widzę, że cierpisz po wczorajszym? Poczekaj, uciszę go.

W słuchawce zapadło milczenie, a ja usłyszałam z dala ptasi trzel. Ale to wcale nie było lepsze niż pijackie wycie. Po pierwsze, nie znam żadnego kanarka. Po drugie, Gośka nie ma kanarka. Po trzecie, to nie był głos Gośki. Nawet niepodobny. Czyżby odezwał się pierwszy z wiadomych telefonów? Jakaś moralna wyrocznia, która teraz będzie mnie bezinteresownie wyciągała z bagna nieprzyzwoitości? Z jej słów wynikało, że wie o mojej kompromitacji.

Jak się ucisza kanarki, skoro natura stworzyła je do śpiewania? Ukręci mu baba łebek? A potem mnie nawrzuca z identycznym sadyzmem? O nie, dziękuję! Może kiedy indziej, kiedy będę w lepszej formie.

Czym prędzej rozłączyłam się w ramach obrony koniecznej.

Siadłam na wersalce z kolanami pod brodą. Utkwiłam hipnotyzujące spojrzenie w mój telefon i czekałam, aż Gośka odezwie się ze swojej piwnicy.

Kiedy zadzwoniła, byłam już ostrożniejsza.

– To ty? – szepnęłam.

– Tak, to ja – odpowiedziała mi ta sama baba. – Coś nas rozłączyło.

Nastąpiła najbardziej zdumiewająca rozmowa w moim życiu. Ta w słuchawce szczebiotała, jakbyśmy się znały od

ćwierć wieku. A ja jej nie rozpoznawałam i pośród tego wylewu poufałości niezręcznie mi było się dopytywać. Zasugerowana nieoczekiwanym powrotem Derdy z licealnych otchłani, zaczęłam teraz przeszukiwać moją pamięć jeszcze dalej. W okolicach przedszkola.

Ale nigdzie w moim życiu tej baby nie było! Na domiar złego z miejsca zaproponowała mi rum. Ni w pięć, ni w dziewięć – rum! Bezczelna jakaś!

To naturalnie wykluczało przedszkole, bo tam konsumowałam z koleżankami co najwyżej jogurty owocowe. Czyli że baba nawiązywała bezwstydnie do wczorajszej imprezy! Skąd wiedziała? Kto rozsiewa takie chamskie plotki zaraz następnego dnia? Wyobrażacie sobie?

Głowa rozbolała mnie od nowa.

Oświadczyłam jej opryskliwie, że aluzje do nadużycia przeze mnie wczoraj tego czy tamtego nie wydają mi się zabawne. Mogłaby się trochę krępować!

Zachichotała, że jeśli ja się nie krępuję, to ona tym bardziej nie. Była wczoraj zdecydowanie trzeźwiejsza ode mnie.

Po tych słowach zastanowiłam się.

No tak... Opary kaca zaćmiły mi zmysł orientacji. Wyglądało, że dzwoni moja nowa znajoma ze strony stryjecznego dziadka. Jak jej było? Mariola!

– Fajnie, że się odezwałaś! – roztrajkotałam się dla zatarcia wrażenia, że nie w pełni kontaktuję. – Nawet ci nie podziękowałam wczoraj za towarzystwo. Mam paskudną migrenę i ledwie słyszę. Od pogody, coś z ciśnieniem. Ale poza tym ekstra. Nic mi nie dolega po tym różowym świństwie, wiesz?

Mariola zapewniła, że ona też ekstra, ale może świeże powietrze by nas postawiło na nogi? Nie pójdzie dzisiaj na poprawiny, bo dostałaby kota od tego niekończącego się wesela. Więc gdybyśmy tak umówiły się na wspólny spacer?

– O piątej koło fontanny, co ty na to? – zaproponowała.

– Chyba że wolisz wybrać się na poprawiny razem ze mną?

– Nie, nie, fontanna będzie najlepsza! – orzekłam. – Fontanny tworzą mikroklimat, gdzieś o tym czytałam. Jak znalazł na

migrenę. Z tym że nie dzisiaj, Mariolko. Jestem umówiona z kimś o wpół do szóstej.

Okazało się, że nie szkodzi. Mogę być umówiona o wpół do szóstej. Na rum wystarczy nam kwadransik. Mariola ma dla mnie dziejową misję, sama się przekonam. Sprawa życia i śmierci. Będzie ona, Lutek, dwóch facetów, których nie znam, i jeszcze jedna dziewczyna, której też nie znam.

– Do miłego, Dominiko!

Kompletnie upadam moralnie, stwierdziłam, odkładając słuchawkę.

W niedzielne popołudnie będę drinkowała na świeżym powietrzu w przypadkowym towarzystwie. Rozglądając się z duszą na ramieniu, czy nie nadchodzi jakiś mój uczeń. Nie daj Boże, trzeźwy i wrogo nastawiony do nauczycielskich słabości. Następnie w stanie wskazującym na spożycie, który robi się z wolna moim naturalnym stanem, udam się na spotkanie z miłością sprzed lat...

Zresztą dobrze mu tak, tej miłości, sam się prosił! Chyba nie spodziewa się, że wciąż jestem subtelną dziewczynką, którą nie pije i nie przeklina? O nie! Jestem już subtelną dziewczynką, która pije jak szewc i klnie jak furman! Psiakitka!

Wciąż nie byłam pewna, jak ten cały Derda wygląda, za to byłam stuprocentowo pewna, że sama powinnam wyglądać tak, żeby oczy mu wylazły z orbit. Mama nie omieszka wyspać mnie, że jestem sama, biedna, porzucona, więc jeżeli nie wykrzeszę z siebie wampa, seksbomby, króliczka Playboya, Maty Hari, to odsiedzę wieczór jako skrzywdzona sierotka. Totalny dół.

Zaczęłam od stringów, tym razem z serduszkiem. Nie wiem jak dla was, ale dla mnie serduszko na majtkach dodaje światu idealizmu.

Na staniku już nie, dziwne, prawda?

Na tym pomysły mi się skończyły. Półgoła siadłam przed telewizorem po natchnieniu. Góra Majki Popielarskiej, oko Anity Werner, but Moniki Olejnik. Coś w tym stylu. Dyskretna Grażyna Torbicka przełamana Dorotą Gawryluk. Kazi-

miera Szczuka pastelowo podkreślona Katarzyną Kolendą. Jakież takie przebojowe klimaty.

Tylko że od razu trafiłam na teleturniej, który prowadziła Asia Robotek, i utknęłam na tym kanale, jak zwykle, kiedy trafiam na Asię. Jest w końcu supergwiazdą medialną, trudno od niej wzrok oderwać. Pół narodu tak ma, nie tylko ja sama.

Nie uwierzycie, ale niegdyś widywałam ją na żywo.

Byłyśmy przyjaciółkami, choć krótko. Przez parę kaw i parę drinków. Rozłączył nas odmienny tryb życia. Aśka dawała koncert na amerykańskim lotniskowcu, kręciła reklamę podpasek w Tunezji, została sekretarką planu przy ekranizacji *Quo vadis 2*, a ja w tym czasie miałam do poprawienia sprawdzian o przydawce i dwa dyktanda z ó kreskowanym.

– Hejka! – zawołała na ekranie do faceta w zielonej kamizelce. – Ćwiczyliście do finału? Pół miliona! Wyobraźcie sobie taką kasę! Wystarczy ją wygrać! Potem wylegiwanie się brzuchem do góry przez resztę życia! Gotowi do dzieła? To tylko zabawa, ale wasza rodzinka będzie cienko przedła, jeśli się nie uda! Bawmy się!

Wyglądała rzecz jasna super, ale, ku mojemu żalowi, nie mogłam jej wziąć za wzór. Muszkieterskie buty z jaskrawo-czerwonej skóry i nabijana ćwiekami obroża na szyi, a pomiędzy właściwie nic. Parę kolorowo błyszczących cekinów.

Po obwieszonym lampionami moście w studiu przebiegła do konkurencyjnej drużyny.

– Hejka! To tylko zabawa, ale drugiej szansy los wam nie da! Zapamiętajcie to dobrze! Jeśli pozwolicie odebrać sobie pół miliona, czeka was życie na cienkich zupkach! Do uki-chanej śmierci! Bawmy się, dobrze wam radzę!

Zawody polegały na łykaniu baloników. Stracić taki spod stropu halabardą czy innym bosakiem, w każdym razie czymś o wyglądzie strażackim, złapać spadający flak, połknąć na czas. Regulamin pozwalał popić napojem energetyzującym Calypso, dostarczonym przez sponsora. Wygrywa drużyna, która więcej zje, a mniej popije.

Konkurencja jak konkurencja. I tak mdliło mnie od rana, mogłam popatrzeć.

Asia była wyluzowana, naprawdę profesjonalna.

Ale w tym momencie zadzwoniła wreszcie Gośka, więc pobiegłam odebrać.

W telewizorze za moimi plecami z hukiem spadł pierwszy przebity balonik.

– Hejka! – zawołała Asia.

Nie wiem, do kogo, bo przez ramię wyciszyłam ją pilotem.

– Co tak długo, Gośka? Sprawiaś sobie piwnicę w Kalifornii czy jak?

– Hejka! – wrzasnął z uporem wyciszony telewizor.

Odruchowo wcisnęłam pilota jeszcze raz. Teraz ogłuszył mnie jazgot rozbawionego studia. Kolejny balonik eksplodował, aż mi w uszach zapiszczało. Starsza pani na ekranie z wybałuszonymi oczami żuła gumę, krztusząc się. Aśka dopingowała ją zza kadru, dyrygując rozentuzjasmowaną publicznością.

Nie słyszałam Gośki, więc całkiem wyłączyłam telewizor.

Ale nie popuścił mi. Z wyłączonego też odezwało się rażne „hejka”. Jak w sennym koszmarze o domowych urządzeniach niedających się wyłączyć! Takiego upojenia alkoholowego jeszcze w życiu nie miałam!

Wbrew pozorom nie jestem alkoholiczką, toteż daję wam słowo, że nie wiem, jak to wszystko wygląda w obecnej dobie postmodernizmu. Czy staroświeckie białe myszki zostały uaktualnione? Przystosowały się do ery medialnej? Dostajesz delirki w formacie panoramicznym i zwiduje ci się Magda Mołek albo Tadeusz Sznuke?

Aż nagle pojęłam, że to nie telewizor! On jest niewinny! To w słuchawce Gośka z Kalifornii nawołuje „hejka, Do!”.

Multimedialnym głosem Asi Robotek.

– To ty dzwonisz, Asiu? – wydukałam. – Prędzej bym się chyba spodziewała George’a Clooneya! Właśnie oglądam cię w telewizorze, słowo daję!

Wierzcie lub nie, ale to faktycznie była Aśka. W moim osobistym telefonie.

Zainteresowała się, w czym konkretnie ją oglądam, więc szybko włączyłam, żeby sprawdzić. Starsza pani wymiotowała zjedzonym balonikiem w kącie studia, kamera pokazywała to na litościwie przymglonym obrazie.

Odpowiedziałam, że w teleturnieju o balonikach.

To jeszcze małe piwo, zbagatelizowała Aśka. Tydzień temu nagrywała dyskusję panelową dla kanału Euroelita. Tam powinnam ją obejrzeć, była zarabista. Profesorkowi od sto-sunków międzynarodowych kopara opadła, jak mu wygarnęła swoje zdanie na temat Unii.

– Coś ty? – zdziwiłam się uprzejmie. A jakie masz zdanie?

– Już teraz nie pamiętam, ale kopara opadła mu po samiućki nabiął, mówię ci! – roześmiała się Aśka w słuchawce i w telewizorze też, chociaż tam z czego innego. – Posłuchaj mnie, Do. Jestem dzisiaj w Radomiu, co ty na to?

Nie wiedziałam, co ja na to, więc pochwaliłam się, że też byłam kiedyś w Radomiu.

– Jak to kiedyś? A ty nie mieszkasz w Radomiu? Kurde, sorki, Do! Faktycznie, wczoraj był Radom, dzisiaj jestem tu. W twoim mieście. Mam koncert o siedemnastej i o dwudziestej pierwszej. Skasuję, odświeżę się, około północy będę wolna i swawolna. Co ty na to?

Super, powiedziałam. Ale nie mogę. Jutro idę do szkoły na ósmą, dzisiaj się poumawiałam. A mam jeszcze kartkówkę do poprawienia. Z Kochanowskiego.

– Bez jaj, tylko nie z Kochanowskiego! – obruszyła się Aśka. – Wiesz, że on od podstawówki wchrzania mi się w życiorys, upierdliwy gość! W liceum byłam zagrożona na koniec roku właśnie z Kochanowskiego! Powiem ci, że gdyby moje koncerty wpisali do lektur, też bym sobie wkoło domu posadziła palmy, nie tylko lipy! No ale nieważne, w takim razie rezerwuję dla ciebie czas między koncertami, Dominiko. Żadnych ale! Nie przyjmuję wyjaśnień! Musimy się widzieć koniecznie. Sprawa życia i śmierci!

Próbowałam podpytać, co to za sprawa, ale wyjaśniła na odczepnego, że potem mi powie. Musi lecieć, bo muzycy ją wołają.

– Jeszcze macie dwie godziny do siedemnastej – przypomniałam.

– Na razie na piwo mnie wołają. Odstresować się przed koncertem.

Odłożyłam słuchawkę i od razu zadzwoniła Gośka. Z pretensjami, że nie czekam na jej telefon. Nie sposób się do mnie dodzwonić.

– To przez tę piekielną niedzielę! – wytłumaczyłam się. – Co chwilę ktoś się ze mną umawia w sprawach życia i śmierci. Idzie zwariować!

– Nawet mi nie mów! – jęknęła Gośka z rozpaczą. – Chyba jednak nie zwariowałaś? To znaczy, chyba się nie umówiłaś z nikim? Natychmiast odwołaj, Do, błagam cię!

Wytłumaczyłam jej, że nie mogę już odwołać, niestety, i dlaczego niby mam odwoływać?

– Bo koniecznie musisz do mnie przyjść. To sprawa życia i śmierci!

Mogłam się domyślić. Wszystkim kompletnie odbiło. Albo mnie odbiło. Tak czy siak, skrupiało się na mnie, nie na nich.

Więc kiedy kwadrans później telefon zawrócił mnie od drzwi, byłam pewna, że to kolejna sprawa życia i śmierci. Niecierpiąca zwłoki. Koniecznie muszę. Jeszcze nie wiem, z kim, nie wiem, po co, nie wiem, gdzie, ale już wiem, że nie mogę odmówić! Przecież została mi kupa wolnego czasu pomiędzy dziewiętnastą pięćdziesiąt osiem a dwudziestą zero jeden.

Tym razem nie o to chodziło.

Dzwonił facet z hurtowni tanich win, czy nie reflektuję na niżkowy abonament węgryzna z okolic Badacsony nad Balatonem.

Nazwa geograficzna nic mi nie mówiła, ale głos faceta nie był obcy. Gdzieś już go słyszałam. Nie miałam pewności, czy to przypadkiem nie idiotyczny dowcip za wczorajsze. Zemsta

ochlapanego. Bo po co mi tanie wina hurtem, wszystko jedno z jakich okolic? Już miałam odpowiedzieć coś głupiego, gdy nagle olśniło mnie jak świętego Pawła na drodze do Damaszku czy gdzie go tam olśniło.

– Wiem! To pan do mnie dzwoni! – wpadłam facetowi w słowo.

Zamilkł, jakby go zakorkowało. A potem bezczelnie zachichotał.

– Bingo! Chylę czoła przed pani domyślnością.

Zrobiło mi się nieswojo. Faktycznie palnęłam z rozpędu! A ten bystry jak z hurtowni krzyżówek i rebusów, a nie tanich win!

– Co w tym śmiesznego? – podjęłam z godnością. – Wcale nie chciałam przez to powiedzieć, że akurat teraz pan do mnie dzwoni. Bez przesady, tego nie powiedziałam! Tylko że w ogóle pan do mnie wydzwania!

Facet zadławiłby się ze śmiechu, odpowiadając. Tym razem nie trafiłam – wychachał radośnie! Pudło! Może mnie zaskoczy, ale dzwoni do mnie dosłownie w tej chwili, słowo honoru.

Strasznie wkurzający bystrzak!

– Niech się pan tak nie cieszy – ostudziłam go. – Rozgryzłam pana taktykę. Dzwoni pan do mnie jako biuro podróży, telekomunikacja, szaszłykarnia, a teraz jako hurtownia win. Czy pan zdaje sobie sprawę, że mogę na pana donieść na policję?

– Za co? – zdziwił się bałamutnie. – Nie naciągam pani na pieniądze. Jeśli już, to na zniżki. To niekaralne.

– Bo się nie dałam naciągnąć! W jakim innym celu by się pan podszywał?

– Miałem ochotę pogawędzić. Pani jest zbyt fascynującą kobietą, żebym zaniechał telefonowania tylko dlatego, że nie ma nas kto z sobą poznać.

Ciekawy osobnik, nie sądzicie? Piekielnie spostrzegawczy.

Tylko w jakich okolicznościach spostrzegł, że jestem taka fascynująca?

– W takim razie, proszę! – zgodziłam się dobrotliwie. Widocznie czymś mnie przekonał. Czymś, co wykuło się w mojej damskiej podświadomości. Sama byłam ciekawa, co to takiego. – Poznajmy się, skoro z tym będzie panu lepiej. Jestem Dominika. I co dalej?

– Ogromnie mi miło. Pani cichy wielbiciel z tej strony.

Nie wiedziałam zupełnie, czy to, co mówi, jest sympatyczne, czy raczej durne. I co mam o nim myśleć? Równie dobrze mógł się przedstawić, że jest pilotem oblatywaczem. I tak nie sprawdzę. Naturalnie chwala mu, że wybrał miłszą dla kobiety wersję. Jako cichy wielbiciel bardziej mi przypadł do gustu niż jako pilot oblatywacz.

Ale co z tego? Może jakieś konkrety?

– Niech zgadnę! – zaryzykowałam. – Dzwonisz, żeby się ze mną umówić, cichy wielbicielu? Na dzisiejsze piękne niedzielne popołudnie, tak? Sprawa życia i śmierci?

Każdy facet ma te same plany. Nawet nie są zaskoczeni, kiedy się je przejrzy na wylot.

– Bingo! – przytaknął od razu. – Chciałbym tego nadzwyczaj! Tylko że w tej formie to chwilowo niewykonalne.

A szkoda, pomyślałam. To spotkanie mogło wypaść ciekawiej niż cztery pozostałe, które dojdą do skutku. Tamte były przewidywalne jak niedzielny rosół u mamy. A może jednak on jest naprawdę pilotem oblatywaczem, dzwoni z powietrza i dzisiaj nie ląduje w Polsce, tylko w okolicy Badacsony nad Balatonem.

– No cóż! Więc masz problem, wielbicielu! – oznajmiłam wyniośle i odłożyłam słuchawkę bez pożegnania.

Żeby sobie nie myślał.

Dopiero nad odłożoną dokończyłam łaskawie:

– Spróbuj kiedyś jeszcze raz.

Bo niby po co miałam sobie kręcić pętlę na szyję w postaci przypadkowego faceta? Zgiń przepadnij, maro nieczysta!

Ale z drugiej strony tak totalnie się wycofać też trochę żal.

Najpiękniejsza kobieta świata

W rezultacie ubrałam się w stylu „babie lato”. Odcienie zwiewnych rudości i miodów. Najpierw pognałam w tym stroju do Goški, żeby sprawdzić, co ją przypiliło. Często zwracała się do mnie w sprawach życia i śmierci – na przykład, że złamała paznokiec – więc nie żywiłam szczególnych obaw, wysiadając z autobusu. Dopiero gdy pani Lidka, jej pomoc domowa, otworzyła mi drzwi z rurą odkurzacza w rękę, do której usiłowała podłączyć mopa, ogarnął mnie niepokój. Od pani Lidki czuć było alkohol, co dotychczas się nie zdarzało. A już na pewno nie podczas sprzątania. Miała łzy w oczach. Chciała mi coś powiedzieć, ale załkała i uciekła w głąb domu, trzęsąc ogromnym biustem.

Jednocześnie z głębi wynurzył się pijany, zapłakany Berni. Bez słowa ucałował mnie w oba policzki i poszedł dalej. Z miny wynikało, że nie wie, dokąd idzie. Ani po co. Za nim toczył się nieznajomy facet w takim samym stanie psychicznym. W koszuli zalanej łzami. Albo wódką, bo niósł szklaneczkę, z której wychlapywało mu się przy każdym kroku. Dał mi ją do przytrzymania, ucałował mnie na niedźwiedzia, odebrał szklaneczkę i ruszył tropem Berniego, ocierając mokrą twarz wierzchem dłoni. To, co wobec mnie wykonał, wyglądało na kondolencje, szczerze mówiąc. Gdyby nie fakt, że mało przypominał żałobnika, rozglądałabym się za katafalkiem, na którym leży świętej pamięci Goška.

Po pierwszym nieznajomym ukazało się dwóch następnych. Obcmokali mnie w oba policzki, a jeden uklęknął i ucałował skraj mojej rudej spódnicy. Mimo że się broniłam, bo zadzierał mi ją po serduszko na stringach. Zdecydowanie nie powodowały nim motywy erotyczne, miał jedynie kłopoty z koordynacją ruchów.

– Barysznia, kakaja że wy krasawica! – wydeklamował i podał mi ramię.

Podtrzymałam go, ponieważ ta nągła elegancja omal nie zwała go z nóg.

Faceci byli Rosjanami. Najprawdopodobniej to w ich niezapomnianym wykonaniu wysłuchałam *Podmoskownych wieczierow* w słuchawce mojego telefonu. Ale co tu robili poza koncertowaniem i dlaczego płakali razem z Bernim? Co robili, mogłam się właściwie domyślić. Berni miał kontakty ze Wschodem jako firma utylizująca śmieci „BerniTrash”. Odwiedzali się nawzajem. A ten płacz? Inaczej wyobrażałam sobie biznesowe spotkania. Kolacje z kawiozem, morze alkoholu, podkasane tancerki na stołach, szelest czeków, owszem. Ale przecież nie wspólne łkanie w mankiet. Chyba że stali w obliczu plaży? Z tym że wtedy Gośka nie wzywałaby na ratunek mnie, tylko siedziałaby tu już kupa prawników w eleganckich garniturach i kombinowała, ile można zarobić na tym, że trzeba stracić.

Szarmancki Rosjanin prowadził mnie dokądś pod rękę i gadał jak najęty. Nie miałam pojęcia, o czym. Znam rosyjski tyle, co z piosenek Okudźawy. Poza tym gospodin Szarmancki bełkotał z dykcją bezzębnego menela, chociaż sprawiedliwie przyznaję, że pachniał nie tylko wódką, ale i niezłą wodą kolońską. A na przegubie nosił coś nieprzyzwoicie opasłego i nieprzyzwoicie złotego – nie potrafię powiedzieć, o jakim zastosowaniu praktycznym.

Rozglądałam się niespokojnie za Gośką. Kiedy do mnie dzwoniła, zdawała mi się trzeźwa, jednakże teraz w to zwątpiłam. Nawet Alf wyskoczył spod jakiejś kanapy, szczerząc zęby, choć nigdy na mnie nie powarkiwał. Jakby i on był trącony od alkoholowych oparów, które snuły się w powietrzu jak swąd Wezuwiusza nad Pompejami.

Przez okno zobaczyłam na tarasie kolejnego nieznanego. W koszuli wypuszczonej na spodnie tańczył samotnie z butelką w dłoni, niczym Grek Zorba po życiowej katastrofie. Tylko że ten tragicznym tenorem śpiewał w stronę pogodnego wrześnieowego nieba *Pust' wsiegda budiet solnce*.

Zbiorowa schizofrenia! Gdybym tego nie widziała, nie uwierzyłabym.

Gośćkę zastałam przed kinem domowym.

Siedziała sama. Trzeźwa. Oglądała *Wielką drakę w nowojorskim żłobku*. Z kilku głośników rozstawionych po salonie darły się amerykańskie niemowlaki, a Gośka uśmiechała się do nich wyrozumiale.

W sumie to też wyglądało z lekka apokaliptycznie.

Na mój widok ściszyła rozwrzeszczaną czeredę, podniosła się z uśmiechem i obcałowała mnie, jak wszyscy w jej domu.

Wydała mi się niecodziennie dostojna w ruchach.

– Co tu się u ciebie dzieje? – wyszeptałam ze zgrozą. – Wszyscy płaczą, nawet pani Lidka.

– Nie uwierysz, Do! – odpowiedziała uroczyście Gośka i ona także lekko się zaszkliliła. – Nie uwierysz, daję ci słowo! Jestem w ciąży, Do! Będę miała maluteńkie dziecko! Własne maluteńkie dziecko! Teraz wierzysz?!

Z braku lepszego pomysłu siadłam w fotelu naprzeciw niej. A raczej osunęłam się na niego bezwładnie. Mój ruski opiekun, który przyprowadził mnie tutaj, nalał mi szklankę suworowa dla kurazu, ukłonił się jak zwykle szarmancko i wyszedł, zabierając Alfa. Właściwie usiłował na nim wyjechać po kawaleryjsku, ale przewrócili się razem w drzwiach. Poszedł w drobiazgi stojący pod ścianą wielki wazon, na szczęście bez kwiatów i wody.

Łyknęłam potężny haust suworowa.

– Nie wierzę! Kurczę blade!... Jesteś w ciąży, Gosiu?

– No, żebyś wiedziała, Do, w ciąży! Uwierzysz?

– No wiesz co! Nic o tym nie wiedziałam.

– Ja to samo – zgodziła się Gośka. – Czy to nie cudowne? Trzy tygodnie temu marzyłam, żeby mieć dziecko, pamiętasz? A tu ledwie się obejrzałam i jest! Dziecko! Jak w bajce!

– Cud! – przytaknęłam skołowana. – Przecież to dziewięć miesięcy.

– Coś ty, Do! Nie bądź w gorącej wodzie kąpana! Zanim urodzę, jeszcze zejdzie. Ale wiesz co? Już bym tak chciała je

mieć! Przytulić, poszczebiotać! Ty też, co? No dalej! Przyznaj się, nie rób mi tego! Też byś chciała?

Z trudem główkowałam i odbijało mi się suworowem, choć wypilałam nie więcej niż dwa łyki. Czy ja też bym chciała mieć Gośki dziecko? Ale ja z kim? Zresztą czy to teraz takie ważne? I tak doczekaliśmy się wreszcie z Goską dzidziusia!

Zakręciło mi się w głowie od emocji! Zerwałam się z fotela, ucałowałam ją w oba policzki i otarłam łzy. Widocznie ten nastrój był zaraźliwy.

– Chryste, Gosiu, będziecie z Bernim mamą! Kocham cię! Normalnie szok! Macie już imię dla maluszka?

– Coś ty! Wczoraj się dowiedziałam. To dopiero taki ma-ciupki embrion.

– A już taki kochany! To jak do niego mówisz?

– Jak to jak? Na razie wcale. – Gośka zasępiła się. – Ono chyba jeszcze uszek nie ma?

Przez okno zobaczyłam, jak na trawniku przy basenie Rosjanin od tańca polewa wodą z hydrantu głowę mojemu Rosjaninowi od suworowa. Leje i leje, a tamten prycha i woła jeszcze. Pośród pryskających kropelek złociły się w jesiennym słońcu gołe torsy.

Mojego Ruskiego nie zarzucało już pod ciśnieniem wody ze szlauchu. Trzeźwiał z samozaparciem.

Gośka zaciągnęła mnie na piętro, gdzie wybrała już pokój dla dziecka. Gdyby miała wstawić do niego cztery łóżeczka i osiem kołysek, doskonale wiedziałyby gdzie. Z pojedynczymi szło jej gorzej. W tym miejscu słońce na ponure dni, ale tutaj znowu cień na lato. Tu przy drzwiach, tu za to przy oknie. Tu chyba raczej szafka z zabawkami. A tam niezdrowo w przeciągu, gdyby ktoś otworzył okno na półpiętrze. O, tu świetnie, tylko że mały przewiew, więc potówki i te rzeczy...

Dochodziło dziesięć po czwartej, powinnam się zbierać na rum z Mariolą. Nie miałam na to szans.

– Aha, i najważniejsze! – Gośka ciągała mnie z kąta w kąt. Berni poprosił ją na bok, ale tylko na chwilę.

Ze mną przywitał się przy tej okazji od nowa, tym razem trzeźwiej. Przez uchylone drzwi widziałam Szarmanckiego. Ukłonił mi się po raz sto siedemnasty, wliczając powitanie z moimi stringami. Zimna kąpiel dobrze mu zrobiła. Patrząc jasnym wzrokiem i wyprzystojniał. Marynarka, krawat, smukłe biodra, czarne włosy zaczesane do tyłu. Gdyby nie stalinowski wąs nad górną wargą – wypasiona wersja Roberta De Niro.

Uśmiechnęłam się do niego, a on skłonił się po raz sto osiemnasty. Król bon tonu, nie ma co!

Gośka wróciła blada po rozmowie z Bernim. Zamknęła drzwi, przytuliła się do mnie i teraz już rozszłochała się na maksa.

Koniec z fontanną i Mariolą, pomyślałam. Przez Gośkową fontannę łez nie zdążę. Jakieś histeryczne objawy macierzyństwa. Szczęście, że mleko nie kapie jej spod powiek.

Już za moment wstydziłam się tych egoistycznych myśli.

Bo Gośka wyłkała mi w gors, że Rosjanie przyjechali pociągnąć jej małżonka za samochodem. Wyboistą leśną drogą. Berni zalega ze spłatą długu. Miesiąc temu sami prolongowali, teraz nagle odbiło im i przyjechali egzekwować.

– Daj spokój! – przeraziłam się nie na żarty. – Co ty wygadujesz? Musieliście z Bernim źle przetłumaczyć sobie ich słowa! Jak to pociągnąć? Oni? Ci tutaj? Jak się ich widzi, to są całkiem normalni ludzie.

– Jak cię ciągną za samochodem, to ich nie widzisz.

Dostałam gęziej skórki. Przed oczami pojawiła mi się porzana zwierną twarz Berniego. Oraz jego nienarodzone dziecko, przeżywające pierwszy szok długo przed narodzeniem.

– No to na co jeszcze czekasz, skoro jesteś pewna, Gośka? Dzwon po policję!

– A co policja poradzi na kryminalistów? – zdziwiła się. – Powiem ci prawdę, Do. Ich szef, Sasza, darował na razie Berniemu. Pozwala mu spłacić do końca roku.

Objęłam czule Gośkę i zrobiło mi się lżej na sercu.

Ale ona nie uspokoiła się w moich ramionach.

Nie jest tak dobrze, jak by się zdawało, westchnęła tragicznie. Sasza darował dług tylko i wyłącznie z kaprysu. Poznał akurat najpiękniejszą kobietę świata. Ma życzenie, żeby świat radował się razem z nim.

– A co ci za różnica, Gosiu? Powody to już jego osobista sprawa. Grunt, że do stycznia spokój! – Ucałowałam ją czule. Prawie pół roku. Przez tyle czasu nawet ja bym parę groszy uciulała, co dopiero Berni.

– Jak to, powody to jego osobista sprawa? – zachnęła się Gośka. – Co ty sobie wyobrażasz, że Sasza ma na myśli panią Lidkę? O ciebie chodzi, Do!

Roześmiałam się w głos.

– Jak to o mnie? To ja jestem najpiękniejszą kobietą świata?

– Ale skąd! – wzruszyła ramionami Gośka. – Tylko weź mu to wytłumacz. Ty to wiesz, ja wiem, Berni, a głupi Ruski nie wie!

– Dlaczego zaraz głupi? – obraziłam się w imieniu Saszy. – O gustach się chyba nie dyskutuje, prawda? Rosjanie są znanymi koneserami słowiańskiej urody.

– Też mi gusty! *Wodka i ogórcy!* No ale jak Sasza sobie coś ubzdura, młotkiem mu nie wybijesz. Błagam cię, nie zraż go do siebie, Dominiko, bo wpadnie w szal! Oni ciągną za samochodem na goło, po najgorszych wertepach!

– Chyba żartujesz! Sasza jest uprzedzająco grzeczny!

– Na pozór! Bo to cały taki rozdarty psychologicznie naród! Albo strzelają w tył głowy, albo są uprzedzająco grzeczni!

W tył głowy łupnął mnie poranny kac. Albo popołudniowa dezorientacja. Nic nie rozumiałam. Może tyle, że jestem najpiękniejszą kobietą świata, choć i to zdawało mi się przygnębiające w obecnej chwili.

– Gadasz bez sensu, Gośka. Jak mogą pociągnąć Berniego za samochodem na goło, skoro od rana piją z nim z okazji twojej ciąży?

Gośka zaszlochała.

– Naprawdę nie wiesz, jacy oni są, czy udajesz? Nie bądź dzieckiem, Do! Parę lat temu jeden padł mi do kolan tu, na tarasie. Że jest we mnie zakochany na śmierć! Wymości mi życie puchem syberyjskich gęsi. Bo w gęsiach działał, pierzem handlował, wątróbkami. Przemawiał jak natchniony poeta, Puszkina normalnie, łzy miał w oczach! A w rękach dwie spluwy! Jedną przy mojej głowie, drugą przy swojej. Na wypadek, gdyby mi te gęsi nie zaimponowały.

Usiadłam tam, gdzie miał stanąć dziecięcy fotelik. Choć na razie nic tam nie stało.

– Nie przesadzaj, Gośka! Nigdy o tym nie mówiłaś!

– A jak? Tak przy ludziach, że maniak chciał mnie uwieść?

– Czemu nie? Zrozumieliby... – odpowiedziałam bez przekonania. – Ja bym na pewno zrozumiała... Nie no, uszczypnij mnie, przecież to się w głowie nie mieści! I czym się to skończyło?

– Strzelił, durny kacap! Nie zamierzałam spędzić życia w tajdze. Nawet największe nasze patriotki podczas zaborów tułały się po Sybirze za polskiego orła, a nie za ruskie gęsi.

Przyjrzałam się jej podejrzliwie. Nie wyglądała na kogoś, kto oddał życie za polskiego orła ani za jakiegokolwiek inne zwierzę.

– Jak to strzelił?

– Tak to, strzelił. Dwa razy. We mnie i w siebie, trach, trach! Taki był narąbany, wyobraź sobie, że nie trafił ani razu.

Odetchnęłam. Jeśli nie trafił, to wiele tłumaczy.

– To był on? Sasza?

– Coś ty, Do, nie bój się. Tamten nie żyje. Czymś takim tuczył gęsi, że pasztety sztrasburskie pleśniały. Zabetonowali go w moście pod Kurskiem. Wojna gangów, wiesz, jak to u nich jest. Dorwała go młodzieżowa przybudówka obrońców zwierząt przy irkuckiej mafii.

Wstałam z dywanu. Coś musiałam zrobić. Nie cierpię bezradności.

Toteż jeszcze raz usiadłam i znowu wstałam.

– Nie wytrzymam, Gośka! I ty mi każesz z kimś takim.. romansować?!

– Broń Boże! – Gośka zatrzepotała rękami z przerażeniem. – Nie z kimś takim, tylko z Saszą. Sasza jest z Petersburga, nie z Irkucka. Poza tym wybij sobie z głowy romanse. Z tego byś się nie wyplątała, rozumiesz? A potem co, ślub? Wyjść za mąż żadna sztuka, ale wyobraź sobie, że Saszy za chce się szybkiego rozwodu. Nie zrażaj go i tyle. Lawiruj. Ba ba potrafi, Do!

Zdrętwiałam.

– Długo mam tak potrafić według ciebie?

– Sama się zorientujesz. Jak znam Saszę, jest zbyt dumny żeby ci się bez końca narzucał. Albo cię zgwałci, albo sobi odpuści.

Patrzyłam na Goškę oczami wybałuszonymi do bólu. A dziwiłam się, że nie widzę jej na czerwono. Poglaskała mnie uspokajająco po policzku.

– To teoria, Do, sorry. Tak tylko mówię. W praktyce po żadnym pozorem nie chodź z Saszą w miejsca, gdzie pachni kłopotami. Przecież on nie jest dzikim Azjatą, nie porwie cię

– Może po prostu przestanę przychodzić do ciebie, Gosiu – zaproponowałam rozżalona. – Też uniknę kłopotów. Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką.

– Do, jestem twoją przyjaciółką, najwierniejszą! – Gośka uwiesiła mi się na szyi ze szlochem. – Sasza to nie żaden barbarzyńca, uwierz mi. Ale czy mam pozwolić, żeby pociągnął za samochodem ojca mojego nienarodzonego dziecka?!

Szczerą prawdą, pomyślałam. Teraz za samochodem ciągną tylko cywilizowani – barbarzyńcy biją na piechotę. Pięknie nasza cywilizacja wyewoluowała, swoją drogą! Młody był dzisiaj tragiczniejszy niż los Antygony czy innej Medei, wokół których tylko krew i zniszczenie. Jak mogę pozwolić, żeby embrión Goški został sierotą? A jak widział wszystko w moich rękach...

No, dajmy na to, że to o ręce chodzi.

– Zastanowię się – odparłam wyniosłe, zrzucając ją z mojej szyi.

Otarłam się z Gośkowych łez i dumnie opuściłam niedoszły dziecinny pokój.

W korytarzu czekał na mnie Sasza. Z bukietem róż. Szybki był.

Łamaną polszczyzną poprosił Berniego, żeby nas sobie przedstawił. Po kolejnym ceremonialnym ukłonie wyjął z butonierki dwa bilety na wieczorny spektakl.

– *Wiesoląja wdówka*. Arcydzieło apieretki, Daminika! – zareklamował.

Po czym z marszu zaprezentował dalsze nasze wspólne plany. Stolik z kolacją w najlepszym restoranie. Zarezerwowany. Kelner już czeka. W liberii. Oraz orkiestra cygańska. I tańce do białego rana!

Naprawdę był przygotowany na wszystko. Rzadka cecha u faceta, żeby nie liczył jedynie na swój domniemany urok osobisty i szczęśliwy zbieg okoliczności.

Mimo to odparłam zimno, że przykro mi, ale jestem po-umawiana.

– Szkoda, gospodin Sasza, że nie zostałam uprzedzona. Zarezerwowałabym wieczór dla ciebie.

Ale Berni z Goską patrzyli na mnie tak tragicznie, że musiałam zmięknąć.

Udałam, że się zastanawiam. Chyba że w czwartek, dodałam wspaniałomyślnie. Może wykroiłabym czas na operetkę. Tylko że on z kolegami na pewno wyjeżdża z Polski już wcześniej?

– Na pewno, prawda? – domyśliłam się z nadzieją.

– Zawtra. Znaczyt, jutro – przytaknął Sasza w języku mieszanym. – Niet prabliema, Daminika. U mnie choroszyj wóz, zdążę. W czwartek budu nazad! Stolik paczieka na nas. Orkiestra tożę. Dam dziengi i miesiąc pacziekają ze skrzypcami pod brodą, jeżeli tobie tego zachce się, Daminika.

– Ekstra! – oświadczyłam grobowym głosem. – Tagda do zobaczenia.

I wyszłam z różami pod pachą, nie żegnając się z nikim.

Stringi z serduszkciem

Spóźniłam się, jakżeby inaczej.

Wypadłam pędem z autobusu, wyrzuciłam po drodze róże do kosza na śmieci i od razu zobaczyłam Mariolę. W jesiennym słońcu czekała na tle mokrych delfinów, z których żelaznych pysków tryskała fontanna. Zerknęła niecierpliwie na zegarek.

Nie zrobiło to na mnie specjalnego wrażenia. Co tam Mariola! Do czwartku czeka na mnie cała cygańska orkiestra i kelner w liberii.

Pomachałam ręką z daleka, a ona podbiegła uradowana.

– Już się bałam, że nie przyjdiesz! Reszta rozlała się chwilowo – objaśniła spontanicznie – bo niedaleko tacy, wiesz, politycy jakby agituja darmowym piwem.

Być może kumple Marioli spuścili z tonu i zaproponują mi darmowe piwo zamiast rumu? Wcześniej Mariola zapoznała ich bliżej z moim powikłanym życiorysem, skutkiem czego pewnie straciłam w ich oczach na wartości.

Ujrzałam stoliki wystawione przed kawiarenkę, więc ucieszyłam się mimo wszystko, że nie będziemy pić na murku. Ale zamiast do stolika Mariola zaprowadziła mnie do pobliskiego budynku z nimfami nad bramą.

Na piętrze na drzwiach dostrzegłam wywieszkę RUMM Przez dwa em.

A to ciekawe! Widać poprzednio zinterpretowałam ter rum opacznie. Nazbyt freudowsko.

Za drzwiami siedziały trzy osoby, ale jak się okazało nie te, co trzeba. Tych, co trzeba, Mariola pobiegła szukać na piwnym festynie w sąsiedztwie.

Wystukałam tymczasem w telefonie mamę i uprzedziłam, że jednak się spóźnię. Mam tu sprawę zaledwie na kwadrans, jak mi mówiono, ale nie mam pojęcia, kiedy się ten kwadrans zacznie. Na razie wynikł jakiś problem z politykami na festynie. Niech mama do mojego przyścia porozmawia z Jarkiem o Małyszku, jeśli wciąż nie wie, o czym. To najbardziej koncyliacyjny polski temat. Wprawdzie Małyszowi chwilowo nie idzie w skokach, ale za to wygrał w rankingu gwiazd. Zawsze gdzieś zwycięża. Jak to zbliża cały naród!

Mama poczuła się dotknięta moją radą. Wrzasnęła mi prosto w ucho, że znajdzie sobie temat bez podpowiadania! Ja mam się nie spóźnić i tyle! Zobowiązałam się! Każdy w Polsce ma problemy z politykami, to nie jest żadne usprawiedliwienie!

Tylko niech ten własny temat to nie będzie ojciec Pio, który leży na mamy nocnej szafce w dwóch tomach, przestrzegłam. Bo Jarek odczuje powołanie do wyjścia, zanim dotrę.

Mama demonstracyjnie trzasnęła słuchawką.

Zza uchylonego okna dobiegały przeboje z festynu piwnych jakby-polityków. Na szybie trzepotał jesienny liść. Na ścianie plakaty z *Matrixa*, na stoliku parę brudnych szklanek z resztką herbaty. Wokół kulawe krzesła. Ubogo. W stylu wczesnego stanu wojennego. Może RUMM znaczy Resztki Umieblowania Mieszkania Marioli? Ale to błyskotliwe rozwinięcie przeze mnie skrótu, choć teoretycznie logiczne, i tak niczego mi nie wyjaśniało, szczerze mówiąc. Zdaje się, że tradycyjnie w coś wdepnęłam! Widocznie mam to w genach i nie muszę się wysilać, żeby sobie nagwizdać w życiorys.

Na najbliższym krześle facet pod pięćdziesiątkę bezczelnie przysłuchiwał się mojej rozmowie z mamą, oparty łokciami o kolana w wyświechtanych nogawkach.

– Pani Polka, propanią? – zapytał obcesowo, gdy mama trzasnęła słuchawką.

Postanowiłam zignorować pytanie i odwróciłam wzrok. Nie miałam gdzie patrzeć. Siedziały tu jeszcze dwie kobiety i one także wgapiały się we mnie, jakby czekały na odpowiedź. Nie sposób było udawać, że nie usłyszałam albo że

to może nie do mnie. Po oczach widziałam, że te dwie nie są po mojej stronie.

– Dlaczego pan pyta? – zaryzykowałam. – Nie wyglądam?

– Każda jakoś wygląda, propanią. Pytam, czy prawdziwa Polka?

Twarz miał niesymetryczną, trochę opuchniętą. Jego jedno oko skutkiem tego było węższe. Raczej azjatyckie niż tujejsze. Nawet z tą charakterystyczną skórną fałdą. Ale emocjonalnie czuł się jak widać związany z centralną Europą.

– Jakiej odpowiedzi pan się po mnie spodziewa? Że proszę samemu pomacać i przekonać się?

– No, propanią! Nie w tym sensie pytałem, wypraszam sobie uprzejmie!

Było dwadzieścia pięć po piątej, a Mariola nie wracała.

– Pytam, gdyż dużo jest farbowanych lisów. A Polsce trzeba lwa, propanią! Bronić ojczyzny, ażeby jej nie zryli jak dziki wieprze! Jak wieprze! – Uparł się na mnie ten gość, aczkolwiek po mojej riposie wyraźnie spuścił z tonu. – To nie po naszymu, propanią!

– Zależy. Jeśli wieprze polskie...

– Nie ma z czego żartować, propanią. Wieprze i kameleony! Zagraniczne kameleony! A ja, propanią, kocham ten kraj. Nad życie! Imperatyw moralny taki posiadam w sobie. Im więcej zła, tym więcej dobra czynię! Z poczucia patriotyzmu! Połowa moich sąsiadów to agenci Dzierżyńskiego, propanią! Obsikaliby groby ojców za dolary jak kundelki, swołocz sowiecka!

– Dzierżyńskiego? Ano tak – zgodziłam się, bo w sumie było mi wszystko jedno. Zresztą poza tym jednym nazwiskiem wymienił same zwierzęta, więc nie bardzo było do czego nawiązać. – Tego, który nie żyje?

– Nie żyje, propanią! Wielu dało się na to nabrać! A ja mam pamięć jak słoń! Jezuuuu, ojczyzno! – jęknął i złapał się dłonią za twarz.

Spojrzałam na tamte dwie. Nie uśmiechnęły się. Więc ja też się nie uśmiechnęłam. Wbiłam wzrok w buty. Może one

wiedzą, że gość ma poprzestawiane w swojej arce Noego i lepiej reagować z umiarem.

– Radą jest Remek – odezwała się małolata przeglądająca „Girl”. Na okładce zauważyłam królową Elżbietę w koronie, ale chyba bez makijażu. W pełni swoich imperialnych zmarszczek. Widocznie to był numer specjalny, bo mało wyglądała na typową girl. – Remek ma przyrost bicepsa circa zero siedem kwartalnie. W naprężeniu.

Facet zerknął na swoje ramiona okryte znoszoną marynarką i zmarszczył brwi.

– Propanią, waleń w podnieceniu ma przyrost circa dwa i pół metra! W zimnej wodzie! To jest niegodne człowieka, propanią, powiedzmy sobie.

– No właśnie! – zgodziła się entuzjastycznie małolata. – Remek jest jak zwierzę, kurdelebele! Ma wydolność szczytowania circa siedem razy. Średnio, kurdelebele. Zimą więcej, jak nie jest parno, nie?!

– Przyjdzie czas, każdego się rozliczy – mruknął facet i skrzywił się. – Jezuuu, nie wyrobię! Tyle świństwa! Ojczyzna nam do następnych rozborów... czy tam wyborów... nie wybaczysz ślepoty politycznej.

Dyskretnie zerknęłam, czy daleko do drzwi. Wywieszka przy wejściu prawdopodobnie nie dotyczyła niczego dobrego. Gdyby to nie był RUMM, tylko na przykład PONCZ, obstawiałabym skrót Psychiatryczny Oddział czegoś tam.

Jeśli Mariola za dwie minuty nie wróci, wychodzę, zdecydowałam.

– Zaprawdę – odezwała się pani w berecie. – I Maryja Dziewica.

– Też się ją rozliczy? – przestraszył się facet.

To najwyraźniej przekraczało rozmiary jego radykalizmu.

– Maryja Dziewica też nie wybaczysz, jeżeli nie wygnamy z siebie szatana. Za to Ją wielbim... Boże mój, jaki ból, o Boże!... – Ukryła zbolalą twarz w dłoniach. – Ja wielbię Ją bezgranicznie, oczekując sprawiedliwej nagrody. Najchętniej płaskiego telewizora na parafialnej loterii korespondencyjnej Ave. Aliści

tylko u mnie w domu szatan siedzi w synowej, synu, małżonku moim, dwójce wnucząt i dzikiej papudze afrykańskiej.

– Kurdelebele! – cmoknęła z podziwem małolata. – W Remku też siedzi kawał diabła, założę się, o co chcecie... O, w mordę!

Ona też złapała się kurczowo za policzek.

Tylko brakowało, żeby wyciągnęli brzytwy! Nie umiałam sobie wyobrazić żadnego innego rozstrzygnięcia, ku któremu ewentualnie zmierza bieg wydarzeń. Modliłam się, żeby weszła Mariola z bukietem kwiatów, z kupą rozchichotanych osób, i pokazała mi, gdzie jest ukryta kamera.

Drzwi skrzyknęły jak na zawołanie, ale wysunęła się zza nich głowa Lutka, a nie Marioli. Pokraśniał wstydliwie na mój widok i był o krok od odwrotu, ale nie pozwoliłam na to. Potrzebowałam męskiej opieki. W dowolnym wykonaniu.

„Wejźdź tu!”, wezwałam go pantomimicznie.

Lutek zawahał się, niemniej wyjrzał zza drzwi w całej okazałości. Z żółtym liściem wplątanym melancholijnie we włosy. Na widok Lutkowej okazałości ogarnęło mnie zniechęcenie. Jeżeli oni naprawdę wyciągną brzytwy, będę musiała na dodatek bronić Lutka.

Złapałam go pod łokieć.

– Lepiej ja wyjdę do ciebie! – zaproponowałam słodko.

Dopiero na korytarzu dałam upust emocjom:

– Gdzie Mariola? Ile można czekać? Zostawiacie mnie z jakimiś chorymi ludźmi!

Lutek wyjaśnił zażenowany, że Mariolka idzie. Już prawie jest na miejscu. Jeszcze tylko biorą piwo, bo okazja. A ci ludzie tutaj są całkowicie normalni, tylko czekają w kolejce do dentysty. To nikomu nie wpływa dobrze na stan nerwów.

Za moment na schodach rzeczywiście zjawilo się ze dwadzieścia piw w towarzystwie czterech osób. Oprócz Marioli byli Renata, Gustaw i Aleks, cały zarząd zagadkowego klubu RUMM.

Zwłaszcza Gustaw wyglądał niczego sobie. Przystojny, krótko ostrzyżony szatyn w okularach w złotej oprawce. Jego

odzież tworzyła ekscentryczną szachownicę: czarne buty, białe spodnie, czarna bluza, biała apaszka. Aleks nosił hiszpańską bródkę i włoską koszulę, spod której owłosiona pierś wychodziła mu pod grdykę. Renata, z widoczną nadwagą, ucześlała się niepotrzebnie w loczki i wbiła w obcisłe spodnie, co było fatalne dla image'u jej tyłka.

Aleks otworzył dla mnie piwo.

– My na razie nie pijemy, bo ciepło. Ale jeśli jesteś spragniona, proszę.

Wychyliłam duszkiem trzy czwarte butelki. Faktycznie ciepło. I jakieś sikowate. Ja bym na tego polityka nie głosowała.

– Dzięki! – powiedziałam zadyszana. – Będę leciała, po-twornie się spieszę.

– Jak to? Już? – zaniepokoiła się Mariola. – Mieliliśmy coś ustalić.

Też wydawało mi się nierozsądne, że z wywieszonym jęzo-rem przejechałam pół miasta, żeby duszkiem wypić marne pi-wo i zasuwac z powrotem. Ale dochodziła szósta. Mama mnie przeklnie. Co tam przeklnie – już mnie przeklina!

Utargowaliśmy, że zostanę chwilę, a Gustaw podrzuci mnie swoim samochodem. To będzie tak samo, jakbym wyszła od razu, ale musiała czekać na autobus.

Siedząc z piwem na schodach, dowiedziałam się wreszcie, co to mianowicie za skrót, RUMM.

– Ratowanie Uzależnionych od Mrzonek Miłosnych – rozszyfrowała z dumą Mariola. Samarytański klub pomagający ludziom zagubionym uczuciowo. Jak psy z Góry św. Bernarda, które w baryłkach na szyi nosiły rum zasypanym przez lawiny.

– Bardzo humanitarne – pochwaliłam nieszczerze.

Ich wszystkich moja pochwała ucieszyła natomiast całkiem szczerze! Gdyż chcieli mi niniejszym zaproponować, że-
bym przystąpiła.

Mina mi zrzedła. Gdyby za każde kłamstwo kara nastę-
powała tak błyskawicznie, jakże inaczej wyglądałby ten świat!

Zapewniłam ich, że czuję się zaszczycona, ale nie dam rady. Moje życie dokonuje się w biegu, sami widzą. Teraz też się spieszę. Owszem, należałam swego czasu do paru fajnych klubów – czy to Wielbicielek Ciasteczek z Jagodowym Nadzieniem, czy to Miłośniczek Miłości Namiętnej – ale raczej w podstawówce. Chyba już wyrosłam z takiego hobby.

– To nie hobby, tylko inicjatywa społeczna – zachnęła się Mariola. – Czy widziałas tych nieszczęśników za drzwiami, Dominiko?

Nie wydawali mi się nieszczęśnikami, prawdę mówiąc. Jeśli nawet im odbiło, byli z tego dumni. Dopiero teraz klub RUMM uświadomił mnie na cztery głosy, że tamci cierpią. Dziewica Maryja, ojczyzna, Remek – są na świecie tysiące nieodwzajemnionych miłości. Osobnicy dotknięci takim trudnym, ambitnym uczuciem popadają w samonakręcającą się miłosną spiralę. Próbują wymusić wzajemność, której niedostatek subiektywnie odczuwają. A ten ciągły stres rzutuje człowiekowi na widzenie świata. I tu zaczyna się chwalebna rola RUMM-u. Klub próbuje godzić ludzi z ich miłościami i ze światem. Osadzić te piękne uczucia w realu. Przechwytyuje pacjentów na terapię z poczekalni dentysty. Po sąsiedzku. Z bólem są najbardziej podatni na resocjalizację.

– Chcecie, żebym też przechwytywała? – zaniepokoiłam się.

Nie chcieli, na szczęście. Interesowało ich moje życiowe doświadczenie. Byłam tak owładnięta miłosnymi mrzonkami że napisałam blagierską książkę na ich temat, od której obecnie się odcinam, przypomniała mi Mariola. Przecież zwierzyłam jej się z tego wczoraj. Byłam na dnie, a wyszłam z krytycznego stanu o własnych siłach. Czy nie warto podzielić się praktycznymi uwagami z ogółem cierpiących?

Krótko mówiąc, chodziło im o to, żebym wygłosiła u nich cykl odczytów.

Była osiemnasta pięć. W tej chwili mama mnie wydziedziła. Nie dostanę tureckiego dywanu, miseczki do mizeri z chińskiej porcelany, naprawionej kanapy ze stołowego.

Wobec tej dramatycznej perspektywy migiem wyraziłam zgodę na odczyt inauguracyjny. Okej! Byle najpierw o literaturze ogólnie, a nie o moim osobistym przypadku, zastrzegłam. O literaturze będę się mniej krępowała. A jak się otrzaskam, wypowiem się już od siebie, o co chodzi w życiu. Nie ma sprawy.

Wskoczyłam do samochodu Gustawa, powiedziałam dokąd i zajęłam się doprowadzaniem do porządku urody przed spotkaniem z Jarkiem.

Byłam ciut rozkojarzona. Moje myśli krążyły już niby wokół Derdy, ale zarazem wysyłałam seksowne fluidy do Gustawa. Choć teoretycznie nie zamierzałam nic do niego wysyłać. Wcale mnie nie rajcowała ta dwoistość moich emocji, jeśli mam być szczerą. Przeciwnie, była smętnym dowodem na to, że żaden z tych facetów nie jest mi pisany. Tak wzięwszy na rozum. Bo czując palec przeznaczenia, kobieta bywa monotematyczna. Skupia się do bólu na jednym jedynym.

– Wierzysz w to? – zagadnęłam prowokacyjnie, żeby odwrócić uwagę Gustawa od szminki i lusterka. Faceci powinni zakładać, że takie piękne jesteśmy z natury. Kosmetyków używamy wyłącznie dlatego, żeby nie robić przykrości autorom reklam. – Brzmi z lekka ekscentrycznie, moim zdaniem. Ratowanie uzależnionych od miłości, no, no!

Gustaw miał w sobie jakąś taką, nie wiem, nieprzystępność. Czułam się przy nim zakłopotana. Ani na mnie nie zerknął, zapatrzonej w światła nad skrzyżowaniem, a mimo to dałabym głowę, że spojrział na mnie z pogardą.

– Nic nie rozumiesz – fuknął wyniośle. – Aberracje odrealniają miłość. To jak narkotyk. Dziecinada. Działalność klubu ratuje świat przed banalizacją.

– Jasne! – przytaknęłam identycznie wyniośle i zamknęłam lusterko w torebce. – Jak Batman od Jokera. Sporo tego jest?

– Batmanów – nie wiem. A jeśli idzie ci o aberracyjne miłości... Ze trzysta procent. Ludzka specjalność to rozdrabnianie się. Pojedynczy facet roi o żonie, kochance, samochodzie, partii, Nicole Kidman, kolekcji fajek, sąsiadce w windzie. Wyrobi kilkukrotną normę jak przodownik pracy za komuny. Pojedyn-

cza kobieta marzy o supermanie, poecie, butach, nowym biuście, dziecku, karierze, kochanku, ciastku z kremem... Wszystko na zdecydowanie erotycznym podłożu! Owszem, część narodu popada w monotematyczne obsesje seksualne, ale to są już całkiem ograniczeni maniacy. Każdy coś ma. Hoduje to w sobie otwarcie lub ukradkiem.

Naukowe ujęcie problemu. Pozazdrościć. W tym swoim klubie przejrżeli świat na wylot. Powinien o nich napisać Dan Brown od *Kodu Leonarda*. A ja sama o sobie nie wiedziałam do tej pory, czy stanowią jakikolwiek procent czegokolwiek.

– Co do mnie, to dla odmiany nic nie mam i niczego nie hoduję w sobie – oświadczyłam bez naukowej podbudowy, za to z poczuciem własnej wartości. – Wygłoszę u was odczyt jako cudowny przypadek samowyleczenia.

Powiedziałam to i zrobiło mi się smutno. Nie ma nic gorszego niż wyleczyć się z miłości, a ja się tym szczycę? Przed takim bufonem? Kompletna katastrofa uczuciowa.

Szczyściem nadęty Gustaw nie zwracał uwagi na mnie i na moje katastrofy.

Skreśliśmy na osiedle rodziców. Słońce zachodziło w seledynowej mgiełce, co wróży jakąś pogodę na jutro, choć nigdy nie pamiętam jaką.

– Nic nie rozumiesz – odezwał się znowu on. – Mówię o regule bez wyjątków. Nie ma tak, że wszyscy coś, a ty nic.

W gruncie rzeczy nie powinnam prowadzić tej rozmowy, bo była tak samo niepotrzebna jak ten cały klub. Ale nie cierpię waźniaków! Kiedy facet staje się taki pewny swego, taki ścisły, fundamentalny, intelektualny, aż mnie korci, żeby zareagować emocjonalnie. A właściwie wcale mnie nie korci. Reaguję i już.

– A mniej naukowo, Gustawie? Jakie to mam mrzonki według ciebie?

Znów spojrzał na mnie z awersją, nie odwracając wzroku od ulicy. Niezwykły talent do okazywania wyniosłości! Jak Ludwik co najmniej XIV!

– Domyśl się, Dominiko. Każdy ma swoje za uszami.

– Ty też? – domyśliłam się posłusznie. – Miłość do wody sodowej? Czy może ty wyjątkowo nie masz mrzonek, pępka i począłeś się z dzieworództwa?

Skręciliśmy pod dom moich rodziców. W oknach dużego pokoju paliło się światło. Prawdopodobnie Jarek pił już siódmą kawę w oczekiwaniu na swoją spóźnialską młodzieńczą sympatię. Jeszcze trochę kofeiny i dostanie palpacji serca bez udziału mojej oszałamiającej urody.

– Jesteś infantylna w swoich prowokacjach – pouczył mnie Gustaw, zaciągając hamulec. – Stringi z serduszkciem, mówi ci to coś?

– Co proszę? – zastygłam z ręką na klamce.

Zrobiło mi się gorąco. Oraz niewyobrażalnie idiotycznie.

To kto on w końcu – bufon czy jasnowidz? Podglądacz? Skąd może wiedzieć, jaką noszę bieliznę? Nie może! To jakiś kiepski żart!

– Pytasz o moje uzależnienie – sprecyzował leniwie, z ironicznym uśmiechem, jakby rozkoszował się widoczną dezorganizacją, w jaką popadły moje członki i moje myśli. – Zakochuję się w kobietach noszących stringi z serduszkciem. Aczkolwiek zdaję sobie sprawę, że to tylko mrzonka. Miłosna mrzonka. Bez logicznych uzasadnień. To jest silniejsze ode mnie. Irracjonalne. Właśnie tak kręci się świat, tylko że o tym nie można się dowiedzieć z komiksów o Batmanie.

Nie miałam pojęcia, jak zareagować, żeby nie wyjść na kretynkę. To nie była żadna miłosna mrzonka, tylko normalny fetyszizm. A może branie fetyszizmu za mrzonkę było miłosną mrzonką Gustawa? Nie czułam jednak najmniejszej ochoty, by zgłębiać to fascynujące zagadnienie. Niech on sobie swoją zboczoną skłonność do stringów uważa, za co chce, nawet za wielbłąda w skórzanej pilotce, jeśli mu z tym wygodnie, proszę bardzo. Byle mnie z tym nie łączył.

Roześmiałam się sztucznie.

– Stringi z serduszkciem uważasz za mrzonkę? A to dobre! Chyba do realnego świata masz równie lekceważący stosunek, jak do Batmana. Sama wdziałam stringi z serdusz...

Ugryzłam się w język. Piękne przejęzyczenie, szkoda gadać! Nie wierzyłam, psiakość, w igraszki podświadomości. A tu proszę! „Wdziałam”! Głupia baba, co w sercu, to na języku!

– Sama w i d z i a ł a m takie – poprawiłam się z naciśnięciem. – Zaręczam ci, że istnieją realnie.

Diabli nadali! Wysiadłam na poplątanych nogach. Potknęłam się o krawężnik, ze strachem obciągnęłam spódnicę z tyłu i z przodu. Wieczorny wiatr podwiewał ją, jakby natura sprzysięgła się przeciwko mnie.

– Dominiczko!

Gustaw wychylał się z samochodu inny niż przed momentem. Oczy mu ekstatycznie błyszczały. Daj Bóg, że to tylko seledynowe niebo odbijało się w jego okularach. Wróżące ze stuprocentową pewnością jakąś pogodę na jutro, mimo że nigdy nie wiem jaką.

– Zdzwonimy się, oczywiście, Dominiczko? Wkrótce?

Uśmiechnął się do mnie szeroko, białozębnie, niech mnie szlag!

Skinęłam głową w odpowiedzi i pobiegłam co sił w nogach.

A jeśli te durne mrzonki są prawdą? Chyba nie wygadałam się na własną zgubę? Co pocznę, jeśli przed chwilą nadęty przystojniak uzależnił się patologicznie od mojej bielizny? A w rezultacie ode mnie samej!

Chryste, i ta obłąkańcza miłość pozostanie mu, kiedy zmienię majtki?

Och, czemuż nie wdziałam jakichś barchanów, głupia!

Serce i żołądek

Otwierając mi drzwi, tata miał w oczach panikę.

– Przyszedeł? – szepnęłam.

Ojciec wykonał cykl histerycznych gestów w stronę oświetlonego pokoju.

– Od godziny siedzi z mamą, pospiesz się!

I pobiegł uciszać Szatana, który awanturował się, zamknięty na górze.

Zatrzymałam się przed lustrem, żeby ocenić, czy coś sobą reprezentuję, czy też będę tylko bladym echem uczucia sprzed lat. Moje odbicie niczego mi nie wyjaśniło. Upewniłam się jedynie, że nie widać stringów z serduszkami, co i tak było mało prawdopodobne.

Poprawiłam włosy, złapałam głębszy oddech i ruszyłam do dużego pokoju.

W jego drzwiach wystudiowany uśmiech powitalny zamarł mi na ustach.

Jarek Derda siedział tyłem do mnie w głębokim fotelu, więc widziałam tylko czubek jego głowy. Z przerzedzonymi włosami, o zgrozo. Nie do wiary, że tak szybko! Świat jest zbyt okrutny dla naszych pierwszych miłości.

Z tym że dla mamy był jakby jeszcze okrutniejszy na pierwszy rzut oka.

Nie łysiała, chwalić Boga. Za to robiła przed Jarkiem półprzysiad w czapce uszatce i w przeciwsłonecznych okularach. Czyżby wstępnie oczarowywała gościa w moim imieniu? Takie usiłowania ze strony mamy zawsze kończyły się moją kompromitacją.

– Jesteś, córeczko! – odezwała się z widocznym staraniem, żeby uśmiech jej nie puścił. – Właśnie gawędzimy sobie o naszym wspaniałym Małyszku.

No tak, podtrzymywała temat, nie licząc się z kosztami. Gdybym spóźniła się bardziej, mogłabym zastać ją leącą przez pokój na dwóch deskach do prasowania.

Oboje z ojcem naprawdę sądzą, że już nigdy nikogo sobie nie znajdę.

Mrugnęłam do niej, żeby się pohamowała. Przeprosiłam za spóźnienie. Podaliśmy sobie z Jarkiem ręce. On zrobił ruch, jakby chciał mnie przytulić. Ja taki, jakbym chciała go cmoknąć. Lecz wydaliśmy tylko wspólne „ooo!”, które symbolizuje kopę lat.

Nie był Wojtkiem Matynią, nie miał kurczajki na powiece, choć pod okiem uformowała mu się brodawka, której nie kocharzyłam. Ale resztę jego osoby pokocharzyłam wreszcie koncertowo. Nos miał swój, redfordowskie żuchwy swoje, nawet spojrzenie jak dawniej. Powłóczyście, niekoniecznie w stylu macho, niemniej fascynujące. Mimo jego młodej tysi-ny nie żałowałam, że zgodziłam się na to spotkanie. Coś w sobie miał. Może dziś bardziej niż kiedyś, bo w bruzdach wokół ust i w nieznacznie opuchniętych powiekach czaił się pociągający urok dojrzałości.

– Nic nie pijecie, nie jecie? – zagadnęłam troskliwie.

– Och, zagadaliśmy się – wyjaśniła mama.

Cały czas z tym schizofrenicznym uśmiechem i w uszatce na głowie.

– To kontynuujcie, a ja szybciotko przygotuję kolację.

– Nie! – Mama podskoczyła z przerażenia. – Ja przygotuję, a ty za mnie kontynuuj. Czyli raczej, miałam na myśli... Że ty porozmawiaj z gościem, Dominiko, o, właśnie, porozmawiaj, bo na pewno się znacie... To jest, chciałam powiedzieć, że na pewno dawno się nie widzieliście! Dawno prawda, Jarku? A z kolacją przecież...

Ścierpłam na myśl, że powie „z kolacją widziałas się wczoraj”, ale wyszła, nie kończąc. Wyglądała na wycieńczoną bo haterską symulacją zainteresowania skokami narciarskimi. Muszę coś zrobić z moim życiem uczuciowym, bo oboje z ojcem się wykończą.

Gdy zostaliśmy sami, Jarek momentalnie stracił mną zainteresowanie. Wdał się w szamotaninę ze swoją marynarką wiszącą na oparciu krzesła. Uznałam, że wychodzi. Po dziesięciu latach wyglądał inaczej, niż się spodziewałam. Nie opłacał mu się podtrzymywanie znajomości. Okrutnik!

– Może ci pomóc? – zapytałam, żeby pokazać, że przynajmniej charakter mam dobry.

– Nie, dziękuję, Dominiko, już znalazłem! – zapewnił z ulgą.

Moim zdaniem chłopcy ze słonecznych plaż byli kieszonkowymi złodziejami. Albo, co gorsza, kradli wygłodniałe damskie serca. A Greczynki są piękne, czarnowłose, zgrabne jak posągi z marmuru. Kiedy moje prababki biegały w skórach po lesie, one już pozowały najslawniejszym rzeźbiarzom. Zresztą we współczesnej Grecji nie są same. Dochodzą ich współniczki turystki z całego świata obwieszane biżuterią od Tiffany'ego. Po co mam się dołować nieuczciwą konkurencją? Nie bierze mnie ani tłum napalonych facetów, ani oliwki. W oliwkach nie gustuję od zawsze, w facetach od pół roku. Mam dość, swoje już wykochałam. Idealny ślubny raz, idealny nieślubny raz, idealne fiasko dwa razy. Inteligentnej wystarczy. Powiedziałam Goście, że nie. Po prostu, sorry, nie. Nigdy w życiu i jeszcze długo potem.

Nie wytrzymała tyle. Wróciła do tematu w maju.

– Masz rację, Do – zgodziła się ze mną, pijąc kawę na moim stryszku. – Z facetami nie ma co. Znalazłam coś lepszego, nigdy nie zgadniesz! Konie!

W ten sposób spędziłyśmy lipiec na obozie jeździeckim.

Dotychczas nie zdawałam sobie sprawy, że nienawidzę koni. Zrozumiałam to pierwszego dnia pobytu, a w połowie turnusu taktycznie zachorowałam, gdyż było mi głupio przebywać na obozie jeździeckim i bez powodu odmawiać kontaktu z koniem. Mój przydzielony nazywał się Apollo, niby ogryzek po tej niedosłej Grecji. Nie wyglądał na swoją nazwę. Z oczu patrzyła mu wredność i czułam, że ma ochotę mnie kopnąć. W każdym razie ja zrobiłabym to bez wahania, gdyby nie obawa przed rewanzem. Jeśli już miałabym trzymać się mitologii, nazwałabym go Satyr. Satyr z końskimi narowami. Ja miałam kobiece kaprysy, więc trudno było nam się zgrać.

Założyłam, że męcę się z nim w imię damskiej solidarności. Szczotkuję go, siodłam i umieram na nim ze strachu dla Gośki. Skoro moja przyjaciółka bez elementów hippiki nie potrafi żyć pełnią życia, poświęcę się. Nabiorę wprawy. Przecież odtąd czeka mnie właśnie taki los. Będę poświęcała się

dla innych, bo moje osobiste życie rozeszło się po kościach. W sensie fabularnym: *The end*. Zyskałam mądrość życiową po przejściach, ale na szalony bieg zdarzeń nie ma co liczyć. Pogłębione życie wewnętrzne – oto, co mi pozostaje.

Po miesiącu z ulgą wracałam do samotności nabytej drogą katastrof emocjonalnych. Nie psuło mi nastroju nawet to, że Gośka przez całą drogę analizowała doświadczenie klasyczne, a o czasie do czasu angażowała za kierownicą jak w siodle, że bym gruntownie pojęła, o co jej chodzi. Chociaż w zasadzie nie chodziło jej o nic.

Jedzenie dawali na obozie koszmarnie. Chyba to, którego odmawiały konie. Co drugi dzień miałam od niego rozstrzężone żołądka. Albo też od końskiej sierści, którą wdychało się razem z powietrzem. W rezultacie po powrocie nie mogłam się napatrzeć na wagę. Półtora kilo w dół! No i przywiozłam z sobą z wakacji tatuaż na biodrze. Marokańską różę, którą symbolizuje panowanie nad przeznaczeniem.

To było jak odzyskane dziewictwo. Gdy pójdę do łóżka z facetem, będę nową mną w mojej nowej skórze. Mną, jakie nie miał szczęścia znać żaden przed nim.

Póki co nie miałam z kim iść do łóżka. Nie szkodzi, która święta miała tak przez całe życie i do dziś faceci chodzą wokół niej na kolanach.

Nie liczyłam na razie na gratulacje z Watykanu, niemniej sprawdziłam skrzynkę pocztową.

Leżało w niej zaproszenie na ślub Romana. Miłości moje go życia. Bylej. Mieli odejść tylko razem, moja miłość i moje życie. A tu sru! Miłość zdechła jak trzyletni chomik, ja żyłam bez celu, druga połowa jabłuszka brała ślub z kosmetyczką Magdą, z którą zdążyli dorobić się rocznego bobo. I jakby to go było im mało, przysłali zaproszenie.

Do rozpoczęcia roku szkolnego gryzłam się, co ma z tym fantem począć. Iść? Nie iść? Nasłać policję?

Rady mamy niewiele mi pomogły.

– Nie zwracaj sobie głowy, Do! On nie przysłał ci zaproszenia – orzekła.

Odwrócił się do mnie z bukiecikiem wyciągniętym z zakamarków garderoby. Błękitne kwiatki w tekturowej tutce. Lekko pogniecione. Za to całkiem zwiędnięte.

– Mam nadzieję, że odżyją, gdy włożysz je do wody?

– Na pewno – uspokoiliam go. – Są piękne. To niezapominajki?

Kiedy wręczał mi bukiecik, zauważyłam na jego palcu obrączkę.

– Nie, one się nazywają bodajże kangurza łapa. Tak twierdzi sprzedawczyni. Ja właściwie nie wiem, co to jest. Też myślałam, że niezapominajki.

– Aha – zgodziłam się. – Faktycznie.

Nie wiem, co chciałam przez to powiedzieć. Myślałam raczej o obrączce. Jasno dowodziła, że Jarek nie wpadł w celu odnowienia znajomości. W każdym razie nie w wiadomym sensie. No cóż, *c'est la vie!* Nie, żeby się zniechęciła, ale opuściło mnie skrępowanie. Kobieta jest spięta, gdy musi dorównać samej sobie w młodszej wersji. Nawet gdy ona sprzed lat to narwana smarkula. Teraz już nie musiałam dorównywać szesnastoletniej Dominice. Pełny luz! Moja młodsza wersja i tak przegrała z jakąś obcą babą, która nosi gdzieś teraz obrączkę od kompletu z Jarkową.

– Twoje zwierzęta stały się światowe, Jarku! – pochwaliłam na luzie. – Kangurza łapa, no proszę, proszę! Ostatnia była chyba zdechła mysz, którą podłożyłeś mi w pudełku po pralinkach!

Roześmiał się i już nie miałam wątpliwości. Śmiejący się Derda był tamtym dobrze mi znanym Derdą. Podrasowanym przez upływ lat. Wyszlachetniał w gestach i uszy mu nie odstawały jak w niegdysiejszym nastoletnim wcieleniu.

– Oczerniasz mnie, Dominiko! To było eleganckie etui po ptasim mleczku!

Ja też się roześmiałam. Łatwo i szczerze, jak przed laty.

Wstawiłam bukiecik do wody, usiedliśmy przy stole i streściliśmy sobie minioną dekadę. Pochwaliłam się, że uczestniczyłam w obozie hippicznym i jeździłam na koniu. Miał na

imię Apollo. Jarek pochwalił się, że złowił pstrąga na sztuczną muchę. Bez imienia.

Po tej chaotycznej wymianie wspomnień umilkliśmy. Z czego ludzie piszą pamiętniki, psiakość? Czy to możliwe, żebym przez taki szmat czasu nie dokonała niczego więcej ponad wyszczotkowanie końskiego zadu? A Jarek od naszego rozstania zajmował się wyłącznie łapaniem bezimiennych much czy ryb?

Nie mogłam sobie uprzytomnić, co ponadto wydarzyło się w moim życiu. Nie pojechałam do Grecji, więc to się nie liczy. Obejrzałam *M jak miłość* w telewizji, ale to też się raczej nie liczy. Oblałam uczennicę, która nie odróżniała Juliana Ursyna Niemcewicza od Leona Niemczyka. To się wprawdzie liczy, zwłaszcza dla niej, jednakże nie ma nic do rzeczy. Zakochałam się na zabój w Romanie, z tym że jak się obecnie okazuje, to też się nie liczyło.

Moja przyjaciółka spodziewa się dziecka, może chociaż to się liczy w moim życiu?

W końcu przypomniałam sobie, że w trakcie burzliwej przeszłości wyszłam przeciw za mąż i się rozwiodłam. Wprawdzie w rezultacie jestem na zerze, ale to zero przedstawia już nieklamana wartość w życiorysie kobiety po przejściach.

Jarek przytaknął, że słyszał o moim ślubie. Dawno, dawno temu. O rozwodzie też słyszał, jeszcze dawniej... Może nie jeszcze dawniej, oczywiście, ale jakiś czas temu. Tak że nie ma już powodu gratulować mi ani jednego, ani drugiego, zażartował.

Nie nawiązał do własnego stanu cywilnego, choć miał okazję.

Skupił się na swoim życiu zarobkowym. Jak to facet. Prowadził sklep z akcesoriami wędkarskimi. Wędki, spinningi, woblerki, podbieraki. Wszystko, co dotyczy się ryb i wody. Można u niego kupić akwariowe mieczyki, kardynały, pływające żółwie, roślinki do posadzenia w oczku wodnym. Czego też nie sprzedawał! Niestety, ku mojemu zniechęceniu skupił się

w rozmowie na robakach. Dotychczas sądziłam, że lubię mężczyzn z pasją. Gotujących jak Linda, malujących jak tenor Ochman, wyszywających makatki z koralików jak przedwojenny aktor Bodo. Jarek ze swojej strony pasjonował się robakami nabijanymi na haczyk i nieoczekiwanie dotarło do mnie, że się myliłam. Lubię niektórych mężczyzn z niektórymi pasjami.

Z tą – nie!

Nigdy nie przypuszczałam, że ludzie udomowili tyle tego świństwa! Białe i brązowe dżdżownice z gryką. Dendrobeny karmione rozgniecionym jabłkiem. Na suma *Gryllotalpa gryllotalpa*, cokolwiek to jest. Tłuste pinki barwione według życzenia klienta. Kastery przepoczwarczające się w paczkach. Czerwona ochotka w torfie. Larwy muchy plujki. Już same nazwy wywracały żołądek, a jeszcze wiło się to w mojej wyobraźni jak śluzowate i wielonogie paskudztwa z filmów o Indianie Jonesie. Z drugiej części Jonesa wyszłam nawet z tego powodu z kina, ale w prawdziwym życiu takie proste rozwiązania nie wchodzi w grę, jeśli chce się być sympatyczną dla dawnych miłości.

Trzy razy zmieniałam temat i nic.

Już miałam wyznać, że moim marzeniem jest powrót do lirycznych zdechłych myszy w eleganckich bombonierek, gdy, dzięki Bogu, wszedł ojciec w odświętnym garniturze i Jarek sam przerwał.

Po ojcu weszła mama. Na szczęście bez uszatki na głowie. Na nieszczęście z kolacją.

Wykwintnie podane flaczki z szafranem. Włożyłam łyżkę do czar ki, a one poruszyły się od tego. We mnie też coś się od razu poruszyło. Głowę zaprzątneło mi zagadnienie, czy flaczki w ruchu są podobniejsze do ochotki w torfie czy do dendrobenów z rozgniecioną gryką? Zagadnienie okazało się obsesyjne, choć abstrakcyjne – jako że nie miałam najmniejszej wiedzy, żeby prowadzić porównania. Mimo to nie mogłam się powstrzymać przed ich prowadzeniem. Odsunęłam tylko czar kę daleko od siebie w nadziei, że to pomoże.

– Ciepłe kolacje szkodzą mojej linii – wytłumaczyłam się. Staralam się nie patrzeć, jak reszta biesiadników je, oblizuje się, dokłada sobie, zachwala. Bezustannie słyszałam, jak łykają. Do dzisiejszego wieczoru nie zdawałam sobie sprawy, że organizm człowieka potrafi tak hałasować przy posiłku.

Niezobowiązująco rozmawialiśmy o wyborach najpiękniejszych bezrobotnych, które miała transmitować telewizja „Wytrwam”. Ojciec nalał żołądkówki pod flaczki. Wypiłam kieliszek. Chyba niepotrzebnie. Moje szampańskie mdłości wróciły.

Przy pierwszej okazji zaofiarowałam się z pomocą w kuchni, ale mama mnie przegoniła. Mam bawić gościa, ona poda ciąg dalszy kolacji przy pomocy ojca.

I tak też zrobili!

Podali!

Kluseczki serowe w sosie sojowym. Białe, miękkie, oślizgłe. W garnirze z pomidorów, puszcających po brzegach półmiska różowy sok jak barwione pinki. Tu i ówdzie drobiny pieprzu na kształt ślepków. Sałatka z krewetek. Przy krewetkach nie potrzeba nawet mieć wyobraźni ani kaca. Są zwykłymi robalami, cokolwiek innego twierdzi o nich zoologia.

Zdaje się, że tego wieczoru na świecie nie było nic ludzkiego do zjedzenia. Jakbym utknęła w programie *Szkoła przetrwania*. Tylko że telewizja płaci za udział, a ja męczyłam się gratis. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby mama wniosła emaliowaną miskę z górą owczych oczu albo byczych jąder na surowo.

Pobiegłam do łazienki wykończona tymi kulinarnymi fantazjami.

Po powrocie nałożyłam sobie łyżkę pekińskich fasolek z kiełkami. Rozsmarowałam je po talerzu, żeby wyglądało, że brałam ze trzy dokładki.

– Dlaczego nic nie jesz, Do? – spytała zdradziecko mama.
– Tylko mażesz! Już chyba jesteś dostatecznie odchudzona?
Aż żal na ciebie patrzeć!

Mogłaby pracować w agencji matrymonialnej. Wydałaby mnie za Brada Pitta, zanim Angelina Jolie by się obejrzała. Zarumieniłam się, ale nieoczekiwanie Jarek wyręczył mnie z odpowiedzią. Zapewnił, że jem, aż mi się uszy trzęsą. Nakładał mi dwa razy.

Popatrzyłam na niego z wdzięcznością, choć bez zrozumienia. Uratował mnie z rozmysłem czy też konsekwentnie nie panuje nad logiką tego, co mówi dzisiaj wieczoru?

Może jednak mój widok zawrócił mu trochę w głowie?

Na słodko był krem, z którego wytykały pyszczki mandarynki. Zapewniłam, że się przejadłam, kremu nie dam rady. W brzuchu burczało mi z głodu.

Po kawie rodzice wyszli do kuchni i zostałam sama z Jarkiem.

– Zdaje się, że pozbawiłem cię kolacji? – zapytał z troską.

– Wybacz, Do. Nienawidzę tego robactwa, ale czasami świat wydaje mi się taki paskudny, że nie mogę się otrząsnąć! Przystałem się kontrolować. Chyba z rozpaczy, że los na tyle lat pozbawił mnie twojego towarzystwa. Pójdziemy na długi spacer, a kiedy zapomnisz, gdzie pracuję, wezmę cię do najlepszej restauracji. Zgoda?

Był domyślniejszy, niż zakładałam. Toteż postanowiłam przywrócić mu wiarę w siebie. Facet bez wiary w siebie to istna katorga. Kobięca pierś służy mu tylko do wyplakiwania się.

– Za dużo wczoraj wytrąbiłam! – zwierzyłam się z wdziękiem.

– Naprawdę? Bo już obawiałem się, że to przeze mnie masz jadłowstręt. Szczerosc za szczerosc. Ja zamierzam dziś wytrąbić za dużo. Przyłączysz się?

Bez namysłu skorzystałam z okazji, żeby zapytać podstępnie:

– Żona też nam potowarzyszy?

To było bardzo dobre pytanie! Tu się wreszcie otworzył w imię przyszłej kolacji ze mną. Mocno przyszłej, bo zastrzegłam z góry, że to nie będzie dziś. Dziś spędzam noc z Kochanowskim.

Streszczając jego słowa najlapidarniej – niedawno rozszedł się z żoną. Nie Kochanowski, naturalnie, tylko Jarek. A co do obrączki, nie może jej po prostu zdjąć. Jakieś fatum. Kara za grzech nieudanego małżeństwa. Próbował zębami, na mydło, w oleju, nie idzie. Trzeba będzie ciąć albo palec, albo obrączkę. Ale to tylko zaszłość czysto fizyczna. Psychicznie czuje się niezaobrączkowanym kawalerem jak w pradawnych czasach. Jego żona nie istnieje już na świecie. Dla niego nie istnieje.

– Może jeszcze tego pożałujesz? – zapytałam ze skromnością hipokrytki.

– Nie przy tobie, Dominiko!

Jakieś takiej odpowiedzi podświadomie oczekiwałam. Zrobiło mi się przyjemnie w dole kręgosłupa. Tam, gdzie w czasach jeszcze pradawniejszych merdaliśmy ogonami z radości. Bardzo sobie cenię te sygnały od moich zwierzęcych przodków.

Wzięłam szal mamy i wyszliśmy na taras.

Nie było zimno. Temperatura spadała, owszem, ale nieznacznie. W niektóre części ciała było mi nawet gorąco.

– Napisałaś czarującą książkę o miłości – pochwalił mnie Jarek w obliczu gwiazd. – Absolutnie rozkoszną!

– Znasz ją? Nie do wiary, Jarku – oceniłam, mile połączona w mojej próżności. – To jest przecież o miłości, raczej nie dla facetów?

O ile mnie pamięć nie myliła, był z gatunku mężczyzn zazdrosnych o ślad po komarze na damskiej szyi. Nie z tych, co perwersyjnie roztrzaskają byłe orgazmy swej aktualnej. A dzisiaj czerpie rozkosz z mojego autobiograficznego romansu z Romanem? Proszę, proszę! Najwidoczniej był także z gatunku tych, co łysiejac – dojrzewają. To już w ogóle unikatowy typ mężczyzny.

– Dlaczego nie dla facetów? Do udanej miłości potrzeba obu płci – westchnął filozoficznie. – Do nieudanej zresztą też. W każdym razie jako facet doceniam cię także literacko. Uwielbiam twoją książkę za szczerość, wrażliwość. Za pamięć.

– Zakładasz, że u mnie miłość jest już tylko kwestią pamięci?

Roześmiał się po swojemu, Jarkowo, i objął mnie ramieniem pod pogodnym niebem września.

– Nie kryguję się przede mną, Dominiko! Realia zmieniłaś, to rozumiałe. Dziwiłbym się, gdybyś postąpiła inaczej. Literatura nie jest tabloidem, żeby epatować sensacjami prywatności. Ale nie sądzisz chyba, że mógłbym nie rozpoznać mimo wszelkich zmian?

– Nie rozpoznać? Czego? – zapytałam.

Zaskakiwał mnie swoją nową łysiejącą osobowością.

– Już ty sama dobrze wiesz, czego, Dominiko. Nie czarujemy się! Ho, ho, mnie nie nabierzesz, nawet jeśli nabrałaś wszystkich czytelników! A o czym w końcu jest ta książka, myślisz, że się nie zorientowałem? Przecież opisałaś naszą młodzieńczą miłość! Od razu poznałem! I to jak opisałaś!

– Opisałam naszą młodzieńczą miłość? – powtórzyłam osłupiała.

– I to jak! – on też się powtórzył, z wyraźnym rozrzewaniem. – Czytając, czułem się, jakbym przeżywał tamte doświadczenia na nowo. Wróciły do mnie w czarodziejski sposób. Ten sam żar uczuć, świeżość emocji, nie mam pojęcia, jak udało ci się odtworzyć sedno tych doznań tak niewyobrażalnie zmysłowo? Tak dotykalnie! Jestem ci bezgranicznie wdzięczny, Dominiko. Dziękuję z całego serca! – Uniósł moją dłoń do ust i ucałował z namaszczeniem. – Nie sądziłem, że ten wspaniały etap naszego życia ocaleje od zapomnienia. Jesteś cudotwórczynią!

Już miałam zawołać: „Nie rób sobie ze mnie żartów!”. Ale ujrzałam jego oczy lśniące romantycznie w świetle żyrandola zza okna. Nie miałam sumienia, żeby zgasić tak natchniony wzrok.

– Och, drobiazg, Jarku... – wydukałam z mieszanymi uczuciami. – Czuję się skrępowana, naprawdę. Nie wiem, co ci odpowiedzieć.

Przytulił mnie do piersi. Pachniał elegancką wodą kolońską Ajaccio.

– Nie mów nic, Dominiko – szepnął. – Sam wszystko rozumiem. Przecież widzisz.

Śpiąca królewna

Skłamałam, że wybieram się na koncert z koleżankami z pracy. Aśkę przemilczałam. Równie dobrze mogłabym się przechwalać, że idę do kina z Żebrowskim. Po pierwsze, Jarek by nie uwierzył, po drugie, wzięłby mnie za mitomankę.

Przyjaźń z Asią Robotek zalatuje popisywaniem się, nie sądzicie?

Na parkingu przed amfiteatrem kłębił się tłum. Wpuszczali już na widownię. W bramce stało dwóch ogolonych i jeden ostrzyżony. Istna laleczka. Ani włoszek nie wystawał z ulizanej fryzury. Wykosmetykowany od stóp do głów, ubranie od Armaniego i to prędzej z domowej garderoby tamtego niż ze sklepu.

Mężczyzna metrodekoracyjny.

Czekał na mnie. Poprowadził mnie przez widownię, naokoło sceny i schodami w dół. Do zapyziałego korytarza. Ściany brudne, zaaferowani ludzie biegali w tę i nazad, nie wiadomo skąd dudniło coś, co było prawdopodobnie zniekształconą muzyką.

Aśka skoczyła do mnie rozradowana w ni to szlafroku, ni to kimonie. Ledwie ją poznałam. Białe włosy, białe brwi i rzęsy, a na dodatek była puszysta. Zdębiałam. W teleturnieju prezentowała figurę niczym laska marszałkowska. Kiedy się teraz ścisaliśmy, czułam fałdy tłuszczu.

Z wrażenie wręczyłam jej mój bukiet od Jarka.

– Jakie śliczne, Do! – zawołała, jakby to była normalka, i rzuciła bukiet na stos kwiatów, który dopiero zauwa-

żyłam. – Nic się nie zmieniałaś! Jakbyśmy wczoraj się widziały! A ja?

– Świetnie – zapewniłam speszona. – Chociaż inaczej. Trochę... tego...

Zabrakło mi odwagi, więc zrobiłam łokciami ruch, jakbym grała na akordeonie.

– Zrzucam – wyjaśniła pogodnie Aśka. – Miesiąc temu byłam jak przelyk z długimi nogami, ale przytyłam do castingu. Miałam dubbingować świnkę Piggy. Chodzi o inną emisję głosu, rozumiesz. Ale nie wyemitowałam. Coś nie byłam w formie. Teraz muszę szybko zbić wagę, bo za dwa tygodnie mam casting do makaronu nitki.

Zabójczy fach, idzie się wykończyć. Wprawdzie ja też tyję i chudnę, ale spontanicznie. Ekologicznie. W zgodzie z naturą. No i nie do parametrów makaronu.

Aśka usadziła mnie na krześle brudnym od zaschłej farby, rozejrzała się zaaferowana po garderobie zapchanej lustrami, kufkami, częściami ubrań, kosmetykami. Tłoczno tu było, nie ma co. Widocznie Aśka nie wypatrzyła tego, czego szukała, bo znów uśmiechnęła się do mnie z roztargnieniem.

– Dominiko, jeszcze pogadamy, mówię ci, będzie okazja. Tylko najpierw przedstawię ci mojemu menedżerowi, okej? Waldek, taki fiut z kucykiem, nie widziałaś po drodze? – Ponieważ nie widziałam, machnęła niecierpliwie ręką. – Skoczę poszukać, zaczekaj. Ken dotrzyma ci towarzysztwa.

Ken to był ten z fryzurą wymodelowaną w plastiku.

Siedział okrakiem na krześle i czyścił paznokcie wielkim nożem myśliwskim. Spytałam go, po co Aśka chce mnie przedstawić menedżerowi.

Wzruszył leniwie ramionami, patrząc na mnie tak, jakbyśmy leżeli razem w łóżku. Zmieniłam na wszelki wypadek temat, ale on nie zmienił stylu patrzenia. Może miał taki genetycznie?

Na to wpadła Aśka.

– Co ty, Do, rozmawiasz do Kena? – roześmiała się szczerze. – Daj spokój, on nie do tego służy. No co tak siedzisz, Ken? Może byś ruszył tylek i poszukał Waldeka! Sprawdź pod sceną, ja się przelecę po garderobach. Migiem, bo niedługo się przebieram. Jeszcze mały ajnmomencik, Do, i jestem z powrotem!

Ledwie zostałam sama, wparował Waldek.

Poznałam go po kucyku. Miał na sobie kamizelę z demobilu pełną kieszeni, ciemne okulary zawieszane na szyi i raportówkę w garści.

– Aha, to ty jesteś? – zapytał.

Potwierdziłam skromnie, ale z przekonaniem, że ja to jestem ja. Waldek rozejrzał się gorączkowo po zagraconej garderobie, jak wcześniej Aśka.

– Cool, tylko skąd ja wytrzasnę rurę? – zafrasował się. Zajrzał w kąt, wyciągnął stamtąd szczotkę na kiju. – Ogrywaj to, dobra? I rozbieraj się, raz, raz! No już, łap za szczotkę!

Przezornie schowałam ręce za plecy. Usta same mi się rozdziawiły ze zdumienia.

– No, obudź się! – Waldek zaszedł mnie z boku. – Piersi masz własne? Chyba planujesz powiększenie? Z takimi piegami to cię rura zasłoni.

Krew zabarwiła mi policzki. Nie wiem, jaką propozycję miała dla mnie Aśka ze swoim menedżerem, ale wiem, gdzie ja miałam ich propozycję.

– Może najpierw sam się rozbierz! Mnie się nie pali! – wykrztusiłam nerwowo.

– W to nie wchodzę, uprzedzałem! – ofuknął mnie z irytacją. – To świrusy! Hieronim mówił, że idziesz na solówkę. Robię to dla niego. Te całe twinpiksy olewaj z góry, posłuchaj dobrej rady. Mogę cię polecić Wolakowi tylko na pojedynek... Zależy ci w końcu czy nie? Zwlecze ciuchy z tyłka, bo kota w worku nie będę mu wciskał! Skąd mam wiedzieć, coś ty za jedna? Wolak siedzi w przyzwoitym katolickim seksie! Żadne baby z wackami, nic podobnego. Tego szukaj gdzie in-

dziej! Nie odstawiaj mi tu teraz wakacji na Majorce, tylko decydujesz się od ręki albo nie mam czasu!

Wciąż sterczałam przed nim czerwona jak burak, choć było jasne, że wziął mnie za kogo innego. Zresztą w ogóle mu się porąbało. Osiemdziesiąt dziewięć w biuście to piegi? Przy takich wymaganiach Marilyn Monroe kupowałyby krem na kurzajki, a nie biustonosze! Inna rzecz, że w jej czasach, w dobie naturalnych piersi, duże mogło być o wiele mniejsze niż dzisiaj.

– To chyba nieporozumienie – stwierdziłam dumnie.

– Nie wiem, kochana. Za nieporozumienia płacę z własnej kieszeni tak samo jak za porozumienia. Nie chcesz, to nie chcesz, ale powtórz ode mnie Hieronimowi... Zresztą sam zadzwonię i mu powiem! Nie wiecie, cholera, czego chcecie!

Scharakteryzował nieznanego mi bliżej Hieronima dosadnym słowem, trzasnął drzwiami, zniknął.

Zajrzała Aśka.

– Chodź, Dominiko, chodź! Znalazłam Waldka. Czeka u siebie.

Zanim zdążyłam zaprotestować, przepchnęła mnie przez wąski korytarzyk w drzwi naprzeciw. Było tam takie samo piwniczne pomieszczenie bez okien, świetlówka mrugała pod sufitem. Waldek z nogami na stole rozmawiał przez telefon. Gdy Aśka siłą usadzała mnie na niskim foteliku, podniósł rękę, że zaraz kończy.

Gorączkowo szukałam w głowie żartu, który rozładuje tę idiotyczną sytuację. Ale nie wydawało mi się, żebym go znalazła, słysząc, co Waldek wrzeszczy do telefonu.

– Załatwiaj sam z Wolakiem, Hieronim, i nie przysyłaj mi gęsi! Czy ja w pośredniaku robię? Ochoty nie ma, cycków nie ma... Jaka zdecydowana? Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie ma zamek od spódnicy!... Śpiąca królowna! Stała jak... Gdzie? Zamiast rury, bo na rurze to wąpnię!

Czułam, że jeszcze słowo i zniechęcę faceta na śmierć i życie. Właściwie to już się stało. Aśka przekazywała mu na

migi strasznie skomplikowane polecenie. Ogólnie chodziło o to, żeby skończył.

Znów spojrział na mnie z sympatią, kiwnął uspokajająco głową.

Zadzwoniła jego komórka. Rozmawiając, wyciągnął z kieszeni militarnej kamizeli cztery inne komórki po kolei, zanim trafił na dzwoniącą.

– No mów. Jakie kolumny?... To nie do ciebie, z drugiego rozmawiam! Nie wrzeszczę, tylko proszę, żebym ją obejrzał... To nie do ciebie!... No to wyjadą później, nie wcześniej! Było pilnować kolumn! Wczoraj jakoś zdążyli... To nie do ciebie, mówiłem!... Jak to, ona tu się dopiero wybiera? Przecież już ją widziałem parę minut temu... Słyszysz? Mówię do ciebie!... To nie do ciebie!

Trzasnął słuchawką o widełki, z komórką przy uchu wyszedł na korytarz. W drzwiach uśmiechnął się do mnie, że już zaraz.

Aśka wykonała za nim zirytowany wykop w powietrze, aż szlafrok rozpostarł się jej niby skrzydła motyla. Miała zielonego skorpiona wytatuowanego na prawym biodrze.

– Nie przedstawiaj mnie, Asiu – wykorzystałam okazję. – Innym razem. Lepiej pogadajmy, zanim będziesz musiała wyjść na scenę.

– Jak to: nie przedstawiaj mnie? Musicie się poznać! Twój los leży w jego rękach!

Zanim ochłonęłam ze zdumienia, wyjaśniła mi, że przeczytała moją książkę o miłości. Piękna miłość mi się trafiła! Pozazdrościć! Co, nieaktualna? Jak to miłość. W każdym razie supermateriał. Waldek z kumplami szuka tematu na film. Nadała im tę moją miłość i Waldkowi się widzi. Telenowela w formie musicalu! Idzie moda z Indii, trzeba łapać wiatr w żagle. Długie, rozśpiewane, trochę łzawe, toczę śmieszne, mocno optymistyczne w wydźwięku. Już nawet mają przebojową piosenkę pod napisy końcowe. Kolega skomponował do czego innego, ale tamto co inne padło w przedbiegach. A piosenka została jak na zamówienie!

Aśka wykonała nieskomplikowaną choreografię i zaśpiewała a cappella:

Happy! Jestem happy!

Nigdy nigdzie mi nie było lepiej! ...

Nie zdążyłam ustosunkować się do utworu, bo wpadł Waldek. Ucałował mnie na powitanie jak ciotkę z Ameryki. Przyjrzał mi się ze skosa.

– Czy ja ciebie już nie widziałem?

– Weź, Waldi, wytrzeźwiej! – zirytowała się Aśka. – Jasne, że ją widziałeś. Byłyśmy już tutaj, jak wychodziłeś!

Waldek otworzył przenośną lodówkę ustawioną na podłodze.

– Miło cię poznać, Domi! Aśka streściła ci, co i jak? Czego się napijesz? Poczekaj, nie mów, sam zgadnę... Coli się napijesz! Tylko cola została.

Wyciągnął dwie butelki. Dla Aśki nie, bo zbijała wagę wodą mineralną.

Parę minut później wydawał mi się całkiem znośny, choć zawzięłam się w duchu, że tych piegów nie daruję mu do końca życia. Ale na razie łączyły nas lukratywne interesy. Wyliczył mi na skrawku gazety kolosalne zyski – o ile uda się wyrwać dotację z telewizji. Jego kumpel wejdzie jako producent wykonawczy, dwóch zasponsoruje, ja byłabym autorką scenariusza. Współautorką, założmy. Dla pewności trzeba by mi dodać fachurę, Harasimowicza albo Łepkowską. To jeszcze otwarta sprawa. A z odcinkami pilotowymi można ruszać za rok.

Zajrzał Ken i postukał w zegarek.

Aśka poklepała mnie zwycięsko po ramieniu. Zaraz wróci, musi się ubrać.

Gdy zostaliśmy sami, Waldek łyknął coli z gwinta, zapatrzył się w sufit. Po raz pierwszy ujrzałam go, jak przez sekundę się nie porusza.

– Może by machnąć ten scenariusz we dwoje? – zaproponował mi po fazie bezruchu. – Ty potrafisz, Domi, ja to samo, po co dzielić się kasą z obcymi?

Wcale nie byłam pewna, czy potrafię. Ale Waldek był pewien za siebie i za mnie. Miałam nadzieję, że zna się na pisaniu scenariusza lepiej niż na moich możliwościach. Bo skopać robotę potrafiłabym bez pomocnika.

Musi najpierw dopiąć dwie trasy koncertowe, wyjaśnił mi. Zadzwoń za tydzień, spikniemy się w miłej kafejce i dogadamy sprawę. Przy kawce i winku. Wrzuci to w koszty filmu.

– To jak? Jesteśmy umówieni, Domi!

Wpadła Aśka już w kostiumie scenicznym.

– Może jednak zostaniesz, Do? Zerkniesz na mnie chociaż zza kulis.

Blyszcząca się na całym ciele, pachniała jak zamorska oranżeria i była bardziej rozebrana po ubraniu się na scenę niż wcześniej, kiedy była nieubrana. Zielony skorpion świecił na jej biodrze jak neon.

Wzięła mnie pod rękę w drodze za kulisy.

– Waldi powiedział, że zaklepałam ci wpływ na obsadę głównej roli?

To ci dopiero! W życiu nie miałam wpływu na obsadę czegokolwiek. Nawet dyżuru na przerwie w szkole. A tu od razu główna rola!

– Musisz mieć wpływ na to, kto cię zagra, no nie? Jakaś propozycja na gorąco?

Po drodze kobieta z pudełkiem kosmetyków poprawiała Aśce makijaż. Facet ze słuchawką w uchu pokazywał nam drogę jak dwóm niewidomym. Ktoś za plecami poganiał.

– Karolina Gruszka? – zaryzykowałam zdezorientowana.

– Ona? – Aśka przyjrzała mi się z urazą.

– Czytała fragmenty w radiu. Mnie się podobało.

– Gruszka nie grywa w telenowelach, to raz. Nie będzie dla nas zrywała kontraktów, to dwa. Poza tym dobrze wiesz, że jest za ładna na ciebie. W filmie, sama rozumiesz, potrzeba jednak więcej realizmu niż w powieści!

Chyba im odbijało w podziemiach pod sceną. Jak upiorowi z opery. Dla Rosjan byłam miss świata, a tu nagle zamieniłam się w brzydulę bez cycków?

– Jak to, że za ładna? – obraziłam się. – To kto? Może ten aktor, co grał Ediego? Nikifora zagrała aktorka, tu może być odwrotnie, sam realizm.

– Bez przesady. Co powiesz na mnie? – Aśka spuściła skromnie oczy. – Przygasiliby mnie kapkę charakteryzacją i pyknęłabym tę rolę rewelacyjnie. Mam parę niezłych pomysłów. Na przykład żeby mnie zawsze filmowali po lewej. To podniesie sympatię widzów dla postaci. Analizy filmów wojennych wykazują, że publiczność widzi swoich po lewej stronie ekranu.

I co ja mogłam na taki zapaf? W gruncie rzeczy w dzisiejszej dobie mogliby mnie wykonać na komputerze z paru bitów i wkleić do filmu. Aśka właściwie robiła mi grzeczność, że chciało jej się fatygować.

Poleci starą dobrą metodą aktorską Lee Strasberga, zapowiedziała. Jak Fonda. Samo życie. Stuprocentowa wiarygodność. Aha, i czy nie miałabym nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu przyjrzała mi się w codziennym życiu? Podpatrzyłaby sobie moje naturalne zachowania, miny, reakcje. Dla uzyskania ekranowej prawdy.

Niczym *Życie i obyczaje Pigmiejów* na kanale National Geographic – pomyślałam sobie w skrytości ducha. Nieznane plemię Dominika. Zgodziłam się. Tylko zastrzegłam, że skoro będę teraz pisała scenariusz z Waldkiem, to nie będą tak całkiem moje naturalne zachowania, bo wcześniej tak się nie zachowywałam.

– Scenariusz? Z Waldim? Sam tego chciał? – zdumiała się Aśka. – A nie nalegał, żebyś sobie sprawiła do pisania lateksowe wdzianko? Bez pośladeków.

– No coś ty? – przestraszyłam się. – Była tylko mowa, że postawi mi kawę. Na koszt filmu.

– Ohoho! – Aśka zrobiła uroczystą minę. – Ostrzegam cię jak przyjaciółka, Dominiko. Znam te symptomy! Waldek się w tobie po prostu zadurzył. Już raz było coś takiego. Trwało pół roku, zanim tamta go rzuciła. Nie wyob-

rażasz sobie, jak on się załamał! Wspinał się na wieżowce, jeździł na dachach pociągów. On to bierze strasznie emocjonalnie.

Spociłam się. Wiedziałam, że te przymiarki do serialu były zbyt piękne, żeby miały być prawdziwe. Nic z tego!

Podziękowałam Aśce za przestrożę. W samą porę! Człowiek jest jednak próżny! O mało co ta niedoszła kariera filmowa poniosłaby mnie jak spłoszony Apollo na złamanie karku! Niedoczekanie! Żaden koń pod wierzch, żadna sława, jedno i drugie to tylko idiotyczna ganianka za niczym z obolałymi kośćmi!

– Przykro mi – przeprosiłam Aşkę – że mnie nie zagrasz. Przykro mi, że tak łatwo rezygnuję z artystycznego życia i z artystycznych honorariów. Zwykle bywam wytrwalsza. Nie pozwolę jednak, żeby ktoś przeze mnie łąził po ścianach. Wycofuję się, póki czas. Mam zbyt wrażliwe sumienie, niestety!

– Sumienie może masz, ale wyboru raczej nie, Do! – zachnęła się Aśka. – Już w to wsiąknię! Jeśli zrezygnujesz, Waldek może się na coś wdrapać od razu dzisiejszej nocy. Poczekaj przynajmniej do lata przez wzgląd na moją karierę! Teraz bywają poranne przymrozki, mury oszronione... Jestem z Waldkiem w połowie nowej płyty, daj życie!

Chciałam jej odpowiedzieć, że ja z kolei jestem w połowie młodości. I to w drugiej połowie. Chcę ją przeżyć spokojniej niż pierwszą, a w tych warunkach wcale się nie zanosi. Nie zdążyłam jednak wykrztusić ani słowa. Aśka wrzasnęła „Hejka!” i wystrzeliła na środek sceny jak z procy.

Zalał ją potop kolorowych świateł, huknęła ogłuszająca muzyka.

Po omacku wycofałam się za rusztowanie trzymające dekoracje. Widziałam Aşkę w świetlistej mgłę niby roztąńczoną fantastyczną zjawę.

Tłum darł się w ciemnościach.

Aśka uniosła gołe ręce w górę, zamachała powitalnie.

– Na drugi raz decyduj się od razu! – wrzasnął ktoś za mną, przekrzykując wzmacniacze. – Teraz nawet szczotki nie mam. Rozbieraj się, jak stoisz, byle szybko.

Za uchylonymi drzwiami pokoiku pod sceną ujrzałam Waldka z panienką, która w popłochu ściągała różowe mini. Widocznie to była ta właściwa od Hieronima.

Umknęłam chyłkiem.

Kareta

Wylądowałam w domu o wpół do dziesiątej. Odprężyłam się przy telewizji meteo. Obiecywali piękną długą jesień, a po niej piękną krótką zimę. Zrobiłam sobie kawę, już nie na kaca, tylko taką, jaką lubię. Zapaliłam świecę zapachową „Nocna dżungla” i usadowiłam się na wersalce z podkulonymi nogami.

Kiedy było mi już tak błogo, że nic nie mogło tego zepsuć, sięgnęłam po kartkówki z Kochanowskiego.

Dopasować cytaty do pieśni.

Niby proste, ale nie miałam do tego nastroju po dzisiejszym absorbującym dniu. „Serce roście patrząc na te czasy”, przeczytałam i zastanowiłam się, kto to napisał, psiakość?

Ano tak – olśnił mnie przebłysk geniuszu – toż to Jan Kochanowski z Czarnolasu, ani chybi!

Przez moment byłam dumna z własnej erudycji, zanim wróciłam do realu, w którym to realu siedziałam z podkulonymi nogami nad testem z Kochanowskiego, otoczona zapachem nocnej dżungli. Ani moja erudycja, ani mój geniusz nie miały z tym stanem nic wspólnego.

Zerknęłam na kartkę: Justyna Reczkowska, klasa II b. Temat sprawdzianu: „Pieśni Jana Kochanowskiego”.

Zgadza się, Kochanowskiego! – ucieszyłam się nieco rozkojarzona. Pieśni Kochanowskiego napisał Kochanowski! Obkuta dziewczyna.

Postawiłam jej szóstkę i wzięłam następną kartkę ze sto-
siku.

Z kolei przy tym uczniu euforia pedagogiczna przeszła mi
jak ręką odjął. Ni stąd, ni zowąd, bez powodu. Chyba że po-
wodem była niedziela jako taka. Niedziele są wykańczające.
Ani minutki w pracy, gdzie można sobie trochę odetchnąć.

„Panno wszech piękniejsza w sobie, że człowiek rad i nie-
rad musi służyć tobie”... – przeczytałam cytat.

Panno wszech piękniejsza, panno najpiękniejsza w świe-
cie... Oho! Stał mi przed oczami Sasza jak żywy. Przez
nocną dżunglę ciągnął mnie gołą za samochodem na operetkę
Wesoła wdówka. Absolutnie wstrząsające, aż poczułam dresz-
cze na grzbiecie.

Bez namysłu postawiłam jedynekę, odłożyłam kartkę na
stronę poprawionych

„Miłość zmyśla sny sama sobie”... – oznajmiał kolejny cy-
tat.

Jeszcze lepiej! Tu przyszedł mi na myśl Gustaw od miło-
snych mrzonek. Stał przed oczami mej duszy, rozdierając
własną klatkę piersiową jak Rejtan koszulę, a w środku nie
miał serca, tylko moje stringi z serduszkami. Makabryczny
widok!

Drżącą dłonią wzięłam następną kartkę.

„Kto mi dał skrzydła, kto mię odział pióry i tak wysoko
postawił”...

Wypisz wymaluj Waldek na szczycie wieżowca. Tylko że
jemu nikt nie dał skrzydeł, więc w mojej katastroficznej wy-
obraźni zsuwał się w przepaść po oszronionym murze. Zanim
sięgnął ziemi, postawiłam jedynekę z wykrzyknikiem.

Z niepokojem zerknęłam na następną kartkę, co dalej.

„Skąd tę niestałość białogłowy mają, że się jako wiatr let-
ni odmieniają”...

Jakbym słyszała Jarka. Stał przede mną, robiąc mi wyrzu-
ty, że moja książka o miłości wcale nie jest o nim! I *Dzieje
Tristana i Izoldy* też nie, i może nawet *Przeminęło z wiatrem*
nie jest o nim! Domyślił się tego od razu, ja natomiast jestem

literacką oszustką. Odmieniłam się jak letni wiatr, niewierna! Zapomniałam, bezwstydną! Nie napisałam o nas i o naszej wiekopomnej miłości, grafomanka żalonna...

No nie, Aśka miała absolutną rację, że Kochanowski potrafi człowiekowi zaleźć za skórę!

A przecież teoretycznie to był całkiem udany dzień, pomimo że od rana zapowiadał się średnio. Grając w karty, odniosłabym epokowe zwycięstwo. W ciągu jednego popołudnia pokerowa karetą na rękę. Czterech zadurzonych we mnie facetów naraz. Której kobiecie to nie poprawi humoru? Cztery asy!

To znaczy, asy, nie asy... Albo cztery dupki żółędne, kto to może dać głowę za faceta? Każdy z nich ma te swoje trzysta dwadzieścia osiem procent obsesji czy ile im tam wyliczył profesor stringologii Gustaw!

Jak mam tę partię rozegrać?

Nie mając pewności, że oni wszyscy nie są karcianymi szulerami.

Ale niby czemu mają być?

Takie czarnowidztwo nachodzi człowieka z głodu, pocieszyłam się. Od rana ani kęsa, nie licząc napojów alkoholowych i bezalkoholowych, które mieszały się we mnie jak w shakerze. A jeszcze na deser nawdychałam się nocnej dżungli. Aż dziw, że czuję się w miarę znośnie.

Nie licząc dręczącego mnie głodu, przepastnego jak w nowelach Marii Konopnickiej o życiu społecznych wyrzutków.

Zrobiłam rekonesans po mieszkaniu. W barku pusty papierek po czekoladzie z orzechami. Lodówka tak opróżniona, że aż się zdziwiłam. Przy moim trybie gospodarowania zdarza się opróżniona lodówka – ale do tego stopnia? Nic na dziś, nic na jutro. Niezła ze mnie gospodyni, nie ma co. Gdybym była z facetem, właśnie w tej chwili by ode mnie odchodził. Głodny i zły.

No i krzyż na drogę! Co to za miłość, która zależy od tego, czy w domu przypadkowo są ziemniaki i schab na kotlety? Prymitywne, pierwotne łaknienie, a nie miłość! Kojarzyć kobietę z kuchnią to kompletny jakiś banał i antysemityzm!

Na dolnej półce leżały samotne szprotki w oleju.

Może faceta by przy mnie nie zatrzymały, ale mogłam sobie z nich przyrządzić prowizoryczną kolację. Odcedzić olej, bo nie lubię, podgrzać namoczony czerstwy chleb na patelni, bo przepadam, zaparzyć mocnej herbaty. Jak na głodnego – bankiet u Kulczyka.

Zjeść i spać, bo jutro trzeba się zerwać przed siódmą.

Klucz przy puszcze urwał się od pierwszego pociągnięcia. Wyjęłam otwieracz. Dotychczas to moi faceci nie radzili sobie z otwieraniem konserw. Podejrzewam, że byli nieudolni specjalnie, żebym czule opatrywała ich poharatane palce i przejmowała na siebie resztę domowych obowiązków. Dziś się odmieniło. Nic mi nie szło, widocznie w wirze niesprzyjających wydarzeń zmęźniałam. Najpierw otwieracz się zaciął, potem złamał się ten wihajster do kręcenia. A już miałam nadzieję, że coś, co nie ma instrukcji w trzech językach, obsłużyć bez problemu.

Wzięłam nóż. Najzwyklejszy, bez ciekłokrystalicznego wyświetlacza, bez duperek do akrobacji manualnej, bez żadnych durnych udogodnień. Wbił się w blachę pięknie, jak się tego po nim spodziewałam, olej siknął na blat już mniej pięknie i na tym koniec. Ostrze utknęło jak Hitler pod Moskwą. Ni w tę, ni we w tę.

– Lepiej zadzwoń po pizzę! – odpowiedziałam burkliwie sama sobie.

Ale nie urwałam się z księżycy, żeby o północy liczyć na czynną pizzerię w moim mieście! Jeśli nawet któraś by działała, zaśpiewaliby mi podwójną nocną taryfę. Plus gratisowy sos za pieniądze. Na tak wystawne życie mnie nie stać.

W desperacji znalazłam w kuchennej szufladzie śrubokręt i obcęgi. Z tym że nie mogłam wykombinować, co pożytecznego miałabym nimi wykonać przy puszcze szrotek! Równie dobrze mogłabym nastawić Radio Maryja i liczyć, że blacha konserwy uchyli się przede mną w sposób cudowny.

Zresztą koniec końców żyję w centrum współczesnej Europy. Oprócz pizzerii są eleganckie restauracje, z których do-

– Już przysłał, mamó.

– To byłoby bezczelne, córeczko.

Okazałam stosowne zaproszenie ze szlaczkiem z różyczek, serduszek i wszystkich słodkich badziewi, którymi ludzie spodziewają się uwznioślić swoje uczucia. Nie mam pojęcia, po co. Czy uczucie do kosmetyczki Magdy może być wzniosłe w jakiegokolwiek ramce? Tylko szkoda tych różyczek i serduszek.

Mama założyła okulary. Ramkę w ogóle zignorowała. Z surową miną zapoznała się z zasadniczą treścią.

– Mimo wszystko, nie wydaje mi się! – podsumowała stoicko.

Szczęściara! Posiada wygodną umiejętność dostrzegania na świecie tego, co powinno na nim być, a nie tego, co jest. Ludzie, których lubi, nie mają wad, przypalony przez nią kotlet jest smaczny, że aż ślinka cieknie, seksowne złote szpilki Zary, których nigdy nie włoży, to była okazja za półdarmo. A ja widzę na świecie to, co jest – i jeszcze to, co będzie, kiedy to, co jest, wyewoluuje. Czyli zejdzie na psy. Widocznie rodzinne geny ułożyły mi się w zupełnie inne różyczki i serduszka niż u mojej mamy. Jeszcze niedawno byłam nieuleczalną optymistką, teraz jestem realistką. Mam nadzieję, że w dalszej perspektywie choć trochę uleczalną.

Natomiast w bliższej zeszałam na psy szybciej, niż się spodziewałam. Na pojedynczego psa co prawda, ale i to mnie nie bawiło.

W sierpniu rodzice wyjechali do ciotki Ramony. Mnie kazali zamieszkać u siebie, żebym strzegła dorobku ich życia. Do towarzystwa zostawili mi Szatana. On zajmował się sensownymi rzeczami: polował na krety, obszczekiwał ludzi za siatką, rył podkop do śmietnika. Ja popadłam w letarg. Za dnia wylegiwałam się w ogrodzie z zamkniętą książką na kolanach, wieczorami gapiałam się w telewizor z wyłączoną fonią. Oraz myślałam.

Iść czy nie iść? A jeśli tak, to jak? A jeśli nie, to tym bardziej jak?

Żeby nie pomysleli, że jeszcze mi zależy.

Albo że nieudolnie udaję, że już mi nie zależy.

Z analiz wychodziło mi, że najlepiej, gdybym została posłanką na Sejm i przeforsowała ustawę o zakazie ślubów. Zwłaszcza ślubów z kosmetyczką Magdą! Potem w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku obejrzałabym sobie *Mamy cię!* albo *Taniec z gwiazdami* z fonią. Niestety, jak na złość nie było akurat sezonu wyborczego, który jak zwykle przyniosłby obywatelowi ulgę.

Poza tym w wakacje lecą powtórkowe odcinki, więc może jednak iść?

Zrobić się na bóstwo i lu! Raz kozie śmierć!

Niech na mój widok Roman pożałuje. Niech go to zdrowo rąbnie! Mimo że formalnie jego ślub z Magdą jest dopuszczalny w obecnej sytuacji prawnej.

Zaprosiłam Gośkę, żeby postróżowała parę dni razem ze mną i coś doradziła. Ku mojemu żalowi, większość czasu spędzała z Szatanem. Goniła z nim po ogrodzie piłkę, drapała go po brzuchu, mówiła do niego „śłodki pieseciek” i z tego wszystkiego wymyśliła, że chce mieć dziecko z Bernim. Jak najszybciej. Bo później kiedy?

– Powiedz mi tylko najpierw, Gośka, czy gdybym jednak poszła, to uśmiechać się czy lepiej nie? – poradziłam się i Gośka jak zwykle uciekła z Szatanem do ogrodu.

Wyraźnie bała się współodpowiedzialności za mój trudny los.

Aż zrozumiałam, że nikt nie zdejmie ze mnie ciężaru decyzji. I pójdę. Pójdę! Mam swój honor, potrafię stawić czoła... Niech sobie nie myślą!

Od razu zrobiło mi się lekko na duszy. Ujrzałam, że lato w rozkwicie, za altaną moja najlepsza przyjaciółka uczy najwspanialszego psa moich najcudowniejszych rodziców tańczyć walca figurowego na dwóch łapach. W ogóle świat jest uroczy!

Przeciągnęłam się błogo na leżaku i nagle czar prysnął.

Co kupić?

starczą mi posiłek o każdej porze. Nawet mule z wieczornego połowu w Bretanii, jeśli mam taki kaprys.

Tylko znowu pojawia się wredny problem ceny! Centrum Europy ma swoje koszty. Niebagatelne z punktu widzenia niezamężnej nauczycielki. Najpierw musiałabym sobie załatwić bogatego małżonka, a ewentualnie dopiero później te nieszczęsne mule. Jednak taniej wyjdzie pomęczyć się jeszcze trochę własnoręcznie z konserwą, zważywszy, że oprócz śrubokręta i obcęarów jest jeszcze we współczesnej Europie młotek, tasak do mięsa, pilnik do paznokci, szydełko...

Odezwał się gong przy drzwiach.

Spięta nerwowo nad szprotkami, aż skoczyłam. Dzwonek w środku nocy?

– Kto tam? – zapytałam ostrożnie z głową przy klamce.

– Pizza!

Koniecznienie próbowałam się obudzić, ale wyglądało, że jednak nie śpię.

– Słucham?

– Pizza na telefon! Z pomidorami i sosem paprykowym light. Proszę otworzyć.

Tak zgłupiałam, że wpuściłam tego nocnego dostawcę do środka. Ani mi przez myśl nie przeszło, że to może być „Pizzeryjny Dusiciel” czy ktoś podobny, o kim czyta się w gazetach pod równie odlotową nazwą.

W progu stał chłopak z pizzą w kartonowym pudle. Nosił firmową czapkę z napisem Pizzeria Mezzo. Przystojny, sympatyczny, nie trzymał w rękach ani kawałeczka sznura skręconego w morderczą pętlę. Na dodatek to był ten sam chłopak, który przynosił mi pizzę, kiedy żywiłam się nią z Szatanem u rodziców. Czyli sprawdzony, bezpieczny, bo gdyby chciał mnie udusić, mógł to zrobić już w wakacje.

Wychodziło na to, że ta nocna pizza jakimś cudem nie zagraża mojemu życiu.

– Skąd wiedziałeś, że ją chcę?

– Z zamówienia.

– Ale ja nie zamawiałam.

Podsunał mi karton pod nos. Był na nim przyklejony rachunek.

– Nazwisko, adres... Zgadza się? To co będzie? Nie odbierzesz?

Zapewniłam radośnie, że odbiorę, oczywiście. Jestem głodna jak wilk. Od pół godziny nie mogę otworzyć puszki. Chyba szprotki trzymają wieczko od środka. Więc spadł mi z nieba z tą pizzą. Niech poczeka, tylko umyję ręce po oleju.

Wracając, wzięłam portfel.

W kuchni chłopak stał przy szafce z moim nożem w ręku. A jednak!

Wrzasnęłam i wybiegłam jak oparzona.

– Spokojnie! Otworzyłem ci te szprotki! – zawołał za mną.

Zatrzymałam się speszona w pół kroku. W połączeniu z nożem chłopak był widać bezpieczny tak samo jak w połączeniu z pizzą. Jakiś wyjątkowo przyzwoity gość. Wytłumaczyłam się, że pobiegłam po drobne, żeby nie musiał wydawać.

– Już uregulowane, nie potrzeba drobnych ani grubych – zapewnił.

Nieźle! Zamówienie opłacone z góry? To zupełnie zmienia postać rzeczy, w takim razie nie przyjmę – odmówiłam twardo. Skąd mam wiedzieć, od kogo ta pizza? W jakiej intencji? Nie chodzi mi o to, że zatruta, tylko nie potrzebuję podejrzanych zobowiązań. Bo to mało komisji śledczych widziałam w telewizji? Może któryś uczeń korumpuje mnie pizzą? Cemu nie? Jaki fach, taka łapówka.

– Jak nie chcesz, no to jak chcesz – chłopak na to. – Po drodze wyrzucę ją do kosza. Ale i tak opłacona. Lepiej byłoby zjeść. Po co ma się zmarnować?

– Nie potrzebuję cudzej pizzy, skoro otworzyłeś mi moje własne szprotki! – zaparłam się honorowo.

No to weźmie ją z powrotem, nie ma sprawy, zgodził się. Ale ofiarodawca nie dowie się, że nie przyjąłem. Pizzeria nie zawiadamia. Nie notują, kto zamawia, tylko dokąd dostarczyć. Więc dla tego kogoś i tak będzie tak, jakbym przyjął.

Przemyślałam sprawę.

– Zostaw już ją w takim razie! – zdecydowałam się niechętnie. – Tylko ciekawe, po co otworzyłeś szprotki wobec tego? Żeby się zepsuły? Chyba wiedziałeś, że przyniosłeś mi pizzę do jedzenia?

– Jak to po co? A kto narzekał, że nie może ich otworzyć?

– Wtedy nie miałam pizzy. Gdybym jeszcze po niej zjadła szprotki, tobym pękła wzdłuż i wszerz.

– Nie ma sprawy, ja mogę je zjeść – zaoferował się chłopak. – Zawsze jakaś odmiana. W kółko żyję pizzą.

W tej sytuacji wyjęłam dwa talerze, zrobiłam dwie herbaty i o północy zjadłam kolację z nieznanym.

Rozmawialiśmy o zapachu nocnej dżungli, gdyż nie dało się rozmawiać o niczym innym, póki nie zgasiłam świecy i nie wywietrzyłam. Potem zastanawiałam się na głos, kto mógł mi zafundować pizzę w środku nocy. Chłopak nie miał na ten temat nic do powiedzenia, ale słuchał cierpliwie. Wymazał olej z talerza tostem ze starego chleba. Bardzo niekrępujący facet. Gdybym to z nim mieszkała, na pewno by mnie dzisiaj nie porzucił w obliczu pustej lodówki. Na deser opowiedział mi swoją zabawną przygodę z wojska i poszedł. Po drodze zabrał śmieci do śmietnika.

Miał na imię Jakub.

Spytałam go o to, kiedy wychodził, bo zrobiło mi się nieprzyjemnie, że po nocach spraszam do domu obcych. Dotychczas mi się to nie zdarzało. A z imieniem zawsze wygląda kulturalniej. Znamo. Jakuba mogę zaprosić na kolację równie dobrze jak Jarka czy innego Zdzisia. Normalne życie towarzyskie.

Szykując się do spania, usiłowałam sobie przypomnieć jego przygodę z wojska, ale nie udało mi się. W każdym razie przygoda była bardzo zabawna, możecie mi wierzyć na słowo.

Oczy mi się kleiły, padałam z nóg.

Z tego wszystkiego wersalkę ścieliłam dwa razy. Najpierw ją rozłożyłam, przebrałam się w piżamę i w piżamie z powro-

tem zaścieliłam wersalkę. A potem długo zastanawiałam się, po co siedzę w piżamie na zaścielonej wersalce z obcęgami i śrubokrętem w ręku.

Dopiero gdy wlałam pod kołdrę, odechciało mi się spać.

To od tego niedzielnego popołudnia, tasującego mi się nadal przed oczami jak kolorowe szkiełka w kalejdoskopie.

Leżałam i dumałam, że rano nie miałam żadnego faceta, a wieczorem mam ich paru i w gruncie rzeczy to niczego nie zmienia. Kiedy ma się paru, nie ma się nadal żadnego. Kobiecie nie jest potrzebnych paru, tylko jeden jedyny. Do szczęścia. Do zadowolenia wystarczy paru. Ale po co mi zadowolenie, kiedy brak mi szczęścia? Zresztą to mnie już nie obchodzi, ani szczęście, ani zadowolenie. Na razie: *The end*. Potem się zobaczy, ale prawdopodobnie wyczerpałam limit wielkich miłości co najmniej do pięćdziesiątki.

Strasznie szybko mi się skończyły.

Może powinnam zamrozić komórkę jajową? Czytałam w gazecie, że przewidujące kobiety tak robią. Bo co, jeżeli spotkam jednego jedynego, gdy będę już miała swoje lata? Założmy, koło tej wspomnianej pięćdziesiątki. I co dalej? Też *the end*. A tak moglibyśmy jeszcze ułożyć sobie życie rodzinne.

Oczywiście, jeżeli on jest równie zapobiegliwy jak ja i w najbliższych dniach zamrozi, co trzeba, w stosownym banku.

Inaczej oboje mamy przechlapane już dzisiaj!

O w pół do trzeciej wciąż rozpatrywałam w ciemnościach szanse, jakie mi oferuje współczesna medycyna. Ciekawe, ile kosztuje zamrożenie komórki jajowej? Może zależy na jak długo? Mogłabym ustalić taką datę, na jaką ewentualnie mnie stać. Ale jak znam życie, stać mnie na zamrożenie komórki jajowej do przyszłego tygodnia.

To śmieszne! Po diabła planuję ognisty romans po pięćdziesiątce, skoro już teraz mi się nie chce? Zerwałam z facetami raz na zawsze. Było miło, ale się skończyło! Oni jeszcze próbują ze mną na własną rękę, ponieważ taka jest męska na-

tura. Upierdliwa! Mnie to już nie dotyczy. Ja chcę tylko spać! Niczego więcej od życia nie oczekuję! I dopnę swego, żeby nie wiem co!

Gdzieś w okolicach tej podnoszącej na duchu konstatacji istotnie zasnęłam.

Obudził mnie telefon. Po omacku podniosłam słuchawkę.

– Czy reflektuje pani na zniżkowe abonamentowe budzenie w dni robocze?

Przez moment leżałam ze słuchawką przy uchu, milcząc. Ocknęłam się wprawdzie z grubsza, tylko że nie miałam najmniejszego pomysłu na odpowiedź.

– Halo, Dominiko! Słyszysz mnie?

– Poznałam cię! – zamamrotałam sennie. – To ty do mnie dzwonisz. Ale nie o takiej nieludzkiej porze, błagam!

– O nieludzkiej? Chcesz spóźnić się na lekcje? Wstawaj, biegiem! I nie zapomnij zabrać do szkoły sprawdzianów z Kochanowskiego.

To nazwisko poderwało mnie od razu. Usiadłam sztywno na łóżku z szeroko rozwartymi oczami jak budzący się wampir.

– Skąd wiesz o Kochanowskim?

– Ze szkoły. Miałem doskonałą polonistkę. Odtąd lubię polonistki.

– Bardzo śmieszne! Pytam, skąd wiesz o moich sprawdzianach?

– Nie pamiętam, pewnie słyszałem o nich. Albo domyśliłem się. Tak samo jak domyśliłem się, że wieczorem będziesz głodna, a rano prześpisz budzik. Rusz się, Do! Nie ma czasu na wydziwianie!

Spojrzałam na zegarek. Cztery po wpół do ósmej.

– Wczorajsza pizza to ty? – wychrypiałam z zaschniętym gardłem.

– Bingo!

Pospiesznie łączyłam w głowie te wszystkie nitki, łączyłam, ale one się nie łączyły. Nic się nie trzymało kupy! I to nie z mojej winy, bynajmniej.

– Nie wierzę ci! Nie mogłeś się tego wszystkiego domyślić.

– Bingo, nie mogłem – zgodził się bez wahania. – Ale mogłem wyciągnąć wnioski z obserwacji. Jestem dość inteligentny. Mam nadzieję, że to zauważasz?

– Z jakich obserwacji?

Westchnął teatralnie.

– Dominiko, Dominiko, czyżbyś zapomniała o mnie tak szybko? Wczoraj spędziliśmy z sobą sympatyczny kawałek niedzieli.

W tej chwili obudziłam się bezapelacyjnie i nieodwracalnie.

– Możesz powtórzyć, co powiedziałeś? Tylko powoli! Jak to spędziliśmy? My? Razem? Kim ty właściwie jesteś?

– Przede wszystkim jest za dwadzieścia ósma. Spiesz się. Zadzwoń w lepszej porze.

– Moment! Czekaj! Nie zwałaj winy na porę, tylko odpowiedz mi! – krzyknęłam, zrywając się z łóżka. – Kategoriecznie domagam się odpowiedzi! To są moje osobiste sprawy, nie wyobrażaj sobie!

Ale w słuchawce już głucho buczało.

Na moment przestałam myśleć o tym telefonie dopiero wtedy, gdy wypadłam w pośpiechu na klatkę schodową i potknęłam się o kosz paskowych róż, który stał na wycieraczce.

Wyfrunął z niego perfumowany bilecik: „Do wstreci, ljubimaja. Twój Saszka”.

Krąg podejrzanych

Tego poniedziałku moi uczniowie mieli udany dzień.

Nie chciało mi się odpytywać. Zapomniałam przynieść sprawdziany z Kochanowskiego, kto by nie zapomniał w takiej sytuacji. Zresztą i tak musiałam jeszcze nad nimi solidnie przysiąc, bo zorientowałam się poniewczasie, że oceniałam tam raczej moje damsko-męskie lęki niż moich uczniów. W ramach rekompensaty pozwoliłam im pograć podczas

lekcji na gameboyu. Sama przeprowadzałam w tym czasie operacje dedukcyjne, jakich nie powstydziliby się panna Marple u Agathy Christie.

Facet z telefonu za dużo o mnie wiedział jak na blef. Jasne jak słońce! Musiał znać mnie lepiej niż tylko telefonicznie. Na przykład osobiście, czemu nie. Ale skąd, na Boga, znał mnie osobiście, skąd, gdzie i jak?!

Którym z wczorajszej czwórki mógł być?

Akurat nad tym nie musiałam długo się głowić. Nie mógł być żadnym, to oczywiste. A przecież którymś musiał być, jak wynikało z jego słów, mimo że głos nie wskazywał na które-gokolwiek z nich. Może jedynie wykluczał Saszę. On by się tak gładko nie wysłowił po polsku. Chociaż czy na pewno? Skoro jeden z tych facetów najwyraźniej udaje przede mną kogo innego, to dlaczego tym jednym nie może być Sasza? Z Agathy Christie wiadomo, że winnym zawsze okazuje się najmniej podejrzany. Sasza jest cholernie najmniej podejrzany. A to podejrzane jak diabli. Tak wynika z podstawowej kryminalnej logiki. Poza tym najłatwiej zmienić głos, udając cudzoziemski akcent!

O, nie ze mną te numery! Już ja cię wyśledzę, dowcipnisiu od siedmiu zakichanych amorków!

Postanowiłam zadzwonić do Goški, żeby upewnić się, czy Sasza istotnie kaleczy język polski, tak jak słychać.

To było ewidentnie przygłupie pytanie, więc trochę się krępowalam. Mądrzejszego jednak nie umiałam wymyślić na obecnym etapie śledztwa. No i nie miałam pewności, czy nie jesteśmy z Gošką skłócone. Wczoraj rozstałyśmy się w sytuacji niejasnej. Potraktowała mnie dwuznacznie! Wplątała w krąg wpływów ruskiej mafii. Uznanie własnej winy to nieodzowny warunek uzyskania przebaczenia. Wie o tym każdy, kto ogląda telewizję. Ona powinna odezwać się pierwsza i wtedy ewentualnie dam się przebłagać.

Długo nie czekałam. Zadzwoniła w czasie przerwy.

Uczniowie wydzielali się na korytarzach, że ledwie nie ogłuchłam. Nie słyszałam Goški, mimo że słuchawkę razem

z uchem wetknęłam prawie pod pachę. Zatem wspaniało-myślnie wybaczyłam jej w ciemno.

– Każdemu może się przydarzyć – orzekłam z chrześcijańską wyrozumiałością. – Wierzę, że to było niechcący z twojej strony.

Nie zdążyłam zapytać o Saszę, bo Gośka się rozłączyła. Być może wzruszona. Niemniej gdy zadzwoniła po raz drugi, już w trakcie lekcji, nie było po niej znać wzruszenia. Ani śladu budujących uczuć. Wręcz przeciwnie.

– Pokopało cię, Do? – spytała obrażonym tonem.

Nie miałam pojęcia, co ją ugryzło. Na wszelki wypadek z komórką przy uchu schowałam się za dziennikiem.

Na szczęście uczniowie nie byli mną szczególnie zainteresowani.

Za to Gośka owszem. Miała do mnie szereg atrakcyjnych pytań.

– Nie wiem, Do, czy usiłujesz być zabawna, czy złośliwa. Co chciałaś przez to powiedzieć, że może mi się przydarzyć? Jeśli moje sprawy cię nie interesują, powiedz wprost! Nie powieszę się, bez obaw. Zwierzam ci się jak przyjaciółce, że kupiłam pieluchy dla maluszka, abyś je ze mną obejrzała, a ty odpowiadasz mi jak idiotce! Co to znaczy, że się przydadzą, kiedy mi się niechcący przydarzy? Dzwoniłam do Berniego i takie dowcipy nawet jemu wydają się niestosowne. Sorry, że ci przedtem nawrzucałam, ale... – Tu głos jej się załamał i dodała melodramatycznie: – To ryzyko dla dziecka, że planuję cię na matkę chrzestną.

Była rozgoryczona wyłącznie z powodu macierzyńskiej nadwrażliwości. Nie docierały do niej moje tłumaczenia. Inna sprawa, że ja sama ani trochę nie przykładałam się do awantury z Goską, tak klarownie rysującej się na przyjacielskim horyzoncie. Wizja mnie w roli matki chrzestnej stopiła moje serce jak wosk. Nigdy dotychczas nie piastowałam równie odpowiedzialnej funkcji.

Zresztą do tej pory nie byłam zorientowana, że Gośka mi wcześniej nawrzucała. To chyba pierwszy przypadek w histo-

rii, kiedy rozwrzeszczany szkolny kierat zagłuszył w nauczycielce negatywne wrażenia.

Przyjacielskie uczucia wezbrały we mnie jak rzeki na wiosnę. Rozpływałam się w ciepłych słowach, kiedy Gośka przebrała mi bez sentymentów:

– Więc obejrzysz je w końcu czy nie?

– Co? – umilkłam zdezorientowana.

– Pieluszki maluszka! Przecież mówię ci o nich od godziny! – wyjaśniła Gośka z nerwową przesadą.

Szczerze powiedziawszy, nawet jako doniosła i podniosła matka chrzestna nie znajdowałam powodu, żeby oglądać pieluszki. Bez przesady. Widziałam już pieluszki setki razy – i za każdym razem były dokładnie takie same.

– Te nie są takie same! – oburzyła się Gośka. – Musisz je obejrzeć, bo się na ciebie śmiertelnie obrażę, Do! Słowo honoru! I już nigdy nie dam się przebłagać!

Jak widać, sytuacja wyglądała kompletnie inaczej, niż to sobie wyobrażałam. To ja powinnam zabiegać o wybaczenie. To ja byłam na cenzurowanym. To moje losy się ważyły jako Wiernej Przyjaciółki Na Której Można Polegać.

Więc po lekcjach zamiast do domu, pojechałam do Gośki. Cóż począć!

Tym razem rezydowała w willi samotnie, jeśli nie liczyć maleńkiego embriona. Nawet Alfa nie zauważyłam. Może odchorowywał w ukryciu psiego kaca.

W salonie były rozłożone na moje powitanie dwie paczki pieluch. Wyglądały dokładnie tak, jak wyglądają pieluchy. Wszystkie pieluchy na świecie.

Zero zaskoczenia.

– No i co? – zagadnęła z dumą Gośka, jakbym podziwiała Brada Pitta, który rozsiadł się w jej salonie ugarniowany studolarówkami.

– Boskie! – oceniłam z przekąsem. – Myślę, że nikt na świecie takich nie ma. Absolutnie wspaniałe nawet bez boba-ska w środku. Może niepotrzebnie zachodziłaś w ciążę? Z dzieckiem będziesz miała tylko kłopot, a te cudowne pie-

luszki same w sobie pozwoliłyby ci poznać niepowtarza smak macierzyństwa. Czysty i niezepsuty przez natrętną i mowlącą fizjologię.

Gośka nie dała się zbić z tropu mojej gryzącej ironii.

– Dobra, dobra! Nie wysilaj się, Do, jeżeli nie wiesz, c mi chodzi. Zwróciłaś w ogóle uwagę, jakie one są?

– Rewelacyjne. Królewskie. Majestatyczne.

– To są myślące pieluszki! – wpadła mi w słowo Go z naganą w głosie. – Sprowadzili mi je z Kanady kurier pocztą dziś rano.

O, ja cię przepraszam! Macierzyństwo osiągało u niej katastrofalne rozmiary. W kurierskim tempie.

– Jeśli idzie o ścisłość, Gosiu, na miejscu pieluszek wol bym nie myśleć za dużo – wyjaśniłam. – To nie musi być : cjalnie przyjemne.

– Daj spokój! W ogóle nie wiesz, o czym mówisz, Do.

Złapała nożyczki do paznokci i patrząc w moje oczy z mym wyrzutem, nacięła jedną z pieluch. Po czym rozszarła ją bezlitośnie na pół.

– Nie przesadzaj! – przestraszyłam się. – Zostaw je, za wałam! Podobają mi się jak nie wiem co!

Gośka wywróciła zdewastowaną pieluszkę na drugą s nę. Podsunęła mi ją pod nos. W środku tkwił malutki bł czący element.

– To czip! – wyjaśniła. – Świat się komputeryzuje, cho poloniści najwyraźniej nie nadążają, jak widać po tobie. szę bardzo! Możesz sobie po staroświecku czytać ksią skoro chcesz, i do pracy jeździć dylizanssem, ale ja zamier wychować dziecko na nowoczesnego obywatela świata!

– Za pomocą tej małej czipy?

– Czipa! – poprawiła mnie ze złością Gośka. – Żebyś działa!

Rozsnuła przede mną oszalamiającą wizję świata nc zesnego – bo niedługo wszystkie pieluszki będą myślały, cie? Oczywiście nie dosłownie, tylko dzięki elektronicz aparaturze w środku, która wyręczy tradycyjne nianki. K

putery będą mówiły, roboty pracowały, a ludzie zajmą się zaśluzonym pićm kawy od siedemnastej, kiedy to wstaną z łóżka. Każdy niemowlak dostanie na pupę pieluszkę z czipem. Po wykorzystaniu pieluszki czip podłączy się do komputera za pomocą złącza USB i odpowiedni program zapisze zawartość pieluszki na dysku twardym. Nie dosłowną zawartość, rzecz jasna, lecz jej elektroniczny obraz. Czip odnotuje także temperaturę ciała bobaska, przeprowadzi analizę medyczną tego, co znajdzie w pieluszcze, po czym wyświetli na monitorze wskazania wynikłe z oględzin. Od zalecanych witamin po najbardziej wskazane zabawy ogólnorozwojowe.

Muszę przyznać, że po tym żarliwym wystąpieniu Gośki zaczęłam cieplej myśleć o RUMM-ie. Jak to dobrze, że istnieją.

Koniecznienie powinnam skonsultować z nimi Gośkę. Na wstępnym etapie nie umiałam stwierdzić, czy chodzi u niej o uzależnienie od miłości do dziecka, czy do komputera, czy do futurystyki. Ale już oni to rozgryzą, nie ma strachu.

Zrobiłyśmy sobie cappuccino i zjadłyśmy łyżeczkami odstały ajerkoniak Gośki, który nabrał konsystencji budyniu.

Byłyśmy obie tak podniecone, że nie wpadło nam do głowy, żeby sięgnąć po jakiś alkohol Berniego w płynie. Gadałyśmy w kuchni. Gośka mówiła o pieluszkach, ja o Saszy. Potem Gośka przerzuciła się na ubranka z samoregulacją temperatury, ja zaś pozostałam przy Saszy. Gdy Gośka poruszyła zagadnienie owocowych odżywek psychicznych genetycznie modyfikowanych, a ja wciąż mówiłam o Saszy, nabrałam podejrzeń, że siebie też powinnam skonsultować z RUMM-em. Kiedy tylko zaboli mnie ząb, wybiorę się do nich zamiast do dentysty. Po pierwsze, to przyjemniejsze od borowania. Po drugie, Mariola twierdzi, że z bólem jest się podatniejszym na detoksykację.

Może Gustaw ma jednak rację, pomimo swojej irytującej pyszałkowatości? Tkwią we mnie pokłady obsesyjnych mrzonek, których istnienia nie przeczuwam. Tylko czekają na okazję, żeby się ujawnić. Wyjść mi bokiem.

I pograć mnie w jakiejś idiotycznej miłości po raz kolejny.

W którymś momencie Gośka pogubiła się i odpowiedziała na moje pytanie, zamiast wyjaśnić mi tajniki bioekologicznych bućków przeciwozparzeniowych.

Jej odpowiedź brzmiała krótko i jasno: nie! Nigdy nie rozmawiała na mój temat z Saszą. Ani z jakimkolwiek innym Rosjaninem. Do wczoraj byłam kompletnie nieznana na niezmiernych przestrzeniach Rosji.

Więc to jednak nie Sasza. Od razu przeczuwałam. Przecież telefony zaczęły się w wakacje. Sasza w żadnym razie nie mógł mnie wtedy znać.

Ale zaraz! Spokojnie!

Kłopot w tym, że żaden z nich nie znał mnie w wakacje. Wszystkich co do jednego poznałam przecież w ostatni weekend.

Nie licząc Jarka Derdy, naturalnie.

Tak, to jest istotny wyjątek. Jarka znałam doskonale już w wakacje sprzed dziesięciu lat.

Mam cię, cichy wielbicielu!

Dekadę temu jeździliśmy wspólnie nad jezioro, kupowaliśmy piwo w kiosku malowanym w malwy, deprawowaliśmy się po krzakach. On mnie, ja jego, było fenomenalnie. Nie płakałabym, gdyby te czasy wróciły! A na dodatek w obecne wakacje Jarek akurat się rozwodził. Cierpiał na samotność i niedowartościowanie, tęsknił za bratnią duszą... To daje do myślenia!

Tylko jakim cudem nie rozpoznałabym jego głosu w telefonie?

Też sprawił sobie nowoczesną czipę i moduluje głos za jej pomocą? Ludzie całkiem wariują od powszechnej komputeryzacji, nie da się ukryć. Niedługo koty i kanarki będą zaliczały podstawowy kurs informatyczny, bo inaczej nie potrafią się porozumieć ze swoim odwiecznym druhem człowiekiem.

Niech mnie szlag!... Więc to naprawdę Jarek?

Och, jak mnie jednak denerwowała taktyka tego zniżkowego wielbiciela, kimkolwiek był. Osiągnął dzięki niej tyle, że nie wychodził mi z głowy.

Domorośli amatorolog!

Teoretyk uczuć wyższych!

Wykombinował, no!

Zakochani obsesyjnie myślą o swojej miłości – fakt, każdy o tym wie, nawet ktoś taki jak on. Skoro zatem nie umie sprawić, żebym się w nim zakochała po bożemu i skutkiem tego myślała o nim w kółko, zaczyna od końca. Najpierw obsesyjne myślenie, a w efekcie ulegnę zauroczeniu jako spragniona uczuć kobieta.

Wredne, ale poniekąd skutkuje, psiakość! Widzicie go, spryciarza?

Czy Jarka stać na taką przewrotność? W głębi ducha jest prostolinijny jak Wokulski – taki sam romantyk ze sklepem. No dobrze, sklep prowadzi może na niższym poziomie ekonomicznym niż tamten, niestety. Ale w romantyzmie na pewno mógłby Wokulskiemu dorównać!

Cóż, romantyzm przekracza możliwości uczuciowe bardzo wielu mężczyzn, jednakże nie przekracza możliwości płatniczych żadnego z nich. No bo co? Darmowy księżyc i darmowe czułe słówka...

Chociaż z drugiej strony romantyczna natura poparta kasą ma swój urok, nie przeczę.

Taki Sasza. Też romantyk – a z jakim finansowym rozmachem! Kwiaty, operetka, kelner w liberii, cygańska orkiestra. Jarek otulał mnie tylko szalem pod gwiazdami jesieni, co wychodzi nadzwyczaj tanio. Ponadto Sasza jest postacią mroczną, tajemniczą. Nie taję, że teoretycznie mógłby pociągać kobietę.

A Waldek? Czy nie romantyczna postać? Twórczy, intelektualnie skłębiony, w miłości stawia życie na jedną kartę. Rzadko który tak ryzykuje w dzisiejszych obłudnie racjonalnych czasach. Tak, Waldek jest frapujący, kiedy się nad nim zastanowić.

Gustaw rozpatrywany teoretycznie również wyrasta na romantyka. Facet opanowany przez demony swoich żądz. Walczący o nowy wspaniały świat bez zgubnych mrzonek.

Ja dziękuję, nie zdawałam sobie wcale sprawy! Romantyk na romantyku!

Kobieta musiałaby mieć cztery serca. Reszta żeńskiego organizmu jest przystosowana do dowolnej ilości romantycznych doznań. Ale serce by pękło.

Nie no, teraz oczywiście żartuję, choć właściwie nie ma z czego.

Na poważnie to z autobusu zadzwoniłam do Jarka.

Do mojego głównego podejrzanego jak na razie.

Był w Zakopanem po towar. Intrygujące! Zakopane nie kojarzyło mi się dotychczas z łowieniem ryb. Inna rzecz taki Gdańsk, dajmy na to. On, owszem, jest rybny w mojej świadomości. Jednakże Jarek po towar do sklepu wędkarskiego pojechał do hurtowni w góry. Nawet opisał mi przez komórkę nastrojową panoramę Tatr w blasku jesiennego dnia. To już kosztowało go zdecydowanie drożej niż otulanie szalem.

– Co porabiasz jutrzejszego popołudnia? – zapytałam.

– O, jutro mam w planach coś nadzwyczajnie ważnego. Jutro dzwonię do ciebie, żeby umówić się z tobą na kawę.

Ach, jak pięknie! Ale podsunęłam mu lepszy pomysł. Gdybyśmy tak wybrali się nad nasze młodzieńcze jezioro? Wspominać. Póki jesień jest złota jak miłość.

Jako romantyk, Jarek przystał na to z zachwytem.

Pierwsza nitka mojego śledztwa zaczęła powolutku prowadzić do kłębka.

Szłam z przystanku do domu ogromnie z siebie zadowolona. Na schodach dogonił mnie SMS od Goški.

„Co z Saszą? Dlaczego nic nie mówisz?”.

Zachowałam zimną krew. Weszłam do mieszkania, rozebrałam się, zrobiłam sobie herbatę i dopiero na spokojnie odesemesowałam Gošce z kanapy.

„Mówiłam ci o nim przez bite dwie godziny. Następnym razem będę mówiła do twoich pieluszek. One przynajmniej myślą!”.

„I co mi o nim mówiłaś?” – błyskawicznie zainteresował się SMS od Goški.

„Nie wiem, nie uważałam – przyznałam się. – Byłam podenerwowana”.

„Czym?”

„Że pieluszki podsłuchują!” – odpisałam zirytowana i wyłączyłam komórkę.

Wysłałam na zakupy. W domu miałam tylko szampon i tampony.

W markecie wydało mi się, że pomiędzy półkami dostrzegam znajomą postać. Raz jakieś nieobce mi ucho za keczupami, raz nos wśród makaronów. To były puzzle zdecydowanie męskie. Całkiem przystojne.

Wpadło mi do głowy, że moją duszę trawia być może nieszczęsne miłosne reminiscencje i pod ich wpływem po anatomicznych resztówkach rozpoznałam mocą kobiecej intuicji Romana. To jest on. Nikt inny. Z uczuciowego przyzwyczajenia nadal robi zakupy w naszym dawnym sklepie razem ze swoją panną młodą, dzieckiem, teściową i kuzynami ze strony stryjecznego pradziadka. Wobec tego zaczęłam poruszać się pomiędzy półkami nad wyraz ponętnie. Kusząco. Żeby jak w reklamie: „zobaczyć błysk zazdrości w oku byłego”, gdybyśmy zniecka na siebie wpadli. Chociaż tamta dziewczyna z reklamy była świeżo po zakupach u Diora, a ja tachałam póki co łazanki, środek do udroźniania rur i płyny do kąpieli.

Odnosiłam wrażenie, że ten fragmentarycznie widoczny Roman tropi mnie ukradkiem po wszystkich stoiskach. Czyżby celowo?

Przy wyjściu wpadłam niespodziewanie na Gustawa i kawałki połączyły mi się w całość. To jednak wcale nie był Roman, tylko Gustaw. Nie zgadłam. Zgadłam tylko tyle, że ktoś znajomy. Mój Boże, czyżby to był objaw miłosnego ozdrowienia, że już nie potrafię odróżnić Romana od innych znajomych mężczyzn? Wiele bym za to dała!

– Co za miłe spotkanie! – wykrzyknął na mój widok Gustaw.

Dzisiaj był w wersji lirycznej, nie wyniosłej. Ponadto zbyt teatralnie okazywał zaskoczenie naszym przypadkowym zej-

ściem się. Uosobienie zdumienia. Jakby w drzwiach marketu wpadł na UFO. Dziecko by rozszyfrowało, że on tylko udaje zdziwienie. Zachowywał się do tego stopnia niewyraźnie, że moje dotychczasowe podejrzania co do Jarka wydały mi się przedwczesne.

Może to jednak Gustaw, a nie Jarek?

Postanowiłam nie ułatwiać mu sytuacji.

– Gustawie! Skąd ty tutaj? W życiu nie widziałam cię w moim sklepie.

– A bo... tego... to nie po drodze... – bąknął bezsensownie. – Chciałem do ciebie zajrzeć, ale nie miałem twojego numeru. To znaczy chciałem zatelefonować, ale nie znałem adresu... To znaczy odwrotnie!... Wychodzisz?

Ho, ho! Agatha Christie obudziła się we mnie na całego.

Co on powiedział? Że nie ma mojego numeru telefonu. A dlaczego to powiedział? Żeby wiedziała, że nie mógł do mnie dzwonić! A po co mu to alibi? Czyżby wiedział, że ktoś do mnie wydzwaniał? Oooo, Gustawie! U Agathy Christie facet z żelaznym alibi zawsze coś podstępnie knuje! Niewinni nie mają żelaznego alibi, bo na diabła im ono?

Nie ma co się czarować! Gdyby tylko zechciał, dowiedziałby się od Marioli, jaki mam numer telefonu. W pięć sekund!

Po jakie лихо włóczy się po mojej okolicy? Po co mnie śledzi między makaronami i keczupami? Po co aranżuje przypadkowe spotkanie? Tyle sekretów na niewinnego? Wolne żarty!

Wyszliśmy razem.

Gustaw po dżentelmeńsku wziął ode mnie torbę z zakupami i zaproponował, że podrzuci mnie samochodem. I tak ma do mnie interes. Zamierzał skontaktować się ze mną w sprawie tego obiecane go odczytu dla RUMM-u. Czy zdążyłabym ewentualnie na przyszły weekend?

Dzisiaj nie miałam na sobie stringów z serduszkiem, więc czułam się w jego samochodzie pewnie i dominująco. Mogłam swobodnie snuć intrygę detektywistyczną.

Na dobry początek zapewniłam, że mogę zdążyć z odczytem na dowolny termin, żaden problem. I tu sprytnie zarzuciłam sieć!

Tylko czy on, Gustaw, surfuje po Internecie? – rozszczebiotałam się uwodzicielsko. Ponieważ koleżanka ze szkoły podsunęła mi pomysł, że niejaki Alcnar pisał o duchowych aberracjach miłości fizycznej. Słynny elementarz miłosny Alcnara. W naszej bibliotece nie ma tego. Ale gdyby Gustaw mógł sprawdzić w Internecie, przyspieszyłoby to moją pracę. Bo ja nie mam dostępu. A wtedy na weekend byłabym stu-procentowo gotowa! Brakuje mi tylko tego Alcnara.

– Byłbyś tak miły, Gustawie, i przedzwonił do mnie, gdybyś znalazł?

– Nie ma sprawy! Kiedy tylko się dowiem, Dominiczko! Najlepiej sam ci przywożę wydruki!

– Nie, nie! – powstrzymałam go przestraszona. – To znaczy, tak, oczywiście, jeśli będziesz taki miły. Ale najpierw przedzwoń, a ja ci powiem, co wydrukować!

– Okej! Podaj mi tylko swój numer telefonu.

A jednak! Nie dał się podejść, szczwany lis!

Zadzwoił od razu wieczorem. Akurat siedziałam w wannie i nie miałam przy sobie komórki, więc musiałam po nią na moment wyskoczyć z ciepłej wody.

– W Internecie nie ma Alcnara – zakomunikował żałobnie Gustaw. – Tak mi przykro. Nie przekreśliłaś przypadkiem nazwiska?

Oczywiście, że nie przekreśliłam. Wymyśliłam je na poczekaniu. Ale tego nie zdradziłam, rzecz jasna, Gustawowi. Powiedziałam, że nie szkodzi, zrezygnowałam z Alcnara. Jest staroświecki metodologicznie, wpadłam na nowocześniejsze ujęcie tematu. Najlepsze pomysły przychodzą mi do głowy w kąpielni, a właśnie się kąpię.

Zdradziłam te intymne okoliczności celowo, nawet zapluskałam do komórki, żeby Gustaw pozbył się złudzeń, że mam na sobie wiadome stringi. Mówił bowiem takim głosem, jakby męczył się psychicznie w oparach pożądania. To było krępujące.

Zapytałam na koniec, czy dodzwonił się bez problemu. Bo mam ostatnio kłopoty z telefonem.

– O, tak! Za pierwszym razem – westchnął lirycznie ni w pięć, ni w dziewięć.

Voilà, mam cię, oszuście erotyczny!

Znał mój numer. Co wy na to? Podałam mu na końcu dwójkę, a w rzeczywistości jest trójka. Mimo tego podstępnie wykręcił prawidłowo! Czułam, że tak będzie – na drugie mam Agatha Christie!

Ukradkiem zdobył numer mojego telefonu, krąży po okolicy w nadziei ujrzenia mnie chociaż z dala, szuka po Internecie nieistniejącego seksuologa i przykro mu w moim imieniu, kiedy go nie znajduje. Czyżby Gustaw naprawdę się ode mnie uzależnił? No to pięknie!

Chyba że to ja sama jestem makabrycznie i niewyobrażalnie uzależniona od Agathy Christie!

Podróż sentymentalna

Pojechaliśmy z Jarkiem jak niegdyś pociągiem. Żeby przywołać tamten nastrój. Najwidoczniej oboje byliśmy sentymentalni.

Na drogę włożyłam spodnie, bo rano zdarłam sobie kolano. Z pośpiechu znowu wdepnęłam w kosz od Saszy i wyłożyłam się jak długa. Poszły rajstopy. Zdażyłam wrócić do mieszkania, przebrać się, ale do szkoły już nie zdążyłam. Trzecia be uciekła z mojej lekcji. Odsiedziałam do przerwy w pustym pokoju nauczycielskim zła jak osa, że wdepnęłam w różę, zamiast po prostu dłużej pospać.

Ale na widok Jarka przeszło mi. Gdy wysiedliśmy na sypiącej się stacyjce, słońce przygrzewało, jakby czas cofnął się do tamtego lipca. Tylko że zaraz wiatr wywiał nam spod nóg żółkłe liście jesieni, a zawiadowca był młodszy niż dawniej. Co smutne, bo pewnie ten stary umarł.

– Pamiętasz? – zapytałam melancholijnie. – Tu wyznałam ci niewinne dziewczęce uczucia.

Spojrzał na mnie raczej podejrzliwie niż melancholijnie.

– „I love you cię jak gwóźdź w bucie!” – zacytował patetycznie.

Tego nie pamiętałam. Prawdopodobnie moje własne wspomnienia wróciły do mnie w ciut wyidealizowanym wariancie.

– Tak powiedziałam? – uśmiechnęłam się bagatelizująco. – No wiesz, w okresie zamętu emocjonalnego pisuje się wiersze, kurczę. Nie zawsze wychodzą. Chyba nie masz mi tego za złe?

– Ależ to było urocze, Dominiko! – zapewnił czule. – Miałaś taką króciutką sukienkę w grochy, pamiętam jak dziś!

Aha, on kojarzył ten wierszyk raczej z mową ciała. Może omamiony moją sukienką nie przemyślał do dzisiaj werbalnej strony komunikatu?

Z okien dworca widać było wytworną hotelową restaurację. Gdy przed laty jadaliliśmy bigos z pomidorami w dworcowym barze, marzyliśmy o niej jak szaleni. Że w przyszłości, jako zamożna para, zafundujemy tam sobie obiad z trzech dań, patrząc przez firanki à la markiza Pompadour na dworzec à la towarzysz Gierek. Ale teraz postanowiliśmy zjeść na stojąco przy znajomym wysokim blacie na dwóch zabetonowanych nogach. Tu, gdzie do dziś stołowały się nasze zakochane duchy.

– Tylko nie bigos z pomidorami! – zastrzegłam. – Pizzę!

– Z colą? A na deser lizaki? To jest danie dla małałatów z ich strusimi żołądkami! – wypowiedział się Jarek tonem zasadniczym.

No, no! Jednak jego łysina nie była przypadkowa. Gdzie te czasy, gdy jadł, co się nawinęło, i spał, gdzie popadnie? Wątpię, żeby to on zafundował mi pizzę przy takich konserwatywnych poglądach. Gdyby maczał w tym palce, Jakub przyniósłby mi wczoraj ekologiczny kotlet ze szczawiu w kanapce z otrębami.

Zjedliśmy zatem dystyngowany gulasz à la Hungaria, popiliśmy piwem i poszliśmy spacerkiem nad jezioro. Słońce skryło się za chmury, tafla wody przybrała kolor grafitu. Na drugim brzegu jesienny las majaczył w niebieskiej mgiełce.

Para małolatów całowała się, stojąc po kostki w wodzie. Przerywali, żeby na spółkę zaciągnąć się papierosem trzymanym w ręku razem z butami.

Jeśli chodzi o mnie, jeszcze bym się na coś podobnego zdobyła, ale Jarek nie wykazywał ochoty. Choć w gruncie rzeczy to takie nic, prawda? Najbardziej rozsądne szaleństwo świata! Pobiegać boso po lodowatej wodzie, zatańczyć przytulane tango na dachu parostatku... Zaczęłam podejrzewać, że razem z włosami traci fantazję.

Poza tym kompletnie rozeszliśmy się we wspomnieniach. Istny szpagat pamięciowy w wykonaniu dwóch naocznych świadków!

Według niego rozkładaliśmy koc u podnóża skarpy, według mnie pod krzakami. Według niego kiosk z napojami stał po lewej, według mnie to była wypożyczalnia dmuchanych materacy. Dla niego głośniki grały disco polo, dla mnie wciąż się psuły.

Żeby jeszcze Jarek mylił się na własne konto! Gdzie tam! Irytująco dowodził, że napisałam w mojej przesławnej książce wszystko to, co mi teraz gołosłownie wmawiał. Podczas gdy cała ta książka była pomyłką z każdego punktu widzenia. I miłosnego, i faktograficznego, i personalnego.

Po pewnym czasie w ogóle przestałam się odzywać. Atmosfera robiła się nabrzmiała i ciężka. Nie byłam już skłonna podejrzewać Jarka o cokolwiek. Ani o dobre, ani o złe. Zwłaszcza o podstępne uwodzenie mnie przez telefon. To nie w jego stylu! W każdej sprawie jest na pewno czysty i ekologiczny. Gdyby napisała o nim Agatha Christie, wystąpiłby w roli denata. Najbardziej niewinnej postaci w kryminalnej powieści. No i zero życia w sobie, to też pasuje jak ulał!

A jednak gdy emocjonalnie byliśmy już na dnie, Jarek postanowił zabłysnąć przede mną jako mężczyzna. Poszuki-

wacz, wojownik i zdobywca. Jakby odgadł, co się kłębi w otchłaniach mojej skołatanej duszy.

– Popłyniemy na naszą wysepkę! – zdecydował nieoczekiwanie, gdy na piasku plaży wypatrzyliśmy porzuconą łajbę.

Nie pamiętałam, żebyśmy mieli wysepkę, ale ten nagły objaw ułańskiej fantazji wrócił mi wiarę w życie. W odpowiedzi na rozbudzoną męskość Jarka, obudziłam w sobie rozbrajającą kobietkę i spytałam, czy łódź nie przecieka. Tu są podobno głębie z czasów pierwszej wojny światowej. Bombardowano wówczas intensywnie jezioro, choć do czego to było potrzebne w sensie militarnym, nie wiem. Mężczyźni zawsze mieli swoje słodkie tajemnice.

Jarek skrupulatnie obejrzał łódź. Zawyrokował, że jest w najlepszym porządku, tylko brakuje jej wiosła. Ale on, wychowany na dobranocce o pomysłowym Dobromirze, nie z takimi kłopotami radził sobie w życiu. Robił latarkę z butelki po mleku i kompas ze skarpetki. Kiedy za moment przytargał skądś kawałek deski, który z powodzeniem mógł zastąpić wiosło, mój sentyment dla szkolnej miłości odrodził się prawie w stu procentach.

Nie ulokowałam uczuć tak znowu fatalnie. Może wcześniej Jarek czuł się niezdrowo po gulaszu à la Hungaria i stąd jego chwilowa apatia? Całe szczęście, że ustąpiłam z tą wywrotową pizzą, bo po niej mógłby już nie wrócić do równowagi. O łysiejącego mężczyznę trzeba zadbać kulinarnie, jeśli ma nam dobrze służyć.

Wypłynęliśmy z przybrzeżnych zarośli na szerokie wody. Przypomniałam Jarkowi, jak to kiedyś zaplątaliśmy się wodnym rowerem w szuwarach. Nie wzbudziło to w nim spodziewanej ekscytacji. Uśmiechnął się tylko grzecznościowo. Czyżbym to z kim innym całowała się po szuwarach? Muszę uważać, psiakość.

– A pamiętasz tę zwariowaną noc... – zaczął z kolei on i przerwał.

– Może? – odezwałam się lirycznie. – Dokończ.

– Nie, raczej nie pamiętasz. Pomyliłem cię z... Pomyliłem się!

Proszę! On też nie żałował sobie pomyłek w życiu. Ciężko wchodziło nam się po raz drugi do tej samej miłości. Choć do tej samej wody wparadowaliśmy z fasonem. Jarek wiosłował obłamaną deską jak całkiem przepisowym wiosłem.

Brzeg oddalił się, całośni małolaci zniknęli nam z oczu. Nie było już komu zazdrościć. Zresztą za chwilę mogłam zrobić to samo co oni i to na znacznie głębszej wodzie. Przymknęłam oczy z rozmarzeniem. Fale chlupały o burty. Cudownie pachniało jesienną wilgocią. Słyszałam odległe nawoływania faceta, który na molo rzucał psu patyk do aportowania.

A potem i molo zostało za nami.

Jarek opowiadał o swojej pracy, ale nie o robakach, tylko o zawodach wędkarskich. Widocznie w tej chwili świat mu się podobał. Mnie też było dobrze – po raz pierwszy od wielu tygodni. Pod zamkniętymi powiekami przesuwiał mi się jakiś kolorowy film, pozbawiony treści, ale za to mający w sobie cudowną atmosferę.

Kiedy otworzyłam oczy, wysepki wciąż nie było w zasięgu wzroku. Jak okiem sięgnąć, po niebie kłębiły się czarne chmury. Ostrzegłam Jarka, żeby nie wypływał za daleko.

Ma się na burzę.

Ale on nie po to odzyskał ułańską fantazję, żeby ją porzucić z powodu byle załamania pogody. Uspokoił mnie, że dawno jest już po lecie, wobec czego burze są nieaktualne.

I tej wersji trzymał się do trzeciego grzmotu. Wtedy trochę ustąpił. Zapewnił mnie, że to ostatnia tegoroczna burza. Tak daleko, że nie warto się nią przejmować.

Niestety, ani łajba, ani pogoda nie wzięły sobie jego słów do serca. Warunki żeglugi pogarszały się w zawrotnym tempie. Wiatr spychał nas nie wiadomo gdzie, kropił deszcz. Nieśmiało podsunęłam pomysł, żebyśmy wracali do brzegu.

– Naturalnie, Dominiko! Wracamy, przecież widzisz!
– zapewnił Jarek.

Problem w tym, że nie widziałam tego, niestety.

Widziałam tylko błyskawice, które wbrew zapewnieniom Jarka nie były przypisane do jakiejś odległej, nieważnej burzy. Rozdzierały czarne niebo tuż nad naszymi biednymi głowami.

Jarek wiosłował mokry od deszczu, ale brzeg się nie przybliżał. Łodzią rzucało aż do mdłości. Co chwilę popadała w upiorne chyboty. Oboje łapaliśmy się wtedy kurczowo burt. Zaciśnięte ręce Jarka wydały mi się w pewnym momencie złowróbne. Nawet gdyby zignorować tę małżeńską obrączkę nie do zdjęcia.

Rozejrzałam się tknięta podejrzeniem.

Sztacheta do wiosłowania kolebała się w sieczonej deszczem wodzie.

– O, nie! Zgubiłeś nasze wiosło, Jarku?

– Co to za wiosło? Zwykły kawałek deski! – pocieszył mnie nieszczerze.

Zdjął kurtkę, okrył nią troskliwie moje ramiona. A sam, w cienkiej koszuli, wystawił się bohatercko na działanie ulewy. Zrozumiałam, że jest z nami naprawdę źle! Mężczyzna zdobywa się na bohaterstwo wtedy, kiedy nie ma absolutnie żadnego racjonalnego pomysłu.

Deszcz zamienił się w wodospad. Szumiał w uszach i pod czaszką, skrył zalesione brzegi za wodną kurtyną.

– Bez obaw, Dominiko. To w gruncie rzeczy kałuża, a nie jezioro.

Takie zapewnienia nie pocieszały mnie ani trochę! Utonięcie w kałuży jest już zupełnie kretyńskie. Moi uczniowie będą chichotać na pogrzebie jak w kabarecie. Co za blamaż! Już słyszę pożegnalne przemówienie dyrektorki i widzę jej szyderczą minę! Miejmy nadzieję, że jednak tu nie umrę, bo inaczej to byłby mój koniec!

Jarek leżał na brzuchu i zawzięcie wiosłował rękami. Łódź leniwie kręciła się w kółko. Brzeg był raz bliżej, raz dalej, bo raz widzieliśmy ten, a raz tamten.

W butach poczułam wodę i wrzasnęłam wystraszona. Łódź nie była taka nieprzemakalna, jak wynikało z oględzin Jarka. Niebo błyskało po horyzont.

A woda ściąga pioruny! – uświadomiłam sobie ze zgrozą.

– Pomogę ci! – zdecydowałam i położyłam się obok Jarka.

Wiosłowaliśmy na cztery ręce, ale łódź dryfowała niezależnie od naszych wysiłków. Przemokłam z dwiema kurtkami na grzbiecie. Ciężyły i ziębiły, jakby ktoś zarzucił mi na plecy górę lodową.

Nie mogłam uwierzyć, że coś takiego przydarzyło mi się akurat teraz, kiedy mam się za usatkwowaną, doświadczoną przez życie kobietę. Nawet moim najbardziej rozrabiackim uczniom trafiają się inteligentniejsze wpadki!

Jarek wyciągnął komórkę i zdecydował, że ściągniemy pomoc. Poradzilibyśmy sobie sami, orzekł dumnie, ale z pomocą też sobie poradzimy. Nadawał jak telegrafista z *Titanica*. Czyli dramatycznie i bezskutecznie. Spróbowałam ze swojej komórki. Też nie miała zasięgu, tyle że reagowała na uderzenia piorunów. Omal nie wypadłam za burtę, kiedy zaskowyczało mi w uchu.

– Bez brawury, Dominiko! W czasie burzy nie wolno używać komórek! – wyjaśnił Jarek, łapiąc mnie za kołnierz. – To cholernie niebezpieczne!

Wiem o tym, ale sam używał. To mnie zmyliło. Byłam naprawdę zdenerwowana tym, co się dzieje! Nie miałam pojęcia, co nam realnie zagraża, a co jest tylko malowniczym niegroźnym dodatkiem do burzowej scenerii. W świetle błyskawic powierzchnia jeziora lśniła jak monstrualne lustro. Woda wrzała od deszczu. Bałam się spojrzeć pod nogi, bo tam chlupało. Dłonie miałam lodowate.

Od jakiegoś czasu w głowie wyświetlał mi się konsekwentnie *Titanic*. I to sama końcówka, bez uprzednich przyjemności, których Kate Winslet zaznała z Leonardem DiCaprio w wytwornych kajutach.

Nasza łódź też pięknie na pół, zabalgocze tragicznie, idąc pod wodę...

Dlaczego kino aż tak bezczelnie kłamie? W tym nie ma odrobiny romantyzmu. Lodowaty tyłek i siąkający nos. W takich okolicznościach nie da się kochać aż do śmierci, nawet jeśli to już niedługo!

– Masz supertorebkę! To skóra? – zagadnął wykwintnie Jarek.

Popatrzyłam na niego z przerażeniem. On był już w ogóle z innego filmu. *Z Lotu nad kukulczym gniazdem!* W naszej sytuacji komplementować mnie za torebkę?! Może chciał mi na koniec powiedzieć coś miłego, nieszczęsny?

– Gdybyś przełożyła rzeczy do kieszeni, Dominiko...

– To co?

– Moglibyśmy użyć twojej torebki do wylewania wody!

Ulżyło mi na moment. Nie zwariował z nadmiaru wrażeń, na szczęście. Po prostu nadal usiłował być pomysłowym Dobromirem.

Nie zgodziłam się jednak. Ja też nie zwariowałam! To moja najlepsza torebka! Gdybym wiedziała, przysłałabym na randkę z wiaderkiem.

Jarek zapewnił lekko wzburzony, że jeśli pójdziemy na dno, torebka i tak nie będzie mi potrzebna.

– To włożą mi ją do trumny! – zirytowałam się. – Kosztowała majątek i jeszcze się nią nie nacieszyłam!

– Zawsze chciałaś być skremowana, Dominiko! – przypomniał mi.

– A co to zmienia? – uparłam się. Czy skremowana kobieta nie ma prawa wyglądać szykownie?!

Czułam, że z wolna gubię się w sytuacji. Jeśli z tego wyjdę, to chyba jakaś przetrącona psychicznie. Huknęło. Po jeziorze rozlał się poblask od drzewa, które zapłonęło jaskrawym płomieniem na dalekim brzegu. Kłęby czarnego dymu położyły się na wietrze. Ledwie widziałam Jarka na drugim końcu łodzi. Ściągał koszulę w strugach deszczu, dysząc parą. Początkowo próbował wylewać wodę butem, ale zrezygnował.

Niemniej zdjętą koszulą tym bardziej nie miał szans opróżnić łodzi. Byłam pełna obaw co do jego dalszych zamiarów.

– Weź tę torebkę, trudno! – zdecydowałam z poświęceniem.

Czy on kiedykolwiek będzie umiał docenić, ile dla nas zrobiłam?

– Nie, już nie ma co! – Rzucił skłębioną koszulę na dno łodzi. – Złap mnie za szyję, Dominiko! Doholuję cię do brzegu!

– Co ty opowiadasz?! Zazębimy się w lodowatej wodzie bez ubrania! – rozplakałam się bezradnie.

Widok zaniedbanej muskulatury Jarka, której miałam powierzyć moje młode życie, nie poprawił mi humoru. Po raz drugi w życiu ogarnęła mnie pewność, że marnie zginę. Po raz pierwszy było to na egzaminie magisterskim, ale wtedy zachowałam odrobinę nadziei, że ujdę z życiem. Teraz nie.

Czy to rzeczywiście możliwe, że skończę bez pointy, bez wnuków, bez idei, która nada mojemu życiu sens? W ogóle bez niczego, jakbym żyła niepotrzebnie? Tylko z torebką?!

Nie zamierzałam dopuścić do takiego absurdu!

– Kocham cię, Jarku! – wyznałam, łykając deszcz i łzy.

– Co? Ty mnie? Teraz?

Zachwiał się razem z łodzią, ściągając przemoczone spodnie.

– Zawsze! Od pierwszego wejrzenia. Reszta mojego życia była pomyłką!

Kochałam go w chwili ostatniej. Naprawdę, wiercie mi. Przymusiłam się zaledwie troszeczkę. To moje wierne uczucie miałoby sens. Wyrosłam już z głupich, zbyt uczuciowych miłości. One tylko zatruwają kobiecy los. Gdybym utonęła z ukochanym, którego mistyczny bieg zdarzeń zwrócił mi po latach mojej tułaczki pośród przypadkowych mężczyzn, zwieńczyłabym życie optymistycznym akcentem. Podniosłam! Jak większość obsady *Titanica*! Nie utonęłabym bezsensownie w głębinach prowincjonalnej kałuży. Wiedziałabym, że to Marokańska Róża Przeznaczenia z mojego biodra kazała mi umrzeć na przeciekającej łajbie, a nie moja durna lekkomyślność.

Po głowie biegały mi chaotyczne, ale podniosłe myśli. Łódź chlupała, przeciekające dno kolebało się pod stopami. Wyciągnęłam ramiona.

W strugach deszczu Jarek wziął mnie w mokre objęcia.

I stała się światłość pod mrocznym pułapem nieba! Jakby ta miłość nas zaczarowała!

Snop blasku przebił deszczową oponczę.

Usłyszałam wznoszący się ryk silnika. Wrzasnęłam ze strachu, kiedy wywołana przez motorówkę fala przewróciła nas objętych na dno łodzi. Ponad burtą majaczył przed moimi na wpół oślepienymi oczami brezentowy kaptur.

– Policja wodna! Napastuje panią?!

Odkrzyknęłam z ulgą, że nic się nie stało. W porządku! Tylko toniemy! Ratunkuuu! Niech ktoś szybko coś zrobi!

Wciągnęli nas na pokład, owinęli dla rozgrzewki mokrymi kocami. Suchych nie mieli. Widzą gołego faceta z wystraszoną babką, to co mają myśleć? Że toną? – zapytali rzeczowo.

Trzeba być zbrojcem, żeby napastować kobietę w taką pogodę, obraził się na nich wciąż jeszcze rozdygotany Jarek. Czy nie widzą, że to najprawdziwsza miłość? Chyba mają dewiacje zawodowe przy ocenie sytuacji.

Pociągnęłam go za rękę, żeby dał spokój. Miałam kretyńskie wrażenie, że już nie jestem w nim tak szaleńczo zakochana jak przed momentem.

Policjanci ze swojej strony też się obrazili. Skoro jesteśmy tacy uczuciowi, pokryjemy koszty wezwania. Po co Jarek telefonował, skoro nie ma próby usiłowania napastowania?

– Zasięgu na jeziorze też nie ma! – zachnął się Jarek. – Jak mogłem dzwonić?

Wylegitymowali go skrupulatnie i ustalili, że nie on dzwonił. Prawdopodobnie. Chyba że podał fałszywe nazwisko.

– Nie mam fałszywego nazwiska! – wrzasnął wściekle Jarek. – Nazywam się tak, jak tam jest napisane! I proszę mi się przedstawić także! Łącznie z numerem służbowym!

Za to kazali mu jeszcze dmuchnąć w alkomat.

Uspokoił się, ale nie do końca. Bardzo źle znosił świadomość, że ułańska fantazja zawiodła go w konfrontacji z trudami życia. A pomoc przyszła zupełnie nie w porę. Już prawie rozkochał mnie w sobie na wieki, już prawie rzucił się heroicznie w pław ze mną u szyi, a na dodatek już prawie burza przeszła, bo czarne chmury rozpełzły się po niebie, nim motorówka dobiła do przystani.

Rozumiałam jego uczucia, ale nie miałam siły go pocieszać. Siedziałam zziębnięta pod kocem, dygotałam nerwowo, słuchałam rozmów jednym uchem. Ocknęłam się, gdy dotarło do mnie nazwisko mężczyzny, który zadzwonił po pomoc dla nas.

– Jak się przedstawił? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Bingo! – powtórzył służbiście policjant w kapturze.

– Obywatel Bingo!

Lekcja całowania

Przemoczony Jarek rozchorował się już w drodze powrotnej. Ale żebyście zgadli, na co! Odezwał mu się ropny zab! Obstawiałabym wszystko – zapalenie płuc, niewydolność nerek po gulaszu à la Hungaria, tydzień kataru, przepuklinę od wiosłowania. Ale nie górą czwórka! Męskie organizmy są nieodgadnione.

Wróciłam na mój przytulny stryszek po jedenastej. Leciałam z nóg. Na kłamce wsiała róża od Saszy w foliowej reklamówce. Pojedyncza. Ten minimalizm nie poprawił mi samopoczucia. Czyżby Sasza ograniczył swoje uczucia do mnie? A zwłaszcza wydatki na uczucia? W obecnym stanie ducha nie umiałam stwierdzić, czy miłosa oziębłość ruskiej mafii to dla mnie lepiej czy gorzej.

W mieszkaniu krajobraz po bitwie. Pół szafy na podłodze drugie pół rozrzucone po meblach. To były ślady mojej żaźar

tej walki o punktualne stawienie się na dworcu kolejowym parę godzin temu. Jarek po dentyście zapowiedział się z wizytą, więc powinnam doprowadzić moje gniazdko do porządku. Choćby po wierzchu. Na szczęście dentysta zabroni jeść – odpadało mi przynajmniej szykowanie kolacji.

Wlażłam do wanny, kombinując, co zrobić, żeby bałagan sprzątnął się sam. Zmienić mieszkanie – innej metody nie ma. Ale na takie porządki nie było mnie na razie stać. Postanowiłam, że ze względu na fizyczne wycieńczenie sprzątnę mieszkanie po łebkach. A konkretnie podniosę ze środka dywanu torebkę po róży od Saszy. Usunę ją z pola widzenia, żeby nie prowokować męskiej zazdrości Jarka.

W trakcie operacji „Schłudność” z torebki wypadło pudełeczko i liścik.

A jednak to nie był podarunek od Saszy.

Liścik zawierał polecenie dla mnie. Miałam łykać załączone pastylki, bo w przeciwnym razie romantyczna burza na jeziorze wyjdzie mi bokiem. Podpisano – Bingo. Tak jakby zazdrosny Bingo, wnioskując z jego surowego tonu. Czyżby, nie daj Bóg, widział, co wyprawiałam na jeziorze? No a jak inaczej? – uprzytomniłam sobie nagle ze wstydem. Gdzieś tam musiał się pałętać po brzegu w zasięgu wzroku, skoro wezwał pomoc dla mnie.

Dotąd mój cichy wielbiciel tylko mnie intrygował. Teraz zaczęłam się go z lekka obawiać. A jeśli to świr? Skąd może wiedzieć o mnie aż tyle, łącznie z prywatnym adresem? Kiedy ja sama poprzednio się zakochałam, nie wiedziałam o moim wybranku niczego. Tajemniczość jest najlepszym afrodyzjakiem. A ten pożąda encyklopedycznej wiedzy o oblubienicy? Przecież to najprostsza droga, żeby zniechęcić się do kobiety, a nie ją wielbić.

Widziałam film, w którym pacjent uciekł z psychiatryka i zakochał się w pierwszej napotkanej dziewczynie. Niby to było w stanie Luizjana, ale jednak. Wynajął mieszkanie naprzeciw, żeby ją obserwować, zainstalował ukryte kamery w jej łazience, mikrofon w lampce nocnej, a w końcu wpuścił aliga-

torą do basenu, bo się zawiódł w uczuciach. Chryste, tylko z aligatorem w basenie byłoby to u mnie kłopotliwe dla niego. Lampkę i łazienkę mam tak samiuteńko, jak mają w Luizjanie.

Wyrzałam przez okienko przy podłodze (pozostałe są w suficie, jak to na stryżku). Noc, mgła, latarnie mętne jak w dreszczowcu, ale nikt nie stał na pustej ulicy w charakterze ciemnej sylwetki i nie wpatrywał się złowieszczo w moje okno. Do łazienki też zerknęłam. Gdyby zainstalował kamery, żeby podglądać mnie w kąpieli, powinnam robić makijaż przed wejściem do wanny.

Nie, nie ma z czego żartować! Przecież to może być nie wiadomo kto? To nawet już jest nie wiadomo kto!

Z tych posępnych rozważań wyrwał mnie dzwonek przy drzwiach. Zgarnęłam do szafy kłęb ubrań, psiknęłam się perfumami i pobiegłam otworzyć Jarkowi.

Na jego widok omal nie zemdlałam ze strachu.

A ściśle biorąc, nie na jego widok, tylko na widok tego, kogo zobaczyłam. To stanowczo nie był Jarek. Na mojej wycieraczkę stały ramię w ramię dwa ufoludki. W kombinizonach, z wielkimi lśniącymi głowami, w których odbijałam się z rozdziawioną szczęką na tle moich własnych drzwi.

Co prawda, ufoludki były czarne, a nie zielone zgodnie z kosmiczną tradycją. I miały na sobie mnóstwo nalepek, jakby przysłało je do mnie ziemską pocztą.

– Widzisz? Jest w domu i nie śpi! Ja zawsze wiem! – pochwalił się niższy.

Odpiął pasek i zdjął z karku kask motocyklowy.

Uszczypnęłam się, czy nie śnię.

Pod kaskiem wieczorny przybysz nadal był ufoludkiem. Konkretnie – Marsjaninem, mieszkańcem Czerwonej Planety. Tak wynikało z jego koloru. Rude kręcone włosy, rude brwi, policzki pokryte gęstwiną rudych piegów. Tudzież wściekła ruda pomadka na ustach.

– Hejka, Do! – przywitał się, ładując mi się do mieszkania – Daj klucz od tylnych drzwi, to Ken schowa swoją cud-yamahe. Bo mu podpieprzą i będę miała wydatki.

Aśka! Niech mnie UFO porwie!

Zdaje się, że zrezygnowała z castingu na makaron nitki i przygotowywała się do roli spaghetti z pomidorowym sosem. Ten archipelag piegów mogła sobie na nosie namalować, ale tak zeszczupleć przez dwa dni? I to wcale nie na diecie z samej mineralnej, jak wynikało z jej następnych słów.

– Poczęstujesz mnie kawą, Do? – zawołała. – Ze śmietanką. Pokaż, gdzie ją masz. Obsłużę się sama! Przed koncertem wystarczy mi piwo, za to potem zawsze chodzi za mną kawa! Ale najpierw siusiu! Gdzie jest kibełek?

Pokazałam jej. Krzyknęłam, że zrobię kawę, niech susia spokojnie. Bałam się, że moja kuchenka nie wytrzyma rozsadzającej Aśkę energii, a parzenie kawy nie będzie się różniło od desantu w Normandii.

– Nie, nie! – powstrzymała mnie przez drzwi toalety. – Ken robi, jak wróci. Ja mam z tobą pilnie do pogadania, Do!

Ken zaparzył, podał nam i wyłączył się duchowo, o ile przedtem był włączony.

Aśka przez ten czas uzaliła mi się, że gwiazdorskie życie czubkiem głowy jej wychodzi. Górniak śpiewa na stadionie, Kukulska w Filharmonii Narodowej, a ona tyra po zadupkach, gdzie nie uświadczysz muszli ani koncertowej, ani klozetowej! Cygański żywot! Człowiek się budzi – i na trzeźwo nie wie, gdzie jest! Ostatnio paparazzi zdybali ją w bibliotece. Na okładkę „Och!” poszło. Chcą jej zrobić koło tyłka kompromitującymi fotkami, żeby fani myśleli, że ich zdradziła. A tymczasem weszła do tej biblioteki totalnie przez pomyłkę, gdyż obok był salon masażu erotycznego.

Słuchałam jej, przyglądając się z niepokojem Kenowi. Od początku coś mnie w nim rozpraszało, ale kompletnie nie wiedziałam, co takiego.

– Co z nim, Asiu? – nie wytrzymałam wreszcie i zapytałam ją o to szeptem.

– W jakim sensie?

– Nie wiem. Niebieskie oczy. Miał chyba brązowe, nie?

– Ach, to ci nie pasuje! – machnęła ręką Aśka. – Ken, założyłeś kontakty? Co ty sobie wyobrażasz, honey? Wyglądasz jak kretyn! Wszyscy się z ciebie śmieją!

– Nie śmieję się! – powstrzymałam ją. – Tylko czy on nie był niższy?

– Ken, przygarb się trochę, przeszkadzasz w rozmowie! – zrugła go od nowa Aśka. – Mówiłam ci, żebyś się nie popisywał rozmiarami, bo nie masz czym!... Coś jeszcze, Do?

– Nie, nie, okej! – zapewniłam pośpiesznie, ponieważ Ken patrzył na mnie wzrokiem killera. – Miałś ze mną do pogadania, Asiu.

– Jasne! Chodzi o ciebie w mojej roli... Nie, nie! Jak to powiedzieć? O moją rolę jako ciebie! Słuchaj, Do, czuję, że mi wyjdzie debeściak! Na Oscara! Trochę ją sobie ustawiam w wolnych chwilach, tylko że potrzebuję fachowej konsultacji. Opracowałam z grubsza, jak będę się poruszała jako ty. Poczyńska taką obserwację do roli: chodzisz w charakterystyczny sposób, prawda?

Tym mnie zaskoczyła.

– Ja tak robię? Pierwsze słyszę.

– A jak miałybyś to zauważyć? Przecież nie chodzisz za sobą. Zerknij tylko!

Przespacerowała się po moim stryszku, stawiając stopy w krzyż naprzemienny. Jak pijana modelka na nierównym wybiegu. Nie podobało mi się to ani trochę, jeśli mam być szczerą. Dziwaczne i tyle!

– Ja tak wcale nie chodzę! – zaprotestowałam.

– Jak to nie tak? To jak?

Wzruszyłam ramionami, ale zademonstrowałam. Przeszłam się po stryszku, starając się iść jak najbardziej po mojemu. Choć podejrzewałam, że z przejęcia idę co nieco za ambitnie. Przeginam pałę.

– Ee! Tak to na pewno nie chodzisz! – prychnęła lekceważąco Aśka. – W ogóle, powiem ci, z moich znajomych nikt tak bezsensownie nie chodzi.

– Rzeczywiście, trochę inaczej chodzę, masz rację! – zgodziłam się z nią i ponownie stanęłam przy drzwiach w pozycji zasadniczej. – O, tak!

Skupiłam się odpowiednio. Kołysząc biodrami, przeszłam obok Kena jak gibka boginka leśna, która prawie nie dotyka nogami ziemi. Nawet nie podniósł wzroku. Sprawdzał sobie pod światło stan depilacji przedramienia.

Wyglądało na to, że chodzę maksymalnie nieinteresująco.

– W życiu! Wcale nie tak! Ja cię nauczę, jak to robisz, Do!
– Aśka złapała mnie za biodra i ustawiła pod drzwiami. – Teraz uwaga! Idź za mną krok w krok! Tylko dokładnie. Raz, dwa, start!... Z lewej nogi, bardziej z lewej, teraz z biodra daj prawą... Zdecydowanie! Nie gap się pod stopy, intuicyjnie wyczuwaj podłoże! I luźno w kolanie, Do, luźniutko... Prostuj, prostuj! Nie tak zamaszycie, teraz lewa przed prawą, prawa przed lewą... Ale nie odwracaj całkiem wzroku, trzymaj piętę! I lewa, i prawa, palce obciągnięte!... Palce obciągnięte, mówię! Zmiana, szybsza zmiana, i zakręcasz przez ramię, raz-raz... Nie przez to! Przez drugie!... Uważajżeż, dziewczyno!

Psiakrew! Na zakręcie wywaliłam się z tego wszystkiego.

Aśka podtrzymała mnie zde gustowana.

– Musisz poćwiczyć, Do! – orzekła surowo. – Przecież ty w ogóle nie umiesz chodzić tak jak ty! A co z całowaniem?

– Co z całowaniem? – przestraszyłam się.

– Jak się całujesz? Tam są momenty! W końcu to nie *Królowna Śnieżka i siedmiu krasnoludków!*

– Normalnie, tak jak wszyscy – wyjaśniłam powściągliwie.

– Wszyscy się nie całują jak wszyscy. Każdy inaczej.

Zrobiło mi się głupio, gdyż uświadomiłam sobie, że nie mam wypracowanej konkretnej metody. Idę na żywioł, po prostu. Improvizuję. Zamykam oczy i zamieniam się w dodatek do mojego pocałunku. On staje się władcą absolutnym, a ja posłusznie ulegam jego widzimisię.

– To zbyt skomplikowane, Aśka, żeby tak wprost wyjaśnić.

– Dlaczego niby skomplikowane? Książkę o tym napisałaś. Określ mi tylko z grubsza preferowany styl! Motyl Wchodu? Język Kobry? Pijana Dżdżownica?...

– Dżdżownica nie! Na pewno! – zaprzeczyłam profilaktycznie.

...Ślizgawka Plebana? Usta Sfinksa? Kali Goni Dwa Jelenie? Las Tropikalny?...

Zrobiło mi się autentycznie duszno. Nawet gdybym już kiedyś w życiu wykonała którąś z tych dziwnych rzeczy, jakim cudem mogłabym wiedzieć, że to akurat ona?

– A Las Tropikalny, dajmy na to, to jaki jest? – zapytałam zdetonowana.

– Dziki, gorący, wilgotny. Bez kąsania. Bo z kąsaniem to znowu Las Vargas. I to jeszcze zależy, w co.

Kurczę, to brzmiało gorzej niż instrukcja do czyszczenia sreber w trzech językach.

– Co zależy, w co? – zainteresowałam się. – W co się kąsa, tak? A ty w co? To znaczy, pytam, Asiu, jak się całujesz ty jako ty?

– Raczej ekspansywnie. Lubię z gadżetami. Z truskawką, na kostkę lodu... Oliwkowy na przykład jest niebezpieczny. Kiedyś Ken się zakrztusił oliwką. Albo Ślizgawka Plebana! Bierzesz olej słonecznikowy, batystowy szalik, świeczkę, miód... Może być dżem, jak nie masz, albo konfitury... Byle nie marmolada, pamiętaj!

– Właściwie całuję się spontanicznie! – przerwałam jej, bo w tym kontekście olej mnie zemdlił. Bez jakiejś superstrategii. Ewentualnie trochę marzę przedtem. No, wiesz... Wyobrażam sobie jak gdyby ten pocałunek, ale to też niekoniecznie, zależy...

– Można i tak – skrzywiła się bez przekonania Aśka. – Najlepiej pokaz.

Na szczęście w tym momencie zadzwoniła jej komórka.

– Hejka, Waldi... – odebrała. – Za ile? Powiedz im, że za takie honorarium mogę im puścić płytę z godowym śpiewem wielorybów, a nie dać show... A sobie ile wypłacą? To się tar-

guj! Niech szukają sponsora... Aha... Ile? Tyle nie mam... Na tydzień... U Dominiki. Co? Przyjedź, no pewnie, że się ucieszysz. Pa!

Odłożyła telefon i popatrzyła mi prosto w oczy z niezadowolaniem. Ale ono nie dotyczyło mnie, jak się zaraz okazało.

– Waldi wpadnie, nie masz nic naprzeciw, Do? Kasa mu się skończyła. Chce ode mnie pożyczyć. Zmieniam menedżera w przyszłym sezonie, nie ma bata! Jakim cudem może mu się kończyć kasa, jeżeli nigdy mu się nie zaczyna?! – prychnęła jak rozżłoszczona kotka. – Chcesz z Kenem, Do?

Nie zrozumiałam pytania, ale na wszelki wypadek odmówiłam. Niczego nie chciałam z Kenem. W gruncie rzeczy byłam zła na Aşkę. Nie jestem entuzjastką bujnego nocnego życia, kiedy nazajutrz idę do szkoły na ósmą.

– Okej, no to ze mną, skoro nie z nim! – zgodziła się i zanim się zorientowałam, wpiła się w moje usta jak sęp miłości.

Z zaskoczenia straciłam równowagę. Przewróciliśmy się objęte na wersalkę.

To musiało być Uderzenie SuperHiperPioruna Namiętności z kąsaniem i przytupami, ponieważ z miejsca zakręciło mi się w głowie, zobaczyłam purpurowe błyskawice, usłyszałam ogłuszające dzwonki pod sufitem. A może nie SuperHiperPiorun, tylko Kali Goni Dwa Jelenie, gdyż język Aški dobiegał się do obu moich migdałków na zmianę.

Ze swojej strony stosowałam model Jurand ze Spychowa już w tym stadium, kiedy Krzyżacy wyrwali mu język. Ale nie nadażałam chować go przed Ašką. Płatał mi się we własnych zębach.

– Co ty wyprawiasz, Do? – oderwała się ode mnie oburzona. – Nie chwytam tego twojego stylu! Sorki, ale jeśli w ten sposób będziemy próbowały, to nakręcimy *Sekretne życie dalajlamy*. Skup się, zrób coś z rękami, nie leż jak kłoda. Masz opóźniony zapłon czy jak?

Jej bezpośredniość była szokująca. Jeszcze żaden chłopak nie nawrzucał mi na temat mojej domniemanej oziębłości.

Gwiazdy estrady wyraźnie mają specjalne wymagania, chyba jednak nie wszystkie brukowce kłamią!

Ponad przyssaną do mnie Aśką, która w desperacji przeszła na styl Kali Goni Wszystko Co Się Rusza, widziałam na tle sufitu wyrzut sumienia w postaci mglistej zjawy Jarka Derdy. Jak żywy! Bolesne spojrzenie, twarz w stuporze, brwi ściągnięte udreką!

Gdyby mnie teraz, biedak, zobaczył! Gdyby miał świadomość, jak go krzywdzę zaledwie parę godzin po tym, kiedy to zamierzał mnie bohatercko holować do brzegu przez wzburzone wody! Gdyby wiedział, że zdradzam go z przedstawicielką popkultury, poszłam na lep blichtru telewizyjnej sławy...

Gdyby?!

Nagle dotarło do mnie, że widzę go naprawdę, stojącego w głowach kanapy! Nie mam wcale wyrzutów sumienia, tylko oglądam wszystko do góry nogami z odwrotnej pozycji. Jarek zadzwonił, a Ken go wpuścił... To, co brałam za dzwoneczki rozkoszy, było najwykolejszym dzwonkiem do drzwi.

Zerwałam się potargana z Aśki, bliskiej już zdaje się próbnego szczytowania.

– Ach, to ty, Jareczku!... – wydukałam w popłochu. – Wybacz! Znajomi wpadli z wizytą...

Z jego źrenic wyzierało cierpienie. Poszłam więc w zaparte dla jego dobra.

– Akurat się witamy, jak widzisz... Poznaj Asię Robotek, Jarku.

– Po... poznaję... – wybełkotał cierpiętniczo.

– No oczywiście! Wszyscy ją od razu poznają! Osoba medialna!... – przytaknęłam głupawo. – To może ciebie przedstawię, pozwól! To jest Jarek, Asiu...

Biedak próbował się zapoznawczo uśmiechnąć, ale nie wyszło mu. Zdecydowanie. Ulitowałam się nad jego zboląłą miną i na pocieszenie dowartościowałam go w obliczu samej Asi Robotek. Bohaterki estrad i billboardów. Będzie mógł o tym wnukom opowiadać!

– Ty też znasz Jarka, Asiu! – rzekłam podniosłe. – Wprawdzie nie osobiście, ale to właśnie o nim jest moja książka o miłości.

– Ach, ten! – ożywiła się Aśka. – Z nieba nam spadasz, amigo! Już wiem! Dominika z tobą powinna baraszkować, żeby zobaczyć ją w naturalnym środowisku! Nie daj się prosić! Tylko proszę cię, spręż się na maksa, wykrzesz z siebie Zakościelnego czy innego Mostowiaka! Na przyzwoitą oglądalność w prajmtajmie!... Wprowadzę cię w temat, okej?!

I dla odmiany wpiła się namiętnie w usta Jarka.

A ten zadrgał w jej uścisku, oczy wywróciły mu się ekstatycznie białkami do góry, wreszcie osunął się zemdłony na podłogę.

Metoda na facetów

Oślupiałam. Oniemiałam. Zbaraniałam. Co tylko chcecie! W przeciwieństwie do Aśki, która dostała skrzydeł.

– Widziałas, Do? – podnieciła się, nachylona nad leżącym bez życia Jarkiem. – Wyobrażasz sobie? ! Raz dwie małolaty posikały mi się pod estradą z wrażenia, ale żeby coś takiego?! A paparazzich nie ma, bo ganiają za Mandaryną nie wiadomo po co!... Kompletny brak wyczucia!... Ken, rusz się, przynieś wody do ocucenia człowieka! Ty byś nie umiał się zachować tak jak on! Uczuciowość masz jak u jeżozwierza, honey!

Pokręciła głową z zachwytem, otarła usta wierzchem dłoni. Coś ją zaniepokoiło i tym razem zerknęła na Jarka podejrzliwie. Skrzywiła się, powąchała nieufnie swoją dłoń.

– Nie obraż się, Do, ale amigo długo nie wyrobi w tym tempie! W gębie ma aptekę. Nie czujesz? Daje mi po zatokach, jakbym sama wciągnęła!

Byłam rozczarowana emocjonalną niestałością Jarka. Tak zemdleć obcej babie w objęciach? To w pewnym sensie nieprzyzwoite, sami przyznacie. Ale Aśka też przeholowała!

Apteka w gębie to po dentyście, wyjaśniłam jej oschle. Jarek jest ekologiczny i narkotykami gardzi. Uważa, że osiągnął już wiek, w którym musi się szanować – nie ćpa, nie pali, regularnie szczepi się przeciw grypie. Ma pod opieką mnóstwo robaków, więc nie zamierza wystawiać na szwank ich zdrowia.

Tu przerwałam laudację na cześć Jarka, żeby powstrzymać Kena z miską wody. Zamierzał chlusnąć na poszkodowanego i przy okazji na mój dywan, który dla odmiany był na razie w całkiem dobrej formie. Zajrzałam do barku. Omdlałym doskonale robi natarcie skroni alkoholem. Dywanom zresztą tak samo.

Sięgając po butelkę, zerknęłam odruchowo na ulicę.

Oblał mnie zimny pot!

Ten napalony psychopata z Luizjany stał tam jednak naprawdę!

Przytuliłam się do ściany, a on cofnął się pod mur ma mój widok. Ale nie odszedł. Jakby trzymała go niewidzialna smycz.

Czyżby to ten Bingo? Może rzeczywiście jest najzwyczajszym zbrodźcą, a moim nierozszyfrowanym znajomym bywa tylko przy okazji?

W ciemnościach zadzierał głowę ku oknu, oprószony światłem pobliskiej latarni. Daje słowo, że gapił się pożądliwie! Nie ciekawsko, tylko właśnie pożądliwie! Kobieta rozpoznaje to z odległości kilometra! Jak komary partnerów godowych! Dostrzegałam jego pożądlivość równie wyraźnie jak czapkę z daszkiem, modną kurtkę, niezdrowy błysk w oku. Tylko aligatora mu brakowało, chociaż powyginany na bruku ludzki cień był do złudzenia podobny do pełzającego ludojada.

– Co ci jest?! Ty też zemdlejesz? – odezwała się do mnie Aśka. – Epidemia?

Głośno przelknęłam ślinę.

– Nie, ale... Ktoś nas obserwuje z dołu.

– Nie przejmuj się! – Lekceważąco machnęła ręką. – Zawsze tak mam. Jakiś niewyżyty wielbiciel się za mną przywłókł. Nie śpią, nie jedzą, w śmieciach mi grzebią, mówię ci, udręka i ekstaza. Dużo bym dała, żeby mnie tak moje życie kręciło, jak ich kręci!

Obawiałam się, że to jednak mój wielbiciel, nie jej, ale nie byłam na tyle bezczelna, żeby licytować się na wielbicieli z gwiazdą kultury masowej.

Jarek natarty alkoholem ocknął się. Ale nadal cierpiał – najwidoczniej zaczynało mu ustępować miejscowe znieczulenie. Poza tym lepił się, bo z roztargnienia natarłam go likierem czekoladowym. Aśka straciła zainteresowanie jego wypadkiem, od kiedy przyznał się, że nie powaliła go namiętną techniką Ssącej Westalki, tylko wjechała mu językiem w szczękę obolałą po rwaniu.

Mnie natomiast to szczere wyznanie przywróciło humor.

Nie na długo, niestety.

Troskliwie opatuląłam jęczącego na kanapie Jarka, kiedy moje drzwi wyskoczyły z zawiasów. Dosłownie! Nagle i z hukiem.

Absolutny szok!

Pożądliwy spod latarni wparował na mój stryszek, wcale nie przebierając nogami. Frunęły za nim siłą bezwładu.

Już w locie rozpoznałam Gustawa!

Ośleplam ze strachu, kiedy wyglądałam na ulicę, czy co?! Chyba mi odbiło! Gustaw i psychopata z aligatorem na smyczy, dobre sobie! Leżąc bez zmysłów przed moim kominkiem, wyglądał jak aniołek.

Zwłaszcza w porównaniu z tym drugim, który wyważył Gustawem moje drzwi.

Tamten miał na sobie długi płaszcz z pagonami, lenonki, a na głowie kapelusz. Ekstrawagancki, czerwony ze złotą wstążką. Nogi się pode mną ugięły, kiedy to wszystko szło w moją stronę. Mroczne lenonki, militarny płaszcz, diabelski

kapeluszu... Byłam pewna, że widziałam już kiedyś twarz spod fantazyjnie zawiniętego randa. Ale w panice nie kojarzyłam.

– Znasz jego? – Facet wskazał niedbale na omdlałego Gustawa. – Szpiegował on ciebie, gadzina!

Nie zdejmując kapelusza, ucałował mnie namiętnie na powitanie. Z przechyłem. Jeszcze lepiej niż Aśka.

I to był, naturalnie, Sasza! Powinna go rozpoznać od progu po aurze wyrafinowanej wytworności, jaką roztaczał wokół siebie.

A więc Gustaw i on poznali się, niestety. Co najmniej jednemu nie wyszło to na zdrowie! Ale czy to moja wina, powiedzcie? Po raz pierwszy w życiu romansuję z czterema facetami naraz. Z braku praktyki trudno mi przewidzieć, jak to się zazębia z sobą i splata. Mam nadzieję, że z czasem dojdę do wprawy.

Co ja gadam?! Mam nadzieję, że z czasem skupię się na kimś pojedynczym, jeśli już nie ma innego wyjścia.

Sasza wyjął zza pazuchy prezent dla mnie. Czekoladki „Słodkaja Kamasutra”. Nie wiem, jak je zmieścił pod płaszczem, bo pudło miało rozmiary mniej więcej stołu bilardowego. Zanosilo się doprawdy na wystawną scenę liryczną, jednakowoż się nie zaniósło. Sasza nie zdążył mi wręczyć słodkiego souveniru.

Stało się z nim coś dziwnego. Uśmiech zniknął z jego warg jak zdmuchnięty. Pudło z purpurową kokardką wypadło mu z rąk na podłogę. Lenonki poleciały z rozmachem pod wersalkę. A sam Sasza osunął się do moich stóp bez przytomności. Padł jak ścięty o dwa kroki od Gustawa.

No bez przesady! Aż wrzasnęłam z wrażenia.

Zza padającego ciała wyłoniła się Aśka, trzymająca oburącz mój tom bajek La Fontaine'a z drzeworytami Dorégo. Pięć kilo w twardej oprawie.

– Kurde, mieszkasz w trefnej dzielnicy, Do! – stwierdziła z zaniepokojeniem. – Często tak masz? Dobrze, że byłam na miejscu, bo stałaś jak słup soli! By cię załatwił jedną ręką!

Zawsze marzyłam, że będę wiodła szalone życie. To takie podniecające! Ale życie szalone w granicach rozsądku! Jechać na wakacje do Tunezji, zrobić kurs pilotażu, zbudować dom z basenem w kształcie serca. A nie pluton omdlałych facetów we własnym mieszkaniu!

– Coś ty najlepszego zrobiła, Asiu? – jęknęłam. – Zamroczyłaś go!

– A co? Nie powiesz mi, że znasz któregoś z tych denatów? – zaniepokoiła się moją załamaną miną.

– Obu!

Aśka zakłęła pod nosem. Rozpakowała leżącą na dywanie „Słodką Kamasutrę” i poczęstowała się dla odprężenia trzema czekoladkami naraz. Wyraźnie było jej głupio i nie wiedziała, jak się zachować.

A ja nie mogłam mieć do niej pretensji, skoro w swoim przekonaniu ratowała mnie z opresji. Postąpiła jak prawdziwa przyjaciółka.

– Kurde! Trzeba mówić na drugi raz! – sapnęła ze złością. – Skąd miałam wiedzieć, Do? Znajomi zawsze tak do ciebie wchodzi?

Nie odpowiedziałam. Siedziałam bezradnie w kucki pomiędzy męskimi ciałami.

– Daj jeszcze raz ten czekoladowy likier! – podsunęła mi Aśka.

– Będą się lepić.

– Przecież nie dla nich, zwariowałaś?! Dla mnie, muszę coś łyknąć dla kurażu. Wiesz co, jak faceci coś wymyślą sami z siebie, to można nerwy stracić! Ci twoi są jeszcze bardziej pomysłowi, kurde, niż Waldi! I co teraz z nimi będzie?... – zastanowiła się. – Zróbmy tak! Ken, honey, weź skocz do apteki i kup bandaż, coś uśmierzającego, przeciwbólowego, nie wiem, nie znam się, bierz, co mają. Powiedz, że dla izby przyjęć, to tutaj się niewiele różni! Niech ci doradzą. Po to tam są. Ale migiem, honey, ruszaj się, bo będziesz ich miał na sumieniu!

Ken posłusznie założył kask i wyszedł przez dziurę po drzwiach.

Za naszymi plecami bełkotał Sasza wracający do przytomności. Nic go nie rozumiałam. Jakby dostał tym La Fontaine'em w ośrodek mowy rosyjskiej.

– Pyta się, kto go pobił, bo chce mu wyrwać różne organy i wetknąć w inne miejsce – przetłumaczyła z niepokojem Aśka.

– Skąd wiesz? Znasz rosyjski?

– Te słowa akurat znam. A ty znasz pozostałe? To wytłumacz mu, że wzięłam go za bandziora, sorki.

– Coś ty? – wzdrygnęłam się. – On jest z mafii biznesowej. Takie aluzje?

– Ożeż, kurde, niezły pech! – Aśka ściszyła głos. – Od razu coś wyczułam, jak usłyszałam jego ruską nawijkę! Już wolę nie wiedzieć, co dalej! Zaraz będzie chciał komuś robić z tyłka jesień średniowiecza, przekonasz się! Nie daj Boże, mnie! Rozumiem te pogrożki po rusku, po amerykańsku, francusku, japońsku... Ken nic innego nie ogląda na DVD. Jakies filmy dla idiotów, wiesz? Muskuły, podkoszulek i robią sobie z tyłka najróżniejsze rzeczy we wszystkich językach świata. Każdy taki facet obiecuje innym to samo! Splaw tego swojego mafiosa, Do, proszę cię! Będzie spokój. A ja pójde zrobić kawę, niech mnie lepiej nie widzi!

Mimo jej rad nie spieszyłam się z Saszą. Wołałam go najpierw ułagodzić, odpędzić od niego myśli o zemście. Inaczej gotów zwietrzyć u mnie fobię antyrosyjską, oni tak mają. Potem wracają z tego powodu z kumplami i bazookami.

Do guza przyłożyłam mu zimny garnek. Specjalnie nie nóż, żeby Saszy nie strzeliło coś do głowy. Żadnych skojarzeń! Nadałam pierwotną formę jego czerwonemu kapeluszuwi. Cały czas uśmiechałam się rozbrajająco dla udokumentowania, że jest wśród samych swoich.

Docenił to. Poglaskał mnie z wdzięcznością po policzku.

Zaraz potem pochylił się w milczeniu nad Gustwem, który zaczynał wracać do życia i zanim połapałam się w sytuacji, dzielił go garnkiem przez łeb.

Gustaw znieruchomiał na powrót.

– Co ty dzielajesz, Sasza! – wrzasnęłam ze strachem w polsko-ruskim wołapiku. – Czielawieka bijesz po głowu za nic? Ani nie uprzedzajesz nawet?

– Czaił się on na ciebia u okna jak wołk na zajaca. Eto kriminalist, Daminika.

– Jaki kryminalist? Eto Gustaw, mój znajomy. On kocha się w mienia całkowicie niewinnie. Panimajesz? Co on mi złego zdziałajet patrzeniem w okno?

Z tym kochaniem mogłam się jednak powstrzymać! Chłapnęłam, no! Ani grama koniecznej dyplomacji!

Sasza wyszarpnął komórkę zza paska jak rewolwerowiec kolta. Miał tam komplet futerałów różnej wielkości.

– On kocha?! Taka gadzina Gustaw mieszajet nam, Daminika? – zgrzytał zębami, aż iskry szły! Pierwszy raz w życiu coś podobnego widziałam. – Chciałem ubić od ręki, zobaczywszy jego! Dlaczego się powstrzymał ja?!

Łupnął komórką o podłogę, rozpirzając ją w kawałki. Za wolno łączyła. Wyszarpnął inną, złotą jak nakrętka od perfum Burberry, tylko mniejszą.

A do mnie cały czas nadawał z wyrzutem. Że jego ludzie czekają w samochodzie pod domem. Wystarczy jeden telefon! Skoro Gustawowi podoba się stanie i patrzenie, znajdzie się dla niego wiadro, wór cementu i może sobie stać do końca świata. Na dnie rzeki. Napatrzy się kak w apieretce *Żizń paryżskaja!*

Najwidoczniej Sasza był koneserem operetek, choć nie zauważyłam, żeby lekka muza miała kojący wpływ na jego psychę. Zagadywałam go i ugłaskiwałam co sił, lecz bezlitośnie wykonał ten nieszczęsny telefon.

Zaraz potem za pustą framugą wejściową pojawiło się dwóch takich, których bym się przestraszyła, choćby oddziaływały mnie od nich drzwi jak do bankowego skarbcza. Na twarzach mieli tatuaże niczym egzotyczni wojownicy Maorysów.

Poprosiłam stanowczo Saszę, żeby kazał im odejść albo się pogniewamy!

W moim domu moim gościom nie ma prawa spaść włos z głowy. A Gustaw jest obecnie moim gościem! Na dodatek całkowicie niewinnym! Co z tego, że sobie stoit pod oknem? Postoit, postoit i pójdzie. Komu to przeszkadza?

– Przecież kocham tylko ciebie, Sasza! Nie widzisz? – skłamałam w dobrej sprawie. – Lublju tylko ciebia, rozumiesz? Więc po jakie лихо betonować kogokolwiek? Biez sensa! Skoro Maorysi już tu są, niech lepiej wstawią mi drzwi. To będzie pożyteczniejsze niż wstawianie Gustawa do rzeki!

Tym razem moje miłosne wyznanie spełniało wszelkie wymogi dyplomacji. Twarz Saszy rozjaśnił uśmiech męskiej dumy. Przygarnął mnie czule.

Ach, jaka będę z nim szczęśliwa, rozplynał się z zachwytu nad moim losem! W Petersburgu kochają go dwie rodowodowe princessy po Romanowach, jedna prowadzi wynajem kajaków i łyżew, druga peep-show, ale on pragnie tylko mnie. Chociaż nie wie, co prowadzę. Nie obchodzi go to. Nie będę tego prowadziła, jeśli nie zechcę. Liczy się tylko nasza miłość! On mnie odzieje, nakarmi, przyozdobi. A teraz niech się ubieram elegancko. W wieczorową suknię. A Gustawu sobaka mordę lizała! Niech sobie żyje na zdrowie, gadziuka!

– Ubierać się? – powtórzyłam zdumiona. O trzeciej w nocy?

– Na *Wesołą wdówkę*! – przypomniał wesoło Sasza.

– Jest noc z wtorku na środę! – przypomniałam smutno ja.

– Do operetki wybieramy się w czwartek. Tak jesteśmy umówieni! Nie wiem, jak w Rosji, ale u nas w Polsce czwartki wypadają w czwartek. Nie z wtorku na środę.

– Da! W czwartek, kanieczno, no w Wienie! – objaśnił Sasza.

A to siurpryz! Okazało się, że polskie teatry nie mają po jutrze w repertuarze *Wesołej wdówki*. Sasza kazał sprawdzić. Tymczasem ja wyraziłam życzenie, żeby to był czwartek. Skoro tak, w czwartek najbliższą *Wdówkę* wystawiają w Volkso-perze w Wiedniu. Więc powoli musimy się zbierać, jeżeli chcemy jeszcze wstąpić na dobrą kolację, odświeżyć się w hotelu,

zajrzeć do salonu odnowy, wezwać wizażystkę, żeby szykownie się komponować z wystrojem łóż, w których koronowane głowy mają abonamentowe bilety...

– Ja też mam bilet, Sasza – przerwałam mu. – Miesięczny. Muszę go jutro skasować, jadąc do szkoły, inaczej dyrektorka zrobi mi z tyłka jesień średniowiecza. Proponuję zmianę planów. Zamiast na operetkę w Wiedniu, pójdziemy sobie lepiej w polskoje kino na narodnuju kinokartinu *Nikagda w żyzni*. A na kolację może być... – zastanowiłam się przebiegle. – Pizza. Co powiesz na pizzę, Sasza?

Konsekwentnie miałam zamiar zdemaskować pana Bingo pizzą, i z jej pomocą wykluczać podejrzanych. Sherlock Holmes wymyślił metodę dedukcji, ja metodę pizzy. A co!

Jarek raczej odpadał jako ktoś, kto mógł mi postawić pizzę na telefon.

Natomiast stosunku Saszy do pizzy nie znałam.

Zamyślił się po moich słowach. Wydał jakieś polecenie swoim Maorysom, którzy na razie wystawili mi futryny, zamiast wstawić drzwi. Staralam się na nich nie patrzeć, żeby zachować spokój ducha. Poprosiłam tylko, żeby szanowali sen sąsiadów. Jest głęboka noc! Aśkowe odgłosy z kuchni świadczyły, że kawy też jeszcze nie ma, wraz z połową moich filiżanek.

– Życzenie pięknej kobiety eto rozkaz! – orzekł wreszcie po dżentelmeńsku Sasza. – Charaszo!

Zastanowił się, obliczył coś na palcach, po czym naświetlił mi nasz aktualny program kulturalno-oświatowy.

Zgoda, zabierze mnie w pizzu, skoro tego chcę, aczkolwiek on sam nie przepada za taką rozrywką. W pizzy tolko marmurowe gruzy i w restoranch nieznakomyje strielają. Kak w Stalingradzie za Germańca. Krzywa Wieża eto prosto barachło. Na nowych osiedlach w Petersburgu toże domy krzywe, ale jak! Z rozmachem! Imperialno! Dziesiać klatek schodowych, dwadcać etażej i wsio krzywe! A wieża chudzieńka, cienienka jak italiański makaron, za kopiejkę by ją sprzedać!

Co za brednie? Musiałam wspiąć się na wyżyny intelektu, żeby pojąć meandry tego rozumowania.

– Nie Piza, tylko pizza, Sasza! – sprostowałam. – Pizza do jedzenia. Krzywa Wieża jest w Pizie, a w pizzy są pieczarki, ser, pomidory, szynka, oliwki, co kto lubi. Poza tym jeśli już, to wolałabym obejrzeć Monę Lizę niż Krzywą Wieżę!... – Tu zorientowałam się, że niechcący podsuwam Saszy bat na samą siebie, więc szybko uzupełniłam: – Z tym że do Paryża też nie mam kiedy się wybrać w czasie roku szkolnego, żebyśmy mieli jasność. Dyrektorka mnie nie zwolni!

– Niet probliema, Daminika! – uspokoił mnie wyrozumiale Sasza. – Wsio da się dokonać, kochawszy żeńszczynu! Jeśli takie twoje życzenie jest, za dzień, dwa przywiezę ja ciebie Monu Lizu z Luwra. Obejrzysz w domu biez tłoka i zadecydujysz, czy podoba się. A nie, to wyrzucimy!

Jezus Maria! Z góry odmówiłam. Taka Mona Liza na pewno by mi się nie spodobała.

Poprosiłam Saszę, żeby dopilnował Maorysów przy drzwiach, a sama zajęłam się Gustawem. Nie wypadalo, żeby dłużej sam tak leżał.

Wyklepałam go po policzkach i w końcu się pozbierał. Usiadł na podłodze. Kontaktował prawidłowo, bo od razu wyjął z kieszeni okulary i komórkę. Wprawdzie początkowo usiłował komórkę włożyć na nos, a na okularach wystukać numer, ale to raczej ze zdenerwowania.

– Przepraszam cię, Dominiczko, zadzwonię po policję. To zupełnie niesłychane! Przechodziłem tędy przypadkiem, wyobraź sobie, a ten facet...

Z obrzydzeniem pokazał w stronę kuchni, gdzie Sasza ceremonialnie witał się z Aśką. Miałam nadzieję, że na powitaniu poprzestanie. Nie przejdzie do rozliczeń za doznane przy współudziale La Fontaine'a krzywdy. Widziałam z daleka, że Aśka rozsunuwa na migi cały swój czar estradowy, żeby go obłaskawić.

– Gustawie – spróbowałam ostudzić nastroje – rozmawiałam ze sprawcą. To tylko nieporozumienie. On nic do ciebie nie ma.

Gustaw pomasował szczękę i syknął.

– Za to ja mam do niego... Nie zaprzecza faktom, dobrze cię zrozumiałem? Będziesz zatem świadkiem, że się przyznał, Dominiczko.

– Nie zaprzecza, a wręcz przeprasza cię, Gustawie. Nie bądźmy zawzięci. Czy warto? Pogubił się u nas, to prosty Rosjanin, a my w końcu Europa.

– Rosjanin? – ucieszył się Gustaw. – Ha! Jeszcze za Jałtę mu się należy!

Był urażony w swojej męskiej dumie i nie potrzebował powodów osobistych. Wystarczyłyby mu same historyczne zaszczości.

Położyłam palce na jego ustach z wysublimowanym erotyzmem.

– Zapomnijmy, Gustawie! O Jałcie, o wojnie bolszewickiej tysiąc dziewięćset dwadzieścia i tak dalej... Czy nie jest nam bosko bez tego? Tylko my we dwoje... – Tu przerwałam niepewnie. Oprócz nas było w pokoju kilka postronnych osób. Postanowiłam je przemilczeć dla jasności wyводу. – Tylko my dwoje liczymy się na świecie. Kocham cię, Gustawie! Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Chcę zjeść z tobą pizzę, kotku! Wielką pizzę familijną z pomidorami i sosem paprykowym light! Czy pragniesz tego?

Dołączyłam tę pizzę na koniec, żeby moje kłamliwe wyznanie zawierało jakieś racjonalne jądro. Żeby przynajmniej posłużyło dobru mojego śledztwa. Bo niestety, biorąc sumarycznie, popadłam w samonakręcającą się spiralę miłosną jak kuracjusze RUMM-u. Oświadczałam się nałogowo.

Ale jakie miałam wyjście? Skoro uratowałam Gustawa przed Saszą, musiałam sprawiedliwie uratować Saszę przed Gustawem. Nie znam innej szybkiej metody na facetów, która nie byłaby od razu grą wstępną. Bo do takiej zażyłości z nimi jednak nie dążyłam. Niech im wystarczy żar czystego uczucia póki co!

Po moich słowach Gustaw lunatycznym ruchem schował komórkę. Zawisł wzrokiem na moich wargach, jakby w myślach zagłębiał się już w Tropikalny Las.

Ale nagle pomiędzy niego i mnie wparowała Aśka z wypiekami na twarzy.

– Gdzie się podział Ken, Do? – syknęła. – Jest mi pilnie potrzebny!

– Sama go wysłałaś po lekarstwa – przypomniałam. – Zaraz będzie.

Rozglądając się konspiracyjnie na boki, odciągnęła mnie od Gustawa w kąt przy łazience.

– Do, na gwałt potrzebuję Kena! Zrób coś, żeby wrócił z lekarstwami, zanim będzie za późno! W tych ruskich czekoladkach... – Rozejrzała się nieufnie i dokończyła jeszcze cichszym szeptem: – Coś w nich było!

– Nie mów! – przeraziłam się. – Trucizna?

– Jaka trucizna? Nie panikuj! Pewnie mucha!

Przyjrzałam się jej zaskoczona.

– Połknęłaś muchę? Otwórz usta.

– Nie wygłupiaj się, Do! – ofuknęła mnie. – Hiszpańska mucha! Na pewno kupił czekoladki w jakimś ruskim sex-shopie, a nie w cukierni! Stalinowskie metody, kurde! Muszę spotkać się z Kenem, bo za chwilę nie wiem!... A może wiem, ale nie wiem, czy... czy... Och, Do!... Bo zrobię tutaj coś takiego...

Żrenice uciekły jej do tyłu.

– Zaraz, Aśka... – uściśliłam. – To ty nie panikuj! Chcesz powiedzieć, że jesteś niezdrowo pobudzona po trzech czekoladkach od Saszy?

– Do, jestem zdrowo pobudzona, więc jeżeli Ken... – Wstrząsnął nią nagły dreszcz i złapała mnie za ramiona. A poza tym zjadłam je wszystkie, rozumiesz? Nie wiem, ile w nich tego świństwa było! Po prostu nie filozofuj, Do! Potrzebuję natychmiast Kenaaaa!

– O Boże! – zrozumiałam. – O mój Boże! No to biegnij do niego! Apteka jest... Sekundę! Wciąż w niej coś kupuję, gdzie ona jest?... – Czułam, że zaraz się pogubię z tego wszystkiego na amen. – Już wiem, jak skręcisz w następną ulicę...

– Nie mogę się stąd ruszyć, Do! – wrzasnęła z wściekłością Aśka. – Ci dwaj idioci odwrotnie zamontowali drzwi. W ogóle się nie otwierają!

Zdrętwiałam.

Rzeczywiście, Maorysi bezskutecznie mocowali się z wstawionymi drzwiami. Ani pchnąć, ani pociągnąć. Sasza usprawiedliwiał ich, że zwykle nie wstawiają drzwi, raczej przeciwnie. Więc nie są przyzwyczajeni. Ale otworzą, adnu minutoczku i otworzą na bank. Nie ma na nich siły!

Oni sami byli identycznego zdania. Tęższy wyjął spod marynarki coś, co przypominało pepeszę z filmu *Czterej pancerni i pies*. Na szczęście nie otworzył ognia, tylko walił kolbą w klamkę.

– Oni tego nigdy nie naprawią, job ich mać! – jęknęła Aśka za moimi plecami.

Za moment ujrzałam ją przy Saszy. Tuż przy Saszy. Jej zachowanie było coraz mniej niewinne. Miało w sobie za to coraz więcej z kotki. Czy może w ogóle ze zwierzęcia. Byłam pewna, że Sasza też to dostrzega.

Czy on naprawdę zakładał, że zjem całe pudełko jego nadziejanych czekoladek? Nie wierzę! Nawet mafia zachowuje jakieś granice, mam nadzieję.

Zresztą mafia może tak, ale Aśka za moment mogła je przekroczyć nieodwracalnie. Wprost parowała.

– Wpierd! – wrzasnęłam histerycznie do Maorysów. – Szybko wy!

U Saszy częstotliwość oddechu też jakby wzrastała. Zwłaszcza gdy Aśka bezceremonialnie ocierała się o niego.

Maorysi z pepeszą jak z taranem przypuścili szturm.

Urrra!

Huk stoczył się w dół klatką schodową. Drzwi wreszcie puściły. Runęły na płask z trzaskiem wylamanych zawiasów.

Aśka znikła w tumanach gipsowego pyłu po drugiej stronie i tyle ją widziałam.

A kiedy Maorysi podnieśli połamane drzwi, żeby wynieść je na śmietnik, pod spodem znaleźli nieprzytomnego Waldka. Le-

żał zakurzony na wznak z kitką zaplątaną w moją skrzynkę na listy.

Męska logika

Waldek odmówił stanowczo, gdy chciałam nakleić mu plaster na krwawiącym uchu i rozbitym nosie. Wyraźnie chciał swym podupadłym widokiem jątrzyć moje sumienie.

Bez potłuczeń też nie czułby się dzisiaj u mnie swojsko, co szybko wypomniał mi ze skwaszoną miną.

– Prawdziwa królowa życia! Noc godna zazdrości! Gratuluję ci, Domi! Ty i pięciu dorodnych nocnych marków.

– To chyba dobrze? – pocieszyłam go. – Gorzej, gdybyś zastał mnie z jednym jedynym. Mógłbyś sobie wyobrazić Bóg wie co! A tak?... Zresztą ci dwaj reperują mi tylko drzwi. A Sasza i Gustaw znaleźli się u mnie przez przypadek.

– Pięciu minus czterech? Czyli jednak pozostaje jeden jedyny – podsumował zgryźliwie Waldek.

No fakt... Męska logika bywa druzgocąca. Szczególnie dla samych facetów.

– Nie jesteś głodny? Może bym ci zamówiła pizzę? – zagadnęłam z podchwytliwą konsekwencją panny Marple. Nie chciałam zostawiać Waldka sam na sam z katastroficznymi myślami, żeby nie wlaźł mi na dach przez sufitowe okna. – Nie znasz przypadkiem numeru do pizzerii? A jaką pizzę lubisz?

Tym razem z mojego śledztwa wyszły nici. Mogłam się spodziewać.

– Co za różnica! – burknął apatycznie Waldek. – Pizza to taki sam szajs jak reszta świata. Dla mnie nic już nie ma większego znaczenia, wyznam szczerze.

Poczułam mrówki na plecach. Jednak wziął sprawy emocjonalnie!

– Nie masz apetytu, Waldku? Pizza jest świetna, naprawdę. W ogóle życie jest świetne! – zapewniłam z euforią, licząc, że pogoda ducha okaże się zaraźliwa.

Niestety, uderzenie drzwiami w nos uodporniło Waldka na zarazki optymizmu.

Co mogłam w tej sytuacji zrobić oprócz dobrego wrażenia?

Sześciu podejrzliwie usposobionych do siebie facetów w jednym niedużym mieszkaniu, wyobrażacie sobie? Bogactwo męskich charakterów! Eldorado męskich zachowań! Ten pojękiwał, ten patrzył spode łba, ten pił kawę z ponurą miną, ten rąbał futrynę. U schyłku bezsennej nocy wcale nie sądzę, że życie jest świetne. Przeciwnie, takie życie jest idiotyczne i prowadzi do wrzodów żołądka. Ale musiałam ukryć przed nimi tę smutną prawdę, bo z facetami zawsze może być jeszcze gorzej.

Nie chciało mi się wierzyć, że któryś z nich jest Bingiem. Może to jednak nieprawda?

Jakim cudem wie o mnie wszystko, podczas gdy ja wiem o nim tylko tyle, że ma zastrzeżony numer telefonu i lubi pizzę?

A może najzwyczajniej w świecie on jest ubogi pod względem osobowości? Telefon, pizza i cały on. Mało to takich? Kobieta jeszcze musi mieć przynajmniej makijaż, natomiast faceci są płytycy.

– Tak, życie jest super! – zgodził się ze mną Waldek takim tonem, jakby mówił, że pogrzeb jutro. – Owszem. Jeżeli kocha się to, co się lubi...

Odkrywczość tej złotej myśli wprost zaparła mi dech w piersiach, ale Waldkowi sformułowanie głębszej życiowej filozofii poszło gładko jak po maśle.

– Na przykład Alain Robert, człowiek pajak – kontynuował z intelektualnym zacięciem. – Słyszałaś o nim? Wchodzi na najwyższe budynki świata. Bez zabezpieczenia, wyobraź sobie! To ktoś, Domi, kto mi autentycznie imponuje! Zdobył dotąd Petronas Towers w Kuala Lumpur, Empire State Building, most Golden Gate...

Niedobrze! Czyżby się zaczęło?

Spróbowałam obrócić w żart ten wątek. Nadmieniałam lekkim tonem o kompleksach, które mężczyźni rekompensują sobie długością samochodu lub wielkością domu. Piłam niby to do tego szalonego wspinacza. Nie miałam pewności, czy z domem to też jest udowodnione naukowo. Ale co tam, zapewniłam Waldka, że przy wysokości polskich wieżowców można się prędzej ośmieszyć, niż wyleczyć z męskich urazów.

W tym momencie do naszej rozmowy wtrącił się Gustaw.

– O, nie, Dominiczko! – opowiedział się zdecydowanie po stronie Waldka. – U nas Alain Robert wchodził na hotel Marriott. Traktował to jako bardzo poważną próbę sił. Nie ma się czego wstydzić, wierz mi. Nieważna wielkość, liczy się technika.

Zignorowali mnie i wdali się w omawianie filmu, na którym zarejestrowano wyczyny tego Roberta w Tajlandii. Podobno zasuwał jak windą. Można to obejrzeć na trzech płytach DVD. A tylko dlatego na trzech, że w Tajlandii akurat wiało i padało. W sprzyjających warunkach facet ma takie tempo, że mieści się na jednej płycie. To ostatnie wyjaśnił Jarek z wersalki, na której konał. Proszę, nawet w stanie agonalnym zmobilizowała go magia testosteronu wibrującego w powietrzu.

Sasza bez problemu rozumiał po polsku elewację, asekurację, drapacz chmur, talk i kilkadziesiąt tysięcy bagsów. Okazało się, że ma najbliższe z obecnych związki z Robertem.

– Eto gieroj! – pochwalił go. – Spajdierman! Posłałem jemu w podarku butyłkę szampanskowo!... – Tu poderwał się z miejsca i pokazał rękami gigantyczne rozmiary butelki. – Na obstalunek zdiełali mnie ją w Woroneżu. W kształcie ona jak jakby Uniwersytet Łomonosowa w Moskwie. Dwiestie sороk mietrow wysoty. Uniwersytet, znaczy, dwiestie sороk mietrow. Butyłka siemdziesiąt dwa centymetry.

Przysiadłam z boku jako osoba niepotrzebna.

Wkrótce wplekli do rozmowy pozostałe sporty ekstremalne i zaczęło mi to pachnieć katastrofą.

Źle znosi jego jęki. Zresztą wygląda na to, że on także źle je znosi.

– Mam dar, Dominiko! – zareklamowała się przede mną. – Taki trochę magiczny, więc trudno przewidzieć, czy się uda. Jak to z magią. Ale, proszę cię, ojcze usuwam ból głowy, matce drętwienie kolana. Raz Lutek po grypie...

– Tego nie mów! – wtrącił się zażenowany Lutek.

– No coś ty, wcale nie zamierzałam! – obruszyła się. – Chciałam tylko powiedzieć, że ci pomogłam i już tej samej nocy znowu kochaliśmy się jak waria...

Zatrzymała się w pół słowa spiorunowana wzrokiem Lutka.

– Krótko mówiąc, moje ręce leczą, Dominiko – dokończyła. – To fakt!

Zaprowadziłam ją do Jarka. Nie mogłam okazać się babą niewrażliwą na cudze cierpienie i na cudzą dobrą wolę tylko dlatego, że nie wierzę w cuda.

Czuwałam jednak, czy Mariola nie zacznie dotykać zuchwale punktów energetycznych Jarka. Bo skąd ta nagła usłużność? Dlaczego samarytanka nie obudził w niej walnięty drzwiami Waldek? Albo Sasza z guzem jak imperium?

Z namaszczeniem zabrała się do dzieła. Odchyliła głowę, przymknęła powieki, opuszkami palców pogładziła żuchwy Jarka.

Ten utkwiał wzrok w jej uniesionym podbródku.

Niesamowite widowisko. Widziałam, że Jarek coś odczuwa, słowo daję. Wsłuchuje się w swój organizm! Oddycha z ulgą. Gęsty pot na jego czole wysychał jak na gorącej blasze. Czyżby mój ojciec lekarz okłamywał mnie, nazywając takie zabiegi pseudomedycyną? A to zadufek! W takim razie nie wiem o życiu!

Coś brzęknęło, migocząc, poturlało się pomiędzy naszymi stopami.

Sasza przydepnął to zgrabnie, gdy go mijało, a ja wyciągnęłam szyję ku podłodze jak brodząca czapla.

Nie do wiary! To była ślubna obrączka! Ta, która nie chciała zejść z palca Jarka na mydło, na powidło, na klucz

francuski. Teraz zsunęła się jak o dwa numery za luźna. Od tych durnych bioprądów, bo od czego innego?

Więc to jednak działa!

Mariola strząsnęła w przegubach swoje leczące ręce.

– No i jak? Pomogło? Nie boli?

Ostatecznie wykurowany z małżeńskich okowów, Jarek wpatrywał się w nią wniebowzięty.

– Boli jak diabli... – wyszeptał z zachwytem. – Ale to nieważne! Jesteś cudotwórczynią, dziewczyno! Jakim cudem zdjęłaś ze mnie te dyby?

Nie widziałam go dotąd równie szczęśliwego. Marioli też nie widziałam tak rozanielonej! Gdy ujrzałam, jakim wzrokiem na siebie patrzy, uświadomiłam sobie, że naprawdę nic nie wiedziałam o życiu. Właśnie się dowiedziałam. Bezlitosna lekcja pogładowa!

A to nie koniec! Po krótkiej przerwie rozległ się dzwonek na drugą lekcję. Brzmiał jak stukanie łyżeczki o porcelanową filiżankę. I był stukaniem łyżeczki o porcelanową filiżankę. W mojej osobistej kuchni Mariola zrobiła kawę dla siebie, dla Lutka i dla Jarka, bezczelna.

Lutkowi od niechcienia podała filiżankę na spodeczku, a leżącego Jarka osobiście napoiła łyżeczką. Wprost do rozchylonych z pragnienia ust.

Odechciało mi się spać już chyba na zawsze, kiedy na to patrzyłam.

Dowiedziałam się o życiu w sam raz tyle, żeby przewidzieć następny etap. Wkrótce Mariola zrobi dwie kawy zamiast trzech i ta druga nie będzie bynajmniej dla Lutka! Co za straszna baba! Przecież mówiłam jej, że na Jarku mi zależy!

Nawet jeżeli nie ujęłam tego jednoznacznie, powinna się domyślić!

Co miałam teraz powiedzieć? Nie życzę sobie, żebyś robiła kawę mojemu facetowi? I tą łyżeczką, którą mieszasz mu cukier, żebyś mieszała w moim życiu!

Cudze uczucie rodzące się na waszych oczach to koszmar! Dołuje was tym, że jesteście kompletnie bezradne. Wy już wi-

dzicie, co się kroi, a tamtych dwoje nie – niewinność i kryształowe sumienie. Nie podejrzewają, ku czemu sami zmierzają, bidulki! Czysty instynkt! Jak u tygrysa, który rozszarpie was bez swojej winy. Taką ma naturę i już!

Miałam tylko jeden pomysł. Że gdy wrócą Maorysi, pożyczę od nich pepeszę.

Na szczęście nie miałam już pomysłu, co z tą pepeszą zrobić dalej.

Jednak wcześniej od Maorysów wrócili Aśka z Kenem i chwilowo odciągnęli moje myśli od krwawej zemsty. Wyglądali tak, że bez trudu odciągnęliby moje myśli od Brada Pitta oświadczającego się o moją rękę.

Aśka była rozczochrana i nie miała już rudej szminki na ustach. Gdzieniegdzie miał ją na sobie Ken. Za to on prawie nie miał spodni. Jakieś strzępy.

Padł bez sił na kanapę, zwolnioną akurat przez Jarka, który bezczelnie pokazywał Marioli moje książki na moich półkach. Wyglądali jak para wybitnych intelektualistów, szczególnie że co drugi tom oglądali do góry nogami, zapatrzeni w swoje namiętne oczy.

– Patrz, Do, jakie produkują słabe te gacie! – powiedziała z naganą Aśka, wytykając palcem bladego jak śmierć Kena. – I to ma być niby strój na motocykl! Przecież to się na hulajnodze rozleci! Nie masz dresu, żeby pożyczyć Kenowi na drogę? Wypcha się gazetami i jakoś mnie dowiezie. Przecież jak z nim siądę na yamahę w tym opłakanym stanie, to nas paparazzi rozjadą na szosie jak tę biedną Dianę!

Znalazłam w szafie dres i rzuciłam go Kenowi.

Nie złapał. Zakręciło mu się tylko w głowie. Ledwie trzymał się na nogach, ściągając spodnie. Uda miał całe pomarańczowe od szminki. Niezła jazda! Ale to jeszcze nic. To, co zobaczyłam pod spodem, gdy wreszcie wylazł z nogawek, zaparło mi dech.

Męskie stringi z serduszkiem!

Tego nie wyśniłabym w najgorszych snach. Rozejrzałam się spłoszona po pokoju. Nikt nie zwracał uwagi na Kena.

Z wyjątkiem jednej jedynej osoby. Właśnie tej!

A dalej już samo poszło.

Po krótkiej walce wewnętrznej Gustaw przesiadł się na kanapę. Krzyż mu ścierpł na pufie, widocznie po omdleniu nie przyszedł jeszcze do siebie, wyjaśnił niewinnie. A przy okazji wymasuje może Kenowi plecy, bo widzi, że i Ken pada z nóg. Albo może Ken jemu wymasuje plecy, jeśli woli, w sumie to żadna różnica.

Nie przeszkadzało mu, że Ken w moim za małym dresie przypomina balet *Jezioro łabędzie*. Opięty, wypięty i niedopięty. A nawet odnosiłam wrażenie, że to jakby zachęca Gustawa jeszcze bardziej.

Rozejrzałam się podłamana za Aśką, żeby coś poradziła, ale nie było jej w mieszkaniu. Nie zauważyłam, kiedy wyszła. Co gorsza, razem z nią zniknął Sasza. Modliłam się, żeby wybyli każde w innej sprawie.

Zanim to jednak rozstrzygnęłam, Maorysi przydzwigali nowe drzwi. Nie zdziwiłabym się, gdyby wystawili je z jakiegoś pałacyku w okolicy. Wyglądały arystokratycznie, a ponadto nie pasowały. Za szerokie. Chyba żeby Maorysi wybili kawałek ściany nad schodami, jakieś pół metra, tyle, co nic.

– Może być? – zapytali mnie usłużnie.

– Nie może! – odwrzasnęłam im. – I nie może być, żebym siedziała w więzieniu z powodu waszej inwencji! Nie chcę kradzionych drzwi, złotych klamek, diamentowych wizjerów! Wstawcie mi moje stare połamane drzwi ze śmietnika i z nimi będę sobie szczęśliwie żyła dalej!

W tym momencie zacukałam się, a nawet chyba zapomniałam, o czym mówię, gdyż ujrzałam na schodach Aśkę z Saszą.

Wracali przytuleni. Ona czule kładła głowę na jego ramieniu. On trzymał na niej dłoń tak, że nie umiałam nawet zaobserwować, gdzie nikła. A najpiękniejsze było to, że Aśka wyglądała już na całkowicie spokojną. Czy też raczej zaspokojoną. Miałam nadzieję, że jej nieposkromione nocne życie nie odbiło się na nocnym życiu moich sąsiadów. Bo ina-

czej sąsiedzi mnie wypiszą z mojego przytulnego stryszku, na którym przeżywam naprzemiennie upadki i wzloty.

Rzecz jasna, aktualnie znajdowałam się w fazie upadku.

– Nie histeryzuj, Do! – zapowiedziała Aśka pobłażliwie na widok mojej zde gustowanej miny. – Powinnaś się hamować, bo z takim charakterkiem wyjdiesz w filmie na żonę. Społeczeństwo cię nie zaakceptuje.

Musiałam w samej rzeczy wyglądać przejmująco. Mimo to ktoś cmoknął mnie w policzek. Obejrzałam się zaskoczona.

Gośka z przyjacielską wizytą.

Czemu nie? Jeśli posiedzimy dłużej, to na pewno Brad Pitt także zajrzy. Z Angeliną Jolie pod pachę. Co im szkodzi!

– Cześć, Gosiu – powiedziałam posępnie. – Nie spodziewałam się ciebie o tej porze, niestety.

Moje chłodne powitanie nie zrobiło na niej wrażenia. Wchodząc, zgasiła światło. Początkowo wytłumaczyłam to sobie oszczędnością. Po co marnować prąd, skoro okazało się, że słońce już weszło i na stryszku jest widno. Choć z jakąkolwiek formą oszczędzania zetknęłam się u Gośki po raz pierwszy w życiu tego właśnie ranka.

Następnie z wielkopańską gracją siadła na kolanach Waldkowi, sądząc, że miejsce jest wolne. To trudno było wytłumaczyć. Mimo że częściej widywałam Gośkę siadającą facetom na kolanach niż oszczędzającą na wydatkach.

A najtrudniej było mi wytłumaczyć sobie, że serdecznie mnie przeprosiła. Za to, że wyleciały jej z głowy moje urodziny i dzisiejsi goście.

– Wszystkiego najlepszego, Do – powinszowała mi grobowym głosem. – Nie zabrałam z domu prezentu. Fajny ci kupiłam. Nie pamiętam tylko jaki. Prawdopodobnie coś sobie zrobię, mówię ci! Nie wytrzymam tego psychicznie!

– Nie mam urodzin, Gosiu – uspokoiliłam ją. – Mam w marcu. Nie martw się żadnym prezentem!

Gośka na siedząco zdjęła płaszcz i napiła się kawy Jarka.

– Oj, przestań już z tym prezentem, Do! Skoro ci obiecałam, to go dostaniesz, nie potrzebujesz się upominać. Tak w ogóle

mówię. O mnie, o życiu. Może za dwa tygodnie pojedę z Bernim na zawody balonowe i w górze wysiądę? Na pewno to będzie skuteczne, a jakie eleganckie, co? To tylko projekty. Może zostanie i po prostu coś połknę w domu? Też skuteczne, a chyba mniej szkodliwe niż na przykład taka obrzydliwa brzytwa, jak myślisz? Zresztą Berni goli się elektryczną maszynką, nawet nie wiedziałabym, jak sobie tym podciąć żyły. Ty wiedziałabyś?

Wzięłam ją do łazienki, żeby nie robiła przedstawienia przy ludziach. Zamknęłam drzwi, usadziłam ją na wannie i zapytałam, o co chodzi.

Chodziło o dziecko, oczywiście. A o co innego?

Gośka doszła do wniosku, że nie nadaje się na matkę. Skrzywdzi ukochanego maluszka, wydając go na świat. Inna kobieta powinna go urodzić. Mądrzejsza i ładniejsza, i w lepszym nastroju, bo tak to co go czeka za życie? Jeszcze wczoraj myślała, że się nadaje. Nawet jeszcze dziś w nocy tak myślała. A w każdym razie spała spokojnie, jakby się nadawała. Tymczasem rano wstała i widzi, że się nie nadaje. Beznadziejna sprawa! Na przykład ani razu nie miała porannych mdłości, przecież to nienormalne! No niech sama powiem! A wczoraj oglądała film o królownie Śnieżce i siedmiu strongmenach. Chciała o zwyczajnej Królowie Śnieżce, ale źle przeczytała w programie i włączyła się na kanał erotyczny. Dlaczego to zrobiła własnemu dziecku? Zanim się zorientowała, już ją wciągnęło. Jak jakąś kretynekę! Kto wie, czy to nie dlatego dobrze się dzisiaj czuje i znowu jej nie mdli? Horror! Tego się nie da wytrzymać na dłuższą metę!

Albo też prawdopodobnie to jest ciąża pozamacierna! Któraś jej prababka miała taką. A może któraś sąsiadka?

Dlaczego tyle nieszczęść spada na nią jedną? Inne kobiety zachodzą w ciążę, rodzą śliczne dzieci, ani się człowiek obejrzy, jak bobaski już się śmieją z wózczyka. A u niej na razie jakiś koszmar! Czy to już tak będzie do końca?

Przytuliłam ją, załamana, do siebie.

– Gośka, będziesz supermatką, a mdłości jeszcze przyjdą!
– obiecałam.

Wbiła we mnie dramatyczne źrenice. Zatrzepotała przejęta powiekami. I nagle bez uprzedzenia rzuciła mi się na szyję ze łzami w oczach. Ledwie ustałam na nogach.

– Naprawdę tak myślisz, Do? Mówisz szczerze? Jesteś najukochańsza! Naprawdę najukochańsza! Gdyby nie ty, już bym dawno nie żyła w tym idiotycznym balonie! Będę najwspanialszą matką na świecie, przekonasz się! Obiecuję ci! To będzie najszcześniejsze dziecko pod słońcem! Dziękuję ci z całego serca, Do!

Obcałowała mnie z głośnym cmokaniem, przy okazji dokumentnie mażąc mnie łzami.

Obmywałam się z nich, gdy do drzwi łazienki ktoś zapukał.

– Zajęte! – krzyknęłam.

– Pizza na telefon!

Popatrzyłam niepewnie na Goškę, ale jej w tej chwili wszystko już pasowało do wszystkiego. Zero zdziwienia. Więc otworzyłam na własne ryzyko, podejrzewając głupi dowcip. Tym bardziej że ze stryszku dobiegały dzikie wybuchy zbiorowego śmiechu.

Ale za drzwiami łazienki stał Jakub w firmowej czapce pizzerii.

– Cześć! – przywitał się jak stary kumpel. – Nie wiem, kto z was zamawiał, ale przypominam ci jako gospodyni, że miała być pizza bez pizzy. Bo pizzy jako takiej podobno większość z was nie lubi? Przyniosłem wobec tego same dodatki. Sałatka meksykańska Alamo, gulasz z pomidorów, zestaw ogórkowo-serowy. Wszystkim smakuje. Słyszysz śmiechy? To dlatego, że opowiedziałem im moją przygodę z wojska. Wiesz którą! Obracasz się w superinteligentnym towarzystwie, Do, w lot chwytają każdy żart!

Umył ręce, wytarł się w mój ręcznik i kiwnął na nas.

– Chodźcie, dziewczyny, zanim wam pożrą całość. Osobiście polecam Alamo, zarąbista! Bardzo pikantna. Rybki w oleju sam sobie tym razem przyniosłem, Do, nie mogę ciągle cię objadać. Daj mi tylko do nich jakiś talerzyk, dobrze?

Przepuścił nas przodem.

– Ale balanga! Nie idziesz dzisiaj do szkoły? – szepnęła mi na ucho Gośka.

Z trudem otrząsnęłam się z niepokojącego wrażenia, że Jakub z pizzerii właśnie się do mnie wprowadza. Na razie na wikt i opierunek, a co do łoża to jeszcze się ustali.

– Jak to nie idę do szkoły? Dobrze by było! – odpowiedziałam Goście półgębkiem, podejrzliwie zerkając przez ramię, czy Jakub nie bierze się za moje kosmetyki. – Idę na ósmą, psiakość, a nie zmrużyłam oka od wczoraj. Wykończę się.

W efekcie terapeutycznej rozmowy ze mną Gośka najwidoczniej popadła w huraoptymizm. Nie było dla niej rzeczy niemożliwych, bo odparła z marzycielskim uśmiechem:

– To musisz się pospieszyć, Do, żeby zdążyć. Już piętnaście po dziewiątej.

Senne mary

Na dzień dobry pokłóciłam się z taksówkarzem. Kazałam mu jechać na pierwsze piętro do drugiej ce. Może faktycznie zbyt szczegółowo, ale byłam zaaferowana ogromem mojego spóźnienia. A ten zamiast kulturalnie dopytać o szkołę – szkoda fatygi, powiada. Niczego mnie nie nauczą w drugiej ce, skoro nie umiem po ludzku podać adresu.

Kiedy indziej wzięłabym to może za komplement, że młodo wyglądam. Ale po ciężko nieprzespanej nocy wygarnęłam mu ze złością, że sama tam uczę. Natomiast mnie nikt nie uczy niczego, a już najmniej taksówkarze adresu. Szkoda, że nie chodził do mojej klasy, bo miałby trochę ogłady. Wygląda na to, że do żadnej nie chodził.

Spojrzał na mnie w lusterku z wampiryzm grymasem na twarzy.

– Niech pani wysiada, pókim spokojny! – powiadomił. – Nigdzie nie jedziemy.

– Alem ja już podenerwowana! – odpowiedziałam mu w tym samym tonie. – Lepiej jedźmy! Bo napiszę na pana taką skargę, jakiej nie widzieliście w tym waszym zakichanym przedsiębiorstwie taksówkowym. W telewizji będziecie się mogli nią chwalić. Delegacja z prokuratury przyjedzie poglądać!

Zgasił silnik i odwrócił się do mnie. Wampirzy grymas rozszerzył mu się już z twarzy na szyję. Pod brodą chodziła mu potężna gula. Teraz nawet gdyby zapraszał, wołałabym z nim nie jechać. Ryzyko ma swoje granice.

Szczęśliwym trafem ludzie Saszy wrócili akurat z następnymi drzwiami na bagażniku. Z fasonem zaparkowali w poprzek ulicy, żeby łatwiej wygruzić swój ładunek przed klatką schodową. Tym razem przywieźli ewidentnie wrota od obórki, ale pomyślałam, że przynajmniej będzie komu podrzucić mnie do szkoły. Przez szybę pomachałam do wysiadającego Maorysa.

Nim otworzyłam drzwi taksówki, taryfiarz ruszył z piśkiem opon. Gdybym zdążyła pociągnąć za klamkę, wypadłabym jak nie!

Przeraziłam się nie na żarty, że wykonuje na mnie jakieś debilne porwanie z żądzy zemsty. Dwa dni temu widziałam coś podobnego w telewizji, tyle że działo się to w bardziej pustynnym kraju. Tam, gdzie męskie hormony buzują jeszcze silniej. Co za czasy wrednych facetów! Wystarczy odpysknąć w taksówce i żegnaj świecie?!

– Dlaczego pan jedzie? – wykrztusiłam drżącym głosem.

– O co się tak gniewać? Już dobrze! – wyjaśnił z ujmującą uprzejmością. – Złość piękności szkodzi! Wystarczyło mnie ładnie poprosić, na co od razu taka straszna afera? To był znajomy?

Dopiero w tym momencie uprzytomniłam sobie, że przed chwilą Maorys odmachął mi pepeszą. A no tak!

– Żaden znajomy! – zachnęłam się w pierwszym odruchu, ale zaraz dopowiedziałam z mściwą satysfakcją: – Mąż!

Niech męski wampir ma za swoje! Za mój strach sprzed paru minut!

– Mąż? Trochę nerwowy, no nie?... A ja panią zawiozę gratis. Tak mi się coś widzi, że z mężem do podstawówki chodziłem. Może mnie nie pamięta, nie szkodzi.

Oczywiście wbrew jego protestom zostawiłam mu pieniądze za kurs. Żadnych długów wdzięczności wobec wampirów!

Wpadłam po schodach do szkoły z wywieszonym językiem i od razu w holu pośliznęłam się na wypucowanej posadzce. Łapałam równowagę z nosem przy podłodze. Aż do butów samej dyrektorki. Z czubkami, które by mnie przebiły na wylot, gdybym nie wyhamowała.

Dam głowę, że czatowała tu na mnie od ósmej rano, żeby mnie zabić obuwem. A przynajmniej wygłosić umoralniające kazanie.

– Nie pojmuję, co się z panią dzieje, Dominiko! Już chyba nie może być gorzej? Drugie spóźnienie w tym tygodniu, a mamy środę, dzięki Bogu!

– No to mogły być trzy spóźnienia – wydukałam spocona z emocji. – Ale rzeczywiście, moja вина. Przykro mi, pani dyrektor. To się nie powtórzy.

– Doprawdy? Właśnie dziś się powtórzyło, jak widzę. Rozumiem, że raz kiedyś można zasnąć, bo umrze ktoś w rodzinie lub tego typu kłopot. O parę minut zasnąć, nie dłużej! A tu już dawno zaczęła się trzecia lekcja, dzięki Bogu.

Strasznie dziś była wdzięczna Bogu, że może sobie na mnie poużywać.

– Nie zasnęłam – wyjaśniłam jej. – Przepraszam jeszcze raz.

– Och, nie zasnęła pani? To dzięki Bogu! Bo sądząc po oczach, jeszcze pani się nie obudziła. Czy mogę wiedzieć, co innego nie pozwoliło pani na wywiązanie się z obowiązków?

Rozłożyłam bezradnie ręce.

– Nie wiem, pani dyrektor, czy pani będzie zadowolona, jeśli odpowiem.

– Bez obaw. Prawda nas uzdrowi, jak to się mówi.

– Jeżeli tak, to proszę – zgodziłam się bez większych ceregieli. – Nie mam przed panią tajemnic. Zemblało w moim mieszkaniu czterech facetów, rosyjska mafia wstawiała mi drzwi, Asia Robotek, z telewizji, przedawkowała u mnie Kamasutrę, bił się o mnie obcokrajowiec, koleżanka uczyła mnie chodzić, druga koleżanka usuwała obrączkę ślubną za pomocą medycyny niekonwencjonalnej, trzecią musiałam zniechęcić do samobójstwa w balonie, mój facet doznał kontuzji po pocałunku, tyle że on już obecnie nie jest moim facetem, jak podejrzewam, a inny, który też był poniekąd moim facetem, okazał się biseksem i nad ranem zostawił mnie dla takiej męskiej lalki Barbie, z tym że ta Barbie, gwoli ścisłości, nie była akurat moim facetem, natomiast miałam jeszcze innego, wspinacza, można powiedzieć, gdyż on wspina się na budynki z powodu miłosnych zawodów, tyle że ze mną na razie takich zawodów nie miał, a w każdym razie usilnie starałam się temu zapobiec... – Przerwałam z litości, ponieważ dyrektorka bladła i czerwieniła się na zmianę. – No to mniej więcej tak, pani dyrektor. Już nie liczę tego, że wcześniej omal nie utonąłam w jeziorze zbombardowanym przez Austro-Węgry.

Dyrektorka zacisnęła wargi w sznurek. Nosek u jej buta podrygiwał, jakby walczyła z chęcią wymierzenia mi kopniaka.

– Wystarczy! Proszę udać się na lekcję, pani Dominiko.

– Aha! I zapobiegłam kradzieży Mony Lizy z Luwru!
– przypomniało mi się na odchodnym.

Oddalająca się dyrektorka zamarła w pół kroku.

– Proszę iść do uczniów, dobrze? Nie jestem pewna, czy osoba podchodząca do swoich obowiązków z takim ekstrawaganckim poczuciem humoru jak pani jest dobrym przykładem dla młodzieży! Muszę się nad tym zastanowić w szerszym gronie. Chyba nawet w kuratorium.

No to pięknie, dzięki Bogu. Ja i poczucie humoru – zwłaszcza dziś rano. Ale co się dziwić dyrektorce? Po takiej zwariowanej nocy sama bym się wywalila ze szkoły, gdybym

miała takie uprawnienia. A ona je ma, niestety! Oho, i potrafi z nich korzystać, nie ma przebaczyć. Wiosną podpadł jej wufista i w tym roku już go nie ma!

Powinnaś sobie odgryźć język, zanim się odezwałaś.

Posłałam do klasy zadowolona. Obiecałam sobie, że od dziś będę świeciła pedagogicznym przykładem na całą krajową oświatę.

Po czym ze zmęczenia zasnąłam jak niemądra za nauczycielskim stołem.

Wstał Tomek Matczak z pierwszej ławki i bez śladu skrępowania oświadczył mi, że nie przejawiam przyrodzonej kobietom troskliwości, więc faceci będą mnie porzucać i porzucać, i porzucać, i porzucać... A dyrektorka będzie mnie wyrzucać i wyrzucać, i wyrzucać...

Zacinał się jak archiwalna płyta.

– Mnie, a nie ciebie! Więc co to cię obchodzi, kolego? – przerwałam mu zniesmaczona.

W zasadzie byłam pewna, że on mi się tylko śni. Ale jak bezczelnie!

– Dobrze mówi – zaświadczył Marek Magier z ostatniej ławki. – Nie uratowała pani mężczyzn przed bajkami La Fontaine'a, nie uleczyła pani męskiego zęba ani nie oplastowała ucha, nie świadczyła pani w sądzie na rzecz Jałty. Co za paskudny egoizm. Wstydzą się za panią polskie kobiety, które przez wieki bohatercko bandażowały Kmicica, pana Tadeusza, Pana Samochodzika, Konrada Wallenroda, Janka Muzykanta, Hansa Klossa... – Najwyraźniej też się zaciął. – Pani nie zasługuje na miłość oraz etat pedagogiczny.

– Postawię wam jedynki, jeżeli nie przestaniecie! – zaszantażowałam ich w obronie własnej, ale zlekceważyli moje groźby.

– Z powodu pani marnego charakteru faceci znajdą sobie kobiety bardziej kobiece od pani – orzekła Ela Maryn z ławki pod oknem. – A dyrektorka bardziej męskie!

Pokazała mi dłoń kciukiem w dół, choć to, co gadała, było bez sensu. Nic z tego nie rozumiałam. Może chodziło o jakąś ukrytą symbolikę erotyczną?

– Pani działa antywychowawczo – wsparła ją Marylka Sucha. – Kiedy na panią patrzę, boję się, że nie wyjdę za mąż. A moi rodzice boją się, że się rozwiode. I zostanę bez środków na utrzymanie, bo seksiści wyrzucą mnie z pracy. Której zresztą w ogóle nie dostanę.

Ze zdumieniem spostrzegłam, że Maryla Sucha jest niesamowicie podobna do Agathy Christie. Zresztą oni wszyscy wyglądali jak Agatha Christie. Siwe włosy, pękate figury, kostium z angielskiego tweedu i złożona parasolka jako laseczka. Do tej pory tego nie zauważyłam! Tłum Agat Christie! Powychodziły z ławek i zbliżały się do mnie ze wszystkich stron. Utworzyły złowieszczy krąg, rechotały złośliwie, wytykały mnie paluchami.

– Trę-do-wa-ta! Trę-do-wa-ta! – wyły nade mną nienaganną polszczyzną.

Zakreśliło mi się od tego w głowie. Spojrzałam z lękiem ku górze, gdzie obecnie działo się już coś nowego, ale tak samo niepojętego.

– Dobrze, że pani nie śpi! – pochyliła się nade mną Miranda z drugiej ha.

Ona wyjątkowo nie wyglądała jak Agatha Christie. Co nie znaczy, że wyglądała dobrze. Miała fioletowe włosy, spięte na czubku głowy w miotelkę, i srebrny gwoździć w skrzydełku nosa.

– Właśnie, że śpię! – sprzeciwiłam się. – Ale obudź mnie, błagam!

– Bez jaj! Widzę, że pani nie śpi!

Stała nade mną z fioletowym wiechciem na głowie. Żuła nonszalancko gumę. Usta i powieki miała wymalowane na czarno. Z tym że ona tak się nosi na jawie. Taki styl.

– Kiedy pani spała, zajęłam się trzema pani klasami! – pochwalała się. – Chyba zaplusowałam u pani z polskiego, co? Bo nie zamierzam uczyć się na pamięć koncertu Jankiela, zapowiadałam to z góry. Zbilansuje się nam jedno z drugim?

Słuchałam jej jednym uchem. Głównie byłam skupiona na niedowierzającym gapieniu się w zegarek. Wpół do pierwszej!

Przespałam trzy godziny lekcyjne na oczach uczniów. Jeżeli utrzymam się w tej szkole do następnej przerwy, będę szczęściarą!

– Spoko! – zapewniła mnie Miranda. – Kazałam im czytać *Kod Leonarda da Vinci* ze zrozumieniem. W pierwszej ce postawiłam wszystkim jedyńki, bo strzelali w panią gumkami. Teraz myję na zapleczu probówki. W przyszłym tygodniu chemica odpisze mi za olewanie układów dyspersyjnych, więc mi się zbilansuje. A, i jeszcze druga ef była rozwydrzona. Telefonowali, w okręty grali, opowiadali świńskie kawały. Dlatego założyłam im kabaret literacki „Dziady Drezdeńskie”. Żeby wyszli na ludzi. W jakiejś książce czytałam, że to skutkuje. Za miesiąc premiera, niech pani nie zapomni. Wiersze Karola Wojtyły, Petrarcki i własne, muzyka Black Sabbath.

– Nie za ostro? – zapytałam.

– A skąd! Nonkonformistyczny zestaw konkursowy. Chyba będzie ich pani chciała gdzieś zaprezentować i pochwalić się wynikami nauczania?

– O jedyńkach dla całej klasy, mówię, czy nie za ostro?

– Jejku, no to im pani wymaże, wpisałam ołówkiem. Jak by pani trafili gumką w oko, to ciekawe. Litować się każdy potrafi! – skrzywiła się pogardliwie. – I obudziłam panią, bo przyszedł taki Wiking z kucykiem. Wpuścić, zanim pójdę na zaplecze?

Powiedziałam, że tak.

Przez drzwi kiwnęła na Waldka.

Poprawiłam fryzurę, podsunęłam się wyżej na twardym krześle. Cud, że z niego nie zjechałam we śnie. Weszłabym do legend szkolnych. Jest tam już geograf, któremu wsypano laxigen do kawy, historyczka, odkąd w toku analizowania bitwy pod Jeną wypluła mostek dentystyczny, i matematyk z nosem złamanym o tablicę, bo kreda mu się pośliznęła na ułamku piętrowym. Życie szkoły rządzi się swoimi prawami. Szansę na nieśmiertelność ma jedynie czysto fizyczna strona pedagoga. Potknięcia, kichnięcia, uszczerbki w garderobie, zwłaszcza od pasa w dół. O tym, że w zeszłym roku nasz anglista przetłuma-

czył Conrada z powrotem na angielski, nikt nie pamięta, ale że przed laty spodnie pękły mu w kroku, gdy oddawał hołd sztandarowi szkoły, opowiadają sobie nawet pierwszaki zaczynające naukę.

– Wybacz, Domi, że się wpięprzam, ale sprawa jest pilna!
– zagaił światowo Waldek.

Powiedziałam, że domyślałam się, i wskazałam mu miejsce w pierwszej ławce.

– Zastanawiałam się od naszego spotkania – wyłuszczyłam, nie czekając na pytanie. – Mam dwie konkurencyjne propozycje, jeśli się zgodzisz. Możemy zacząć od łóżka, żeby nie było niedomówień. Spontanicznie! Seks ustawi nam sytuację na ostro, prawda? Będzie jasne, co i jak! Albo zrobimy to stopniowo, lirycznie. Wiesz, wizyta u rodziców, poznanie się, kawa, ciastka, kwiaty, te rzeczy... Jak wolisz?

– Wolę?... – Waldek odchrząknął. – Co wolę?

– Najpierw łóżko czy najpierw rodzice? Bo to jednak mocno rzutuje na tempo rozwoju późniejszych wydarzeń. Mam rację?

– Ale rodzice? – skrzywił się Waldek. – Po co ich w to mieszać? Nie brałem tego jakby w ogóle pod uwagę...

– Taką masz koncepcję? – pokiwałam głową z zadumą. – Bez rodziców? Jeśli tak będzie korzystniej według ciebie... A jak wybrniemy z tych sytuacji, kiedy oni się nieuchronnie pojawią? Są poniekąd nosicielami tradycyjnych wartości moralnych!

– Przecież sama mi to proponujesz... – przypomniał niepewnie Waldek.

– Ale ty przede wszystkim będziesz pchał interes! Ja nawet nie wiem, jak to się robi!

Zakrztusił się śliną i odkaszlnął w kułak.

– Żartujesz? Nie masz dwunastu lat!

– Mam czy nie mam, ale mimo wszystko to mój pierwszy scenariusz.

Waldek rozdziawił usta, a potem zatrzepotał gwałtownie kucykiem.

– Aha, mówisz o scenariuszu?

– A o czym?

– No nie! Bo ja zrozumiałem, że chcesz ze mną... – Tu z całą bezceremonialnością wykonał bardzo nieprzyzwoity gest. – Nie miałbym nic przeciwko odrobinie intymności z tobą, tu mnie masz. Ale jeśli mowa o scenariuszu... Słusznie, od czegoś go zaczniemy. Na razie zastanówmy się na spokojnie i zostawmy sprawę otwartą. Okej? Teraz mam inny drobiazg do ciebie, Domi. Ta twoja koleżanka, co mi siadła na kolanach, kojarzysz?

Odniosłam wrażenie, że rozmawia mi się z nim źle. Niemniej potwierdziłam, że kojarzę i że to Gośka.

– Właśnie, Gośka! – ucieszył się. – Miałem ją na końcu języka!

Zastanowiłam się nieufnie, czy i tutaj nie miał na myśli czegoś zdroźnego, a on tymczasem się rozgadał. Musi mieć Gośkę! To znaczy, jej adres. Czy mu dam? Chyba nie będę świnią, żebym nie dała? On po raz pierwszy w życiu czuje, że to nie jest powierzchowne. Gośka mu imponuje! Czy pamiętam ten balon, o którym mówiła? Rozkoszne! Nie spotkał w życiu laski podniecającej się balonami.

Miał dziwną umiejętność nadawania śliskiej dwuznaczności wszystkiemu, co mówił. Dopiero teraz to zauważyłam. Nie byłam przekonana, czy Gośka rzeczywiście imponuje mu baloniarstwem, czy raczej tym, że siadła mu na kolanach imponująco zgrabnym tyłkiem.

Sama sobie zawiniła, niemniej nie mogłam jej zostawić na pastwę Waldka.

– Moja przyjaciółka jest szczęśliwą żoną, a poniekąd matką – ostudziłam go.

– Spełniona kobieta, Domi, jest szczęśliwą matką, żoną i kochanką. Jeśli ludzie przyciągają się jak magnes, to ma już kosmiczny wymiar. Bóg i przeznaczenie! W tej perspektywie układy rodzinne Gośki nie są dla mnie problemem.

Dla mnie jednak były. Nie zamierzałam przykładać ręki do rozbijania małżeństwa przyjaciółki. Oczywiście, Waldek

nie musiał mieć na uwadze rozbijania małżeństwa. Ale to jeszcze gorzej na obecnym pięknym, familijnym etapie życia Goški.

Tyle że z drugiej strony nie zależało mi na tym, żeby on w poczuciu zawodu polazł na wieżę Eiffla albo na inny budynek o fallicznym kształcie. Moje sumienie zostało stworzone do życia w nudzie i marazmie. Inaczej jest mu źle.

– Waldeczku! – zaszcebiotałam podstępnie dla dobra Goški. – Daj jej spokój, posłuchaj mojej zyczelivej rady. O balonie ona bredziła w szoku. To z powodu ciąży! Tak naprawdę boi się wejść na drabinę, żeby zawiesić firanki. Pomoc domowa jej zawiesza, niejaka pani Lidka. Też nieciekawa kobieta, swoją drogą. Zapomnij o nich obu! Tylko ja kocham cię naprawdę, Waldku! Nie widzisz tego?

Byłam przepiórką!

Ona też ściąga na siebie uwagę łasicy, żeby odciągnąć ją od gniazda z młodymi. Nie będę was czarować, że czułam się dobrze jako przepiórka. Jeszcze gorzej niż jako Mata Hari. Ale przepiórka też nie czuje się dobrze w takim momencie. Zwykły samiczy los!

Zresztą Waldek w ogóle nie zamierzał wchodzić w rolę łasicy. Łasica także stosuje swoje zwierzęce sztuczki wobec przepiórki. A on zmierzał do celu po prostacku, jak robi to tylko człowiek.

– No nie, odlot! Kochasz mnie, Domi? Serio? – uradował się nonszalancko. I korzystając z okazji, klepnął mnie zalotnie w tyłek, a ja musiałam udać, że nie zauważam. – Wiesz, fajnie, bardzo fajnie, tylko ja ciebie nie kocham, żebyśmy mieli jasność. Ubóstwiam Goškę i chcę jej numer telefonu. Chyba logiczne?

– Przed sekundą nie miałeś nic przeciwko odrobinie intymności ze mną, a teraz nagle ubóstwiasz moją przyjaciółkę? – zapytałam zgryźliwie.

– Ja, Domi, mam taką konstrukcję psychiczną, że kiedy nie jestem aktualnie zakochany, mogę się przespać z byle kim. To hormonalne.

Najgorsze, że mówił te grubiaństwa całkiem poważnie i nieświadomie. Widać taką miał konstrukcję psychiczną.

– Co masz na myśli, że z byle kim?

– A co, nie rozumiesz? Jeśli masz chęć, mogę na czas numerku czy dwóch zapomnieć o Goście. Zakochany też bywam w rozsądnych granicach. Ale chcę za to jej telefon, okej?

Zapowietrzyło mnie normalnie. Ledwie wydobyłam z siebie głos.

– Masz taką konstrukcję psychiczną, że jesteś wstrętny! – wykrztusiłam. – Nie wpuszczę cię jutro na lekcję bez któregoś z rodzic... To znaczy... Wyjdź z klasy i już! To jest teren szkoły! Nie dam ci niczyjego numerku! A scenariusz możesz sobie pisać ze Spielbergiem, jeśli wola! Mnie nic do tego! Ordynus!

Był autentycznie zdumiony moją reakcją. Cham! Coś jeszcze próbował tłumaczyć, coś motać, ale wobec mojej nieugiętej postawy popukał się w czoło tuż przed moim nosem, odkopnął dumnie krzesło i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Co za prymityw! Wprost fizycznie mnie bolało, że nie powiedziałam mu wszystkiego, na co zasługiwał, ale przecież kulturalny człowiek nie jest w stanie wypowiedzieć się szczerze i całościowo wobec takiego czegoś jak on.

– Spielberg! – wrzasnęłam za nim, żeby choć troszkę mu jeszcze dołożyć.

Ale dla niego to było wciąż za mało, a dla mnie już za dużo, jak widać.

– Ordynus, chciałam powiedzieć! – poprawiłam się natychmiast, ale to już nie było to samo.

Nawet się nie odwrócił, odchodząc pustym korytarzem.

Czułam, że zaraz się rozbeczę na maksa, tylko nie miałam pojęcia dlaczego. Może od niewyspania? Bo przecież nie z tego powodu, że taki prostak jak Waldek mnie nie kocha, nigdy nie kochał i w najgorszej depresji nie życzyłabym sobie, żeby mnie pokochał. A może już mi odbija od samotności? Teraz będę po prostu płakała, że nikt mnie nie kocha. Ogólnie. Wszystko jedno kto. Ktokolwiek.

Byle nie Waldek!

Ale na przykład taki Bingo! Co mu właściwie w tym przeszkadza?

Gdyby naprawdę był moim wielbicielem, nie kryłby się w telefonie, tylko przyszedłby tu zamiast Waldka, i to bynajmniej nie w sprawie Gośki, tylko w mojej, i to on by mnie klepnął zalotnie w tyłek i to byłoby zupełnie co innego!

A może to był właśnie on?

Nie, nie wierzę, żeby Bóg był taki złośliwy! Nawet jeśli ulubioną potrawą Waldka jest pizza z pomidorami i sosem paprykowym light, dokładnie taka, jaką przyniósł mi Jakub tamtej nocy – to i tak nie uwierzę, że Waldek może być Bingiem! W końcu łatwo to rozpoznać, nawet nie znając faceta! Bingo to Bingo! Jest delikatny, jest opiekuńczy, jest czuły, jest przewidujący, jest dowcipny...

No, może lepiej bez przesady. Jest? Jakie jest?

W tym właśnie sęk, że go nie ma!

Jestem samotną dziewczyną, w podstępnych celach wyznającą miłość, komu popadnie – i kiedyś musiało mi to wyjść bokiem!

– No, no! Pierwszy raz widziałam panią z facetem! – wychyliła się z zaplecza Miranda.

Jeszcze ta piąta kolumna zza ściany! Zupełnie o niej zapomniałam. Za wcześnie uznałam się za ukaraną przez los. Jeszcze nie koniec! Jeśli Miranda słyszała i widziała, moja kariera w tym gimnazjum naprawdę dobiega końca. Pozostanę w legendach szkolnych jako polonistyczna Lola-Lola, która wiesz się przypadkowym facetom na szyi.

– To był znajomy mojej znajomej – wyjaśniłam zmieszana.

– O! Dalekie pokrewieństwo! – zakpiła Miranda.

Usiadła na stole z nogą na nogę i nadmuchała przeżuwaną gumę. Kiedy różowy balon pękł jej wreszcie na nosie, dokończyła poufale, jakby poczuła się swoją powierniczką od serca:

– Wie pani co? Może to ostatnia szansa na miłość? Trzeba się jej trzymać, a nie lekkomyślnie wyrzucać faceta za drzwi.

Pani ma już wyjedzone górne pół słoiczka miodu, nie ma co się oszukiwać.

Zacisnęłam zęby, co mnie czasami uspokaja.

– Czy masz coś konkretnego na myśli, Mirando, używając tych przemyłych słodkich metafor?

– Do trzydziestki może pani poszaleć – sprecyzowała. Dajmy na to, do trzydziestu pięciu. To już niedługo. Potem denko. Słodkie, pachnące, przezroczyste, jak to denko od słoiczka po miodzie. Ale denko.

Popatrzyłam na nią surowym wzrokiem pedagogicznym.

– Zobaczmy, co powiesz, kiedy sama będziesz miała trzydzieści pięć.

– Ja nie będę miała. Po co mi to?

– Sfałszujesz metrykę? Czy też może do tego czasu wysmażysz się w solarium na śmierć?

Popatrzyła na mnie z politowaniem, jakbym nie pojmowała najprostszycich ludzkich spraw.

– Zmienię płeć. A na co mam z tym czekać? Za parę lat to będzie zabieg nie większy niż rwanie zęba. A u facetów czas wolniej tyka. Tyle że wcześniej lepiej być babą, bo można się rozwijać ogólnokształcąco, a nie tylko seksualnie jak facet. Studia, zawód, płeć, kariera, to trzeba mieć w grafiku zawczasu, nie na żywioł! Nie żyjemy już w zacofanym dwudziestym wieku! Jeżeli w dzisiejszym świecie poprzestanie pani na tym, z czym się pani urodziła, to przekichane. Trzeba dopomóc Panu Bogu, a nie jaką mnie stworzyłeś, taką mnie masz. Odessać tłuszcz, poprawić cycki, przykroić dziesięć przykazań pod swoje potrzeby. Żyć świadomie! Ja pani powiem, co zrobić, skoro pani pochopnie wyrzuciła Wikinga. Zadzwoń do niego i zagrozić pozwem.

Przyglądałam się jej z narastającym zdumieniem.

– O co miałabym go pozywać?

– O uszczerbek moralny z powodu wygaśnięcia jego uczuć. O ogólny rozstrój pani zdrowia. O straty materialne. To podstawa! Straty materialne! W dzisiejszym świecie nikt pani nie potraktuje poważnie bez roszczeń finansowych. Pierwszy lep-

szy adwokat je pani wykombinuje raz-dwa. Na przykład że ulokowała pani uczucia w Wikingu na niekorzyść biznesmena, który był gotów zainwestować dla pani w perłową macicę albo w grajdołek na Copacabanie. Najmniej na dwadzieścia pięć tysięcy można go skarżyć. W euro!

Skąd ta ponura znajomość świata u dzisiejszych małałotów? Faktycznie stracę niezłą kasę na scenariuszu nienapisanym z powodu wygaśnięcia uczuć Waldka do współscenarzystki Dominiki. Ale honorowo odpowiedziałam Mirandzie, że nic z tego. Dzięki. Ten mężczyzna nie interesuje mnie pod żadnym względem, prawnym także.

Patrzyła na mnie jak na ciężką frajerkę, gdy wychodziłam.

Nie szkodzi. Wolałam zostać w legendach szkoły jako ciężka frajerka niż jako polonistyczna Lola-Lola.

Życie jest jawą

Wchodziłam po schodach z duszą na ramieniu. Wyobrażałam sobie, że na mój przytulny stryżek prowadzi wielka dziura, w którą Maorysi wstawili wahadłowe drzwi jak w saloonie na Dzikim Zachodzie.

Ale o dziwo, drzwi były zwyczajne, z wizjerem i klamką, i z tabliczką z moim nazwiskiem, a ścianę wokół schludnie odmalowano. Na moment uległam przyjemnemu złudzeniu, że ta zwariowana noc śniła mi się tylko. Życie, które prowadzę po odejściu miłości mojego życia, nie sprzyja równowadze psychicznej. Śnię na jawie jak ktoś, kto tygodniami nie spał.

Tyle że u mnie dotyczy to szeroko rozumianej sfery miłosnej.

Na klamce wisiała kartka, że klucz jest u sąsiada piętro niżej. A więc jednak! Niemożliwe, żebym popadła w taki lunatyzm, że sama do siebie piszę. Mam na myśli kartki z praktycznymi informacjami, gdyż tak w ogóle to słyszałam o kobiecie, która pisała do siebie namiętne listy miłosne. Ko-

leżanki padały z zazdrości. Ale nawet ona nie powiadamiała-by się na piśmie, że klucz u sąsiada.

Poza tym farba na ścianie jeszcze nie wyschła.

Wniosek? Moja nieubłagana jawa odbyła się naprawdę i nie wiadomo, ku czemu mnie doprowadzi. Niedawno oglądałam w telewizji sztukę Calderona *Życie jest snem*. Ścisłe mówiąc, zasnęłam na niej, niemniej tytuł uważałam za piękną metaforę. A to normalna bzdura, okazuje się.

Życie jest jawą, niestety, nic na to nie poradzimy.

Zeszłam piętro niżej zgodnie z instrukcją. Pan Zenobiusz z trzeciego otworzył mi z okładem na głowie. Wyglądał jak turecki basza. Widocznie sąsiedzi gorzej znieśli dzisiejszą noc w praktyce niż w moich błogich złudzeniach na ten temat.

Nie mogłam zatem tak zwyczajnie poprosić go o mój klucz. Musiałam coś powiedzieć, żeby nie wyjść na ostatnią awanturkę.

– Przykro mi serdecznie, panie Zenobiuszu, mnie samą zaskoczył burzliwy rozwój nocnych wydarzeń – wytłumaczyłam się skruszona. – Nie planowałam żadnej hucznej imprezy, bobym uprzedziła. Pan mnie zna. Sama jestem po tej nocy wykończona. Ale to moja wina, ponieważ to moi znajomi, toteż gorąco za nich przepraszam. Jeśli mogę wspomóc pana w cierpieniu, z chęcią zwrócę się do ojca. On przepisze coś uspokajającego na receptę, a ja to z przyjemnością wykupię za swoje. W ramach rekompensaty, sąsiedzie.

– Jest pani miła jak zwykle, sąsiadko – uznał życzliwie pan Zenobiusz. – Niestety, małżonka nie pozwala mi używać aptecznych leków. Kuruje mnie naparami według własnej receptury. – Ściszył głos i dorzucił: – Daję pani słowo, sąsiadko, że nieprzytomnie tęsknię za naturalną zdrową aspiryną! Od tych naparów tylko głowa mnie rozboleła, sama pani widzi.

Znacząco dotknął palcem swojego turbana baszy.

– Żona dba o mnie, nie mogę powiedzieć, ale o napary dba jeszcze bardziej!

Już myślałam, że przebrnęliśmy przez najdrażliwszą część rozmowy, kiedy okazało się, że to była dopiero przygrywka.

– A co do dzisiejszej nocy – wyjaśnił mi smętnie pan Zenobiusz – istotnie, sąsiedzi byli na panią źli, sąsiadko. Nie ma co owijać w bawełnę. Do drugiego piętra wściekli się wszyscy, a poniżej wybiórczo. Mówiło się o wzywaniu policji. Nad raniem Kowalak wybrał się zrobić pani awanturę, ale nie dotarł, ponieważ schody były zatarasowane przez drzwi od kasy pancernej. Frączkowa, jeśli wolno mi zacytować dosłownie, obiecała pani kudły powyrywać, jeżeli jej dziecko popadnie w nerwicę od sąsiedztwa z panią, sąsiadko. Mecenasostwo Kaliccy zebrali siedem podpisów, żeby panią eksmitować.

Chyba zbladłam ze wstydu, bo pan Zenobiusz pogłaskał mnie po głowie i zapewnił, że teraz już nie ma się czym martwić. Całe szczęście, że wpadłam na ten uroczy pomysł z kwiatami. Bardzo dobre posunięcie taktyczne. Takie wystawne przeprosiny od razu załagodziły nastroje. Obecnie cieszę się sympatią na naszej klatce schodowej. Niektórzy mnie wręcz lubią. Panuje opinia, że jestem młoda, postrzelona, muszę się wyszumieć, bo co mam z życia? Ani męża, ani dzieci, nauczycielską pensję i mieszkanie na poddaszu.

Tym razem ze wstydu prawdopodobnie zzieleniałam. W każdym razie nastroje i kończyły opadły mi jak liście zwiędłej paprotce. Na dodatek niczego nie rozumiałam. To znaczy, rozumiałam, że sąsiedzi mają mnie za ostatnie nie-szczęście w powiecie, ale poza tym?

– Kwiaty? – wybąkałam, żeby nie stać bez słowa w kolorze zielonym. – Ja nie dawałam nikomu kwiatów.

– I bardzo dobrze! – pochwalił pan Zenobiusz. – To zrobiło znacznie lepsze wrażenie, że przez posłańca, niż gdyby pani osobiście dawała, sąsiadko. Co tu dużo gadać, ludzie rzadko kiedy dostają kwiaty przez posłańca. Może Janda po spektaklu, a tak to nikt. Poczuli się dowartościowani.

Nawet nie chciało mi się zastanawiać, kto porożyszał kwiaty w moim imieniu. Myślałam raczej o tym, że stracę pracę i dach nad głową za jednym zamachem. Dyrektorka mnie zwolni, sąsiedzi wyeksmitują. Resztę życia spędzę pod mostem pouczana przez straż miejską i taksówkarzy.

Zgnębiona odebrałam mój klucz od pana Zenobiusza i poszłam do siebie stuprocentowo niedowartościowana. W przeciwieństwie do obdarowanych kwiatami sąsiadów.

Więc nędza mojego życia aż tak rzuca się w oczy? Biedna, postrzelona, niezamężna! To naprawdę o mnie? Kowalak też nie ma męża jak ja, chleje i żona go zostawiła, a dzieci Frączkowej kradną radia z samochodów. Ale widocznie to bardziej mieści się w społecznej normie niż moja hulaszca życiowa wegetacja.

Za progiem trochę się otrząsnęłam z fatalizmu. W mieszkaniu panował idealny porządek, talerze i szklanki zmyto, co niezjedzone – w lodówce. Tyle że wszystkie alkohole z barku zostały po moim wyjściu wypite do dna, widocznie impreza rozwijała się w najlepsze. No i ktoś zjadł pięć jajek. Nie chodziło mi o te jajka, tylko o rządzenie się w mojej lodówce. Miałam nadzieję, że to Gośka się tu szarogęsiła, nie ktoś obcy.

Zadzwoiłam do niej.

Jednak nie ona. Wysła ode mnie wcześniej niż inni. Zajrzała do przychodni, żeby powiedzieć lekarzowi, że jednak to nie jest ciąża pozamaciczna. Okazuje się, że wcale nie brał pod uwagę takiej ewentualności, bęcwał! Jeśli ona przy nim urodzi w terminie, to będzie cud – orzekła porywczo!

Ale bardzo fajnie, że dzwonię. Akurat znalazła w kalendarzu doskonałe imię, gdyby embrion urodził się chłopczykiem.

Witalis!

– Nieziemskie! Sama nie wiem, jakim cudem je wypatrzyłam! – Tym razem Gośka zachwyciła się sobą jako matką. – Brzmi jak Bruce Willis, słyszysz to?

– Ziemskiego nie było? – zapytałam, zastanawiając się, czy nie trzymałam w mieszkaniu czegoś kompromitującego, co nieznany porządnicki wykorzysta przeciwko mnie. – A jak się urodzi rudy? Będą go w szkole przezywali od lisa Witalisa.

– Dlaczego ma się urodzić rudy? – oburzyła się Gośka. – Ja nie jestem ruda.

– Facetem też nie jesteś, a sama mówisz, że może się urodzić chłopczyk.

W odpowiedzi Gośka oznajmiła, że nie spodziewała się tego po mnie – i się rozłączyła. Nie wiem, czego się nie spodziewała, słyszałam jednak po głosie, że zawiodłam ją jak nigdy.

Zadzwoiłam do Aśki, ale ta pewnie odsypiała Kamasutrę. Nie odbierała.

A potem przestałam wydzwaniać i zaczęłam analizować. Kto mógł tu posprzątać? Ken z Aśką na pewno nie. Porządkowych nawyków Marioli i Lutka nie znałam, ale Mariola była wczoraj zaangażowana uczuciowo, a Lutek porzucony. Obie te sytuacje nie sprzyjają domowym porządkom. Maorysi wykluczeni. Kto pozostaje? Jarek? Cierpiący. Waldek? Mógłby rozścielić łóżko, ale posprzątać? Sasza? Nawet nie wie, że się sprząta. Wie, że się płaci sprzątaczkom, a dalej już one wiedzą. Gustaw? Zbyt samolubny na dobre uczynki.

Mimo to nie miałam wątpliwości, że samo się nie sprzątnęło. Ktoś musiał się do tego świadomie przyczynić. Kim był ten ktoś? Podejrzewałam oczywiście od początku, że to Bingo. Tym samym odniosłam połowiczny sukces w śledztwie. Bo do pełnego sukcesu brakowało mi jeszcze wiedzy, kto to mianowicie taki ten cholerny Bingo.

Bagatela!

Bez wątplenia zestaw osobowy był ten sam co w niedzielę. A więc w skład zestawu wchodził także mój cichy wielbiciel. Ale co z tego wynika?

Jeżeli to Bingo posprzątał – on zostawił mi klucz. Wychodził ostatni.

A z tego z kolei co wynika?

Nastawiłam sobie *Girl from Ipanema*, położyłam się na kanapie i postanowiłam, że rozgryzę zagadkę do wtóru muzyki.

Obudziłam się o szóstej po południu. Wieża grała w kółko. Teraz to była Alma Cogan i *Somebody Loves Me*, co brzmiało jak złośliwa aluzja.

Raczej *nobody loves me*.

Wyłączyłam płytę, by w ciszy powrócić do przerwane go wątku.

Jarek jest usidlany przez Mariolę i to bynajmniej nie wbrew sobie.

Gustaw popadł w apokaliptyczną namiętność do Kena.

Sasza kręci z Aśką, właściwie ona z nim, ale i tak na jedno wychodzi.

Waldek uwielbia Goškę, a w każdym razie ma na nią wielką ochotę.

Nie mam pojęcia, który z nich to Bingo, ale należy spojrzeć prawdzie w oczy. Którymkolwiek był – najwidoczniej mnie porzucił. Zmienił obiekt zainteresowań.

Dawno by zadzwonił, gdyby było inaczej. „Jak ci się spodobały moje porządki?”. A ja na to: „Jestem zachwycona, Bingo! Jakże dawno nie weszłam na mój stryszek, który byłby do tego stopnia uroczo odkurzony i upojnie pachnący świeżością, mimo że nie tknęłam ściereczki do kurzu. To jak cud, mój drogi!”.

No może aż tak bym mu nie kadziła, ale jakoś dałabym znać, że jest okej.

Tymczasem nie jest okej i nawet nie ma komu wypłakać się w klapę.

Albo też – tknęła mnie myśl godna Agathy Christie – któryś z tych facetów prowadzi ze mną podstępłą grę miłosną i oszukuje. Non stop udaje. Wcale nie zmienił obiektu zainteresowań. Po prostu usiłuje wzbudzić we mnie zazdrość. W celu zintensyfikowania moich niedostatecznych uczuć. I trochę mu się udało. A raczej udałoby się – gdybym nie wpadła na to, że tak naprawdę rzeczywistość wcale nie wygląda tak, jak wygląda na niby.

Spryciarz, no!

Który z nich może być taki sprytny? Bo w gruncie rzeczy po żadnym bym się tego nie spodziewała!

Wstałam z wersalki i położyłam się na na niej w drugą stronę, ponieważ nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Wszędzie było mi źle. Pociągałam żałośnie nosem, trawiło mnie niezdrowe pragnienie, piekły policzki. Gdy wreszcie bez głę-

szej myśli włożyłam termometr pod pachę, naciągnął trzydzieści siedem i dwie kreski.

Tego nie przewidziałam, kurczę!

Jeszcze nigdy nie chorowałam z miłości, toteż nawet zaciekawiało mnie, jak to będzie. Zamiast oglądać w telewizji melodramat o cierpiących zakochanych – obejrzę sobie od czasu do czasu mój własny termometr. Będę miała to samo, oszczędzając na bateriach do pilota.

Wypiłam dwie herbaty z cytryną, skubnęłam sałatkę Alamo i nie wytrzymałam.

Zesłam do pana Zenobiusza, żeby zadać mu rozstrzygające pytanie.

Niestety, odpowiedź w najmniejszym stopniu nie okazała się rozstrzygająca. Mój klucz przyniósł posłaniec razem z kwiatami na przeprosiny.

Tradycyjnie utknęłam ze śledztwem w martwym punkcie.

Wróciłam do siebie, położyłam się na brzuchu pod lampką, nakryłam się kocem, na podłodze obok ustawiłam kawę. Przed sobą na poduszce przyspiliłam ową kartkę z odręcznym napisem „Nowy klucz u sąsiada na trzecim”. Obok niej ułożyłam książkę *Magnetyzm zmysłów*, którą nabyłam swego czasu kierowana depresyjną podświadomością stanu przedmiesiączkowego.

I zagłębiłam się w badaniach naukowych.

Pierwszy rozdział dotyczył doppelgangerów, czyli duchów osób żyjących. Pomięłam go bez namysłu. Drugi traktował o telepatii seksualnej. Też pomięłam. Mimo wszystko z Bingiem łączymy się za pomocą telefonii, nie telepatii.

Dopiero siódmy rozdział nosił obiecujący tytuł: „Grafologia, czyli wiem, kim jesteś”. Wiązałam z nim spore nadzieje.

Najpierw znaczenie marginesów. Tekst Binga zajmował środek kartki, więc w zasadzie marginesy były równe. Nie tłumaczę wam, który co znaczy z osobna, ale ogólnie wychodziło z tego, że Bingo jest osobą fasadową, bezkrytycznie zgadza się z autorytetami, cechuje go narcyzm.

Mimo rzeczowości tych wskazówek nie rozgryżłam, kto to może być, więc przeszłam do nachylenia pisma. Tu miałam kłopot już z podstawowym ustaleniem, czy ono jest aby nachylone. Kiedy przekręcałam kartkę, zdecydowanie się nachylało, a znowu kiedy sama pochyliłam głowę, robiło się jakby proste. Wobec tego przekartkowałam ten passus nieuważnie i zajęłam się wielkością pisma. Litery były raczej duże i stanowcze, z czego wynikało, że Bingo jest mężczyzną. Podejrzewałam to już przed analizą grafologiczną, ale zawsze miło utwierdzić się w domysłach.

Oprócz określonej płci mógł też posiadać – jak następnie ustaliłam – nieokreślone ambicje, kompleksy oraz chęć imponowania podwładnym. Połączone z biernością w doborze odzieży, polityczną spolegliwością i marazmem, z którego potrafią go wytrącić tylko zodiakalne Ryby i Koziorożce.

Jestem Rybą, więc to już jakby coś. Jakiś trop. Ale trudno mi było ustalić, jaki i czy jednak w ogóle.

Znów porównałam kartkę Binga z książkowymi wytycznymi. Kropki nad i symbolizowały nostalgię, siłę witalną i nadwrażliwość w sprawach męsko-damskich. Ogonki – enigmatyczność. Przekreślenie przy literze t – upodobanie do zabawowego trybu życia.

Wiele da się wywnioskować z podpisu, obiecywał autor książki. Ponieważ wszakże podpisu nie było, na tym zakończyłam.

Popatrzyłam krytycznie na poczynione notatki.

Tak... To bardzo dobrze, że mój związek z kimś takim rozpadł się na wczesnym etapie. Mogę sobie pogratulować. Ta osoba nie sprawia wrażenia odpowiedzialnego adresata uczuć. Miałam więcej szczęścia niż rozumu, że to się w porę rozeszło po kościach! Moje życie miłosne nabiera dojrzałości. Właściwie już jest dojrzałe jak życie miłosne tysiącletniego baobabu.

Niezależnie w gardle palił mnie żywy ogień, pod kocem trzęsły mną dreszcze. Włożyłam jeszcze raz termometr pod pachę.

Trzydzieści osiem i trzy!

Chryste, baobaby znoszą to zdecydowanie lepiej.

Połknęłam jedyne lekarstwo, jakie znalazłam, czyli rutinoscorbin, i zagryzłam łyżeczką miodu. Z tej resztki na dnie, która mi jeszcze pozostała w życiu, jak twierdzi Miranda. A pół godziny później przebrałam się, bo z kolei byłam mokra od potu. Kiedy w szkolnych latach udawałam chorą, żeby nie iść na lekcje, ojciec rozgryzał moje oszustwa, bo przesadzałam z objawami. „Albo dreszcze, albo poty! – groził mi palcem. – Nie możesz mieć jednego i drugiego naraz!”. A tu proszę! Widocznie najbardziej niemożliwe rzeczy robią się możliwe, kiedy człowiek zada się z Bingiem!

Od ilu dni on do mnie nie dzwoni?

Dzisiaj nie dzwonił. Wczoraj nie dzwonił. Przedwczoraj nie dzwonił... Oj, sorry, przedwczoraj dzwonił rano. Ale nie, co to była za rozmowa? „Wstawaj, bo zaśpisz!”. Tak ludzie z sobą rozmawiają po dwudziestu latach małżeństwa. I to niekoniecznie udanego.

Założmy, że spojrzę na jego postępowanie bez uprzedzeń. Czy on mnie nie zaniedbuje? Oczywiście, że zaniedbuje mnie jak nikt!

A może udaje zakochanego w innej osobie, żeby się na mnie odkuć, bo jest zdania, że to ja zaniedbuję jego? Jakąś rację w tym ma. Ze swojej strony nie dzwoniłam do niego wczoraj, przedwczoraj i przez ostatnich sto lat. Ale chyba nie jest niepoważny, żeby czekał na mój telefon, skoro nie dał mi nawet swojego numeru!

Dość tego! Panna Marple u Agathy Christie nie rozwiązuje kryminalnych zagadek z gorączką, w której palą się opony mózgowie. Pod koldrę! Wygrzać się i wypocić, skoro zamierzam do jutra zbić temperaturę i iść do szkoły. Bo skoro zamierzam nie iść – to już przekroczy wytrzymałość dyrektorki i jak nic poszczuje na mnie swoje zabójcze buty!

Położyłam się bez książki, bez płyty, bez telewizji, w ciemności, bo szczypały mnie oczy. W uszach dudniło i kłapało.

Po moim ciele laziły dokuczliwe bioprądy, po skórze dreszcze, po kościach klucia.

Kompletny upadek kobiety oraz jej marzeń.

Niby drzemałam, ale z krzepiącym snem to nie miało nic wspólnego. Z szumiącej i dudniącej ciszy legła mi się w głowie kakofonia dźwięków. Najpierw pan Zenobiusz śpiewał spod podłogi *Brunetki, blondynki, ja wszystkie was, dziewczynki...* W innym miejscu pod podłogą Kalicki wiercił w ścianie, jakby chciał mnie podglądać w wannie od dołu. Albo wpuścić tamtędy afrykańską pszczołę mordercę. Frączkowa kazała dzieciom położyć na stole w kuchni ukradzione za dnia radia samochodowe, zrobić siusiu, umyć rączki, zmówić paciorek i lulu! Gdzieś w oddali, jakby pod mostem, dyrektorka omawiała z ministrem oświaty plan usunięcia mnie ze szkoły.

A potem dobiegł moich uszu dziwny szeleszczący dźwięk zza drzwi wejściowych. Czyżby?! Ktoś wieształ na nowej kłamce różę w foliowej torebce.

Zerwałam się spod kołdry i pognałam boso do drzwi. Otworzyłam z siłą huraganu. Aż przeciąg poszedł po moich gołych łydkach i siarczyście kichnęłam.

O ja biedna i głupia!

Ani róży, ani Binga, ani foliowej torebki. Puste schody.

Za to światło, które zapaliłam, o mało nie rozerwało mi czaszki.

Położyłam się z powrotem, ale za parę minut dziwne odgłosy dały się słyszeć zza drzwi łazienki. Obecny w niej facet podśpiewywał przy goleniu. Wystraszyłam się zdrowo, zanim uznałam, że to kolejna gorączkowa fatamorgana. Poszłam się upewnić, ale na wszelki wypadek wzięłam z sobą La Fontaine'a. Tym razem ważył dobrych piętnaście kilo, ledwie dzwigałam. Gdybym jeszcze miała uderzyć tym kogoś w głowę, ręce bym sobie powyrywała.

Ale ku mojej uldze łazienka była pusta i cicha. Dokręciłam kapiącą wodę. Kran wydał mi się zimny jak metalowy sopel lodu.

Kiedy za chwilę z łóżka usłyszałam faceta, który smaży sobie w kuchni jajecznicę na boczku, ani drgnęłam. Mimo że doskonale czułam zapach boczku, bo mnie mdlił. Jakiś taki kawałek tłusty nie do wytrzymania! Nie zareagowałam, kiedy ów facet otworzył szafę, żeby zawiązać krawat przed lustrem, i kiedy przybił mi do ściany obluzowaną żardynierkę. Nawet przeciwnie, zapadłam w półsen. Dopiero kiedy położył się do mnie pod kołdrę, cały zimny jak lód, po omacku wetknęłam termometr pod pachę.

Ledwie widziałam na oczy, ale bez wątpienia trzydzieści dziewięć i dwie.

Rośnie!

Skończy się tym, że będę musiała wezwać neurologa.

To znaczy mojego ojca lekarza. Lepiej, gdyby był specjalistą od przeziębień po przemoczeniu na jeziorze, ale takiego nie mamy w rodzinie. Chyba w ogóle takich nie kształcą? Moimi przypadłościami najwyraźniej wyprzedziłam rozwój medycyny.

Zresztą nie byłam tego pewna, natomiast byłam pewna, że mój sufit porastają stokrotki rosnące do góry nogami. Niesamowite, ale bardzo odjazdowe wrażenie!

Aczkolwiek momentami wyglądało mi to trochę na podstęp ze strony szalejących we mnie paskudnych wirusów.

Dochodziło dopiero wpół do dziesiątej, więc na razie stawałam na to, że samo mi przejdzie. Poleżę, poczekam. I tak nie chciało mi się ruszyć. Zerwała się ulewa, deszcz walił o szyby dachowych okien. Wkrótce uświadomiłam sobie, że to nie deszcz, tylko brzęczek telefonu. Ale nie umiałam rozstrzygnąć, czy pomyliłam deszcz z telefonem, czy telefon z deszczem.

Z braku pomysłu podniosłam słuchawkę. Chrypiałam i bolało mnie w piersiach.

– Słucham.

– No i co, Dominiko? Sahara w południe, jak słyszę! Ile teraz masz?

– Bingo! – westchnęłam romantycznie, choć na końcu mimowolnie zarzęziłam. – Bałam się, że nie zadzwonisz! Już cię rozpoznaję po oddechu, czy zdajesz sobie z tego sprawę?

– Ciekawi mnie raczej, jaką temperaturę u siebie rozpoznajesz?

– Trzydzieści dziewięć i dwie kreski. Ewentualnie trzy. Bo wciąż jest inna, wiesz? Ale to dlatego, że tamta piekielna burza zaskoczyła mnie na jeziorze zupełnie zniemacka.

– Nie wydaje mi się, żeby to dlatego! Wiesz dlaczego? Mogę ci zdradzić ten sekret. A wzięłaś pastylki ode mnie?

A wzięłaś, a miałaś, a pamiętałaś... Tropienie afer to męski konik.

Nie warto było kłamać, bo na pewno wiedział. Zawsze wszystko wiedział. W gorączce byłam co do tego jeszcze bardziej przekonana niż z trzeźwym umysłem. Założyłabym się, że on nawet lepiej ode mnie wie, co ja czuję w związku z nim. Bo sama nie byłam tego uczucia tak do końca pewna. Mimo że w obecnym stanie zdrowia i umysłu jakby trochę jednak pewniejsza niż zwykle.

– No wzięłam, ale niezupełnie... – przyznałam się. – Zamierzałam jakby, tylko że w rezultacie zapomniałam.

– Bingo! Doceniam w każdym razie twoją prawdomówność. Nie wzięłaś ani jednej. Znalazłem je podczas sprzątanania. Leżą w kuchni na lodówce... – Przerwał, jakby litościwie dając mojemu rozgorączkowanemu mózgowi czas na rozszyfrowanie, co to takiego jest owa tajemnicza lodówka. – Połknij teraz dwie, nastaw sobie budzik na trzecią i wtedy też weź dwie. Zapamiętałaś? Inaczej nie poskutkują! Teraz dwie, a następne za pięć godzin.

– Odwiedzisz mnie? – zapytałam miękko.

– Przecież byłem niedawno. Zażyj te pastylki dokładnie tak jak mówię, bo już nigdy nie przyjdę. Nawet na pogrzeb nie przyjdę.

– Chyba nie masz serca, Bingo! – uśmiechnęłam się z rozmarzeniem do słuchawki. – Przy ciężko chorej żartować

z pogrzebu, też pomyśl... Nie mogłabym na przykład wziąć od razu czterech tych pastylek? Będę musiała zrywać się w chorobie po nocy.

– Nie mogłabyś. Druga porcja dokładnie o trzeciej. Wiesz dlaczego?

– Wiem. Bo nie masz serca! – odpowiedziałam.

Odłożyłam słuchawkę, połknęłam pastylki i potulnie nastawiłam budzik na trzecią w nocy.

Kena

Bingo zadzwonił rano. Piętnaście po siódmej.

– Cześć, Do! Ile dzisiaj?

Po raz enty w ciągu ostatniej pół godziny podniosłam termometr do niedowierzających oczu.

– Trzydzieści sześć i sześć. Jak tego dokonałeś, Bingo?

– Skutecznie! – zapewnił. – Łyknij jeszcze dwie i możesz iść do szkoły. Po powrocie ostatnia porcja. Tylko nie zapomnij tym razem. Odezwę się.

Tradycyjnie odłożyłam słuchawkę, nie czekając, co ja na to.

Nie ma co, wywijał takie numery, że właściwie nie miałam pojęcia, czy wyrażać mu dozgonną wdzięczność, czy lepiej obrazić się na śmierć. Co za facet!

Posłusznie – rety, znów posłusznie! – włożyłam pastylki do torebki. Róż od Saszy nie było na wycieracze, ale prawie tego nie zauważyłam. Mężczyźni inni niż Bingo wydawali mi się tego poranka absolutnie drugorzędni. Nieważni.

Może z wyjątkiem ojca.

Zadzwoniłam do niego z przystanku. Autobus nie przyjeżdżał, ludzie przytupywali apatycznie na chłódzie, a mnie roznosiło z emocji i nie umiałam skupić się na beczynnym czekaniu.

– Tato, czy istnieje taka możliwość w medycynie, żeby wczoraj mieć czterdzieści stopni gorączki, a dzisiaj normalną?
– zapytałam oględnie.

Ojciec w słuchawce szumiał i mówił tylko połową ust.

– Córeczko, twoje pytania są inspirujące, tylko że przerywasz mi golenie.

– Przez moment broda ci chyba nie odrośnie. Może być taka temperatura?

– Ale gdzie? U człowieka?

– Owszem. O temperaturę na Hawajach nie zwracałabym od rana głowy.

– Nie bardzo umiem ci wytłumaczyć, Do. Jeśli masz wysoką i potem spadnie, to robi się niska. Co w tym niezrozumiałego?

Teraz przemawiał dla odmiany drugą połową ust, tą bliższą słuchawki. Widocznie golił przeciwległy policzek. Brzmiał jak szwankujące stereo.

– Tato, wczoraj wieczorem miałam prawie czterdzieści. Zaczynało mi się paskudne przeziębienie. Dogorywałam, rozumiesz? A dziś mi spadła. Pytam, czy to się mogło zdarzyć?

– Jeśli się zdarzyło, to najwidoczniej mogło. Do ilu ci spadła?

– Do normalnej. Jestem zupełnie zdrowa.

Ojciec przestał szumieć.

– A byłaś chora, mówisz? I miałaś wysoką temperaturę? Zaraz! Brałaś coś?

– Nie mam pojęcia. To znaczy, coś brałam, ale nie wiem, co to było. Ktoś mi polecił pastylki. I po nich całkowicie wyleczyłam się z tego świństwa.

I tu szczegółowo zreferowałam do słuchawki wszystkie moje wczorajsze objawy, kłucia, rżenia, majaczenia i charczenia. Aż jakaś pani czekająca na autobus obok mnie otuliła się szczerzej szalem i zaczęła energiczniej przytupywać.

– Aha, teraz rozumiem, o co pytasz – powiedział z ulgą ojciec. – Nie, oczywiście, to jest wykluczone. Nie mogło tak być.

Podjechała siedemnastka, ludzie wsiadali. Kończyłam, przesuając się do drzwi.

– No to jestem głupia – podsumowałam samokrytycznie.

– Bo tak było. Nie mogę teraz rozmawiać, tato, już mam au-

tobus. Zastanowię się. Jeśli będę dalej zdrowa, zajrzę do ciebie do szpitala, umówmy się. Może trzeba zrobić jakieś badania? Nie wiem, co myśleć! Tak świetnie się czuję, jak dawno się nie czułam.

Gdy ruszaliśmy, zobaczyłam przez okno Jakuba z pizzerii. Pędził ulicą bez służbowej czapki i bez pudła z pizzą pod pachą.

Jeszcze nigdy nie widziałam go prywatnie. Nawet pomachałam mu z tej okazji, ale nie zauważył mnie. Za to ja po raz pierwszy spostrzegłam, że jest ogromnie przystojny. Wysoki blondyn o sprężystej sylwetce. Przyjemny dla damskiego oka. A na dodatek sympatyczny, zabawny, miło się z nim rozmawia. Nie zauważyłam tego z okna autobusu, naturalnie, tylko w autobusie uświadomiłam sobie, że wiem to z naszych wcześniejszych spotkań.

Choć zarazem przypomniało mi się, że nie pamiętam, co takiego przydarzyło mu się w wojsku. Śmiałam się, gdy mi o tym opowiadał w trakcie naszej nocnej kolacji we dwoje, ale z czego się śmiałam? Może po prostu miałam dobry humor? Z tym że swój udział w moim dobrym humorze na pewno miał jakiś czołg, nazwany nawet przez Jakuba tymi różnymi wojskowymi literkami i cyferkami. Tylko nie kojarzyłam, co ów czołg konkretnie zrobił. Wystrzelił? Wybuchł? Zgubił się? Tajemnicza sprawa.

Zanim rozpatrzyłam się pośród tych zagadek, Jakub zniknął z pola mojego widzenia, tak jak się pojawił. Pozostawił mi po sobie wrażenie miłego spotkania, mimo że nie spotkaliśmy się dziś w dosłownym sensie.

To wrażenie, niestety, rozwiało się równie szybko jak sam Jakub, choć to już z winy Gustawa.

Autobus skręcił wzdłuż skweru, za którym widać w prześwicie moją kamienicę i okno stryżku. I w tymże prześwicie ujrzałam Gustawa. Sterczał na chodniku jak pamiętnej nocy, gapiąc się w górę. A jednocześnie rozmawiał przez komórkę. Jedno pewne – nie ze mną rozmawiał, mimo że patrzył w moje okno. Tyle się domyśliłam.

Niewiele jak na Matę Hari i Agathę Christie w jednej osobie.

Co gorsza, na trzeciej lekcji dostrzegłam Gustawa z okna klasy. Warował w jesiennym słońcu z cieniem-aligatorem u stóp. Co za lichy? Czyżby to jednak on był Bingiem i oto wiernie do mnie powrócił, wykonawszy mały skok w bok przy współudziale Kena? Niewesoła perspektywa!

Jak zwykle działał obsesyjnie. Sterczał tak przez dwie bite godziny lekcyjne.

Na przerwach uciekałam do pokoju nauczycielskiego, a po lekcjach wyszłam chyłkiem przez boisko. Nie ciągnęło mnie do domu, bo obawiałam się, że ze stryszku też ujrzę Gustawa ogarniętego manią czekania. Jak w złym śnie!

Postanowiłam, że skorzystam z okazji, żeby odwiedzić rodziców. Z ich okien widać jesienny ogród, nitki babiego lata, nostalgicznie wędnącą wrześnieową trawę. Widać odwieczną naturę po prostu, a nie facetów z problemami. Wymarzony relaks dla kobiety.

Mama spytała, jak tam moje sprawy z Jarkiem.

Tata spytał, dlaczego kuruję się podejrzanymi pastylkami. Przecież takie lekkomyślne wyzdrowienie może mi zaszkodzić!

Na oba pytania odpowiedziałam wymijająco.

Zdażyłam wziąć ukradkiem pastylki od Binga, bo przyszła ich pora, i nałożyłam sobie sernika z brzoskwiniową galaretką. Kawy już nie zdażyłam posłodzić. Nagle zaszczekał Szatan, a do furtki ktoś zadzwonił.

Chwilę potem tata wrócił od wejściowych drzwi razem z Gustawem.

– Pan ma do ciebie pilną sprawę, córeczko! – zaanonsował i dyskretnie wycofali się z mamą w głąb mieszkania.

Nawet marokańska róża nie pozwoli wymigać się od przeznaczenia, jeśli tym przeznaczeniem jest Gustaw. Bez entuzjazmu poprosiłam go, żeby usiadł.

No i się zaczęło!

Chodzi o to – powiadomił mnie Gustaw z gorączkowym pośpiechem – żebym interweniowała u Aśki w sprawie Kena. Bo ta wredna Aśka nie chce udzielić żądanych informacji. Udaje, że nie zna Kena. A tym samym Gustaw nie może go odnaleźć, choć tęskni nieprzytomnie. Dotychczas miał nadzieję, że może spotka się ze mną na ulicy i w rozmowie zgadamy się przypadkowo na ten temat. Ale już nie ma sił dłużej czekać na przypadek. Przyszedł specjalnie.

Aha... Czyli na szczęście wcale do mnie nie wrócił. Mało tego. Ani się zająknął, że w ogóle odszedł. Że niedawno był we mnie zadurzony. Że błaga, żebym wybaczyła mu stracone złudzenia czy coś w tym guście. Siedział przede mną blady, nijaki, rozkojarzony. To było takie beznamienne zerwanie, że nie odczuwałam odrobiny żalu. To w ogóle nic nie było! Czyżbym myliła się fundamentalnie co do Gustawa? O, nie, kto jak kto, ale on na pewno nie był moim cudownym Bingham! Wykluczone!

– Może Aśka źle interpretuje twoją znajomość z Kenem – objaśniłam mu chłodno. – Nie chce dopuścić do waszej bliższej zażyłości, gdyż jest zazdrosna.

– Ona bardzo dobrze interpretuje naszą znajomość, Dominiczko! Jestem zakochany w Kenie po uszy! – zwierzył mi się Gustaw z szokującą bezpośredniością.

Chyba rzeczywiście był w ostrej fazie miłości. Tej obojętnej na wszystko inne. Ślepej. Zaborczej. Wściekle ofensywnej.

– Aśce nie zależy na Kenie ani trochę! – syknął. – Pomóż mi, Dominiczko!

Zobaczyłam w szparze drzwi, że mama kręci się po holu i nadstawia uszu. Wolałam nie ryzykować. Od ręki popadnie w przewlekłą chorobę, jeżeli rozpozna pod swoim dachem geja lub innego biseksa. Toteż zaproponowałam Gustawowi spacer.

– Bo w mieszkaniu tak jakoś... – wyjaśniłam. – Duszno, prawda?

Bez wahania przyznał mi rację. Niemożliwie duszno, od rana go zatyka. Raz nawet zwymiotował.

To ci dopiero! On naprawdę wykańczał się od miłosnego opętania. Nigdy bym go o to nie podejrzewała pod tą zimną powłoką wyniosłości.

Ale nie wyszliśmy z domu. W drzwiach zatrzymała nas mama.

– Chyba nie wypuścimy gościa bez poczęstunku, córeczko? – zgaśniła mnie dobrotliwie. – Zrobiłam już kawę! Chodź do kuchni, zabierzesz.

W kuchni na tacy stały dwie filiżanki od najlepszego serwisu. A krzątającą się wokół nich mamę zżerała dobra wola.

– Myślałam, że to twój przyjaciel, Do, dlatego zaparzyłam wam kawę bez pytania. Nie chciałam psuć ci szyków – szepnęła mi do ucha. – A tu słyszę, że on jest zakochany w Kenie! Ale niech już wypije tę kawę, skoro zrobiona, bo szkoda.

Nie powinnam się łudzić, że cokolwiek przed mamą ukryję. Przepadło! Wobec Gustawa może będzie się krępowała, ale córkę marnotrawną wyrzuci teraz spod swego dachu z wielkim hukiem. Moją zmarnowaną kawę odżałuje, bez obaw!

– Miłość nie wybiera, mamó – oświadczyłam zrezygnowana.

– Strasznie go przypiliło – zachichotała. – A co ty masz z tym wspólnego?

– Ja? Nic. Jak możesz tak w ogóle myśleć? Jestem wyłącznie naocznym świadkiem – wyjaśniłam zdumiona jej zimną krwią.

Czyżby w telewizji leciał serial o zbliżonej problematyce? Męsko-męskiej lub tym podobnej? Mama okazywała wyrozumiałość dla ludzkich bolączek, o ile znała je z polskich telenowel. Problemy nieujęte tamże uznawała za moralnie podejrzane.

– Myślisz, że ich uczucie ma przyszłość? – zapytałam z ciekawością.

Bo może w telewizji już dawno rozgryźli, co będzie z Gustawem i Kenem?

– Skąd mogę wiedzieć? – Mama wzruszyła ramionami. – Przecież nawet jej nie znam.

– Kogo? Telewizji?

– Jakiej telewizji? Co ty wygadujesz, Do? Tej jakiejś Keny nie znam, mówię! Przed chwilą wyznał ci, że jest zakochany w Kenie, sama słyszałam. A co, nie?

Z głowy wywiało mi wszystkie myśli naraz. Na szczęście parę wróciło.

– Aaaa... Jasne, chodzi o Kenę, mamó! Strasznie jest w niej zakochany, jak wariat! – przytaknęłam pospiesznie. – Nie rozumiałam cię w pierwszym momencie.

– Nałóż mu sernika, Do, niech sobie osłodzi tę gorzką miłość! Wyszedł mi, zauważyłaś? A już się bałam, że galaretka przecieknie! Za mało odsączyłam brzoskwinie. Jeszcze mi się tak nie zdarzyło! Co to się dzieje na tym świecie!

Po raz pierwszy w moim polonistycznym życiu uratowała mnie odmiana rzeczownika przez przypadki. Ale nie powinnam nadużywać szczęścia. Zjeść, wypić i zmyć się stąd jak najszybciej. Dla osiągnięcia tego celu zgodziłam się nawet pojechać z Gustawem do Aśki. Na odsiecz męsko-męskiej miłości!

Z jakim uporem wszyscy ludzie łączą się w pary, zwróciliście uwagę? Choćby na oko zupełnie niedobrane! Tylko ja jedna byłam wciąż sama i sama jak palec bez obrączki!

Bingo, gdzie jesteś, potworze jeden! Dlaczego ukrywasz się przede mną?

A jeśli on naprawdę jest potworem?

To podejrzenie zmroziło mnie na moment, bo niby dlaczego nie? Wszystko tłumaczyłoby się logicznie. Ma twarz wypaloną kwasem jak Upiór z Opery i dlatego nie chce mi się pokazać! Nie przestrzegał bhp albo porzucił jakąś mściwą wariatkę. Żyje wyłącznie nocami w masce!

Tylko że żaden ze znanych mi mężczyzn nie żyje wyłącznie nocami. Nie licząc nocnego dozorca ze szkoły, ale on nosi берет, nie maskę. Ma sześćdziesiąt lat i chyba mnie nawet nie lubi.

Pogadywałam z Gustawem nad sernikiem, jednocześnie przekonując w duchu Binga, żeby ujawnił się przede mną. Ja zrozumiałam. Nie to piękne, co piękne, tylko co się komu podobają! Mężczyzna nie musi być urodziwy. Najwyżej troszkę,

troszeczkę, tyle, żeby inne baby popękały z zazdrości. To w zupełności wystarczy!

Z tego rozdwojenia jaźni wyrwała mnie mama. Zapukała, że Jarek zadzwonił na ich numer, bo ja mam zdaje się wyłączoną komórkę, i teraz czeka przy telefonie. Niech wezmę słuchawkę, bo to kosztuje.

– Ja w tym czasie potowarzyszę twojemu gościowi – zapewniła z wdziękiem.

Na dowód, że z nią będzie jeszcze fajniej, uśmiechnęła się uroczo do Gustawa. Być może wciąż miała łut nadziei, że ten przystojniak zostawi jakąś tam obcą Kenę i ożeni się ze mną, co chwilowo zaspokoї naszą bliższą i dalszą rodzinę.

Zaniepokojona wyciągnęłam ją za sobą do holu.

– Mamo, rób z nim, co tylko chcesz, ale błagam cię, nie chodź przy nim w stringach z serduszkami. Pod żadnym pozorem! Choć raz w życiu mnie posłuchaj!

Po osłupiałej minie mamy zorientowałam się, że powinienam coś dodać.

– Tylko nie każ mi tego tłumaczyć! – dodałam więc.

Po czym pobiegłam do telefonu, bo to faktycznie mogło kosztować – i to mnie samą, jeśli Gustaw chłapnie mamie coś seksualnego inaczej.

Jarek nie miał do mnie nic konkretnego. Koniecznie chciał się spotkać.

Dziś nie mogę, wyjaśniłam, ponieważ wyjeżdżam. No to jutro. Jutro mogłam, ale przypomniałam sobie wzrok, jakim patrzył na Mariolę, i odezwała się we mnie paskudna zazdrość. Powiedziałam, że jutro też nie mogę. No to pojutrze. Uświadomiłam sobie, że on na pewno nie jest Bingiem, ponieważ był ze mną na łodzi bez zasięgu, kiedy tamten telefonował po pomoc. I z kolei odezwała się we mnie paskudna obojętność. Powiedziałam, że pojutrze też nie mogę. Najwyżej po niedzieli.

Z braku lepszego wyjścia, zgodził się.

Odłożyłam słuchawkę i nagle krew w moich żyłach zwolniła bieg. Usłyszałam, jak w pokoju Gustaw opowiada mamie o Kenie.

– Ma piękne włosy, brwi, rzęsy, wszystko ma piękne. A jakie długie, zgrabne nogi. Mało owłosione, wie pani. Ja nie przepadam za owłosionymi.

Przyssało mnie do parkietu ze strachu. Choć wydawało mi się, że mama nie rozgryzła jeszcze, czego dotyczy rozmowa.

– Owłosione nie cieszą się powodzeniem – potwierdziła z pewną dezorientacją w głosie. – Ale powiem panu, że depilacja jest dzisiaj na porządku dziennym.

– O, tak. Klatkę piersiową ma wydepilowaną, jak mi się zdaje. To zmniejsza tarcie. A poza tym ładniej, prawda? Piękno musi posiadać klasę, nie wystarczy, że ktoś po prostu ma warunki. To banał! Trzeba stworzyć wizualną koncepcję samego siebie. Ogolona pierś, zadbana muskulatura... Nie patologicznie rozbudowana, tylko właśnie harmonijna. A pani jak uważa?

– Taaak! Ja tak jak pan... Rzeczywiście, muskularne piersi... – Aż w holu usłyszałam, jak spłoszona mama przełknęła ślinę. – Taaak, to banał, zgadzam się z panem. Mojemu dziecku nigdy bym nie pozwoliła na coś takiego.

Wpadłam do pokoju jak burza.

– Liczy się wewnątrz człowieka! – orzekła podniośle mama na mój widok.

Widocznie sam na sam z Gustawem całkiem pogubiła swoje umoralniające maksymy.

– O, tak! Wnętrze też ma piękne! – zachwycił się Gustaw. – Wyrafinowana sportowa psychika. A przecież miewa migreny jak dziewiętnastowieczna dama...

– Co pan powie? Interesująca osobowość – zgodziła się mama. – Nie domyślałam się nawet, że może miewać migreny.

Coś straszego wisiało w powietrzu.

– Pójdziemy, Gustawie! – wtrąciłam się przezornie. – Mam coś jeszcze do zrobienia dzisiaj.

Skinął, że już, ale nie ruszył się. Jakby znalazł w mamie pierwszą bratnią duszę na swej ciernistej drodze. Nie do uwierzenia!

– Uwielbia lody waniliowe, tak jak ja! – dorzucił radośnie. – I układanie puzzli, też jak ja! Prawda, że niesamowity zbieg okoliczności?

– Chodźmy! – ponagliłam przerażona.

– Widzę, że to głębsza fascynacja z pana strony? – drażyła niepoprawnie mama, choć mrugałam na nią nerwowo.

No i w tym momencie bomba wybuchła. Bo nie mogła nie wybuchnąć!

– O, tak! Uwielbiam go! – potwierdził z entuzjazmem Gustaw.

– Ją! – wpadłam mu desperacko w słowo.

Dwa podejrzliwie spojrzenia skrzyżowały się na mnie, aż zmiękły mi kolana.

– Co masz na myśli, Do? – zapytała cierpko mama. – A raczej kogo?

– Tego, kogo Gustaw... – zająknęłam się, szukając w głowie jakiejś niewinnej żeńskiej formy językowej. – To znaczy, tę kogo Gustaw uwielbia... Czyli tego, o którą roz... rozmawiacie... o której!... Czyli ją.

To była filologiczna kompromitacja z mojej strony.

– Rozmawiamy o naszym wspaniałym Małyszku! – wyjaśniła mi zde gustowana mama, zanim uśmiechnęła się przeproszająco do Gustawa. – Zawsze byłam zdania, panie Gustawie, że moja córka odziedziczyła swoje nietypowe poczucie humoru po prababce. Trzeba panu wiedzieć, że pradziadek Dominiki uciekł za młodu z domu i ożenił się z antypodystką. To taka cyrkowa artystka, która pracuje w odwrotnej pozycji. Żongluje za pomocą nóg głową w dół. Więc sam pan widzi... Dla osłody dam panu sernika na drogę, Gustawie. Dla pana i dla Keny. Do już jadła!

Deszcz i łzy

Koncert zaczynał się o dwudziestej, więc Aşkę zastaliśmy w hotelu. Na korytarzu wózek z brudną pościelą, chodnik wystrzępiony, tapety na ścianach kłapały od przeciągu, numery na drzwiach poprzybijano w różnych miejscach, tylko

nie na środku. Tym razem Aśki nie sponsorował ani Waldorf, ani Astoria.

Drzwi otworzyła nam wysoka kruczowłosa topielica w koszmarnym różowym dresie i w podkoszulku. Kolczyk w nosie, w uchu, w brwi, a w pępku wisiołek podobny do pęczka srebrnych kluczy. Oczy miała półprzymknięte i patrząc na nas, nie unosiła powiek, tylko odchyłała głowę do tyłu. Jakby spała, chodząc. Spomiędzy jej bujnych piersi strzelał wytatuowany płomień.

Kiedy spytałam ją o Aşkę, odgarnęła włosy z ramion i otworzyła szerzej drzwi.

– Nie wyglupiaj się, Do! Hejka! Włażcie, bo smród leci z restauracji na dole! Oni tam chyba przez okrągłą dobę smażą krwiste befsztyki, żeby cuchnęło Nowym Jorkiem!

Aśka! W życiu bym jej nie poznała. Kobieta kameleon. Tylko bardziej zmienna. No ale gdyby kameleon walczył z konkurencją w show-biznesie, też by musiał reagować mniej ślamazarnie niż w naturze, walcząc z dziką przyrodą.

Aśka ruszyła przodem i jak była, w ubraniu, wlała pod kołdrę na rozgrzebanym łóżku. Nakryła się nią po szyję. Wcale się nie dziwiłam jej oplakanemu stanowi. Gdybym przechodziła fizyczne metamorfozy w takim tempie jak ona, też bym prędzej czy później padła z wyczerpania.

Gustaw usiadł w drugim końcu pokoju i popatrzył na mnie ponaglająco.

– Wiesz, gdzie jest Ken, Asiu? – zagadnęłam bez wstępów.

– Uhm, tutaj! – odpowiedziała sennie i odsunęła kołdrę, spod której wyrżał wypięty męski tyłek. Przez moment patrzyła na niego, zastanawiając się. – To znaczy, sorry, z drugiej strony.

Odchyliła kołdrę tam, gdzie spoczywała głowa śpiącego.

– To nie jest Ken! – zaprzeczył bez namysłu Gustaw.

Aśka przyjrzała mu się z lekkim niesmakiem.

– A kto?

– Nie wiem. To nie jest prawdziwy Ken!

– Jak Ken może być prawdziwy, kiedy on w ogóle jest sztuczny – orzekła obojętnie Aśka i zamknęła oczy. – Z kauczuku i resztek włóczki. Albo odwrotnie... Która godzina, powie mi ktoś?

– Jeszcze wczesna – odpowiedziałam, żeby nam nie uciekła odstresowywać się przed koncertem.

Szczerze mówiąc, nie rozumiałam obiekcji Gustawa. To był jak najprawdziwszy Ken. Z krwi, kości i kosmetyków. Zachował nienaganną fryzurę nawet we śnie. Brwi wyskubane w równy mocny łuk. Kształtne usta. Zero zarostu. Poznałabym go choćby po tym jednym. Żaden z moich facetów nie budził się gładko ogolony, bo nie umieli tego po prostu.

– Wstawaj, Ken, masz gości! – Aśka kopnęła go pod kołdrą.

Oparł się na łokciu. Ziewnął szeroko i bez skrępowania. To był on, tylko że widocznie znowu nie włożył kontaktów, ponieważ oczy lśniły mu tym razem zielono.

A szyję miał jakby krótszą. Tu już diabli wiedzą, czego jej brakowało!

– Widzisz, Dominiczko? – rozzalił się Gustaw. – Sama widzisz! To nie Ken, a ona udaje, że to Ken. Przepędziła Kena i odstawia niewiniątko! Ona ma charakter damskiego Sino-brodego, nie daj się nabrać na te jej sztuczki!

– Weź, gościu, nie świruj! – mruknęła Aśka spod kołdry. – O co ci chodzi? To jest nowy Ken, a skoro tobie zależy na starym Kenie, to go sobie szukaj! Nie moja małpa, nie mój cyrk!

Tak dziwnie z sobą rozmawiali, że w sumie zwątpiłam.

Przeprosiłam Kena i uchylłam mu górną wargę. Niech mnie kolka! Faktycznie to nie był on, serce nie oszukało Gustawa. Tamten Ken i ten prezentowali identyczny typ urody, ale ten nie miał ozdobnie spiłowanych siekaczy. Tamten poprzedni miał.

Pod moim ramieniem Aśka też zajrzała mu ciekawie w zęby, jakby sprawdzała, czego tam szukam. Ale nie zgadła.

– Swoje lata już ma, chyba dwudziestkę przeskoczył – poinformowała mnie z ubolewaniem. – Nie zaglądamy mu w szczękę,

Do, tylko pogadaj z nim przez moment. Zaraz mnie sama zrozumiesz. On myśli, że jak Słońce krąży wokół Ziemi, to jest system egocentryczny! Wyobrażasz sobie? Nie mogę tych facetów trzymać dłużej niż dobę, bo nie zamierzam skończyć w wariatkowie, śpiewając do prysznica. Dobieram podobnych z wyglądu, no fakt, co ja zrobię, że lubię ten typ, nie ukrywam, wizualnie bardzo lubię. A nazywam wszystkich Kenami, bo w głowie mi się kielbasiło, proszę ciebie, od imion. Na Damiana wołałam Łukasz, na Kajetana Norbert. A tak jest Ken raz na zawsze i już! W zasadzie to jakby taka głębsza forma wierności, moim zdaniem. Idealna. Nie sądzisz? Wierność pewnemu ideałowi faceta. Nie moja wina, że w przyrodzie on nie występuje w jednym egzemplarzu, tylko poszczególne cechy są rozproszone wśród wielu różnych osobników!

Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– Za każdym razem, kiedy go widziałam, to był inny Ken?

– Znaczy się, inny facet, Do, ale Ken ten sam. Nie zauważyłaś?

Spojrzałam na skrzywionego z pogardą Gustawa.

– Słyszałaś? To jest swego rodzaju idea Kena, Gustawie – wytłumaczyłam mu bez przekonania. – Idea mężczyzny. Jakby taki wzorzec.

– Nie obchodzą mnie żadne zakichane wzorce! – zjeżył się Gustaw. – Szukam konkretnego Kena, tego z yamahą, a nie wzorca!

Swoją drogą, bardzo ładne podejście do miłości, prawda? Takie niedzisiejsze. Uczuciowe. Mimo że trochę kłopotliwe dla zainteresowanego.

– Zastanów się, o co ci chodzi, gościu! – ziewnęła Aśka. – Dziś on już na pewno yamahy nie ma, jak znam zmienność facetów.

– Nie szukam yamahy! – wycedził wściekle Gustaw.

– No widzisz go, Do? I tak się można z nimi dogadać. Przyjeżdża do Kena, ale Ken mu nie pasuje. Szuka yamahy, potem nie szuka yamahy. Sam nie wiesz, czego chcesz, gościu!

Dyskretnie dałam znak Gustawowi, żeby usiadł i się uspokoił.

– Może pamiętasz chociaż jego imię, Asiu? – zapytałam.

Aśka westchnęła z ubolewaniem, nakrywając kołdrą głowę.

Za chwilę wychyliła się ponownie.

– Ksywka „Szampan”, „Szympan”, coś takiego... Jedno i drugie do niego pasuje. Tyle ci wystarczy, gościu, więcej i tak nikt o nim nie wie. Co sobotę jest w dyskotekce Aladyn na Szwoleżerów, w tym... no w tym takim... Nie pamiętam nazwy miasta. Miałam tam koncert w poprzednią sobotę... Jak to było...

– Mogę sprawdzić! Ken dał mi twój grafik – przyznał się poblady z emocji Gustaw.

– No widzisz. To sobie go znajdziesz według grafiku. Idź do Aladyna, powołaj się na mnie... O, ja pierdziele!

Wyskoczyła z łóżka jak z katapulty.

– Co? Nie Aladyn? – przestraszył się Gustaw.

– Daj spokój z Aladynem! Przez ciebie bym o mało co spieprzyła moją przyszłość zawodową i prywatną! Sasza zaraz tu będzie! Która godzina, ktoś mi powie? Ej, honey! – Zerwała kołdrę z drzemiącego kenopodobnego faceta, którego nasza dramatyczna rozmowa jakoś nie wciągnęła. – Już cię nie ma, Ken! Lubisz żyć? To spadaj migiem i rób to gdzie indziej! Póki cię Sasza nie zwęszy!

Naciągnęła podkoszulek na dzwoniący pępek, przeczesała się dłonią, obiegła łóżko, poprawiając kołdrę. W przelocie zerknęła z niepokojem na Gustawa.

– A ty, gościu, jesteś tu z Dominiką, jakby co!

– Bo ja jestem tu z Dominiką! – obruszył się Gustaw.

– A to w porządku! – uspokoiła się Aśka. – To siedźcie, spoko!

Wyrzuciła za Kenem na korytarz zapomniane klapki, otworzyła piwo, włączyła telewizor. Akcja błysk! Siadła z puszką, nonszalancko przerzucając nogi przez poręcz fotela.

Gestem pokazała nam, żebyśmy częstowali się i piwem, i programem telewizyjnym. To było MTV.

Kończył się teledysk z Aguilerą tańczącą w ręczniku na piramidzie Majów, gdy drzwi otworzyły się bez pukania i wszedł Sasza. Nie miał u boku Maorysów. Za to miał na sobie nowy srebrzysty płaszcz. Bijący po oczach jak lustro. Spowity jego tryumfalnym blaskiem, wniósł szampana z czerwoną etykietą ozdobioną sierpem i młotem. Nie spodziewał się, że zostanie gości, przeciwnie, zdecydowanie liczył na samotność we dwoje. Rzucało się to w oczy od progu, bowiem dwa kieliszki do szampana niósł jak na tacy na bombonierce „Słodkaja Kamasutra”.

Wykończyłabym się trybem życia Aški!

A ta nic! Pełna kontrola. Uwiesiła się na Saszy z dzikim piskiem radości.

– Hejka, Saszeńka!

Należało się Hejce-Saszeńce, skoro odepchnął mnie, kobietę wierną i uczciwą. Oj, należało mu się! Życie w formie tornada! Chyba że zapanuje nad temperamentem Aški. Ale kim też ona będzie bez temperamentu? Nie widzę jej prowadzącej peep-show lub wynajem kajaków na spółkę z prawnuczka Romanowów.

Przy ludziach z powodów językowych nie mieli sobie na razie wiele do zakomunikowania. Sasza złożył ojcowski pocałunek na czole Aški, ustawił krzesło poręczą w moją stronę i usiadł na nim okrakiem, po kawaleryjsku.

– Zdrastwuj, Daminika! – zagadnął ciepło. – Znowa Gustaw z tobą? Zostaw jego, proszę ciebie. On niewart twojej ljbwi! Królewicza ty byś uszczęśliwiła! A na niego naplewać! No najważniejsze, że ja ciebie wreszcie odnalazł. Bo był ja na twojej stryszkie, ale nie byłaś ty tam.

– Byłam ja tu – wyjaśniłam z godnością.

– Był ja powiedzieć ciebie, że nie dla nas *Wiesołaja wdówka*. Serce u mnie płaczet krwawymi łzami, Daminika. Przegnął ja cygańskuju orkiestru, zwolnił nasz stolik w restoranie. Wszystko skończyło się, ljubimaja. Przebacz ty,

niewiernemu! Serce nie sługa! Teraz wot ona moja kobieta! – przytulił Aśkę. – Priekrasnaja Asja! Cyganoczka moja! Moj sołowiej!

W oczach naprawdę miał te łzy, o których mówił. Choć kiedy mnie z kolei przytulił, wyczułam pod płaszczem kaburę pistoletu. Skomplikowany mężczyzna!

Zdałam sobie sprawę, że za moment sama się rozbeczę. Nie przeżyję bez cygańskiej orkiestry, bez *Wesołej wdówki*, bez tego wszystkiego, czego brak mi do tej pory nie doskwierał. Teraz miałam wrażenie, że lepsza śmierć niż życie w takiej pustce.

– Co on powiedział, Do? – zapytała Aśka.

Pogłaskałam Saszę po wąsie na znak wybaczenia. Nie ułożyło się nam. I tak by się zresztą nie ułożyło. Już ja siebie znam. Życie z gangsterem byłoby dla mnie jeszcze bardziej stresujące niż życie bez cygańskiej kapeli. Kupię sobie płytę z zespołem Roma i może kiedyś wreszcie pogodzę się z tym, że na całym bożym świecie nie czeka już na mnie ani jedna cygańska orkiestra.

Choć to przerażająco smutny los dla kobiety.

– Co on powiedział, Do? – ponagliła mnie Aśka. – Przetłumacz mi to do kupy!

– Powiedział, Asiu, że jesteś najpiękniejszą kobietą świata.

– Tyle to sama wiem, mam lusterko. I nic więcej?

– Och, o wiele więcej. O wiele! Że należy do ciebie ciałem i duszą na wieczność! – Zajrzałam jej głęboko w oczy, żeby dodać rozpaczliwym szeptem: – Odbiłaś mi go, paskudnico!

Przyszło mi na myśl, że z długimi czarnymi włosami Aśka faktycznie wygląda jak cygańska tancerka. Wystarczy założyć jej szeroką kwiecistą spódnicę i niech zarzuci piersiami. Księżniczka czardasza. Czyżby faktycznie dobrali się z Saszą w korcu maku?

Łyknęła piwa, mierząc mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Ja ci odbiłam Saszkę, Do? A on był twój? Wcale mi nie powiedziałas!

– Zapomniałam, Asiu – westchnęłam. – Zwyczajnie zapomniałam.

Sasza zatelefonował ze swojej nakrętki Burberry po hotelowego kelnera. Ten przyniósł nam dodatkowe kieliszki do szampana, chipsy, kawior, solone orzeszki, płaty łososia.

Aśka przytuliła mnie przepraszająco.

– Nie dręcz się, Do! Gdybyś nie zapomniała mi powiedzieć, że Saszka jest twój, też bym ci go odbiła. Musiałam! Wewnętrzny głos mi mówi, że to jeden z mężczyzn mojego życia. Widzisz tu Waldka? Nie widzisz! A wiesz czemu? Bo niepotrzebny mi już, buc jeden! Saszka będzie sponsorował operetkę, a ja zagram główną rolę. Obiecał! Na razie mam kontrakt na migi, ale już nie popuszczę!

Smętnie pokiwałam głową, że pojmuję. Moja medialna kariera dobiegła zatem końca. Nie powstanie serial o Dominice i tym samym moja rodzona matka nigdy nie uzna za istotne moich ważnych ludzkich problemów. *C'est la vie!*

Sasza wznosił toast za przyszłość ljbwi oraz wriednowo świata.

Wypiliśmy po kieliszku we czwórkę, a zeszlśmy do samochodu we dwoje z Gustawem.

Ten dopiero w drodze spostrzegł się, że sernik dla Keny został w hotelu. Na pewno Aśka z Saszą zakąszali nim teraz szampana i pocałunki. Do szczęśliwych zakochanych należy cały wriedny świat. W tym także cudze serniki.

Rozpadało się, ściemniło i nic nie mogło polepszyć mi humoru.

– Co zamierzasz? – zapytałam Gustawa.

– Pojadę go szukać.

– A praca?

– Wziąłem parę dni urlopu.

– A jeśli... No wiesz. Jeśli Ken ma inne zapatrywania na miłość niż ty?

– Przekonam go.

– Urlop może ci się wcześniej skończyć – zawyrokowałam pesymistycznie.

Deszcz uderzał o szyby, wycieraczki rozmazywały światła samochodów z przeciwka. Było dennie.

– Nic nie rozumiesz, Dominiczko! – westchnął Gustaw. – Na jednym urlopie świat się nie kończy. Grunt, że wiem, czego chcę. Najwyżej doczekam emerytury i wtedy będę miał na miłość do Kena tyle czasu, ile potrzebuję.

Tym razem nie poczułam do niego niechęci za ten wyniosły ton. A nawet mnie wzruszył. Czyżby pośród tylu miłosnych mrzonek odnalazł prawdziwe uczucie? I to tam, gdzie nikt się go nie spodziewał, a najmniej on sam?

W takim razie jest moją bratnią duszą. Oboje mamy przeżabane!

Albo też popadłam w taki stan psychiczny, że wzruszało mnie już wszystko. Własny los, los innych ludzi i wszystkie biedne porzucone zwierzątka ze wszystkich schronisk dla biednych porzuconych zwierzątek.

Gustaw odprowadził mnie do klatki schodowej, rozpościerając nad moją głową własną kurtkę zamiast parasola. Podziękował za pomoc i wsiadł z powrotem do samochodu, o który bębniła ulewa. Przetarł okulary z deszczu i włączył wycieraczkę, zanim, rozchlapując kałuże, odjechał sprzed mojej kamienicy.

Na poszukiwanie Kena. We wriednyj świat.

Stałam na progu, patrząc jego śladem.

Jeszcze przez jakiś czas widziałam męskie plecy za tylną szybą samochodu. W perspektywie ulicy rozmyły się w deszczu i w rzece nocnych świateł. Na skrzyżowaniu zapłonęły jeszcze na moment światła stopu, purpurowe jak zakochane serca, i Gustaw zniknął w nocnej ulewie.

Nie wiem dlaczego, ale na ten widok ogarnęła mnie bezbrzeżna chandra. Co to za nasz opłakany ludzki los, myślałam, idąc po schodach i rycząc. Co za los, naprawdę! Wystarczy głupie serduszko na stringach, które nic nie znaczy, zupełnie nic, a wtrąca nas w otchłań, gdzie tylko deszcz i noc, i lzy, i samotność.

Gdzie jesteś, Bingo?! Gdzie jesteś!?

Nienawidzę cię za to, że cię nie ma!

W towarzystwie samotności

Deszcz szumiał w całej klatce schodowej, kiedy wchodziłam na górę. Jakbym mieszkała w środku wodospadu niczym sławetne krasnoludki znad Niagary. W taką pogodę jedyna przyjemność, jaką można sobie zafundować, to zastrzelić się!

A gdyby nie – to szklanka gorącej herbaty z cytryną! O niej też marzyłam.

Na moich drzwiach, przywiązany sznurkiem do klamki, dyndał zwinięty list. Ej, Sasza, Sasza! Nie kłamał. Był tutaj, żeby pożegnać się ze mną na zawsze.

Tak zawzięcie usiłowałam wydobyć polski sens z ruskich bukw, że dopiero przy kolacji zwróciłam uwagę na kóleczo uwiązane do sznurka. Zrolowany list był w nie wcześniej wtknięty jak serwetka w obrączkę do serwetek.

To był pierścionek.

Prawie się go przestraszyłam. Wyleciał mi z rąk do miseczki z białym serkiem, czyli do mojej niskokalorycznej kolacji. Zanim splukałam go do czysta pod kranem, łudziłam się, że mi się tylko przywidziało. Ale nie. Z serowej pački wynurzył się w strudze wody przepiękny pierścionek z lśniącym oczkiem.

Nazajutrz zaraz po szkole zadzwoniłam do Gośki.

– Z brylantem, mówię ci! – zapewniła po wysłuchaniu mojej relacji.

– Na pewno! – roześmiałam się sarkastycznie. – Jak to rozpoznałaś przez telefon?

– Nie słyszałam, żeby Sasza uznawał za pierścionek coś bez brylantu! – wyjaśniła Gośka całkiem serio.

Jej pewność siebie tak mnie zbiła z tropu, że po raz setny przyjrzałam się pierścionkowi pod lampką. Z aptekarską dokładnością. Z jubilerską właściwie. W misternie splecionym koszyczku tkwił spory kamyk. Poruszyłam – zamigotał kolorowo. Może cyrkonია, może oszlifowane szkiełko?

– To jest za wielkie na brylant, Gośka – oceniłam.

– Czemu za wielkie? Istnieją ogromne brylanty.

– Daj spokój! Ale nie u mnie w domu!

Zmieniłam temat i powiadomiłam ją, że rozstaliśmy się z Saszą. Szybko poszło. Szybciej, niż cygańska orkiestra nastroiła instrumenty. Ale Sasza i tak jest obecnie szczęśliwy. Kto wie, może szczęśliwszy, niż byłby ze mną. Nie ma głowy do ciągnięcia kogokolwiek za samochodem. Berni może spać spokojnie u boku Goški.

A w sobotę zajrzałam jednak z pierścionkiem do jubilera. Na wszelki wypadek.

– Cacko! – zachwycił się, wetknąwszy w oko lupkę. – Dwudziestoczyterykaratowe złoto. Brylant. Stary szlif. Antwerpska robota. Certyfikatu brak? Jeśli chodzi o wycenę...

Wyjęłam mu pierścionek z ręki.

– Nie, dziękuję! Niech pan mi nawet nie wspomina, ile to może być warte!

– Nie? Sądziłem, że w tym celu pani mnie odwiedziła?

– Wcale nie w tym! – zapewniłam stanowczo. – W jakimś innym. Do widzenia panu.

Z domu ponownie zadzwoniłam do Goški. Zreferowałam jej, że jednak z brylantem, i zapytałam, co w związku z tym mam z nim teraz zrobić.

– Jak to, co? – zdziwiła się. – Założyć na palec i uważać, żeby nie zgubić.

– Nie mogę przyjąć takiego prezentu!

– A to dlaczego?

– Nie żartuj, Goška! Nie miałam pojęcia, że Sasza nasz związek traktował aż tak poważnie. Nie chcę wykorzystywać jego miłosnych mrzonek.

Goška prychnęła w słuchawkę z politowaniem.

– Nie obraź się, Do, ale mnie się zdaje, że Sasza potraktował znajomość z tobą jako przelotne zauroczenie. Sorki, że ci to mówię. Nie powiedziałabym, gdyby nie twoje głupie opory. Gdybyście rozstali się po jakimś zobowiązującym romansie, dostałabyś od niego w prezencie rolls-royce'a albo willę na Capri. Tak że nie przesadzaj, Do!

Zatkało mnie.

Kiedy mnie odetkało, oznajmiłam Gośce, że w takim razie po raz pierwszy w życiu ktoś mnie zlekceważył za pomocą pierścionka z brylantem – i choćby tylko z tego powodu zamierzam zwrócić Saszy tę tanią błyskotkę!

– Wiedziałam, że popadniesz ze skrajności w skrajność! – zirytowała się Gośka. – Za dobrze cię znam! Ja cię bardzo proszę, Do! Nie wykonuj idiotycznych honorowych gestów w stronę Saszy, za które zapłaci Berni, kiedy przywiążą go do samochodu w lesie!

Tego jeszcze nie miałam w życiu, żebym ratowała kogoś od zguby, bohatercko przyjmując pierścionek z brylantem. Chyba śniłam?

Ale nie śniłam, a nawet przeciwnie – nie zmrużyłam oka tej nocy.

Rozmyślałam, wierząc się pod kołdrą, skąd Sasza wziął ten mój nieszczęsny pierścionek. Ewentualność, że kupił, obstawiałam na ostatnim miejscu. A jeśli nawet kupił, skąd wziął pieniądze na kupno? A jeśli nawet akurat te pieniądze zarobił uczciwie, czy kiedykolwiek będę potrafiła w to uwierzyć?

W rezultacie rano wetknęłam pierścionek na dno szuflady z twardym postanowieniem, że nigdy go nie włożę. Nie zainteresuję się nim, chyba że mi go ukradną. Wtedy nad nim zapłaczę. Tak będzie uczciwie.

Mimo wszystko miałam nadzieję, że prędzej mi go ukradną, niż zdąży pojawić się u mnie policja z nakazem przeszukania. Przez moment próbowałam przekonać samą siebie, że łatwiej by mi zwędzono ten brylant, gdybym nie chowała go w szufladzie, tylko nosiła na palcu. Tak żeby wszyscy widzieli. Zwłaszcza dyrektorka i jej przemądrzałe buty.

Pohamowałam jednak swoje niewczesne zapędy.

A w niedzielę wieczorem znów zadzwonił Jarek.

Powiedział, że nie może dłużej czekać na nasze spotkanie, gdyż ma wrażenie, że mnie krzywdzi. Czy nie moglibyśmy spotkać się prędzej?

– Dobrze, zajrzyj do mnie – zgodziłam się.

Nie mógł. Niesłychane! To po co się rwał?

– Ewentualnie jutro po południu – zaproponował. – Tylko czy ten termin ci pasuje?

– Pasuje – zapewniłam – bo mieliśmy się spotkać po niedzieli. Poniedziałek wypada akurat po niedzieli. Jesteśmy umówieni na ten termin od paru dni.

– Tak, wiem – zgodził się ze mną Jarek. – Ale wolałem się upewnić.

Uwielbiam facetów, którzy upewniają się, że poniedziałek wypada po niedzieli.

Nazajutrz był u mnie punktualnie, nawet z pojedynczym tulipanem w garści – i na tym skończyły się jego zalety. Oraz przysłowiowy męski racjonalizm.

Zaczął od tego, że nie będzie siadał, gdyż wpadł tylko na chwilę. Musi ze mną odbyć zasadniczą rozmowę. Po czym rozsiadł się na kanapie.

Więc kiedy powiedział, że nic nie będzie pił, zrobiłam mu kawę. Nie zaprotestował, gdy ją przed nim postawiłam. Poprosił jeszcze o cukier.

– Widzisz, Dominiko... – powiedział, słodząc, i przerwał na dłużej.

Przerwał wyłącznie mówienie, bo posłodził do końca i starannie pomieszał, a nawet oblizwał łyżeczkę.

Do tej pory nie zauważyłam, że oblizuje łyżeczki. Nie cierpię tego. Już bym chyba wołała, żeby opowiadał o robakach. One przynajmniej nie oblizują łyżeczek.

Kiedy tak mieszał i mieszał, i mieszał – sama wymyśliłam każde słowo, które zaraz od niego usłyszę.

I co ciekawe, nie miałam nic przeciwko żadnemu z tych słów.

– Długo biłem się z myślami, aż zrozumiałem, że nie zasługuję na twoją miłość, Dominiko! – pomyślałam, a Jarek z uczuciem powtórzył to na głos.

Proszę, w średniowieczu byłabym wiedźmą!

Z grubsza biorąc, z jego mętnych wypowiedzi wynikało tyle, że podjął męską decyzję. Zwiewa ode mnie! A także jest z siebie dumny, że tak pięknie potrafi to zakończyć.

– Zdamę sobie sprawę, że kochasz mnie od lat. Uwieczniłaś to literacko i naprawdę żał mi, żeby ten uroczy utwór poszedł na marne. Ale życie nie jest literaturą, niestety.

Przerwał, jakby spodziewał się, że w tym miejscu będę biła brawo.

– A poza tym poznałem Mariolę! – dokończył, ponieważ nie biłam.

No cóż... Nie wątpiłam, że ją poznał. Byłam tego bezsilnym świadkiem.

– Jesteś wspaniałą dziewczyną, Dominiko, naprawdę, która zasługuje na szczęście. Nie umiałbym ci go dać. Nigdy nie byłabyś szczęśliwa u mego boku. Nie potrafiłbym uszczęśliwić kobiety twego pokroju, pięknej i mądrej, i dobrej, i tak dalej. Potrzebujesz od życia więcej szczęścia...

Nieprawdopodobnie zapętlił się w moim szczęściu, przez cały czas nieodmiennie dumny z siebie. Być może obiecał Marioli, że zostawi mnie z klasą. Zakończy naszą znajomość w sposób prostolinijny i wzorcowy. Nawet moja melodramatyczna łzawa reakcja, której mężnie oczekiwał, nie pomiesza mu szlachetnych szyków.

– Zostawiasz mnie dla Marioli, ponieważ nie zasługujesz na moją miłość, skoro zostawiasz mnie dla Marioli? – uporządkowałam litościwie jego chaotyczne wyznania.

Zastanowił się. Widocznie wcześniej rozważał sprawę z innego punktu widzenia.

– Ujmujesz to w dużym uproszczeniu, Dominiko.

– Nietrafnie?

Wzruszył ramionami, że być może trafnie. Jednakże nie wolno ludzkich motywacji charakteryzować tak płytko.

Milcząc z urazą, jeszcze raz posłodził kawę. To była dzisiaj pierwsza rzecz, która dobrze o nim świadczyła. Ale nie zdołał ukryć uśmiechu satysfakcji, gdy się napił. Widocznie spostrzegł, że Mariola robi lepszą kawę ode mnie. Nieprzesłodzoną.

– Co zatem można dodać? – odezwałam się w ciszy wypełnionej nerwowym stukiem porcelany. – Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi?

Otworzył usta ze zdumienia. Jakby urażony moimi słowami.

Wierzcie mi, niełatwo okazać serce człowiekowi, który przyszedł do nas w złych zamiarach. Spodziewa się krzywdy za krzywdę – i rób, co chcesz. On zdobył się na honorową męską szczerą, ja powinnam się teraz zdobyć na szczerą kobiecą rozpacz. W ten sposób panowałibyśmy nad rolami, które wyznaczył nam świat. Nie powinnam zabierać mu uczciwych męskich komunałów, bo to był jego tekst. Nie miałam prawa go wypowiadać!

– No, tak... – potwierdził kwaśno. – Zostańmy przyjaciółmi, Dominiko. Sam miałem ci to właśnie zaproponować.

– Na przyjaźń zasługujesz, mam nadzieję? – upewniłam się.

– Nie rozumiem?

Konsekwentnie podejrzewał mnie o najgorsze.

– Na moją miłość nie zasługujesz we własnej opinii, ale na moją przyjaźń tak? – sprecyzowałam. – Nie chcę wywoływać u ciebie konfliktu sumienia. Moim zdaniem nadal możemy być przyjaciółmi, jak w dawnych szkolnych latach. Co ty na to?

– Wiedziałem, że to powiesz! – uśmiechnął się melancholijnie. – Tamte lata minęły bezpowrotnie! Będzie ci trudno zapomnieć o nas, jeśli nie weźmiesz się w garść! Ty mnie wciąż jeszcze kochasz, Dominiko!

Miał jednak pewne trudności interpretacyjne.

– Daję ci słowo honoru, Jarku, że nie kocham cię. Wcale się tym nie przejmuj. Nie mam też do ciebie żalu, który mógłby psuć nasze przyszłe układy towarzyskie. Mówię to całkiem szczerze.

Niestety, moja szczerść i mój spokój były tym, co znosił najgorzej. Bez odrobiny zrozumienia. Jasne, mogłabym trochę pohisteryzować dla dobra sprawy, ale nie widziałam powodu, żeby robić z siebie idiotkę akurat dla Jarka. To już przeszłość. Teraz mogłabym z siebie zrobić idiotkę co najwyżej dla Binga! Jarek ma swoją Mariolę i niech ona się dla niego wygłupia choćby codziennie.

– Czy ty rozumiesz naszą sytuację, Dominiko? Proszę, zapanuj nad sobą. Przyszedłem ci powiedzieć, że z nami koniec! To bardzo smutne, ale tak musi być. Rozstajemy się!

– No to co? Ale nie umieramy.

Z trudem zapanował nad zniecierpliwieniem. Podniósł się z miejsca ponury jak gradowa chmura.

– Pójdę, Dominiko. Rozstańmy się lepiej w zgodzie!

– Chcę tego samego – uspokoiliam go.

– Więc postaraj się mnie zrozumieć! Wiję się jak wij dla ratowania naszych dobrych stosunków, tymczasem ty podgryzasz moje starania jak... jak...

...jak turkuć podjadek? – podesunęłam mu odpowiedniego robaka.

Nie było po nim znać, że docenia moją życzliwość. Jeszcze raz uderzył w ton filozoficzny.

– Zobaczysz. Za parę tygodni będziesz mi wdzięczna, że podjąłem tę trudną decyzję...

– Ja już jestem ci wdzięczna, Jarku! – zapewniłam odruchowo.

Z trudem powstrzymał się od trzaśnięcia drzwiami, gdy wychodził. Zamiast tego zmierzył mnie takim spojrzeniem, jakbym dla kaprysu złamała mu życie.

A na mnie to nie zrobiło żadnego wrażenia – i tak zostałam.

Bez pośpiechu dopiłam swoją kawę, siedząc naprzeciw osieroconej filiżanki Jarka. A może nie chodzi o to, że nie mam kogo pokochać albo że Kocham jakiegoś hipotetycznego innego – myślałam smętnie – tylko o to, że wypaliłam się w sobie? Moje uczucia umarły razem z moimi poprzednimi facetami. Zbyt mocno dostałam od nich w kość. Jeśli szybko nie przybędzie jakiś olśniewający Bingo na białym koniu, zamienię się w lodową górę, na której szczycie nie ma zamku ani księżniczki, tylko hula wiatr i w skalnych szczelinach śnieżne zawieje zasypują zamarzniete zwłoki rycerzy!

O trzeciej w nocy obudził mnie telefon od Gośki.

– Co ci? – jęknęłam, wgapiając się z niedowierzaniem w zegarek. – Znowu nie nadajesz się na matkę?

Ale tym razem było z nią w porządku. Nadawała się na matkę. Była materiałem na najwspanialszą matkę naszych czasów.

To Berni absolutnie nie nadawał się na ojca.

Wyjechał w interesach, miał wrócić rano, a do tej pory go nie było. Dziecko potrzebuje ojca, bo wyrośnie na chuligana, polityka czy jeszcze kogoś gorszego!

– Zanim urodzisz, Berni wróci – pocieszyłam ją.

– No coś ty, Do? Już wrócił! Radosny jak osioł! Bierze teraz prysznic.

Usiadłam w pościeli zdeorientowana.

– To dlaczego zrywasz mnie z łóżka o tej porze?

– Wcześniej nie mogłam. Wykańczałam się, Do! Horror! Byłam taka roztrzęsiona, że bym twojego numeru nie znalazła w telefonie. Czy myślisz, że taki mój stan dobrze wpływa na maluszka? Fatalnie! A Berni tego nie pojmuję! Nie wiem, czy w ogóle potrafię urodzić przy nim zrównoważone emocjonalnie dziecko! Naprawdę nie mogłam do ciebie zadzwonić wcześniej, Do! Poryczałabym ci się w słuchawkę i nie potrafiłabym się nawet wyjęzyczyć, z jakiego powodu ryczę. Już lepiej chyba, żeby męczyła się sama niż wszyscy dookoła razem ze mną!

– Masz rację, Gosiu – przytaknęłam grobowym tonem.

– Dzięki, że się o mnie zatroszczyłaś.

– Nie ma sprawy, Do! Miłych snów! – pożegnała się i odłożyła słuchawkę.

Przez resztę nocy śnił mi się Jakub z pizzerii. Byliśmy razem w wojsku i przeżywaliśmy prześmieszne przygody. Rano pamiętałam tylko część z nich. Urwało nam nogi na poligonie, ponieważ weszliśmy na miny. Jakuba przejechał czołg, a ja skoczyłam bez spadochronu z bombowca. Dlatego bez spadochronu, że byłam bombą.

W zasadzie nic zabawnego, ale we śnie śmieszyło mnie to do rozpuku. Może w sumie lubię tego Jakuba z pizzerii? Mu-

szę kiedyś koniecznie kupić znowu rybki w oleju i zamówić pizzę.

Tylko po co mi to wszystko?

Rendez-vous z Lutkiem

Bingo nie zadzwonił przez cały następny dzień. No i niech się wypcha! W środę zrobiłam to, co prawdziwa kobieta robi w takiej sytuacji.

Poszłam na zakupy.

Włóczyłam się prasłowiańskim szlakiem kupieckim, który wydeptałam już w podstawówce. Na drugim piętrze Omnibusa wpadłam na Mariolę. Stała naprzeciw stoiska z bluzkami, gapiąc się w nie tępym wzrokiem, jakby nie mogła dojść, do czego to służy.

Jeszcze bardziej zdziwiły mnie dwie inne rzeczy. Była z Lutkiem, nie z Jarkiem, a także ucieszyła się szczerze na mój widok.

Złapała pierwszą bluzkę z brzegu.

– Zobacz, Do, cudowna! – Rozpostarła ją przed moimi oczami. – Wejdz ze mną do przebieralni, proszę cię, doradzisz! Ty zawsze masz najlepszy gust!

Bluzka była upiorna, w wielkie róże koloru buraków. Z przyjemnością powiedziałabym Marioli, że wygląda w niej świetnie. Z jeszcze większą przyjemnością patrzyłabym, jak za nią płaci i nosi na sobie to buraczkowe paskudztwo. Ale kiedy zasunęliśmy się w przebieralni, Mariola przestała się do mnie sztucznie szczerzyć. Jak również przestała zajmować się bluzką.

– Mam do ciebie największą prośbę w życiu, Do! – szepnęła konspiracyjnie.

Coś podobnego! To już drugą, jeśli policzyć brzemienną w skutki prośbę o pomasowanie Jarka bioprądami. Dlatego też do jej próśb byłam z góry nastawiona negatywnie.

– Za kilkanaście minut spotykam się z nim! – Nie użyła imienia, tylko z naciskiem powiedziała „z nim”. Jak do współpracownicy. – A tu przyczepił się Lutek, wyobraź sobie. Nie mam jak się go pozbyć!

Wcześniej założyłam, że będę reagowała wyniośle na jej słowa, niezależnie od tematu, ale zaskoczyła mnie.

– Jak to? Lutek o was nie wie?

– Coś niecoś się domyślał, ale wybiłam mu to z głowy – zbagatelizowała. – Nie patrz tak na mnie, Do! Powiem mu, oczywiście. Ale na razie nie miałam serca. Jest taki ufny, łatwo go skrzywdzić. Sama wiesz! Nie zdobędę się na wygarnięcie mu czegoś przykrego tak prosto w oczy.

– Ho, ho! Szczęściarz z niego, że trafił właśnie na ciebie.

Udała, że nie dostrzega mojej złośliwości.

– Zrób to dla mnie i dla Jarka, proszę cię, Do. Jesteś taka życzliwa ludziom! Odwróć uwagę Lutka, żebyśmy mogli spokojnie się spotkać. Potrzebujemy zasadniczych ustaleń, jaką drogą poprowadzić nasze dalsze losy. To ważne! Oboje z Jarkiem chcemy zacząć nowe życie!

– Odwrócić uwagę Lutka? – sapnęłam z irytacją. – Nawet gdybym miała chęć, to jak to sobie wyobrażasz? Mam biegać wkoło stoisk i gwizdać na palcach?

– No skąd... Może weź go na spacer albo do kina? Ja wam chętnie zafunduję!

Oni wszyscy zwariowali z miłości. Ten RUMM to niegłupi wynalazek. Wszyscy ludzie na świecie zwariowali z miłości. Z odwzajemnionej, z nieodwzajemnionej, z wyczekiwanej, ze spełnionej, z niedomarzonej, niedowarzonej... Ja jedna pozostałam normalna i na domiar złego mam dobre serce. Za dobre! Wykorzystują je bez skrupułów! Jednemu załatw adres, z drugim jedź na poszukiwania, trzecim służ za parawan. A oni będą używać życia! Za siebie i za mnie!

– Z miłą chęcią, ale to niewykonalne – odmówiłam surowo.

– Lutek za mną nie przepada. Nigdzie się ze mną nie wybierze.

– Ależ nic podobnego, Do! Ogromnie cię lubi. Wielokrotnie mi o tym opowiadał.

Po jej oczach poznałam, że łże. Rozmawiali o mnie z Lutkiem tak samo często jak o sytuacji gospodarczej w Zimbabwie.

– Nie rób mu tego! – prawie zaskomlała do mnie. – Nie rób tego biedakowi!

– Ja? Czego mam mu nie robić?

– Żeby był świadkiem tego, co nastąpi. Bo ja i tak spotkam się z Jarkiem, zaręczam ci! Najwyżej zrobię to na oczach Lutka. Nic mnie nie powstrzyma!

Nie poznawałam jej w tym miłosnym amoku! Dostałam rumieńców ze wstydu zamiast niej. Policzki mnie paliły.

– Jesteś zwykłą, ordynarną szantażystką! Chcesz się mną posłużyć jak jakąś szczotką do włosów czy innym mikserem! Tak samo jak posługujesz się Lutkiem!

Mariola z kamienną twarzą złożyła bluzkę w kostkę.

– Przepraszam cię, Dominiko, poniosło mnie. Masz rację. Widocznie to musi skończyć się dla Lutka dramatem, nic nie poradzimy. Ja nie potrafię, ty nie chcesz. I masz do tego święte prawo, naturalnie.

– Poczekaj! – zawołałam zdezorientowana, ale wyszła z przebiegalni, nie oglądając się na mnie.

Słyszałam tylko oddalający się stukot jej obcasów.

Kiedy pobiegłam za nią, stała już obok Lutka. Przyglądała mu się z pogardliwą miną, kiedy coś jej tłumaczył. A on był tak lirycznie uśmiechnięty, że zrobiło mi się go autentycznie żal. Choć może powinna mnie raczej denerwować jego miłosa ślepotą.

Podeszłam do nich wściekła na siebie, że podchodzę.

– Zatem załatwisz dla mnie teraz, Mariolu, to, o co cię prosiłam? – zapytałam enigmatycznie. – My z Lutkiem zaczekamy na ciebie gdzieś w pobliżu. Potowarzyszysz mi, Lutku, prawda? Nie będziesz miał nic przeciwko temu?

– Och, na pewno nie będzie miał! Zrobisz to dla Dominiki, Lutku? – paplająca Mariola z wdzięcznością wyszczerzyła się do mnie od ucha do ucha. Coś obrzydliwego! – Naprawdę

możesz na mnie liczyć, Do, załatwię wszystko, jak prosiłaś Serdeczne dzięki, naprawdę serdeczne! Jesteś super!

Zrewanżowałam się jej wymuszonym uśmiechem tylko dlatego, że Lutek patrzył.

Szantrapa! Miałam dla jej faceta więcej współczucia niż ona sama.

– Chodź, Lutku! – Pociągnęłam biedaka za rękę. – Napijemy się tymczasem kawy!

Jednakże po wyjściu z Omnibusa moje miłosierne uczucia do Lutka zostały wystawione na ciężką próbę.

Najpierw wpadliśmy na dwie moje uczennice. Gapiły się za nami, chichocząc bez skrępowania. Kawalek dalej spotkaliśmy niejaką Sylwię, która uczy u nas w szkole biologii. W ciągu krótkiej rozmowy z dziesięć razy wyraziła się o Lutku per „twój luby”. Była niepokieszona, gdy nie zareagowałam na jej perfidną prowokację.

Wzięłam Lutka do pubu Piekiełko, który ma tę zaletę, że brak w nim okien. Przy najgorszym zbiegu okoliczności nie sposób wypatrzeć z wnętrza Marioli paradującej czule za rączkę z Jarkiem. Na okrągło palą się tu czerwone neonówki które rozpraszają piwniczny mrok, i dymią wonne trociczki.

A w narożniku, pod czarcimi rogami zawieszonymi na ścianie jak jelenie poroże, siedzi Miranda z przystojniakiem w garniturze. Nie wiem, czy siedzi tam też na okrągło – ale tym razem jak na złość siedziała. Z tradycyjnym fioletowym wiechciem na głowie.

Mało, że siedziała. Na mój widok podniosła do góry kóleczek z palców, że jest okej. Diabli wiedzą, co dla niej być takie okej? Może ten jej absztyfikant z hrabiowskimi sygnetami na palcach.

Kiedy Lutek poszedł do toalety, podbiegła do mnie w tę pędy.

– Niezły z pani wywijas, słowo daję! – zachwyciła się. – Tu facet, tam facet! Ale ten jest w sam raz dla pani! Strzałeczka Od razu widać!

- Co takiego widać? – zapytałam zimno, ponieważ podejrzewałam ją o podstępne szyderstwo. – Widać, że inne nie będą nim zainteresowane?

- No co też pani! Widać, że on należy do pani duszą i ciałem.

- Przenikliwa obserwacja – skinęłam głową z ironicznym uznaniem. – Zawsze miałam Cię za domyślną dziewczynę, Mirando! Mimo że nie dałaś rady domyślić się, o co chodzi w Balladynie Słowackiego.

Wzruszyła ramionami na tę moją czarną niewdzięczność i bez słowa wróciła do tamtego gościa w garniturze.

Lutek zamówił dla nas kawę po irlandzku. Nastawiłam się na dłuższe nieme siedzenie nad tą kawą w dennym poczuciu skrępowania, ale o dziwo – Lutek odezwał się dość szybko.

- Nie musisz mnie pilnować przez całą randkę Marioli z Jarkiem Dominiko – zapewnił. – Ale jeśli masz ochotę ze mną posiedzieć, będzie mi miło.

O mało nie wpadłam pod stół. Co za wtopa!

- Ty wiesz?!

Lutek z pełnym opanowaniem skinął głową. Wsunął mi w dłoń uszko szklanego kupa, w które nie mogłam trafić zszokowana.

Dobrze mi tak!

Nie trzeba się godzić na głupie propozycje zakochanych bab! Swoje dobre serce to mogę okazywać ptaszkom ze zwichniętym skrzydełkiem. Bo kiedy zlitujesz się nad facetem, zawsze wyjdiesz na idiotkę! Żeby nie wiem co! Żeby on był nawet niczemu niewinny!

- Przepraszam cię, Lutku, to nie było przeciw tobie... - wyjąkałam, a czułam się po prostu podle. – W każdym razie, jeśli chodzi o mnie, nie było przeciw... Nawet jakby przeciwnie... diametralnie z życzliwości dla ciebie...

- Nie przypisywałem ci złych motywów. Nie przejmuj się tym tak! – przerwał wyrozumiale moje dukanie. – W ogóle za wiele się przejmujesz innymi. Już dawno to zauważyłem. Dwa lata temu byłem u ciebie na wywiadówce w

zastępstwie rodziców. Miałaś taką samą zakłopotaną minę! Przecież to nie jest twoja wina, że ktoś się źle uczy albo idzie na potajemną randkę.

Wybałuszyłam oczy bez odrobiny inteligencji, choć może istotnie z przejęciem.

- Skąd niby ja na wywiadówce? – domyślił się mojego niezadanego pytania Lutek. – To proste. Mój młodszy brat chodził do twojej klasy.

Uśmiechnęłam się na znak, że ach, jakże miłe zaskoczenie. Mimo, że chwilowo nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym rzeczywiście uznać za miłe.

- Naprawdę? Chodził do mojej klasy? Co za przypadek! Znam go? – Tu zamilkłam i policzyłam do dziesięciu, żeby choć ogólnie pojąć, o co mi chodzi. – To znaczy... Przepraszam, pytam o twoje nazwisko. A raczej o jego nazwisko, nie o twoje.

- Mamy takie samo. Rapcuhowicz.

- Ach, Rapcuhowicz! – westchnęłam smętnie. – No tak. Pamiętam go, a jakże. Z nikim innym nie miałam tylu problemów wychowawczych. To twój brat? Naprawdę? Rodzony?

- Rodzony. Ale ja jestem zupełnie inny! – zarzekł się żarliwie.

Przez chwilę piliśmy kawę w milczeniu. Przed oczami stał mi brat Lutka. Faktycznie różnili się, nie podejrzewałabym ich o rodzinne związki. W każdym razie mieliśmy o czym pogadać, więc po raz pierwszy w życiu młodszy Rapcuhowicz coś mi ułatwił. Jeszcze rok temu przeważnie utrudniał. Na każdej lekcji, a i po lekcjach, jeśli tylko trafiła się okazja. Ale to szczęśliwie przeminęło. Ukończył gimnazjum i wreszcie przestał zatruwać mi życie. A ja jemu.

Wobec tego i do Lutka wysłałam życzliwsze fluidy.

- Pozdrów brata ode mnie. Co u niego?

- W porządku, dzięki! – Lutek zrobił ręką gest natury ogólnej. – Uczy się. W liceum.

Znów zamilkliśmy. Jednak to było złudzenie z mojej strony, że o młodym Rapcuhowiczu da się przez jakiś czas pogawędzić przy kawie. Nie był aż tak fascynujący, jak widać.

Przy dalekim stoliku Miranda, tuląca się do eleganckiego garnituru, znów zrobiła kółeczko z palców w moją stronę. Widać przebaczyła *Balladynę* Słowackiemu i mnie. Jej zachowanie robiło się irytujące. Zarówno obściskiwanie się na oczach nauczycielki z jakimś pseudobiznesmenem – bo gdyby nie był pseudo, to by o tej porze robił biznes, a nie obściskował się z Mirandą – jak i to całe jej spoufalanie się ze mną palcami na odległość. Bezczelna!

– Dobrze? – nerwowym warknięciem wyładowałam złość na Lutku.

– Co dobrze?

– Brat. Czy uczy się dobrze. W liceum.

– Aha. Tak sobie – wzruszył ramionami. – Tak jak dotychczas.

– Aha. To tak sobie – zgodziłam się.

Dopiliśmy w milczeniu kawę po irlandzku.

Chyba rzeczywiście nie musiałam tu siedzieć, skoro Lutek i tak wiedział o Marioli i Jarku. Ale nie chciałam demonstrować, że wybrałam się z nim do Piekielka jak kompletna idiotka wyłącznie dla kaprysu innej kompletnej idiotki.

– Pewnie chcesz już iść? – domyślił się błyskotliwie Lutek.

Najwidoczniej wierciłam się ze zniecierpliwieniem na krześle, choć robiłam, co mogłam, żeby nadmiernie nie obnażać stanu mojej duszy.

– Nie, bynajmniej – zaprzeczyłam jako osoba dobrze wychowana. – Skąd taki pomysł, Lutku? Bardzo miło się gawędzi.

– To może wypijemy jeszcze po jednej kawie?

– Oczywiście, z przyjemnością! – poświęciłam się spontanicznie.

Przy drugiej kawie po irlandzku zebrałam się na śmiałość. Bratu mojego byłego ucznia powinnam jednak dopomóc w wylezieniu z miłosnego szamba. Niech się nie męczy z erotyczną oszustką. Niech nie będzie ślepy. Choć rąbek zasłony mogę przed nim uchylić. W końcu mam doświadczenie w tych sprawach, swoje odcierpiałam, niedługo

będę wygłaszała publiczny odczyt w klubie RUMM na temat miłości.

– Coś ci powiem, Lutku – zaryzykowałam. – Tylko dobrze mnie zrozum. Bo szczerze powiedziawszy, Mariola nie zasługuje na twoją miłość. Nie chcę powiedzieć o niej złego słowa, broń Boże! To na pewno dobra dziewczyna, założmy!... Chodzi mi jedynie o to, że miłość jako taka... Miłość, widzisz... – Zaplątałam się co nieco, więc sięgnęłam do przykładu: – Otóż miałam ukochanego męża, Lutku, z którym się rozstałam. Przeżyłam fantastyczne uczucie do idealnego facecia i to też się rozleciało. Miłość, widzisz, Lutku, ona jest... Jak by ci to powiedzieć?... Nie ma miłości, krótko mówiąc! Nie istnieje! – wygarnęłam mu prosto w oczy gorzką prawdę.

– Tak? – zaciekawił się. – A jak ją nazywasz na swój użytek?

Uśmiechnęłam się rozbrojona jego naiwnością.

– O to chodzi, że w ogóle jej nie nazywam, gdyż jej nie ma. Właśnie ci tłumaczę. To jest tak jak z pustynią, Lutku. Idzie wycieńczony człowiek, widzi fatamorganę. Oazę z palmami i szmerzącym źródłem. Dochodzi, maca, a tam nic. Taki sam piasek i pustka. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Pustynia to jest ludzka samotność i tęsknota. Fatamorgana to jest miłość. A macanie to... – przerwałam spłoszona nieoczekiwaną śmiałością tej metafory.

– To tylko macanie? – podrzucił mi Lutek.

– Coś w tym stylu. To tylko jakieś takie naskórkowe realia.

Pokiwał głową z zadumą. Nie wydawał się przekonany.

– Czy ja wiem, Dominiko? Czasami widzi się oazę, dochodzi się i ona tam jednak jest naprawdę. Nie ma innego sposobu, żeby ją zobaczyć. Mamy jedną parę oczu na wszystkie okazje. Patrzy się nimi i widzi się tak samo fatamorganę, jak i prawdziwą oazę. Taką, która nie jest żadną fatamorganą.

– Mylisz się, Lutku – zaprzeczyłam stanowczo. – Teraz wierzysz w miłość, ponieważ kochasz Mariolę. W takim stanie umysłu ma się różne złudzenia, które bierze się za rzeczy-

wistość. Mrzonki. Przecież jesteś w tym klubie, to wiesz. Człowiek ma skłonność do uogólniania tego stanu, kiedy akurat kocha Mariolę. Niekoniecznie Mariolę, oczywiście. Kiedy człowiek kogoś darzy gorącym uczuciem. To bywa cholernie mylące.

– Możliwe. Z tym że ja Marioli nie kocham – zapewnił Lutek.

– Przepraszam cię, że tak mówię wprost – uspokoiłam go. – Wiem o tym od niej, ale naturalnie nikomu nie powtórzę.

Lutek uśmiechnął się wyrozumiale.

Z tym uśmiechem wcale nie wyglądał na naiwnego. Ani na nieśmiałego.

– Ona ma strasznie wybujałą wyobraźnię – powiadomił mnie. – Właśnie to sprowadziło ją swego czasu do klubu. Ale z niczego się tam nie uleczyła, przeciwnie, nabawiła się paru nowych mrzonek od tamtego czasu. Na przykład tej, o której mówisz. Ze mną w roli głównej.

Przyjrzałam mu się nieufnie. Któreś z nich bezsprzecznie błędziło we mgle. Ale które?

– Może w tym wypadku to akurat twoja wyobraźnia płata ci figle, Lutku? – zastanowiłam się na głos.

Skąd mogłam wiedzieć, jakie to wstydlive ukryte przypadłości sprowadziły do klubu jego samego?

– O to bądź spokojna. Moja wyobraźnia nie płata figli – zapewnił Lutek i wstał od stołu. – Przepraszam na moment. Kupię papierosy. Czy dla ciebie coś może wziąć przy okazji?

Podziękowałam, że nie. Albo może gumę do żucia. Poproszę. Miętową.

Ledwie zniknął za filarem, odezwał się telefon w mojej torebce. Spojrzałam na wyświetlacz. „Zastrzeżony”. Od razu mnie tknęło.

– Bingo? – zapytałam, zakrywając słuchawkę dłonią.

– Bingo, Dominiko. Co robisz?

– Nudzę się bez ciebie. Czy ty przez całe życie zamierzasz do mnie jedynie telefonować? Kiedy się wreszcie zobaczymy?

– A kiedy byś chciała?

– Już!

– Teraz? – zawahał się. – A gdzie teraz jesteś?

Rozejrzałam się w popłochu po Piekiełku. Chyba jednak powinnam wziąć na wstrzymanie. W tej chwili byłam w nie najlepszym miejscu. Na domiar złego przebywałam tu w podejrzanym celu, mimo że obiektywnie moje spotkanie z Lutkiem było niewinne. Mnóstwo niewinnych rzeczy wygląda dość fatalnie, kiedy patrzy się na nie z boku.

– Może nie dosłownie już, tylko za małe pół godziny, powiedzmy – uściśliłam z sercem w gardle, ponieważ znaleźliśmy się nagle wyjątkowo blisko porozumienia, jak na moje wyczucie. – W tej chwili siedzę jeszcze w szkole. Mam próbę uczniowskiego kabaretu, ale właśnie kończymy. Daj mi tylko czas, żebym dojechała tam, gdzie się umówimy. Może być?

– Dobrze macie! – roześmiał się Bingo w słuchawce.

– Dlaczego?

– Za moich czasów w szkole nie serwowali kawy po irlandzku!

Zerwałam się na nogi jak oparzona.

Czerwone światła Piekiełka oświetlały ludzi zajętych sobą, niezwracających na mnie uwagi. Samotny facet przy barze, patrzący tępo w moją stronę, nie miał telefonu. Przez telefon rozmawiała dziewczyna obok niego, ale ta z kolei nie patrzyła w moją stronę. Telefonował także starszy gość o dwa stoliki ode mnie, tylko że on nie rozmawiał o miłości. Przeciwnie. Darł się, że jak dopadnie Gienka, zrobi mu z tyłka jesień średniowiecza. Aż tu to słyszałam.

To był jakiś absurd!

Uczestniczyłam w największym absurdzie świata!

Moje życie miłosne zamieniło się w bzdurę, odkąd spuściłam je z oka! Samotna, zagubiona, zdołowana straciłam żywotną czujność i teraz mam to, co mam. Jakiś zakichany realizm magiczny. Jakieś chorobliwe mrzonki do kwadratu! Coś, co w żadnym razie nie ma prawa dziać się w realnym życiu!

– A skąd ty nagle... – wybełkotałam jak po kielichu. – Skąd niby wiesz, co piję?

– Co za pytanie? Moja wrodzona przenikliwość! Dzięki niej wiem o Kochanowskim, pizzy, jeziorze, gorącce, o wszystkich twoich sprawach. Łączy mnie z tobą kosmiczna telepatyczna więź, Dominiko!

– Nie żartuj sobie ze mnie! – odpowiedziałam z powagą. – To niemożliwe. Absolutnie niemożliwe! O, nie! Nie uwierzę nigdy w życiu, że możesz wiedzieć o mojej kawie po irlandzku!

– Skoro tak twierdzisz, to widocznie nie wiem! – roześmiał się. – Nie było sprawy! Do zobaczenia, Do!

I zwyczajowo odłożył słuchawkę w najciekawszym miejscu rozmowy.

Rozejrzałam się w popłochu jeszcze raz. Wszystko było tak samo. Nic podejrzanego. Zupełnie nic. Do tego stopnia nic, że aż mnie to wkurzało!

Wydawało mi się, że pod niskim sufitem Piekietka wisi niewidzialne oko i szpieguje mnie jak ukryte kamery w *Mamy cię!*. Coś paskudnego! Takie uczucie, jakbym robiła coś, czego nie powinnam robić, a przecież w ogóle nic nie robiłam!

To piekło, a nie piekiełko!

Nawet nie zauważyłam, kiedy wrócił Lutek. Zresztą i tak nie byłam zdolna do rozmowy z nim. Ocknęłam się, gdy położył przede mną paczkę miętowej gumy.

– Dzięki! – skinęłam odruchowo głową, nie do końca zdając sobie sprawę, za co mu dziękuję.

Może za to, że siedzi cicho i nie zaczepia mnie.

Reagowałam jak popsuty automat do wykonywania rzeczy niepotrzebnych. Z nieznanego mi powodu czekałam, aż Lutek zapali papierosa. Czułam, że to jedyna rzecz, która w tej chwili może posunąć akcję do przodu. Bo ja osobiście zamarłam w jednym punkcie mojego życia. Na razie na zawsze. Może się z niego ruszę, jeżeli Bingo znów do mnie nie zadzwoni.

Ponieważ Lutek nie zapalał, domyśliłam się, że wypalił papierosa zaraz po kupieniu. Żeby nie kopcić mi przy stoliku. Miło z jego strony. Ale z drugiej strony to niezapalanie, nie wiedzieć czemu, drażniło moją znękaną podświadomość.

Sprawdziłam kątem oka, czy paczka jest otwarta. Ale nie spostrzegłam na stoliku papierosów ani zapalniczki. Stała tam jedynie wyczyszczona do połysku popielnica z diablami rogami na dnie, logiem Piekiełka.

Widocznie kupione papierosy Lutek schował do kieszeni, podpowiedziała mi mieszkająca we mnie Agatha Christie.

To jej bystre ustalenie przyniosło mi nieoczekiwaną ulgę.

Póki nie dotarło do mnie, że nigdy nie widziałam Lutka palącego. Chyba zakładałam, że jest niepalący... Przy jakiejś okazji, zdaje się, wspominał mi o tym sam!

Więc po jakie лихо poszedł kupować papierosy?

Podniosłam na niego niedowierzający wzrok. Patrzył z napięciem prosto w moje oczy. I to z jakim napięciem! On też najwyraźniej na coś czekał!

Puknęło mi w głowie, jakby otworzyła się tam ukryta klapka. Aż usłyszałam ten niesamowity dźwięk.

– O mój Boże... To ty, Lutku? – wyszeptałam ze zgrozą.

Uśmiechnął się wymownie. Nie zapytał, o czym mówię. Nie zaprzeczył, choć modliłam się w duchu, żeby tak właśnie uczynił. Nie był ani trochę zaskoczony. Jakby od dłuższej chwili spodziewał się po mnie tego właśnie pytania, które mu oto zadałam.

Rozszerzył kąciki ust, zrobił z języka coś na kształt ry-nienki i tym oryginalnie uformowanym aparatem gębowym odpowiedział głosem ze słuchawki:

– Bingo!

Świat zawałił mi się na głowę.

Rzeczywistość

Jeszcze przed chwilą życie wydawało mi się znośne. Nie miałam nikogo, ale miałam piękną nadzieję. Teraz ta nadzieja umarła.

W każdym razie zmieniała się nie do poznania.

Siedziała przede mną w poświęceni piekielkowej czerwieni jako niewysoki facet o pospolitej twarzy. Miłej, owszem, ale mogłabym go z tą twarzą mijać na ulicy dzień w dzień i nie zwróciłabym uwagi. Dlaczego ukraść mi mojego wspaniałego Binga? Dlaczego nie okazał się supermanem ukrytym w telefonie jak dzinn w butelce? Dlaczego cudownie malowana kurtyna odsłoniła banalny teatrzyk w tekturowych dekoracjach?

Otworzyłam torebkę, wyjęłam z niej swoją część należności za kawę po irlandzku. Z posępną miną położyłam pieniądze na stoliku przed Lutkiem.

Przyglądał mi się z uwagą. Czujnie.

– Zapłać za nas – powiedziałam. – Oszukałeś mnie, Lutku! Wychodzę.

Wybiegłam po betonowych schodkach na górę.

Wrześnie słońce raziło w oczy po piekielkowym czerwonym półmroku. Ludzie wlekli za sobą popołudniowe cienie jak skazańcy żelazne kule na łańcuchach. Ponad chodnikami unosił się obrzydliwy drogeryjny zapach. Nawet nie umiałam go nazwać. Niczego nie umiałam nazwać. Wiedziałam tylko, że ogólnie jest mi źle.

I że nic mnie już nie czeka. Zostało mi bezcelowe łożenie, czesanie się, malowanie, odwiedzanie rodziców i durne rady pedagogiczne, aż na którejś z nich przebiję się niechcący butem dyrektorki jako zasuszona siwowłosa staruszka, bo po tak głupim życiu nie może się człowiekowi przydarzyć mądrzejsza śmierć.

Lutek dogonił mnie na przystanku autobusowym. Przytrzymał mnie pod rękę z nieoczekiwaną siłą.

– Dominiko, nie możesz tak wyjść!

Wyszarpnęłam mu się.

– Wyszłam, jak widzisz, i nic się nie stało.

– Chcę ci to wszystko wyjaśnić. Musimy porozmawiać.

– Wcale nie musimy. Nagadaliśmy się przez telefon za wszystkie czasy.

Odwrociłam się do niego plecami i odeszłam parę kroków dalej, żeby oddzielić się od niego tłumkiem oczekującym na autobus.

Ale nie zrezygnował. Znów mnie dogonił.

– Musisz mnie wysłuchać, Dominiko! Jeśli trzeba, uklęknię tu przed tobą!

Nawet na niego nie spojrzałam. Sam powinien wiedzieć, że nie może teraz zrobić niczego, co by mnie nie irytowało.

– Nie szalej, jesteś podobno nieśmiały – odpowiedziałam zjadliwie gdzieś w przestrzeń. – Ludzie patrzą.

– Mam ich gdzieś!

Odwrociłam się zaniepokojona tym dzikim okrzykiem, bo nigdy nie byłam świadkiem czegoś podobnego w jego wykonaniu.

Za późno!

Lutek klęczał na chodniku otoczony wianuszkami zaciekawionych gapiów. Jak uliczny komediant. Co gorsza, większość zebranych patrzyła na mnie jako na przyczynę widowiska. Bystrzaki! Trudno było się nie połapać, kto jest przyczyną, skoro Lutek klęczał na wprost mnie.

Sympatie zgromadzonych wyraźnie przechylały się na jego stronę. Mimo że miał ich gdzieś, jak przed sekundą zadeklarował. Mnie nie pomagał w ich oczach nawet skromny zdystansowany uśmiech, którym próbowałam pokryć panikę.

Dwie bujne blondyny klaskały z uznaniem nad głową Lutka. Starsza pani szepnęła mi do ucha, żebym zlitowała się nad zakochanym młodzieńcem. A ja nie zdobyłam się na odwagę, żeby zapytać, co jej do tego.

Wstydziałam się jak diabli!

Dlaczego właściwie wszyscy byli po jego stronie? Przecież to ja zostałam przez niego skrzywdzona. Oszukana. Wystrychnięta na dudka!

Może w katolickim kraju człowiek, który klęczy, z miejsca ma przewagę nad tym, który nie klęczy. Choć to ten klęczący przeważnie narozrabiał i teraz się kaja.

Co miałam zrobić?

Przecież nie padnę na kolana, żeby wyrównać nasze szanse u publiczności. Coraz bardziej masowej. Przejeżdżające uli-

cą samochody trąbiły radośnie na nasz widok, pasażerowie autobusu skręcającego w zatoczkę machali do nas z sympatią zza szyb. Wiedziałam, że nie wsiądę tam teraz za skarby świata. Wyobraziłam sobie, że ludzie zaczną nam rzucać pod nogi pieniądze za występ. Lada chwila jak małe żabki będą skakać pod moimi stopami pięćdziesięciogroszówki.

Wtedy umrę z upokorzenia!

Albo zabiję Lutka ze wstydu i umrę na szubienicy.

Najwidoczniej przyszedł mój koniec, tak czy siak!

Miałam w sobie znacznie mniej determinacji od Lutka, bo pierwsza uciekłam z tego koszmarne przystanku.

A on znów popędził za mną.

– Nie rób cyrku! – wycedziłam wściekle, gdy zatrzymaliśmy się za rogiem. – Nie dość narozrabiałeś? Czego jeszcze chcesz? Daję ci pięć minut. Mów, co masz do powiedzenia, bo za pięć minut odchodzę!

Skinął głową, że dziękuje mi. Docenia moją dobrą wolę. Ale tyle mu nie wystarczyło, okazało się. Chciał ode mnie więcej.

– Wejźmy gdzieś, dobrze? – poprosił. – Usiądźmy. Przecież nie będę ci się tłumaczył na środku ulicy.

– A dlaczego nie? Przed chwilą tłumaczyłeś się na środku ulicy, aż było cię słychać na obu chodnikach i we wszystkich samochodach. To ma być ta twoja nieśmiałość? Chyba ci odbiło!

Lutek złapał mnie za rękę.

– Szkoda czasu, wejźmy gdzieś. Jestem nieśmiały, ale uparty!

Najbliżej była kawiarnia Marabut. Nigdy do niej nie wstępowałam, bo mi się nie podobała. Za dużo lukrowanego różu w wystroju. Ale nie zamierzałam szukać niczego lepszego. Taką rozmowę można z powodzeniem przeprowadzić nawet w jadłodajni dla bezdomnych.

Skręciłam do pierwszego różowego stolika przy wejściu, usiadłam sztywno na brzeżku obrzydliwie różowego krzesła. Ani kroku dalej. Kawiarniani bywalcy kłębili się w moich oczach jak różowa mgła.

Lutek usiadł naprzeciw. On nie był różowy, ale to niczego nie polepszało.

Mam nadzieję, że nie bywacie w Marabucie? Te ich okrągłe różowe stoliczki mają wielkość talerzyka do ciastka, więc czułam się tak, jakbym siedziała Lutkowi na kolanach. Umeblowanie w sam raz, żeby faceta usidlić. Ale w żadnym razie odwrotnie. Zero komfortu psychicznego. Ciekawe, dlaczego kawiarnie są projektowane aż tak optymistycznie? Na potrzeby flirtów z różową przyszłością. Projektanci wewnątrz w ogóle nie biorą pod uwagę, że ludzie będą się tu także pozbywać siebie nawzajem ze swoich życiorysów.

Życzyłabym tym projektantom, żeby kiedyś rozstali się z kimś w swoim własnym wystroju. Idzie się powiesić na różowym sznurku!

– Czego się napijesz, Do? – zapytał dwornie Lutek.

– Niczego – odburknęłam. – Mów swoje bez rozwlekania.

– Nie siedzmy nad pustym stolikiem, bo to wygląda jak spotkanie życiowych bankrutów. Aż tak źle chyba z nami nie jest! Zamówię kawę po irlandzku, dobrze? Sprawdzimy, czy tutaj też podają smaczną.

Nie miałam pomysłu, o co się z nim pokłócić. Miałam mu za złe cały świat i najbliższe okolice wszechświata, a nie wiedziałam, z której strony to ugryźć. Z której uszczypnąć. Z której kopnąć! To już było dno wielkie jak nieboskłon!

Wytargowanych ode mnie pięciu minut Lutek potrzebował, żeby się w ogóle rozpędzić. A kiedy się rozpędził, różowa kelnerka przyniosła kawę po irlandzku, na szczęście w naturalnym kolorze kawy po irlandzku, więc Lutek przerwał a gdy za chwilę odeszła, musiał rozpędzać się od nowa.

Postanowiłam, że nie będę świnią. Nie będę go wyliczała co do sekundy. Uczciwie dam mu skończyć i dopiero potem wyjdę.

Słuchałam, patrząc to na niego, to na różowe ściany, co było jednakowo drażniące. Mimo że tłumaczył się spokojnie rzeczowo, jakby wcale nie czuł się winny.

– Znasz mnie, Dominiko. Doskonale wiesz, że nie wykrztusiłbym ani słowa na początku naszej znajomości. Tak

już mam. Muszę człowieka poznać, oswoić się z nim. Dopiero wtedy mogę być naprawdę sobą. Nie chciałem wszystkiego od razu zepsuć przez tę moją przeklętą nieśmiałość. Anonimowo jestem śmielszy.

– A zdaje ci się, że teraz nie zepsułeś wszystkiego?

Lutek zerknął na mnie spod oka.

– Dominiko, od dwóch lat, kiedy zobaczyłem cię na tej wywiadówce, miałem jedno pragnienie. Zaprosić cię na kawę, usiąść obok ciebie i wyznać ci to, co mi leży na sercu. Długo się przełamywałem, nie przeczę, niemniej pięć minut temu zaprosiłem cię na kawę, siedzę obok ciebie i wyznaję ci to, co mi leży na sercu. Z mojego punktu widzenia nie wygląda na to, żebym wszystko popsuł.

– Czyżby? Odniosłeś sukces krótkotrwały, Lutku. Pięć-minutowy.

– Jesteś tego pewna?

Wzruszyłam z niechęcią ramionami.

Naturalnie, to łechce kobiecą próżność, gdy dowiadujemy się, że w skrytości czyjegoś męskiego ducha jesteśmy upragnione. Wymarzone. Niedościęłe. Tylko że do pary z połączoną próżnością potrzeba jeszcze właściwego faceta.

Inaczej jest to uczucie w sam raz na wzruszenie ramion.

– Lutku, przykro mi to mówić, ale nie jesteś moim ideałem mężczyzny – oświadczyłam bezlitośnie. – Ani trochę. Zawsze szukałam wysokiego bruneta z pięknymi brwiami, które...

– No, nie przesadzaj! Mam brwi, jeśli się dobrze przyjrzyj! – przerwał mi z uśmiechem. – Może nie najpiękniejsze, ale na pewno są na miejscu! Zresztą co tam wygląd, Dominiko! Nie masz pojęcia, co drzemie we mnie w środku.

– Nie – zgodziłam się. – Ale mam pojęcie, co drzemie we mnie. Kiedy jestem przy tobie, Lutku, drzemie we mnie wszystko. Z sercem na czele.

– Ja je obudzę. Daj mi tylko szansę na to.

– Dałam, Lutku – zapewniłam go solennie, wstając od przebrzydłego różowego stolika. – Dałam ci szansę, ale właśnie się skończyła. Pięć minut minęło.

Jeszcze raz zostawiłam pieniądze na blacie przed Lutkiem i jeszcze raz wyszłam samotnie na ulicę, i jeszcze raz otoczył mnie obojętny wieczorny szum miasta.

Jak w koszmarze sennym.

Kiedy Lutek dogonił mnie ponownie, byłam już naprawdę wściekła.

Zapadał zmierzch. Zatrzymaliśmy się przed ogromnym oświetlonym oknem cukierni Bajadera. Za szybą widziałam uśmiechnięte pary pijące wino, jedzące orzechowe ciasteczka, czulące się do siebie w świetle fikuśnych lampek na stolikach. Było im dobrze. Ich nie obejmował mój senny koszmar.

Tylko mnie i Lutka.

– Ty wcale nie jesteś uparty, jak to sobie wyobrażasz! – wycedziłam ze złością. – Jesteś zwyczajnie dręczący!

– Przepraszam, Do, ale nie mam szczególnego wyboru. Pozwól mi po prostu powiedzieć wszystko. Nic ponadto. Muszę skończyć, skoro zacząłem. Więcej się na to być może nie zdobędę.

– Zdajesz sobie sprawę, że w ten sposób budzisz tylko moją niechęć?

Miał w oczach zawzięte ogniki, których wcześniej nie zauważyłam. Nie zauważyłabym ich i tym razem, gdyby nie kontrastowały z jego życzliwym uśmiechem.

– Nie wierzę, że jesteś nieśmiały! – orzekłam. – Nie spotkałam mężczyzny bardziej śmiałego od ciebie. Żeby nie powiedzieć: aroganckiego. To jakaś gra z twojej strony?

– Gra w szczerłość! – wyjaśnił. – Wyznałem ci najskrytszy sekret. Po co mi jeszcze teraz nieśmiałość? Nie zamierzam już przed tobą niczego ukrywać. Dobrze, zdradzę ci całą kompromitującą prawdę! Kiedy byłem mały, obgryzałem paznokcie u nóg! Teraz wiesz już o mnie wszystko najgorsze, Dominiko!

– Więcej wiem, niż chciałam wiedzieć! Ta wiedza jest mi kompletnie niepotrzebna! – stwierdziłam opryskliwie. Ludzie idący chodnikiem omijali nas i potrącali. – Może nie kontynuujmy tej uroczej dyskusji na ulicy, jeśli łaska. Zaraz zaczną się gromadzić wokół nas wielbiciel twojego talentu.

Tym razem najbliżej było do Bajadery.

Kawę po irlandzku podawali tu już zupełnie beznadziejną i niczego nie zmieniało, że wystrój nie był różowy, lecz złoto-liliowy. Jeden wart drugiego.

Sączyłam kawę przez zęby, wbijając oczy w kubek ze złoto²-liliowego szkła, kiedy nie chciałam patrzeć na Lutka.

– Oszukiwałeś mnie od początku! – wyrzuciłam z siebie z goryczą.

– W czym? – zdziwił się.

– We wszystkim! Robiłeś ze mnie skończoną idiotkę! Kłamałeś, że dzwonisz z telekomunikacji zaoferować mi zniżkę, że dzwonisz z hurtowni win...

– Zaraz, spokojnie! – przerwał mi. – Kiedy dzwoniłem z telekomunikacji, pracowałem tam rzeczywiście. Pracowałem w hurtowni win, pracowałem wszędzie, skąd do ciebie dzwoniłem. Gdybyś chciała tych zniżek, dostałabyś je. Skoro nie chciałaś, nie dostałaś. Gdzie tu oszustwo?

Schowałam nos w kubku z kawą.

Nasza rozmowa była jednak idiotyczna.

Nie potrafiłam znaleźć czegoś, o co mogłabym oskarżyć Lutka konkretnie i bezapelacyjnie. A trudno kogoś oskarżyć o ogólny spadek chęci do życia. Mimo że właśnie temu był winien przede wszystkim.

– Nigdy nie lubiłam facetów zmieniających miejsca pracy jak rękawiczki – użyłam sobie na nim z czystej złośliwości. – Tacy nie są w stanie zapewnić kobiecie życiowej stabilizacji.

– Jeśli chodzi o mnie, to czysta taktyka, Dominiko. Nie mogłem wciąż do ciebie telefonować w sprawie darmowych rozmów w weekendy. Urozmaicałem asortyment.

– Ach, mój Boże! – zakpiłam. – Zmieniałeś miejsca pracy tylko dla mojego komfortu? Nie do wiary! Podporządkowałeś mi swoje życie? Jestem pod wrażeniem, doprawdy! Nikt nie złożył mi dotychczas równie cudownej ofiary. Tyle zniżek tylko dla mnie! A teraz gdzie pracujesz dla mojego dobra, jeśli można wiedzieć?

Lutek uśmiechnął się skromnie.

– W wypożyczalni sukien ślubnych.

Podskoczyłam na złoto-liliowym krześle jak ukłuta szpilką.

– Przesadzasz, Lutku! – syknęłam. – Jeszcze jedno takie słowo i wyjdę stąd!

– Pytałaś.

– Więc nie musiałaś odpowiadać. Dokończ, co masz dokończyć, i rozstańmy się w zgodzie.

Lutek duszkiem dopił kawę do dna.

– Okej, dokończę. Nie przerywaj mi tylko, bo mnie zdeprymujesz, dobrze? Od dwóch lat zdołałem się sporo dowiedzieć na twój temat. Można by rzec, że niezłe cię znam...

– Zdażyłam zauważyć.

– Prosiłem cię, żebyś nie przerywała! – upomniał mnie z takim naciskiem, że zamilkłam. – Wiem, że o to nie spytasz, ale gdybyś spytała, potrafiłbym odpowiedzieć, dlaczego nie układało ci się w dotychczasowych związkach.

Nie wiem, co mnie powstrzymywało od przerywania tych jego impertynencji. Może nadzieja, że ujawni jakąś wredną cechę charakteru, która odbierze mu cały urok i tym samym sprawi mi ulgę. Bo mówić kobiecie w oczy, że ona nie ma szczęścia w miłości, to trzeba być ale typem!

Niestety, jedyna zła cecha, jaką na razie ujawniał, to bezduszna logika wyvodu.

– Twoi faceci mieli klasę, Dominiko, przyznaję. Tip-top! Ale z drugiej strony to była pułapka, w którą wpadałaś. Bo nagle przestawałaś ich odróżniać od własnych wyobrażeń. Nie było najmniejszej szczeliny pomiędzy nimi a twoją fantazją. Szpary, w którą mogłoby się wcisnąć prawdziwe życie. Oni materializowali się na twój użytek jak sny na jawie. Piękni, wysocy, zgrabni, bystrzy, idealni jak marzenie. A potem okazywało się, że nie sposób żyć marzeniami na co dzień. Więc to, co kochałaś, waliło się w gruzy! A pod spodem nie było już nic. Ani pięknych marzeń, ani prawdziwego życia. – Postukał dumnie palcem w swoją pierś. – Przypatrz się mnie. Nie jestem podobny do żadnego z nich. Nie pochodzę z twoich marzeń. A wiesz

dłaczego? Ponieważ jestem prawdziwy. Tak wygląda rzeczywistość. Jestem nią, Dominiko. Jestem twoją rzeczywistością. Zdobądź się na to, żeby ją uznać, a wtedy ją pokochasz. Ponieważ innej rzeczywistości nie ma.

Właściwie ten facet był niesamowity! Gdyby nie irytował mnie do bólu, może by mnie szczerze zaciekał.

Rzecz jasna, gdyby nie był Bingiem!

Nędzną imitacją Binga!

– Chcesz przez to powiedzieć, że jesteś jedynym mężczyzną na świecie? – popatrzyłam mu w oczy z niechęcią. – Wątpię.

Położył dłoń na mojej dłoni.

– Jestem jedynym t w o i m mężczyzną na świecie.

Wyszarpnęłam rękę.

Przez moment zupełnie nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Po raz pierwszy w tej rozmowie nie wiedziałam. Miałam wrażenie, że ten niekomfortowy dla mnie stan będzie mi się odtąd powtarzał po każdej wypowiedzi Lutka.

Należy po prostu zakończyć nasze spotkanie. Dla mojego dobra.

– Na pewno nie ma na świecie mężczyzny, który widzi mnie tak przenikliwie jak ty, Lutku! – wykrzesalam z siebie ostatnie iskry smętnej ironii. – Jestem mitomanką, życiową fantastką, brak mi dojrzałości, nie wiem, czego szukam, męczę się z sobą, ze światem, okłamuję sama siebie... Tyle trafnych ustaleń naraz! Zazdroszczę ci zmysłu obserwacji! Jesteś bezbłędny w rozgryzaniu kobiecych charakterów. Tylko jeżeli mam tyle wad, ile wyliczyłeś, dlaczego ciągniesz mnie z sobą już na piątą kawę po irlandzku?

– To proste. Już powiedziałem. Bo cię Kocham.

Po raz trzeci położyłam pieniądze obok niedopitej kawy i wstałam od stolika.

– Wiem tyle, że powiedziałeś za dużo, Lutku. Wołałam cię w wersji małowódnej.

On też wstał, rozglądając się za kelnerką.

– Czy mam rozumieć, że podjęłaś decyzję, Dominiko? To wszystko? Rozchodzimy się każde w swoją stronę?

– Tak będzie najlepiej.

– Jak dla kogo.

– Bez przesady. Dasz sobie radę, Lutku.

Uśmiechnął się do mnie, chociaż inaczej niż poprzednio. Smutniej.

– Ja tak, Dominiko. Miałem na myśli ciebie.

Spojrzałam na niego z niechęcią i wyszłam z Bajadery bez słowa.

Na dworze było już ciemno, na ulicę lał się neonowy blask.

Na rogu ulicy Lutek dogonił mnie po raz kolejny. Tym razem tylko po to, żeby złapać dla mnie taksówkę.

Kiedy wróciłam do domu, serce waliło mi jak młotem. Zdecydowanie przesadziłam z kawą po irlandzku. Pięć kaw przez dwie i pół godziny, można się wykończyć jak nic.

Zresztą serce mogłam jeszcze zrozumieć, ale kto mi powie, dlaczego po tej irlandzkiej kawie szlochałam do północy?

Przerwane połączenie

Przez następne dni nie mogłam patrzeć na telefon. Kobieta zdradzona przez komórkę... Kobieta porzucona przez słuchawkę... Nie wiem, może takie zboczenia wymyślają w pornosach, ale żeby w moim osobistym życiu?

Robiło mi się słabo na myśl, że Bingo już nigdy nie zadzwoni. I robiło mi się słabo na myśl, że zadzwoni, bo to już wcale nie będzie on, tylko zwyczajny Lutek.

Zresztą nawet o Lutku nie mogło być mowy, ponieważ na wszelki wypadek wyłączyłam telefon. Na dwa dni. Inaczej zwariowałabym chyba! Jak mogłam aż tak bardzo uzależnić

się od kogoś, kogo znałam wyłącznie z głosu? I to z głosu podstępnie zmienionego, jak się okazuje.

Co on w sobie miał, że tak idiotycznie mnie wzięło?

Przez dwa dni jadłam suche pożywienie popijane wodą mineralną, a uczniom stawiałam szóstki, nawet gdy uważali Morsztyna za glon morski. Robiłam to z premedytacją. Żeby uniknąć przykrego wrażenia, że osobiste przejścia rzutują negatywnie na mój stosunek do świata. Bo tego zawsze nie cierpiałam u nauczycieli.

Kiedy telefonofobia mi zelżała, zadzwoniłam do Gośki.

Od razu rzuciłam się na głęboką wodę.

– Powiedz mi, Gośka, czy według ciebie można się zakochać telefonicznie? – zapytałam, siląc się na otchłanny spokój.

– Do, żebyś ty wiedziała, co ja przeżyłam! – wrzasnęła Gośka w odpowiedzi.

Wyglądało na to, że mój problem to małe miki w porównaniu z burzliwymi wodami, po których żeglujecie życie mojej przyjaciółki. Więc ustąpiłam. Co miałam począć? Wycofałam się z moimi kłopotami na boczny tor i zapytałam, co takiego przeżyła. Byłam pewna, że dokładnie tego pytania się po mnie spodziewa. Toteż odpowie na nie, choćbym zadała całkiem inne pytanie.

Tak też było.

– Wyobraź sobie, Do – kontynuowała, nie zwracając uwagi na moje słowa – że ten twój koleś wylazł mi na dach! Tam nad pokojem gościnnym, wiesz! Na tę największą stromiznę!

– Lutek? – spytałam odruchowo, ale natychmiast wrócił mi rozsądek, a z nim trzeźwa ocena sytuacji. – To znaczy, Waldek, tak?

– Obaj! – wypaliła Gośka. – Wyobraź sobie, że obaj!

Słuchawka wyleciała mi z ręki. Zanim ją pozbierałam i przyłożyłam do ucha, Gośka była już w połowie swojej opowieści. Akurat dostawała emocjonalnej zadyszki.

– Poczekaj! Powtórz jeszcze raz! – przystopowałam ją.

Złapała głośno oddech.

– No więc zadzwonił dwa razy, ale myślałam, że to żarty.

– Lutek?

– Jak to, Lutek? Waldek.

– Mówiłaś, że Lutek też.

Gośka prychnęła z irytacją. Widocznie psułam jej narracyjne napięcie.

– Do, chciałaś od początku, teraz nagle chcesz od końca. Zdecyduj się!

– Od początku – ustąpiłam. – Tylko na temat!

Uświadomiłam sobie, że tym tematem jest dla mnie przede wszystkim Lutek. Perypetie Waldka na Gośkowym dachu obchodzą mnie znacznie mniej. Byłam zła na siebie z tego powodu. Obaj powinni mnie obchodzić jednakowo. Czyli nic. Próbowałam zwalczyć w sobie na bieżąco niezdrowe zaciekawienie Lutkiem, ale skutek był taki, że znowu pogubiłam się w opowieści.

– Przepraszam cię, Gośka, zacznij jeszcze raz – poprosiłam.

Przerwała, zaskoczona, w pół słowa.

– Co się z tobą dzieje, Do? Baterie ci się kończą? Może przełożymy rozmowę na kiedy indziej, jeśli oczywiście zrozumiesz, o co mi chodzi, kiedy mówię, że przełożymy rozmowę na kiedy indziej?

Wzięłam się w garść.

– Bo za długo opowiadasz. Streść się. Do tej pory nie wiem, co się właściwie stało!

– Stało się to – wyjaśniła Gośka obrażonym tonem – że prosił, odmówiłam, popadł w gwałtowną depresję i wylazł na dach. Nie wiem, którędy wylazł. Zobaczyłam go dopiero na górze nad gościnnym. Pani Lidka mnie zawołała. Była przerażona. Waldek stał tam, chwiał się i pił prosto z butelki. Nawiasem mówiąc, bardzo wytwornie to wyglądało. High life. Zdaje mi się, że pił Johnny'ego Walkera, chociaż pewności nie... – przerwała, żeby wrzasnąć w głąb domu: – Pani Lidko, co on pił?

– To mnie nie obchodzi! – przywołałam ją do porządku. – Co potem?

– Wyrzucił pustą butelkę. Z kieszeni wyjął drugą. Mówię ci, Do! Jak zobaczyłam, ile ma jeszcze kieszeni w tej swojej wojskowej kamizeli!... Chwiał się, nogi mu się obsuwały po dachówce! Wiesz, high life, owszem, ale cholernie denerwujący!

Zabolała mnie ręka i zorientowałam się, że o mało nie zgniotę słuchawki. Kłykcie mi zbieły. Słuchałam Goški w takim napięciu, jakby informowała mnie o tykającej bombie, na której siedzę.

– Mówiłam, żebyś na niego uważała! Na Waldka! Nie mówiłam?

– Mówiłaś, że włazi na wieżowce! – wypomniała mi Goška. – A u mnie co za wieżowiec? Piętro i poddasze!

– Ale uprzedzałam, że to świr, nawet na małej wysokości! No dalej, zdradź wreszcie! Żyje? Nie zagaduj mnie teraz, tylko wydukaj w końcu, że nic sobie nie zrobił! Bo mnie wykończysz ty też!

Waldkowi nie mogło się stać nic złego, byłam tego pewna. Gdyby ktokolwiek spadł z dachu Goški, powiadomiłaby mnie o tym, nie czekając, aż sama do niej zadzwonię. Za duża atrakcja.

– No żyje! I co z tego, że żyje? – obruszyła się. – Nie chodzi o niego! To ja o mało nie umarłam! W moim poważnym stanie! Sto razy do ciebie dzwoniłam, Do! W ogóle nie odbierałaś!

– Miałam wyłączony telefon – przyznałam się z zażenowaniem. – Z powodów osobistych.

– A ja dzwoniłam z jakich? Zawodowych?

– Chryste! – jęknęłam z braku lepszego pomysłu.

Nerwowo ponagliłam Goškę, żeby nie przerywała. Nie mogłam sobie uzmysłwić, jakim cudem Lutek także znajdzie się w którymś momencie opowieści na tym zakichanym dachu. Przechodził obok i spontanicznie dołączył czy co? Z mojego powodu? Przecież to niemożliwe! Lutek nie odstawia takich durnych numerów!

– Krzyknął, że zejdzie, jeżeli tylko obiecami, że go kocham – podjęła Gośka.

– Lutek? – załamalam się.

– Waldek! Powiedziałam, że go kocham, a oddam mu się w przyszłości.

– Daj spokój! – przestraszyłam się znowu. – Serio mówiłaś?

– A skąd! W przyszłości mam w planach poród, a nie romans. Grałam na zwłokę. Bo wciąż nie złąził. Tak się zachowywał, jakbym miała się z nim kochać na dachu! Wyobrażasz to sobie? To już byłby high life na pograniczu kretynizmu! Nad gościnnym jest tak stromo, że wiesz!

– Mówiłam, że świr? – przypomniałam jej z satysfakcją. – Wyjęzycz się nareszcie, co odbiło Lutkowi, że tam wlaź.

– Lutkowi? – zdziwiła się Gośka. – Nic. Skoro nie odbierałaś, przedzwoniłam do Marioli.

– Po co?

– Jak to, po co? Bo to koleżanka Waldka.

– Mariola? – zdziwiłam się. – Aśka jest jego koleżanką, Mariola ledwie go zna.

Odnosiłam wrażenie, że gubię się w tych komplikacjach. Nie łapię zależności. Nie wiem, co z czego wynika i do czego dąży. Co gorsza, Gośkę dopadły chyba te same objawy, gdyż w słuchawce zapadła głucha cisza.

– Jasny gwint! – odezwała się po chwili wypłoszona. – Aśka, a nie Mariola? Jesteś pewna? No to miałam więcej szczęścia niż rozumu, Do, że mi się te twoje koleżanki dokumentnie popierwiastkowały! Gdybym zadzwoniła do Aśki, to ale by się narobiło! Ona jest postrzelona! A Mariola na szczęście przysłała mi Lutka!

Nadal niczego nie rozumiałam.

– Po co akurat jego?

– Też o to zapytałam. Powiedziała mi, że on jest nieśmiały, ale sprytny. Poradzi sobie!

No i dopiero tu okazało się zaczynała się prawdziwa opowieść Goški.

Legenda o Bohaterskim Lutku.

Który przybył na spienionym rumaku, ocalił zdesperowanego Waldka, a potem pili długo i szczęśliwie we trójkę z Bernim. Happy end!

– Lutek ma podejście! Jest po psychologii. Przez rok pracował w policji jako negocjator od tych samobójców na dachach i w oknach – uświadomiła mnie entuzjastycznie Goška.
– Wiedziałaś o tym, Do? Bo ja nie!

Była wprost zachwycona Lutkiem. Berni był zachwycony Lutkiem, Waldek, pani Lidka i chyba nawet Alf był zachwycony Lutkiem, jak wnioskowałam z podtekstów. W każdym razie tamtego dnia łącił się do niego z niezwykłą intensywnością.

Pani Lidka uważa, że trzeba postawić panu Ludomirowi dziękczynną kapliczkę tam, gdzie spadła z dachu wiadoma butelka, nie wiadomo po czym. Czekałam, aż Goška zapowie, że nazwie imieniem Lutka Rapuchowicza chodnik od domu do basenu.

Ale póki co nie doszło do tego, na szczęście. Zdradziła mi tylko, że Lutek już nie jest negocjatorem, ponieważ zmienił pracę.

– Żeby to raz! – wtrąciłam zgryźliwie.

...tylko nie wiem, z jakiego powodu zmienił – dokończyła ona i tu już się nie wtrącałam, żeby uniknąć kompromitacji. – Ale co tam, z takim talentem wszędzie się przyda! Nie ma strachu, że skończy na bezrobociu! Ty wierzysz w zapatrzenie, Do? Jak tak patrzyłam na Lutka na dachu, to moje własne dziecko może się urodzić trochę do niego podobne... Staroświeckie teorie, ale fajne, nie?

Uznałam, że dalsze zachwyty przekroczą moją wytrzymałość, toteż powiedziałam Goške, że muszę pilnie zadzwonić do mamy.

Odłożyłam słuchawkę z przekonaniem, że zachowuję się głupio. Nieracjonalnie. Niby dlaczego nie mogę spokojnie wy-

śłuchać relacji dotyczącej człowieka, który jest mi obojętny? A nawet go nie lubię. Nie może tak być, żebym gubiła się w moim życiu z powodu Bohaterskiego Lutka! Niedoczekanie!

Toteż naprawdę zadzwoniłam do mamy, jakby tak właśnie miało być.

– Cześć, mamó! – powiedziałam do słuchawki już wyluzowana.

– Cześć, Do! – odpowiedziała mama. – Masz pozdrowienia od pana Lutka.

Wyluzowanie minęło mi jak ręką odjął.

– Od kogo?

– Od Lutka Rapcuhowicza. Chyba go znasz?

– Znam! – syknęłam ze złością. – Natomiast nie wiem, skąd ty go znasz?

O, to była następna długa i przepiękna historia. Zaczęła się aż przed rokiem. Ojciec poznał w trakcie konsultacji neurologicznych przesympatycznego policyjnego psychologa. Zgadali się na temat wspólnych zainteresowań ogrodniczych...

– Nie wiedziałam, że tata ma zainteresowania ogrodnicze – wtrąciłam cierpko. – Jak dotąd wszystko mu usychało.

– Ma, wyobraź sobie! – oburzyła się mama. – Ja też mam, od dawna. Tylko ty jesteś w rodzinie ogrodniczym antytalentem! A ten miły chłopiec spotkał niedawno ojca i od ręki załatwił mu syberyjską szczebieluchę, której nie mogliśmy dostać. Ojciec właśnie ją sadi. Już tej zimy będzie przepięknie kwitła.

– Co to znowu za szczebielucha? – zapytałam, żeby mama nie powzięła podejrzeń, że bardziej niż ogrodowe sadzonki interesuje mnie psycholog ofiarodawca.

– Taka jakaś syberyjska roślina – wyjaśniła mi z typowym znawstwem kogoś, kto ma ogrodnicze zainteresowania. – O ile nie przekreśliłam nazwy. Sama zobaczysz za parę miesięcy. No i wiesz, Do, zgodali się przypadkiem, że jesteś naszą córką. A ten młodzieniec cię zna, bo podobno jego młodszy brat...

– Przepraszam cię, mamo – przerwałam jej brutalnie. – Przypomniało mi się, że muszę pilnie zatelefonować do Goški.

Z hukiem odłożyłam słuchawkę, choć nie powiem, żeby mi to przyniosło ulgę.

A następnego dnia w szkole dopadła mnie na przerwie Miranda.

– Już wiem, skąd znam tego pani faceta! Tego z Piekiełka! Czemu mi pani nie podpowiedziała? Dwa razy byłam na ich koncercie! W życiu nie słyszałam takiego jazzowego saksofonisty! Nie licząc Joe'go Lovano! A pani? Wymiatają! Są lepsi niż zawodowcy! Kiedy grają *Somebody Loves Me*, mam normalnie dreszcze! A pani?

Zmierzyłam ją spojrzeniem, po którym powinna mieć znacznie większe dreszcze.

– Weź lepiej książkę do polskiego, Mirando! – zaproponowałam dobitnie. – Za godzinę będę cię jeszcze raz pytała z interpretacji *Balladyny*. Na ocenę. A także przypomnij sobie koncert Jankiela z *Pana Tadeusza*. Nie masz jeszcze stopnia z recytacji.

Zostawiłam ją na korytarzu zeszywniałą jak fioletowa miotła.

Usiadłam w pokoju nauczycielskim, żeby ochłonać. Jedyne konus z saksofonem jazzowym, jakiego dotychczas znałam, to Woody Allen, ale nigdy nie sądziłam, że będę z nim blisko. Po co mi to? Zresztą u niego to chyba w ogóle klarnet? Saksofon to u Clintona. Jeszcze gorzej! Najgorsze, że niczego nie mogłam uniknąć, bo nic nie zrobiłam. Nie kiwnęłam palcem. To wszystko dzieje się poza mną. Jak kataklizm, na który nie ma się wpływu. Życiowa trąba powietrzna. Powietrzny saksofon jazzowy, który próbuje mnie porwać, choć trzymam się rękami i nogami.

Dosiadła się do mnie Sylwia jedząca kanapkę. Na jej nosie wisiała grudka masła. Nie mogłam na to patrzeć! Wstrętne!

– Co u twojego lubego? – zapytała z pełnymi ustami.

Nie podejrzewałam jej, że pyta złośliwie. Była na to za głupia. Ale co za różnica? Skoro prawdopodobnie i tak za-

morduję kogoś w najbliższych godzinach, czemu to nie może być Sylwia?

– Po pierwsze, to nie jest żaden mój luby! Sto razy ci powtarzałam! – wygarnęłam jej. – Po drugie, nie widuję się z nim, więc nie mogę wiedzieć, co u niego! Po trzecie, twoje obrzydliwe wścibstwo...

– Tak czułam. W ogóle do siebie nie pasowaliście! – wpadła mi w słowo Sylwia, żując i mlaskając.

Przerwałam zbita z tropu.

Poczułam w tym momencie niepoohamowaną sympatię do nauczycielek biologii na całym świecie. To była pierwsza mądra rzecz, jaką usłyszałam w tej szkole, odkąd zaczęłam tu pracować. Aż wytarłam Sylwii masło z nosa moją własną chusteczką.

Święta prawda! Od początku nie było się nad czym zastanawiać. Dopiero Sylwia musiała mi otworzyć oczy. Nigdy byśmy się nie dopasowali z Lutkiem. Jasne, że nigdy! Żebym robiła nie wiem co! Każdy głupi to widzi!

Nie pasujemy do siebie!

Nawet pomyślałam, że powinnam zaprzyjaźnić się z Sylwią. Na obecnym etapie mojego życia nikt nie rozumie mnie lepiej niż ona.

Może ją zaproszę do siebie? Tak tam teraz pusto.

W trakcie moich życzliwych przemyśleń na jej temat Sylwia kontynuowała, że dzięki wspólnej pracy poznaje się człowieka od podszewki. Ona już najlepiej wie, do jakich mężczyzn ja pasuję, a do jakich nie, ku jakim żywiej zabije moje stęsknione serce. Mało tego, ona ma jednego takiego na podorędziu. W sam raz dla mnie. Przyjaciel jej męża. Samotny, chemik, doskonale sytuowany. Kończy budowę domu, więc nie ma czasu na samodzielne staranie się o damę serca do tego domu.

– W przyszłym tygodniu będzie u nas na kolacji. Może byś wpadła? – zakończyła obiecująco Sylwia.

Przy całej otchłannej mądrości, jaką w niej dzisiaj odkryłam, pozostawała jednak troszeczkę tą samą idiotką, którą

była poprzednio. Ręce mi opadły. Ja, dama serca, do domu w budowie, też coś! Owszem, ludziom zdarza się urządzać swatane kolacje, ale tak otwarte stawianie spraw uznałam za przesadę.

Chyba Sylwia nie sądziła, że sama nie potrafię postarać się o faceta?

Zapewniłam, że nie wpadnę, na pewno nie – i poszłam na lekcję.

Po drodze wydało mi się, że na drugim piętrze gra saksofon jazzowy. Choć pokój nauczycielski jest na pierwszym, a lekcję miałam na parterze, poszłam przez drugie piętro. Z czystej ciekawości.

Uczniowie czekający na wychowanie muzyczne grali przed klasą na cymbałkach. Po raz pierwszy w życiu pomyliłam cymbałki z saksofonem. Nawet nie przypuszczałam, że to się da pomylić! Było ze mną coraz gorzej!

Kiedy po zajęciach wezwała mnie do siebie dyrektorka, przypominałam sobie, że mam jeszcze przecież wylecieć ze szkoły. Może zawczasu powinnam wyuczyć się fachu cymbalisty i postarać się o angaż do cygańskiej kapeli wędrowniej? Będzie jak znalazł!

Ze swoim wężowym uśmiechem dyrektorka wyglądała jak w kreskówce dla dzieci, bo w naturze węże się nie uśmiechają.

O dziwo, zaproponowała mi kawę.

– Dziękuję, nie mam na to czasu! – odmówiłam oschle.

Skoro ma mnie wyrzucić, to już, proszę. Tego wprawdzie nie dopowiedziałam, ale zrobiłam taką minę, żeby było jasne.

– Wiem, że pani jest zapracowana, Dominiko – przytaknęła. – Słyszałam o uczniowskim kabarecie „Dziady Drezdeńskie” i gorąco popieram inicjatywę. Mamy na to fundusze. Na próby przydzielę uczniom salę w dogodnych dla pani godzinach.

Mówiła tak, jakby zamierzała mnie tu nadal zatrudniać. Osobliwe.

– Mam przy okazji serdeczną prośbę – kontynuowała. – O przyjęcie mojej córki do „Dziadów”. Zdaję sobie sprawę

z różnicy wieku, ale ostatnia klasa podstawówki a druga gimnazjalna to nie tak wiele. Jest bardzo dojrzała. A przyda się jej otrząskanie aktorskie. Jak pani wie, ma szansę zagrania w profesjonalnym musicalu o *Westerplatte*. Coś w stylu tego amerykańskiego o Pearl Harbor. Już zapisałam ją na śpiew i na taniec, i na strzelnicę.

O la la! Nic lepszego nie mogło mi się przytrafić. Kto prosi, nie wyrzuca!

– Nie wiedziałam, że pani córka ma tyle talentów! – powinszowałam.

– Nie zgadało się? A to pan Waldek będzie produkował *Westerplatte* za pieniądze pana Berniego. Obaj są pani dobrymi znajomymi, o ile wiem.

Oszło mi ją jej dogłębna wiedza na mój temat. Na dobrą sprawę większa od mojej, bo o musicalu *Westerplatte* usłyszałam po raz pierwszy.

– Nie zwierzają mi się ze swoich zawodowych planów – wyjaśniłam.

– Och, ja wiem! – roześmiała się uroczo dyrektorka. – Nie ich miałam na myśli. Sądziłam, że Lutek pani powiedział. Brat naszego Rapcuchowicza. To on zaprotegował córkę! Cóż za uroczy mężczyzna, doprawdy! Mam nadzieję, że spotkamy się wspólnie na jesiennym barbecue w moim ogrodzie? Pani jest dobrym duszkiem naszego wspaniałego Lutka, Dominiko! Niech pani nie zaprzecza! Ja to widzę po jego oczach!

Miłosne złudzenia mężczyzn

Przed domem spotkałam pana Zenobiusza. Wyprowadzał jamnika na spacer i koniecznie chciał ze mną poplotkować po sąsiedzku. Wystraszyłam się, że on również odsłoni mi fascynujący fragment żywota Lutka Wszędobyłskiego. Na szczęście zwierzył mi się tylko, że na obiad żona przygotowała mu

racuchy. Oboje uwielbiają racuchy, ponieważ kojarzą im się z pewnym uroczym zachodem słońca w stogu siana nad Brdą. Och, jak wiele lat temu.

Racuchy a Rapcuchowicz – to może nieodległe brzmienie, ale znaczeniowo zdecydowanie tak, toteż pogawędka z panem Zenobiuszem mnie odprężyła.

Ale kiedy w domu przygotowałam sobie na obiad jajka po wiedeńsku, które z niczym mi się nie kojarzyły, choć jadłam takie i na wczasach we Francji, i na spływie kajakowym w liceum, i w pewną przesympatyczną zimową zamieć w górskim schronisku – pomyślałam z rozżaleniem, że moje życie jest puste w porównaniu z życiem pana Zenobiusza i jego żony. Nie mówiąc o reszcie sąsiadów, zwłaszcza tych, co piją z gwinta, kradną radia samochodowe i wdychają aromat życia pełną piersią.

Skoro tak, dlaczego usuwam ze swojego życia wszystko, co może nadać mu smak, aromat, pełnię? W ten sposób zawsze będę czuła się gorsza od tych, którzy żyją bez dzielenia włosa na czworo.

Nikt nie każe mi wychodzić za mąż za Lutka. Nikt nie każe mi kochać się w Lutku. Ale dlaczego nie miałabym się z nim kolegować? To facet na swój sposób fascynujący. Długo trwało, nim to dostrzegłam, ale skoro już dostrzegłam, po co udawać, że nie widzę? Co by mi szkodziło pogwarzyć z nim od czasu do czasu o gwiazdach i rozgwiazdach? Wypić kawę po irlandzku. Czym to mi grozi? Potrafiłam utrzymać na dystans znacznie ryzykowniejsze znajomości.

Niepotrzebnie potraktowałam rzecz aż tak dramatycznie. Weźmie mnie za jakąś histeryczkę. Po co mi taka zaszargana opinia? Choćby tylko u Lutka.

Naturalnie pozostawał problem, jak to teraz odkręcić.

Jeżeli zatelefonuję do niego, zacznę sobie wyobrażać Bóg wie co. Tego bym nie chciała. Poza tym poczucie własnej wartości nie pozwalało mi, żebym odezwała się pierwsza. Nie po to potraktowałam go prosto z mostu, żeby wycofywać się jak niepyszna. Facet nie powinien się zorientować, że jest górą. To typowy damski błąd.

Z tym że gestu z jego strony mogę się nie doczekać. Mężczyźni mają tendencję do zamykania się jak ślimak w skorupie ze swoimi urojonymi krzywdami! A nawet z neurojonymi, wszystko im jedno. Są jacyś połamani pod względem psychologii.

Trzeba dyplomatycznie.

Do wieczora nie wymyśliłam nic dyplomatycznego, ale zasnęłam spokojniejsza niż ostatnimi czasy. Ukoila mnie sama świadomość, że staram się, jak mogę. Nazajutrz też nic nie wymyśliłam i też zasnęłam spokojniejsza.

Trzeciego dnia znowu nic nie wymyśliłam, ale już nie mogłam zasnąć.

Czwartego dnia pokłóciłam się z mamą, z Goską, z ekspedientką w rybnym, z kierowcą w autobusie. Nic nie wymyśliłam i do tego straciłam ochotę na wymyślanie.

Nad ranem obudziłam się pod wpływem odkrywczej myśli, że przecież mogę spotkać się z Lutkiem łatwiej niż z kimkolwiek innym. Czystym przypadkiem. To znaczy – nieczystym, ale wyglądającym na krystalicznie czysty. Wystarczy jeden telefon.

Więc zaraz na pierwszej przerwie zadzwoniłam do Marioli.

Zapytałam ją o sto rzeczy, a między innymi o to, co z moim odczytem. Jestem gotowa, natomiast RUMM się nie odzywa. Mogłabym wystąpić już w tę niedzielę, jeśli klub zdoła powiadomić na czas swoich członków.

– Wszystkich! – podkreśliłam. – Nie chcę, żeby ktokolwiek miał pretensje, że nie wiedział.

Mariola nie stwarzała problemów. Miała wobec mnie dług wdzięczności za domniemane odwrócenie uwagi Lutka w tamten feralny dzień. Obiecała, że zawiadomi, zatelefonuje, wywiesi anons. Mam się o nic nie martwić.

Toteż po powrocie do domu zasiadłam do klecenia tego nieszczęsnego odczytu.

Na początek wyjęłam z półek większość książek. Po godzinie ich wertowania zorientowałam się, że łatwiej mi wyszukać potrzebny tom, gdy stoją na swoim miejscu. Ustawiłam je

zatem z powrotem. I wywietrzyłam stryszek, bo w powietrzu unosił się papierowy pył.

Nie szło mi. Mimo że mózg mi się odpylił i dotlenił.

Obejrzałam telewizję meteo, zjadłam kolację, wypiłam kawę, zanim nieoczekiwanie, w nagłym natchnieniu, wymyśliłam tytuł odczytu. „O miłości”. Zachwycałam się nim dobry kwadrans, ale po kwadransie wydał mi się zbyt oczywisty. Zero inwencji. Każdy sam by wpadł na taki tytuł. Chyba za mocno się przykładałam do swojego zadania. Kiedy człowiek za mocno się przykłada – nic nie wychodzi.

W efekcie uznałam, że opracuję tylko plan i w klubie będę improwizowała.

Żywo, spontanicznie, ciekawie. Bez silenia się.

To była trafna decyzja. Od razu wymyśliłam znacznie lepszy tytuł: „Miłosne złudzenia mężczyzn”.

Tym załatwię Lutka na cacy!

Don Kichot widział księżniczkę w wieśniacze. Wokulski w zimnej Izabeli Łęckiej – wulkan uczuć. Profesor Higgins w kwiaciarce – dystygowaną damę. Pan Tadeusz w podstarzałej Telimienie – podlotka.

Jasno i na przykładach! To mężczyźni nie potrafią ujrzeć świata takim, jakim jest. To oni grzęzną we własnych mrzonkach. Jest dzikim absurdem wmawianie mi, że nie odróżniam rzeczywistości od byle widzimi się!

Oczami wyobraźni ujrzałam Lutka na moim odczycie. Siedział w pierwszym rzędzie. Miękł jak wosk pod wpływem moich argumentów. A ja z mównicy RUMM-u punktowałam go intelektualnie cios za ciosem. Byłam piękna i nieodparta. Jak Mata Hari!

Zerwał się huragan braw. Widzowie wstawali z miejsc, pod moje stopy rzucano kwiaty. Grzęzłam w nich po kolana. Upajający zapach spowijał mnie jak welon. Bukiety leżały przede mną, jak okiem sięgnąć. Po horyzont. Nie miałam pojęcia, skąd Mariola wytrzasnęła taką gigantyczną salę na mój odczyt?

Tylko Lutek siedział bez ruchu, gdy nad jego głową szalał tłum. Aż dumny ze mnie zerwał się na nogi. „Ona ma rację! –

zakrzyknął z uczuciem. – Nie doceniałem jej w głębokiej nędzy mojej męskiej ignorancji!”.

O, jak pięknie!

Ponieważ drugorzędne sprawy miałam już obmyślane na tip-top, łącznie z aplauzem, zabrałam się za to, co najważniejsze na odczycie. Strój, makijaż, perfumy.

Nad tym kombinowałam już sumiennie do niedzieli, a pół godziny przed wyjściem wciąż jeszcze byłam w powijakach.

Kiedy zamówiona taksówka już po mnie jechała, zdecydowałam się w desperacji na czerwoną spódnicę do pół łydki, wielkie srebrne kolczyki i czarną bluzkę w łódeczkę, która bardzo zmysłowo podkreśla moją karnację. Wyglądałam w niej niczym popiersie Nefretete. Do tego makijaż w stylu bizneswoman i zapach typu „konferencja u Diora”.

Zbiegłam do taksówki na złamanie karku. Z ulicy wróciłam jeszcze po plan odczytu, bo zapomniałam o nim.

Mariola znów czekała na mnie przy fontannie z delfinami. Wprowadziła mnie na piętro z rewerencją, jakbym miała co najmniej czytać fragmenty Harry’ego Pottera. Ale nie sprawiło mi to spodziewanej satysfakcji, ponieważ po drodze nie natknęliśmy się na Lutka. Na razie para szła w gwizdek.

Nie zanosilo się na oszałamiającą frekwencję. Na korytarzu zauważyłam mniej więcej dziesięć oczekujących osób. Kiedy ktoś wychodził do toalety, robiło się przygnębiająco pusto. Był Gustaw. Bez Kena. Aleks – który kiedyś częstował mnie piwem – teraz tulił się do puszystej Renaty, też tu wcześniej przeze mnie poznanej. Wtedy się nie czulili. Widocznie i miejscowe układy miłosne uległy metamorfozie.

Lutka wciąż nie dostrzegałam.

– Są wszyscy? – upewniłam się u Marioli.

– Co do jednego! – potwierdziła. – Sprawdziłam obecność. Jest nawet paru więcej, gdyż przybyli nam nowi członkowie wolontariusze.

– To zaczynajmy! – popędziłam ją niecierpliwie.

Patrzyłam zza drzwi, jak widzowie zasiadają w czterech krótkich rzędach krzeseł i nie są w stanie ich zapełnić. Więc

najpierw musiałam zrezygnować z czarownej wizji zasłuchanego tłumu, który po odczycie zasypie mnie kwiatami. Potem okazało się, że brak też mównicy. Na koniec Mariola dała mi znak, żebym zaczynała – a Lutka jak nie było, tak nie było.

– Nie ma pośpiechu. Poczekam, aż się zbiorą – szepnęłam do niej.

– Zdaję sobie sprawę, Do, że audytorium nie jest najliczniejsze, ale to początkujący klub – odpowiedziała przeproszającym tonem. – Na pewno nawet w klasie masz więcej słuchaczy, ja to rozumiem. Nie ulega wątpliwości, że twoje miłosne przemyślenia przydałyby się w życiu każdemu człowiekowi. Jednak tutaj już nikt więcej nie przyjdzie, bardzo żałuję.

Zbladłam z emocji pod rasowym makijażem bizneswoman. Jak to: nikt więcej nie przyjdzie, skoro połowy nie ma? Mieli być wszyscy!

– Połowy nie ma? – powtórzyła z niedowierzaniem Mariola.

– Na przykład nie widzę... no choćby... Lutka! – sprecyzowałam od niechcienia.

– No tak! Masz rację! Ale tylko Lutka! – uspokoiła mnie Mariola. – On się wypisał z klubu, więc już się nie liczy. Poza nim wszyscy inni są. Do każdego osobiście telefonowałam, daję ci słowo.

No to ekstra! Trzeba mieć mojego pecha! Parę dni wyteżonych przygotowań na marne. Mogłam swobodnie przyjść na ten odczyt w dresie!

Nienawidziłam Lutka. Specjalnie wypisał się akurat teraz, dałabym głowę! Żeby się ze mną nie spotkać! To wyjątkowo durny pomysł, żebym się z nim kolegowała. Nie zasługuje na to ani odrobinę!

Chciałam od razu wymaszerować, trzasnąwszy drzwiami.

Ponieważ jednak Mariola stała na mojej drodze ze słodziutkim uśmiechem, uświadomiłam sobie, że mam tu jeszcze ten durny odczyt do odbębnienia.

Potrzebny jak dziura w moście zarówno mnie, jak i szanownym zebrany!

Mimo to oczekiwali go malowniczo pousadzani na skrzyżujących krzesłach. Pałali żądzą wiedzy, a uśmiechali się do mnie słodziej niż Mariola.

Zmiałam kartkę z konspektem odczytu. Wrzuciłam ją do kosza, stanęłam przed frontem pustawych rzędów i własnymi słowami wygarnęłam szanownym zebranym, co myślę.

Niech pielęgnują swoje miłosne mrzonki i nikomu nie dadzą ich sobie odebrać. Żadnemu samozwańczemu klubowi, żadnemu osobnikowi zaprzatającemu ich myśli. Niech walczą o nie jak lwy. Postronnych obserwatorów to wkurza, ale niech ich wkurza, proszę bardzo. To jest nasza jedyna szansa na życiowe spełnienie, ponieważ kiedy odrzucimy mrzonki, co nam pozostanie? Rzeczywistość! Czyli coś, co jest karłowate, wymądrzające się i pojące nas hektolitrami kawy po irlandzku, aż nasze serca zaczynają pikać w zwariowanym rytmie.

Rzeczywistość to nasz główny wróg. Nigdy nie wiemy, co nam wywinie. A stać ją na wszystko, nie ma co się łudzić. Jest bezlitosna. Mówi nam piękne słówka, roztacza przed nami piękne widoki, a za naszymi plecami może nas w tej chwili zdradzać z inną rzeczywistością. Na zimno, bez złudzeń. Tylko dlatego, że tamta rzeczywistość ma dłuższe nogi i większe piersi.

Nie dajmy się zwariować. Miłosne mrzonki mogą przeskadzać tylko komuś, kto nie ma serca, więc może litrami zapijać się kawą po irlandzku. Bez mrzonek przeżyją tylko zwyrodnialcy!

– Szanowni państwo – wyjaśniłam na koniec – nie będę dłużej zabierać waszego czasu. Ten odczyt właściwie mnie nie interesuje. Odbyłam go już raz w moich mrzonkach i szczerze mówiąc, wypadł tam znacznie wspanialej. Dziękuję za uwagę.

Wypiłam duszkiem szklanekę wody mineralnej, którą wcześniej Mariola postawiła dla mnie na stole, i ukloniłam się dumnie.

Istotnie z początku zapadła cisza, jak przewidywałam. Ale potem nie runęła burza oklasków. Ot, zdawkowo poklapano

w dłonie. Mariola zapytała mnie, czy to już koniec. Kiedy dowiedziała się, że tak, podziękowała mi za interesujące uwagi o literaturze miłosnej. Zdaje się, że wcale nie słuchała, mimo że przez cały czas siedziała z boku. Widocznie w trakcie mojego odczytu oddawała się miłosnym mrzonkom na temat nieobecnego Jarka.

Zaprosiła zebranych do dyskusji po moim inspirującym odczycie.

Ktoś od razu wstał i zagaił, że on osobiście uważa miłość za piękne uczucie.

Najwyraźniej on też mnie nie słuchał.

Tego już było mi za wiele. Nie zamierzałam być inspirująca dzięki beznadziejnemu wykoślawianiu moich przemyśleń! Oświadczyłam porywczo, że nie ma nad czym dyskutować! Jak dla mnie sprawa jest oczywista i do widzenia państwu!

Wysłałam stamtąd z poczuciem ulgi. Świat mnie nie potrzebował – i wzajemnie!

Już po drodze do domu uprzytomniłam sobie, że Lutek nie mógł wypisać się z klubu z powodu mojego odczytu, skoro o nim nie wiedział. Może wcale mnie w tej chwili nie zdradza z inną rzeczywistością o dłuższych nogach i większych piersiach? Kto go wie, zwyrodnialca? Po takim można się spodziewać nawet uczciwości!

Mogłabym dla sprawdzenia zadzwonić do niego w formie żartobliwej.

Spytam: „Czy reflektuje pan na zniżkową rzeczywistość?”. A kiedy go zatka, roześmieję mu się w nos. On też się roześmieje i z tego prawdopodobnie rozwinię się jakaś sympatyczna rozmowa.

Uradowana, już znalazłam stare numery domowe moich uczniów, w tym pod R – Rapcuhowicza Maksa, kiedy nagle dotarło do mnie, że głupszego dowcipu nie wymyśliłam od przedszkola. Przecież to bez sensu! Jaka zniżkowa rzeczywistość? Co to takiego? O co mi chodzi? Jeżeli tak powiem, Lutek zaproponuje mi zniżkowe leczenie psychiatryczne.

Czym prędzej porzuciłam swój paranoiczny plan.

Powinłam zwolnić tempo, bo inaczej kiedyś w końcu nie otrzeźwieję w porę i zrobię coś, co będzie nieodwracalnym idiotyzmem.

Po prostu powinłam zadzwonić i powiedzieć mu: „Ach, przepraszam cię, myślałam, że to numer Marioli! Przez pomyłkę mam go w notesie pod R jak RUMM. Może ty mi podasz numer Marioli, Lutku?”. O, i to z tego się rozwinie jakaś sympatyczna rozmowa.

Pół godziny biłam się z myślami, ale zadzwoniłam.

U Rapcuchowiczów powiedziano mi, że Lutek już u nich nie mieszka. Ma własne mieszkanie. Dali mi jego domowy numer, mimo że przezornie się nie przedstawiłam. Dali bez pytania. Oni od początku na wywiadówkach wydawali mi się przesympatyczni.

Znów odczekałam jałowe pół godziny w niewiadomym celu. Podlałam kwiaty, włączyłam telewizor, wysłałam SMS-ową strzałkę do Gośki, wyłączyłam telewizor, zrobiłam spis zakupów na jutro, poprawiłam usta, jeszcze raz podlałam kwiaty, bo się zapomniałam.

I w rezultacie jednak zadzwoniłam.

Odebrała jakaś dziewczyna. To mnie spięło już na starcie. Ale najgorsze dopiero nadchodziło.

– Luteczka nie ma, przykro mi! – powiedziała czule. – Powiedz, co mu od ciebie wyszeptać do uszka, kiedy wróci.

Jej kretyńska poufałość dokumentnie zbiła mnie z tropu.

– Jeżeli jesteś taka miła... Nic szczególnie ważnego... – zaczęłam, ale nagle dotarło do mnie, że to nonsens.

Przecież nie każę jej szeptać mu do ucha tego, co sama miałam zamiar wyszeptać. To znaczy, powiedzieć.

W tej samej chwili ktoś wziął od niej słuchawkę.

– Tak, słucham? – odezwał się Lutek.

Głos miał jakiś zadyszany. Jakby biegł po schodach! Każdemu to by dało do myślenia w tej kryminogennej sytuacji. Co dopiero mnie. Dlaczego tamta baba nie chciała go najpierw dać do telefonu? Dlaczego dyszał? Co tam razem robili w tej poufałej atmosferze?

Dziesięcioletnie dziecko nie miałoby wątpliwości.

Bez słowa odłożyłam słuchawkę.

Więc jednak Lutek zdecydował się na rzeczywistość ze zniżką. No cóż... Mój zamierzony żart telefoniczny wcale nie byłby taki głupi, jak się okazuje. Ja wycofałam się z miłosnego biznesu, więc wziął to, co było w promocji. Nie opłaca się wychodzić z pustymi rękami. Nie honor! Wykrakałam sobie jak Kasandra. Zresztą co za problem wykrakać sobie dowolne paskudztwo, kiedy ma się do czynienia z facetem?

Zrobiło mi się niewypowiedzianie smutno.

Czyżby z powodu jakiegoś obcego mi Lutka? Lutka, na którym mi nie zależy? Lutka, któremu jestem wręcz niechętna?

O nie, tego na pewno nie chcę! Żadnego smutku! Nie życzę sobie! Powinnam się bronić, póki mam szansę. Precz z rzeczywistością!

Na dworze zdążyło się już ściemnić. Siedziałam zadumana w półmroku przez następne pół godziny, zanim wreszcie zapaliłam lampkę.

Wystukałam numer.

– Hej, Sylwia! – powiedziałam. – Czy to zaproszenie na kolację jest jeszcze aktualne?

Noc miłości

Nie wiem, czego się spodziewałam po kolacji w gronie obojętnych mi osób. Niewykluczone, że wszystkiego. Nie spodziewałam się może jednej jedynej rzeczy.

Tej mianowicie, że chemik Sylwii oczaruje mnie od progu.

Miał na imię Janusz. Był o cztery lata starszy ode mnie. Nie, że bym to rozpoznała, tylko wiedziałam od Sylwii. Wysoki, szczupły, ciut ekstrawagancki. Ale w jak najlepszym guście. Szopa rudych włosów, zgrabne ruchy, namiętne usta. I mucha w grochy pod szyją. Wychodziło z tego nieoczekiwa-

nie seksowne połączenie. Uznałam, że jeżeli Bruce Witalis istotnie urodzi się rudy i Gośka od małego przyuczy go do noszenia muchy w grochy, będzie miał murowane powodzenie u kobiet.

Świat u stóp!

Miałam wyjątkowe szczęście, że trafiłam na samotny okres w życiu Janusza. Nie sądzę, żeby takie zdarzały mu się często.

Przy stole zajmował się tylko mną, co wydawało mi się uczciwe z jego strony. W końcu po to oboje tu przyszliśmy, żeby zajmować się sobą. Nie zniechęciło go nawet, że ta mała Sylwia przedstawiła mnie jako nauczycielkę cenioną przez kierownictwo, lubianą przez młodzież i mającą na swoim koncie wiele sukcesów dydaktycznych. Jak na zebraniu emerytowanych pedagogów. Tylko czekałam, kiedy przypnie mi medal za zasługi dla miejscowej oświaty. Dla niej jestem wyłącznie spotykaną w szkole na przerwach nauczycielką, więc przy swojej skromnej inteligencji nie potrafiła wymyślić niczego bardziej ekscytującego dla faceta niż mój zawodowy życiorys.

Na szczęście Janusz nie zwrócił uwagi na jej insynuacje. Stwierdził po dżentelmeńsku, że słyszał o mnie wiele dobrego, ale mój urok przewyższa jego oczekiwania.

Wyglądało na to, że oboje jesteśmy sobą pozytywnie zaskoczeni.

Janusz posiadał cechę, która zanikła u facetów w toku ewolucji. Wstawał od stołu. Robił to, kiedy kobieta wchodziła do pokoju lub podnosiła się z krzesła, wstał nawet, gdy wychodziłam do toalety. Po raz pierwszy czułam się przy stole jak dama, choć w zasadzie prawdziwe damy nie korzystają z toalety pod żadnym pozorem.

W samej toalecie popadłam w związek z tym w zachowania schizofreniczne. Mianowicie chciałam wyjść jak najszybciej, żeby nie uronić ani sekundy z tego upojnego spotkania, a z drugiej strony nie mogłam się oderwać od lustra. Aha, jeszcze przyczesać się, aha, szminkę poprawić, aha, czy bluz-

ka dobrze leży, brwi jak wyglądają i czy uszy mi się nie przesunęły, i czy piersi mają nadal kształt piersi, i to, i tamto... Koszmar!

Ale w ogóle cudownie, mówię wam, po prostu cudownie!

Nie spodziewałam się, zwłaszcza po ostatnich przejściach, że życie potrafi jeszcze odsłonić przed mną swoje sympatyczne strony. Tak ot, bez uprzedzenia, cichcem, jakby chciało mnie przekonać, że takie właśnie jest. Godne zachodu!

Sylwia nie wysiliła się z kolacją. Wiodącym daniem okazały się serowe koreczki.

Za to jej mąż postawił niezłe wino, którym wypiliśmy z Januszem bruderszaft.

Był kierownikiem laboratorium w miejskiej oczyszczalni ścieków. Wyobrażam sobie, jakimi atrakcjami zabawiałby nas przy stole Jarek na jego miejscu. A Janusz nic podobnego! Nie zgadlibyście, o czym opowiadał! O Indiach, z których wrócił po wakacjach. A na dodatek jak opowiadał! Jakbym tam była i widziała wszystko na własne oczy. Półnagich derwiszy stojących na jednej nodze, gromady małp skaczących po gzymsach świątyń, riksze na zatłoczonych ulicach, posągi wieloramiennych bogów w zaułkach slumsów. Gośka też była w Indiach trzy lata temu, ale od niej dowiedziałam się tylko, jaka jest różnica pomiędzy hotelami w Kalkucie a hotelami w Nowym Jorku. W zasadzie nie ma różnicy, tylko trzeba wziąć markowy hotel.

– Podobno tam na ulicach okropnie zawadzają święte krowy? – zapytała erudycyjnie Sylwia. – Słyszałam, że one robią kupy, tak?

Zrobiło mi się wstyd przed Januszem, że pracuję z Sylwią w tej samej szkole i spotykamy się na tych samych przerwach. Ale jego nie peszyły jej pytania. Wyjaśnił rzeczowo, że w każdym kraju miejscowa menażeria utrudnia życie – w Indiach krowy na ulicach, w Polsce barany w Sejmie.

Roześmiałam się z ulgą. Z Januszem nie czułabym się zażenowana w żadnej sytuacji, skoro nawet głupotę Sylwii spacyfikował.

Wyszliśmy z kolacji jak najszybciej, przed dziesiątą. Nie dlatego, żebyśmy mieli siebie dość, tylko resztę wieczoru postanowiliśmy spędzić w lepszym towarzystwie. Swoim własnym.

Janusz miał mały przytulny samochodzik, którym zawiózł mnie na budowę swojego domu. Chciał mi go pokazać, a nawet poradzić się w czymś. Nigdy dotąd nie byłam na budowie w nocy, toteż nie zdawałam sobie sprawy, że to takie romantyczne.

Wprawdzie na początku wdepnęłam w przewróconą taczkę, ale potem było już tylko i wyłącznie pięknie.

Trzymając mnie za rękę, żebym nie wdepnęła w nic więcej, Janusz oprowadził mnie po przyszłym ogrodzie i po budynku w stanie surowym, łącznie z piwniczką na wino. Wskazał newralgiczne punkty konstrukcji. Był widocznie przygotowany do naszej nocnej eskapady, bo zaopatrzył się zawczasu w latarkę. Dzięki niej mogłam zobaczyć w ciemnościach przynajmniej część z tego, co mi pokazywał.

Ale najwięcej opowiadał.

W półkolistej ścianie dzielącej kuchnię od holu będzie trójdzielny witraż. Kamienne płytki do łazienki sprowadził z Hiszpanii. Na piętrze sam prysznic kosztował go siedem tysięcy i na dodatek nikt z tutejszych fachowców nie umie go zamontować, bo w życiu takiego nie widzieli. Wyglądało, że będziemy tu mieli pałac z bajki. W tym sensie, naturalnie, że Janusz będzie go tu miał.

Dom był jeszcze odległy od zaplanowanego ideału, choć osiągnął już stan zaawansowany. Stał pod dachem, miał wstawione okna, tyle że nieotynkowany. Oszalowany taras przygotowano dopiero do wylania betonu, nie podłączono jeszcze światła, nie było ogrodzenia. No i pusto we wnętrzu.

Aczkolwiek nie do końca.

Janusz wprowadził mnie na pięterko i okazało się, że w jednym z pomieszczeń można usiąść na materacu, zapalić gołą żarówkę, a nawet zagotować grzałką herbatę, bo w łazience leciała już woda. Choć nie z tego prysznicza za siedem

tysięcy, tylko z tymczasowego, prychającego i plującego. A na wprost materaca stał mały liryczny telewizorek, odbierający cztery programy, w tym trzy bez dźwięku. Janusz nocował tu od czasu do czasu.

Nie dziwię mu się, mimo wszystko było tu naprawdę rozkosznie.

No i tak wyszło, że nasz wieczór zapoznawczy przekształcił się w miłosną noc na tym jedynym w domu materacu z kocem w kratę zamiast pościeli.

Na to Janusz był także przygotowany, a mnie, psychologicznie rzecz biorąc, było to wręcz niezbędne. Los wiedział, co robi. Ze świecą w rękę nie znalazłabym w moim obecnym życiu drugiego takiego mężczyzny jak Janusz. Przystojniaka słusznego wzrostu. Dżentelmena wstającego od stołu. Światowca bywałego w Indiach. Chemika dyskretnego w swoich nudnych sprawach zawodowych. Rzeczywistość potrafi nas zaskakiwać. Jeszcze dziś rano nie uwierzyłabym, że życiową przystań znajdę w niemalowanym pokoiku z dmuchanym materacem na podłodze w charakterze jedynego mebla.

Janusz był delikatny, ujmujący, a z jego zachowania mogłam wywnioskować, że podobam mu się bardzo. Może aż za bardzo, ponieważ nasza noc miłosna trwała skutkiem tego niespełna trzy sekundy. Jak z moim pierwszym chłopakiem przed laty. Choć uczciwie trzeba dodać, że tamten miał siedemnaście lat, co go tłumaczy.

No cóż, nie można mieć wszystkiego naraz – pomyślałam, zasypiając u boku Janusza, wtulona w podniecający zapach szamponu Nabucco, którym pachniała jego ruda czupryna. Następnym razem pójdzie nam znacznie lepiej.

Obudziłam się po północy w kompletnych ciemnościach.

Przez moment nie wiedziałam, gdzie jestem, póki nie usłyszałam męskiego chrapania obok siebie. Wino, które serwował mąż Sylwii, okazało się równie podłe w gatunku jak serowe koreczki. Byłam już całkowicie trzeźwa i głodna. Kochaliśmy się z Januszem po ciemku, gdyż w oknach nie zamontowano jeszcze żaluzji, a w domkach naprzeciw mieszka-

li lokatorzy. W związku z tym nie spostrzegł marokańskiej róży na moim biodrze, mimo że wytatuowałam ją specjalnie dla pierwszego faceta po moim miłosnym przełomie.

Dopiero teraz zrobiło mi się przykro z tego powodu. Tak bardzo przykro, jakby to nie był jedyny powód, choć innych nie umiałam sobie uzmysłwić. Tylko tę przeklętą przeoczoną różę Janusz chrapał obok jakby nigdy nic.

W dzień gada, w nocy chrapie, pomyślałam. Przez okrągłą dobę nie zamykają mu się usta. Ileż on napłócił w czasie kolacji o tych głupich Indiach. Nikogo nie dopuścił do głosu. Chyba raz zdołałam się wtrącić. Tylko ta pyskata Sylwia mi przerywała. Zrobił ze mnie kompletną idiotkę, która nie bywa w świecie i nie umie gęby otworzyć, kiedy o świecie mowa. A co on może o mnie wiedzieć? Skąd wie, gdzie byłam, co widziałam, co przeżyłam, co przemyślałam? Za to z Sylwią pogadali sobie do woli. Nawet nie zauważał, jakie ona wyplata androny. Warci siebie, nie ma co! A to jego wstawanie od stołu, no wiecie! Nie można dyskretnie wymknąć się siusiu, bo robi się z tego impreza ogólnonarodowa. I ten jego dom Kran z Hiszpanii, pokrętko z Honolulu! Przy wejściu będzie gościom wydawał kapcie jak w muzeum!

Co ja tu robię? W co ja się ładuję?

Chyba mi mózg przestawiło w inne miejsce! Czy naprawdę oślepiam przed przypisaną mi rzeczywistością? Przecież nie ucieknę, to się w życiu nie uda. Co najwyżej złapię piodrodze szajbę, tak jak się łapie grypę czy inną różyczkę. Albo i coś gorszego!

Po cichu podniosłam się i ubrałam.

Janusz po raz pierwszy nie wstał razem ze mną.

Wyszłam na palcach do sąsiedniego pomieszczenia i tam włożyłam buty. Wymarzłam pod kocem w nieogrzewanym pomieszczeniu. Do rajstop przyczepiły mi się drobiny gruzu piasku, Bóg wie czego. Istne śmietnisko! Do wnętrza holu świeciła zza okna pobliska latarnia. W jej świetle trafiłam do schodów, a nimi do drzwi wyjściowych. Czyli do otworu w który miały być wstawione tarasowe drzwi. I wtedy wy

dostałam się pomyślnie na zewnątrz. Nieomal pomyślnie, bo jednak po raz drugi wdepnęłam w tę nieszczęsną taczkę. Narobiłam hałasu, ale Janusz się nie obudził, na szczęście.

Nie wiem, jak bym mu spojrzała w oczy, uciekając bez pożegnania.

Było zimno, mgliście, beznadziejnie – i nie wiedziałam, którędy do domu. Dokoła mnie spało na wpół zbudowane osiedle domków jednorodzinnych. Trudno było ocenić po ciemku, gdzie już ktoś mieszka, a gdzie jeszcze nie. W dali jakieś dwa oświetlone okienka w ponurej czerni nieba, pobliskie latarnie ledwie się żarzyły.

Na wyboistej uliczce ugrzęzłam w błocie po kostki, o postoju taksy nie było co marzyć, telefon bez zasięgu. To musiało być owo sławetne miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Naprawdę źle się działo z moim życiem, skoro wylądowałam aż tutaj.

O tej porze i w takiej sprawie.

Zdażyłam pomodlić się w duchu, żeby nie wpaść na tym wygwizdowie na zboczeńca – i w sam raz usłyszałam za sobą kroki. Przyspieszyłam. Niestety, potencjalny gwałcieciel przyspieszył razem ze mną.

Oglądałam się co parę metrów, aż wypatrzyłam go za sobą w mdłym świetle którejs latarni. Na ten widok ruszyłam z kopyta.

Wyglądał jak potwór Frankensteina. Zwalisty, ponury, nieogolony.

Dopał mnie na rozstaju osiedlowych uliczek, bo tam zgubiłam się zupełnie.

– Sama po nocy? – zachrypiał. – Potowarzystyć? Tu niebezpiecznie.

– Nie, dziękuję! – odpowiedziałam w popłochu. – Zadzwońłam już po męża, żeby mnie stąd zabrał. O, słyszę, że jedzie.

Rzeczywiście, gdzieś przejechał samochód, ale nawet się nie pokazał.

– To ciekawe – odparł facet. – Bo stąd nigdzie nie można się dodzwonić.

Pachniał dezodorantem. To mnie przeraziło. Gdyby cuchnął, mogłabym uznać go za bezdomnego, który łązi o tej porze, bo nie ma gdzie spać. Ale wypachniony facet zaczepiający po nocy samotne kobiety musi mieć inny zamiar.

Nasuwał mi się tylko jeden na myśl.

Nie analizowałam go szerzej z braku czasu. Dałam nogę. Ostatni raz gnałam tak na sześćdziesiąt metrów w szkole na wuefie. Po spazmatycznym oddechu faceta rozpoznawałam, że on też ostatni raz biegał w szkole. Ale widocznie miał lepszy czas ode mnie. Dopadł mnie i złapał za kurtkę.

– Nie uciekaj, babo, jak do ciebie grzecznie rozmawiam! Nie podoba się?

Ledwie widziałam na oczy ze strachu. Z całej siły kopnęłam go w kostkę.

Wrzasnął. Raczej z wściekłości niż z bólu, niestety.

W tej samej chwili ktoś kopnął go z drugiej strony. Poprawił pięścią.

Facet oddał.

Ale dostał znowu. Cudownie dostał!

Wylądował na czworakach i nie wstając, popędził za róg. Jak nocny wilkołak.

Rozdygotana ze zdenerwowania odwróciłam się do tego kogoś, kto mi pomógł. Ale nogi jeszcze raz się pode mną ugięły, gdy go rozpoznałam.

Lutek!

Tradycyjny Lutek z tradycyjną odsieczą! Pewniejszy niż amerykańska kawaleria na Dzikim Zachodzie! W pierwszej chwili chciałam rzucić mu się na szyję wypełniona uczuciem wdzięczności, ale powstrzymałam się przez przyzwoitość.

– Co ty tu robisz? – zapytałam zszokowana.

– Nic. Szukam cię – wyjaśnił lekko i bezpretensjonalnie. – Gośka się o ciebie niepokoi. Twój telefon nie odbiera, w domu cię nie było, kiedy do ciebie przysła. No to zadzwoniła do mnie.

Najwidoczniej Goście weszło w krew odwiedzanie mnie po nocach i proszenie Lutka o pomoc w sprawach różnych.

– Jak mnie tu znalazłeś?

– To niewielkie miasto – odparł skromnie.

Jak to mawiała Mariola? Nieśmiały, ale sprytny! Od kogo mógł się dowiedzieć? Od Sylwii? A z kolei o Sylwii mógł się dowiedzieć od mojej mamy. Miałam tylko nadzieję, że nie zauważył, skąd wychodziłam.

To moje niespodziewane zaniepokojenie – zauważył czy nie zauważył? – rozzłościło mnie. A nerwy, strach i złość to zgoła piorunująca mieszanka.

– Śledzisz mnie, Lutku! – wybuchłam. – To wstrętne! Nie prosiłam cię o to, a twoje układy z Goską mnie nie obchodzą! Zostaw mnie w spokoju, proszę!

Posłusznie zostawił mnie i zniknął w ciemnościach. Zamilkłam zdetonowana, bo nie spodziewałam się aż tak łatwego sukcesu. Ale za dwie minuty Lutek zjawił się ponownie. W samochodzie. Jechał krok w krok ze mną i namawiał przez otwarte okno, żebym pozwoliła odtransportować się do domu.

– Nie upieraj się, Do, bo nie warto! – przekonywał. – Masz kawał drogi, a jest wyjątkowo zimna noc. Na tym osiedlu łatwo się pogubić, ostrzegam cię.

W końcu wsiadłam.

– Masz rację – zgodziłam się. – Podjedźmy do mnie. Jestem ci winna pieniądze za przeprosinowe kwiaty dla sąsiadów.

– Drobiazg.

– Jasne, że drobiazg. Ale nie zamierzam mieć żadnych długów u ciebie.

Popatrzył na mnie koso i nie odpowiedział.

W mieszkaniu poprosiłam go, żeby zrobił coś do picia. Sama potrzebowałam najpierw gorącej kąpieli. Stałam w wannie z prysznicem w ręku i myślałam. A raczej usiłowałam myśleć.

Gubię się, bez dwóch zdań. Najwyraźniej się gubię. To nie moja wina. To przez Lutka. Powinien dać mi spokój, skoro

go o to proszę. Co będzie, jeżeli się w nim zakocham? Nie takie cuda widziałam na świecie. A może to już zdążyło się stać?

Nieosiągalne! Zauważyłabym.

Nie, nie zakochałam się w Lutku i nie mogę do tego dopuścić za żadną cenę! Koniec, kropka!

Uczesałam się po kąpieli byle jak. Nie pomalowałam się wcale. Psiknęłam się pierwszym z brzegu dezodorantem.

Kiedy wyszłam w szlafroku, Lutek zalewał herbatę.

– Wolałam kawę – wyjaśniłam kąśliwie.

– Jest herbata – odpowiedział spokojnie Lutek.

Zaparzył ją w czajniczku, którego nie używam od lat, bo po prostu zalewam torebki. Tak wygodniej i szybciej. Nawiasem mówiąc, zaparzył pyszną. Zresztą z czajniczka zawsze jest o niebo lepsza niż najlepsza torebkowa, żadna sztuka. Smakowała mi jak nigdy, ale nie zdradziłam się z tym.

Piliśmy na stojąco. Twarzą w twarz.

Patrząc sobie w oczy bez słowa.

Pomiędzy nami unosiły się smużki pary i mocny herbaciany aromat.

Mnie samą to zaskoczyło że Lutek był nieodparcie seksowny. Miał w twarzy coś wybitnie męskiego. W spojrzeniu. Spokój. Zdecydowanie. Ciepło.

Właściwie nie umiałam tego określić.

Odniosłam wrażenie, że gdy tak stoimy, pijemy herbatę, nic nie mówimy – jest mi przy nim nadzwyczaj dobrze.

Odstawiłam filiżankę, przyciągnęłam go do siebie i pocałowałam.

Szybko przejął inicjatywę, ale kiedy zabrałam się za rozpinanie jego koszuli – ponownie zeszytywniał. Próbował odsunąć się ode mnie, ale nie pozwoliłam. Kciukiem rozwiązałam szlafrok i przylgnęłam do Lutka całym ciałem. Nabral śmiałości w okolicach piątego guzika swojej koszuli. A nawet powiedziałabym, że nabral beczelności. Popadł w drugą skrajność. Jak to Lutek. Hamulce puszczały mu raz a dobrze.

Było mi absolutnie cudownie i daję głowę, że jemu też.

Ten cud trwał tym razem nieporównanie dłużej niż trzy sekundy.

Zakończył się o szóstej nad ranem. Świtało.

Nie zasnęłam już. Wstałam, założyłam szlafrok, usiadłam na pufie z nogą na nogę. Patrzyłam na gołego Lutka leżącego w poprzek pościeli. Był ładnie zbudowany. Przyglądał mi się z czułym uśmiechem, oparłszy brodę na przedramionach. Też nie zamierzał zasnąć. Może i on musiał wcześniej wstać do pracy. W wypożyczalni tych swoich ślubnych sukien dla fartownych panien młodych.

– Masz śliczną różyczkę – skomplementował mnie pogodnie.

Nie zareagowałam. Tylko szczelniej otuliłam się szlafrokiem.

– Tego chciałeś, prawda? – zapytałam bez uśmiechu.

– Czego?

– Mówiłeś mi, że od dwóch lat marzyłeś o tej chwili, Lutku. Zatem dopiąłeś swego. Gratuluję! Zaliczyłeś mnie i teraz możemy spokojnie się rozstać. Zgoda? Odtąd już nie będę dręczyła twojej niezaspokojonej męskiej jaźni. Możesz wrócić do tej jakiejś swojej baby, z którą mieszkasz. Czy do kogokolwiek chcesz. Masz mnie z głowy.

Usiadł w pościeli.

Przez chwilę nie wiedział, co z sobą począć, a potem odruchowo naciągnął koszulę na grzbiet. Wciąż na siedząco, z oszołomioną miną.

– Żartujesz? – spytał, ale widocznie sam zrozumiał, że nie żartuję, bo uzupełnił ponuro: – Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć, Do.

– Wyrażam nadzieję, że po tym, co między nami zaszło, przestanę zaprzętać twoje męskie myśli. Nic ci nie przeszkodzi, żeby miłość do mnie zostawić za sobą. Przeminięło z wiatrem. Możemy iść dalej własnymi osobnymi drogami. Każde w swoją stronę. Nie wątpię, że przyznasz mi rację. Więc bierz się żwawo, Lutku! Muszę już się szykować do szkoły.

Jego policzki podchodziły coraz intensywniejszą czerwienią. Jakby dostał w twarz.

– Zastanowiłaś się przynajmniej, o co ci chodzi?

– Zawsze się zastanawiam, zanim coś zrobię! – odparłam z przekonaniem, choć wbrew faktom.

Wciągnął spodnie, patrząc na mnie z niechęcią. Nigdy jeszcze tak na mnie nie patrzył. Aż ciarki przeszły mi po plecach.

– Jeżeli wyjdę po takim pożegnaniu, Dominiko, więcej się nie zobaczymy. Zdajesz sobie z tego sprawę, mam nadzieję? Już nigdy!

– Dokładnie to mam na myśli, Lutku! – odpowiedziałam jasno i chłodno, choć coś miękkiego dławiło mnie w krtani.

Nazajutrz

Wpadłam do szkoły dwanaście minut po dzwonku.

Dyrektorka czekała na mnie w asyście swoich zabójczych butów. Takich samych, ale całkiem innych. Dziś były niebieskie z jeszcze dłuższymi noskami. Kończyły się przy dyżurce woźnej. Ale tym razem nie miałam głowy, żeby zazdrościć jej długości.

– Wielki Boże, Dominiko, co się pani stało? – osadziła mnie w progu.

– Spóźniłam się znowu – wyjaśniłam z grobowym spokojem fatalisty.

– To widzę. Ale niepokoiłam się, że może coś, wie pani, złego? Pani stanowczo się pracuje, Dominiko! Tym uczniowskim kabaretem i całokształtem zajęć... Cóż to za cera? Jest pani błada jak ściana.

– Tak – przytaknęłam, nie słuchając. – Zamierzam w tym roku malować. Pójdę na lekcję, spieszę się, przepraszam bardzo.

Dyrektorka przygarnęła mnie matczynym gestem.

– Lekcja nie zając, dzięki Bogu. Poślę kogoś, żeby tymczasem panią zastąpił. Wejdźmy do mnie do gabinetu na kawę, Dominiko, niech pani złapie oddech. Nie wolno tak się zamęczać!

Wyswobodziłam się z jej czułych objęć.

– Nie, dziękuję – powiedziałam. – Lepiej pójdę. W tej chwili zupełnie nie wiem, czy chcę jeszcze pracować w tej szkole.

Zostawiłam ją bardziej osłupiałą niż obrażoną.

W klasie uświadomiłam sobie, że prezentuję zero logiki. Skoro nie chcę pracować w szkole, powinnam pić kawę, a nie marnować czas na lekcji.

Za moment dopadło mnie drugie otrzeźwienie. Zauważyłam, że uczniowie siedzą, nie rozmawiając z sobą, nie wierząc się w ławkach, wpatrzeni we mnie zdziwionym wzrokiem.

Dyskretnie zerknęłam po sobie, czy biegnąc tu, nie porozpinałam się na biuście albo nie umazałam go kredą, pisząc po tablicy.

Na oko biust był w porządku. A oni jednak patrzyli.

Czyżby zainteresował ich mój biust właśnie dlatego, że jest taki w porządku? I uczennice też zainteresował, mimo że niektóre nie mogą się obawiać porównań?

– O co chodzi? – zapytałam.

– My nie jesteśmy przygotowani, proszę pani! – wyjaśniła z oburzeniem Zuza z pierwszej ławki. – Nie było zapowiedziane na dzisiaj. Uczyliśmy się tylko z *Kordiana* i nic więcej. Tak nie można!

Spojrzałam na tablicę, na której przed chwilą zanotowałam temat lekcji. Jak byk stało biało na czarnym: „Lutek jako bohater romantyczny”.

– No, dobrze, że ktoś zauważył!... – wyjąkałam, pozorując zadowolenie. – Zetrzyj to i popraw! Byłam ciekawa, czy zwracacie uwagę na to, co nauczycielka pisze na tablicy! Czy tylko śpicie na lekcjach i spóźniacie się do szkoły!

Mówiąc to, doznałam kolejnego oprzytomnienia. Czy już nigdy nie ocknę się do końca? Dziś akurat to ja się przecież

spóźniłam, a oni byli w klasie punktualnie. Nie powinna wdawać się w umoralniające pouczenia, które są niebezpieczne dla mnie samej. Na szczęście u Kamila w kieszeni rozdzwoniła się komórka. Piskliwa melodyjka ze *Star Trek* przewiercała uszy.

Przebiegle wykorzystałam pretekst do zmiany tematu.

...i ile razy mam prosić, żeby wyłączać komórki na lekcje! Gdybym chciała być nieprzyjemna, powiedziałabym wam, co sądzę o ludziach, których telefony...

Nie dokończyłam, gdyż komórka odezwała się w mojej torebce. Co prawda *Eine Kleine Nachtmusic* Mozarta, ale z wszę.

Skoczyłam do stołu jednym susem.

– O, proszę, jaka różnica! Przynajmniej zaprogramujcie sobie muzykę klasyczną, z jakąś kulturą! – zadysponowałaś – Proszę, otwórzcie podręcznik na dowolnej stronie i przeczytajcie z uwagą, co tam jest napisane. Muszę na moment pilnie wyjść, przepraszam.

Wypadłam na korytarz z torebką.

Tam kucnęłam i wyrzuciłam jej zawartość na posadzkę. Komórka, która była na wierzchu, po wywróceniu torebki do góry podszewką, znalazła się pod spodem. Grzebałam w moich rzeczach w panice, tym bardziej że z głębi korytarza nachodziła Miranda. Zechce mi pomóc, jak ją znam. Żeby zapunktować! Dopiero teraz zorientowałam się, że w torebce noszę dorobek całego życia. Dotychczas sądziłam, że jej wartość dotyczy ostatnich pięciu lat.

Zdażyłam, zanim Miranda pospieszyła z pomocą, a komórka przestała dzwonić.

– Słucham! – szepnęłam uczuciowo.

Jedną ręką pośpiesznie pakowałam torbę z powrotem. Odkłoniłam się Mirandzie, gdy mnie mijała. Z klęczek. Cóż ona to robiła specjalnie, że zastawała mnie wyłączoną w kompromitujących sytuacjach, czy po prostu sytuacje nie kompromitujące przestały mi się w ogóle przydarzać?

– Co z tobą, pszczołko? – usłyszałam w telefonie.

To był Janusz, a nie Lutek. Jak zawsze oryginalny, jeżeli po parogodzinnej znajomości można o kimś mówić „jak zawsze”. Ale jednak żeby zwracać się do kobiety „pszczołko”, to chyba trzeba zawsze tak mieć, nie uważacie?

– Nie nazywaj mnie pszczołką, bo mam ochotę żądlić! – ostrzegłam.

Roześmiał się beztrasko.

– Dlaczego zniknął w środku nocy? A ja nawet nie wiem, gdzie mieszkasz.

– No i niech tak zostanie – orzekłam ponuro.

– Że co?

– Że nic o sobie nie wiemy i dobrze nam z tym.

Zamilkł, a potem odezwał się skruszonym tonem.

– Jeśli masz na myśli dzisiejszą noc... Zapewniam, że to nie jest u mnie normą. W gruncie rzeczy powinnaś to odebrać jako komplement dla ciebie.

Teraz tak to się nazywa? Komplementarz, no!

Czułam, że w moich żyłach nie ma już krwi. Krąży w nich czyste okrucieństwo. Dla facetów. Miałam nadzieję, że Janusz wystarczająco dojrzał, żeby nie zaczął się moczyć we śnie, kiedy mu powiem, jaki beznadziejny jest w łóżku. Jednakże nie potrafiłam wydusić tego z siebie. Mimo stuprocentowego okrucieństwa w żyłach.

– Nasza znajomość nie ma sensu. Mam innego – wyjaśniłam zatem, bo to zawsze najprostsze rozwiązanie. – Wczoraj się z nim pokłóciłam i tak wyszło. Przykro mi.

– Mogę wiedzieć, o kim mówisz?

– To już chyba moja osobista sprawa?

Pod wpływem nieoczekiwanych rewelacji Janusz lekko stracił na wartości.

– Wiesz co, Dominiko? – stwierdził burzliwie i dość pośpolicie. – To zdumiewające! Miałem cię za mądrzejszą dziewczynę, doprawdy!

– Ja też miałam się za mądrzejszą! – zgodziłam się i wyłączyłam komórkę.

Wróciłam do klasy, gdzie uczniowie zachowywali się już normalnie, to znaczy nie zwrócili uwagi na moje wejście. Gadalili, rzucali w siebie ziemią z doniczek, czytali kolorowe pisma. Usiadłam za stołem cichutko, żeby im nie przeszkadzać. Zasłoniłam się dziennikiem, żeby oni nie przeszkadzali mi. I pomyślałam żarliwie, że nie chcę już pracować w tej szkole, nie chcę dłużej mieszkać w moim pustym mieszkaniu i nie chcę nadal żyć w tym mieście, gdzie nigdy nie przydarzy mi się nic więcej niż to, co już mi się przydarzyło.

Na pewno jest inny sposób na życie. Tylko jaki?

Nie podetnę sobie żył, skoro od urodzenia jestem nieuleczalną optymistką. Jak to by wyglądało? Pesymista zawsze może się pociąć i nikogo to nie zaskoczy. Ale optymista? Nie ma prawa! Czyli wychodzi na to, że optymiści mają najbardziej przechłapanie.

Czy to koniec, czy mogę jeszcze spodziewać się ratunku?

Czy mój optymizm jest wystarczająco silny? Może wystarczy mi go, żebym trzasnęła drzwiami, powiedziała dyrektorze, że odchodzę z pracy i żebym pojechała na dworzec kolejowy z wiarą, że z wagonu pierwszej klasy wysiądzie zaraz ktoś, kto mnie zauważy, zachwyci się i uczyni ze mnie nową twarz L'Orealu? Skutkiem czego już nigdy więcej nie pojawię się w tej wrednej szkole! Może ewentualnie za dziesięć lat na spotkaniu z ciekawym człowiekiem. Tylko tym razem będę nim ja, a nie członek rady miejskiej. Miranda usiądzie w pierwszym rzędzie ze złożonymi nabożnie rękami i ze łzami w oczach, dyrektorę zatka, kiedy wparuję w futrze z soboli i w butach jak stąd do Irkucka, a Lutka od razu odwiozą karetką omdlałego z wrażenia.

Czy mogę aż tyle wymagać od mojego optymizmu?

Nie, zdecydowanie nie mogę.

Szczególnie że za dziesięć lat w szkole nie będzie już ani Mirandy, ani dyrektorki, ani Lutka, ani nikogo, kto mnie znał, zanim zostałam Millą Jovovich. Więc po co mi L'Oreal, Hollywood albo inne wybory miss świata w Kuala Lumpur, które ewentualnie wygram?! Komu się tym pochwalę?

No tak, mnie się chyba już dzisiaj chrzani w głowie!

Coś trzeba z sobą zrobić tutaj, a nie w Kuala Lumpur.

Nie miałam wielkiego wyboru. Ponieważ moja światowa kariera załamała się tak błyskawicznie, po piątej lekcji odzwońłam do Janusza.

Miranda celnie mi przepowiedziała, że wkrótce trafię na ostatnią szansę w miłości. Zdaje się, że to Janusz. Nigdy bym się nie spodziewała. Chociaż ta jego pszczołka w jakimś sensie pasowała do mojego wyjedzonego słoiczka miodu.

– No i co? – zagadnęłam go niewinnie.

– Z czym?

– Powiedziałam ci, że pokłóciłam się z kimś, z kim dotychczas byłam. Jestem wolną kobietą. Miałeś odpowiedzieć, czy gdzieś się razem wybierzemy?

– Ja miałem tobie odpowiedzieć na tak postawione pytanie? – Zaskoczony, na moment stracił kontenans. – Wybacz, ale ja bym się w to nie bawił... Gdybym tylko został uczciwie uprzedzony. Sylwia twierdziła, że ty aktualnie z nikim...

Co za precyzja sformułowań, niech mnie!

– Jeżeli nie masz ochoty, zamknijmy temat i nie zwracajmy sobie nawzajem głowy! – zdenerwowałam się, bo nienawidzę pedanterii w stosunkach męsko-damskich. – Na pewno nie będę cię błagała na kolanach o głupi popołudniowy spacer!

Udało się! Zrezygnował z drobiazgowości, zanim skończyłam. Ale i tak nie mogłam go sobie wyobrazić, jak mydli mi zgarbione starością plecy.

Umówiliśmy się po południu w parku.

Kiedy przyszedłam, już czekał.

Większość czasu zabrało mi wymyślanie pretekstów, które nie pozwolą Januszowi prowadzić mnie objętej w pół.

Wymyk dla poprawienia garderoby.

Przykucnięcie po jesienny liść.

Zawracanie w pół kroku ku jeszcze ładniejszej alejce.

Dotychczas na żadnym spacerze nie byłam taka nadpobudliwa ruchowo.

Po co w ogóle tu przyszedłam? To pytanie klarowało się z wolna we wzroku Janusza. W mojej głowie zaś nie klarowała się żadna odpowiedź na nie, choć sama byłam jej ciekawa.

Liście w alejkach opadały i opadały – i to był najbardziej emocjonujący element naszego spaceru.

Rozmawiając o niczym, doczekaliśmy pory kolacyjnej, więc Janusz zaprosił mnie do restauracji. Szczerze mówiąc, to była nadmiernie wczesna pora kolacyjna. Dochodziła siódma. Ale już od godziny nie mieliśmy z sobą co robić w tym nieszczęsnym parku. Ile można zachwycać się spadającymi liśćmi? I przewidywać, czy jutro będzie padało?

Nuda do bólu zębów.

Z dwojga złego wołałabym chyba wybrać się na randkę z tym facetem, który zapowiada pogodę w telewizji po wiadomościach. Nie mam pojęcia, jaki jest w łóżku, ale przynajmniej w dziedzinie meteorologii zawodowiec.

Zamierzałam zamówić na kolację coś, co ostudzi zapędy Janusza. Najdroższą pozycję w menu. Później nie będzie mnie już dręczył zaproszeniami, póki nie wygra w totolotka. Ale wtedy to mogę się z nim nawet ponudzić. Będzie miał inne zalety.

Już widziałam jego wzrok, kiedy kelner zacznie mi przynosić kraby na piętrowych talerzach, trunki z najniższym rocznikiem... A na koniec ukradnę złoty widelczyk i pozwolę się na tym przyłapać. Niech się za mnie wstydzi. Po co zaczynał? Ja na pewno nie zatelefonowałabym do niego pierwsza.

Na szczęście nie doszło do tych zawstydzających ekscesów. Po drodze do restauracji zdarzyło się coś, co im zapobiegło.

Jechaliśmy przez wieczorne miasto nieprzytulnym samochodem Janusza, z radia zapowiadali przygruntowe przymrozki, a ja wiedziałam, że za moment będziemy je szczegółowo omawiali, żeby nie milczeć ze skrępowaniem. Na nic więcej nie powinnam liczyć. I wtedy nagle ujrzałam przez

okno iluminowaną konstrukcją, która wyglądała na moje przeznaczenie. Aż marokańska róża na biodrze zaswędziła mnie jak nerwowa wysypka.

Fontanna z delfinami!

Błyskawicznie poprosiłam Janusza, żeby się przy niej zatrzymał.

To znaczy wrzasnęłam i złapałam go za rękę. Omal nie wjechaliśmy najbliższemu delfinowi w ogon, na którym wdzięcznie się wyginał.

Zapichnęły opony i samochód stanął skosem.

Janusz koncentrował się przez dłuższą chwilę z zamkniętymi oczami.

– Spokojnie... – wy dobył wreszcie z siebie głos, trzymając się za serce. Kompletny histeryk! – Uspokójmy się najpierw. Czy coś się stało, Dominiko?

– Nic takiego – zapewniłam ugodowo. – Ale będę musiała tutaj wysiąść. Dziękuję ci za miłe popołudnie, Januszu.

W jego wzroku przestrach powoli wygrywał z dezorientacją.

– A co z kolacją? Przecież jedziemy na kolację.

– Nie rezygnuj z niej – zachęciłam go życzliwie. – Na pewno będzie ci smakowała. Tam mają przepyszne kraby w ananasach, gorąco polecam. Ja właściwie nie jestem jeszcze głodna, niepotrzebnie bym ci tylko nadwężała budżet.

Przez chwilę miałam wrażenie, że zrobi ze mną to, co nie udało się żelaznemu delfinowi. Z oczu ział mu zimny mord.

– Jesteś pewna, Dominiko, że brak apetytu to jedyny powód, dla którego prawie nas nie zabiłaś w fontannie?

– Nie jedyny – przyznałam się. – Skrzywdziłam kogoś. Muszę coś z tym zrobić!

– Skrzywdziłaś? Mogę wiedzieć kogo?

O Boże, wścibski facet to znacznie gorzej niż wścibska baba!

– Siebie! – odparłam wymijająco, bo choć nie była to cała prawda, w jakimś sensie była to jednak prawda.

Ostatnia osoba

Tym razem poszczęściło mi się. Mariola była w klubie, i to bez Jarka, tyle że zajęta. Rozmawiała z interesantem.

Słyszałam ją przez niedomknięte drzwi.

– Nienawidzę karpia po żydowsku, aż mnie w dołku ściskanie gniecie! – tłumaczył jej ów interesant.

Usiadłam w poczekalni na krześle i czekałam. Intensywnie myśląc.

Skąd wytrzasnęłam moje dotychczasowe zdanie na temat Lutka? Przecież ono nie ma racjonalnych podstaw! I tu nie chodzi o żadną miłość, bynajmniej, tylko o podstawową ludzką przyzwoitość. Nie zauważyłam, że Lutek ocalił mi życie, dobrą opinię u sąsiadów, zdrowie, pracę, samoocenę, drzwi wejściowe, aktywność seksualną, botaniczne hobby rodzonych rodziców... No, może przesadzam. Niemniej był moim aniołem stróżem – gdy spojrzeć prawdzie w oczy. Kto wyrzuca anioła stróża ze swojego życia jak puszkę po piwie? Odbiło mi? Na dodatek ten anioł ma ciało, którego nie doceniłam! Wydawał mi się drobny, bezradny, zagubiony w świecie – a proszę, jak pogonił Frankensteina wśród głuchej nocy na pustkowiu. Nie mówiąc o innych objawach jego fizyczności, bardziej nawet wyrafinowanych!

– Nienawidzę obrażających moich uczuć! – mantrował za drzwiami nieznany mistrz mowy polskiej.

Przecież Lutek załatwiłby Gołotę, gdyby się spał! Widziałam na własne oczy!

– Nienawidzę łamiących prawa tej ziemi, co zrodzili się w piekle!

Jedną ręką załatwiłby Gołotę!

Poza tym jest subtelniejszy od Gołoty! Aż wstyd przecież porównywać!

– Nienawidzę miazmatów odmieńających umysły zepsutej młodzieży!

Drzwi RUMM-u skrzyknęły i wydreptała stamtąd prapolska staruszka. Stukała laseczką o podłogę. Ciekawe. Spodziewałam się raczej neopolskiego młodzika. Całe szczęście, że ja osobiście szaleję na punkcie Lutka, a nie narodowych imponderabiliów, bo dopiero bym miała ale przekichane!

Za staruszką wyszła Mariola z nową fryzurą. Nic nadzwyczajnego, jeśli o to chodzi. Kiedy jeszcze pomyślałam, że kazali jej za nią zapłacić, humor mi się poprawił.

– Początek kuracji? – szepnęłam do niej z sympatią, wskazując odchodzącą staruszkę.

– Koniec – rozłożyła naukowo ręce. – Każdy kocha, jak umie.

Usiadłyśmy pod plakatem z *Matrixa*. Tam zwierzyłam się jej, że przyszłam porozmawiać o Lutku. Gdyż wiem o nim znacznie mniej, niż bym sobie życzyła.

– Spodziewałam się, że odwiedzisz mnie w tej sprawie – odparła Mariola z podejrzaną domyślnością. Ja sama jeszcze pół godziny temu nie spodziewałam się, że odwiedzę ją w jakiegokolwiek sprawie. – Przykro mi, ale to nie moja wina, Dominiko. Lutek jest dziwny i tyle. Czasem wydaje mi się, że ma świra jak jakaś męska Joanna d'Arc! Te jego głosy! Nie powiesz mi, że to nie paranoja! Potrafi gadać jak Tomasz Lis, jak Janda, jak obaj Kaczyńscy naraz.

A więc było publiczną tajemnicą, że Lutek ma talent imitatorski. Tylko ja jedna, zauroczona Bingiem, nie zauważyłam, co tak naprawdę cechuje Binga. Wepchnęłam go do nierzeczywistości, jak poprzednich moich facetów. A gdy wylazł z niej o własnych siłach, dałam mu kopa na pożegnanie.

– Joanna d'Arc słyszała głosy, a nie naśladowała – sprostowałam odruchowo.

– Możliwe. Ale jednak coś z tym miała! – uparła się Mariola. – Facet powinien być męski! A nie, żeby nagrał sobie zapowiedź na sekretarce kobiecym głosem! To nienormalne! Nie powiesz mi, że ty byś nagrała sobie coś kobiecym głosem.

– To on sam mówi w tym swoim telefonie? – wyszeptałam tak cicho, że Mariola wcale mnie nie usłyszała.

Ale nie zależało mi na jej odpowiedzi. W mojej duszy rozśpiewały się skowronki. Oto najmroczniejsza tajemnica mojego życia wyjaśniła się i nie ma w niej nic strasznego, jak widać. Czyżbym wreszcie doczekała się swojego dnia? Moich pięciu minut! Od kiedy zastałam tu szczęśliwie Mariolę, i to bez Jarka, wszystko szło nareszcie jak po maśle! Nawet nie byłam zła na Lutka, że zmusił mnie do bezpodstawnej zażdrości o automatyczną sekretarkę.

Milczałam lirycznie, uśmiechając się do własnych myśli – i miałam wrażenie, że o nic więcej już mi właściwie nie chodzi. Wreszcie jestem szczęśliwa.

A w każdym razie wkroczyłam na drogę ku szczęściu – i dojdę nią do celu! Żebym miała się skichać – dojdę!

– Przepraszam cię, Dominiko, ale będę się ubierała w trakcie rozmowy – oznajmiła Mariola, otwierając ścienną szafę na płaszcze. – Muszę już wyjść. Jedziemy z Jarkiem nad cudowne jezioro, gdzie on ma swoją wyspę.

O Jezu! Naszą wyspą Jarek będzie teraz dowartościowywał Mariolę. Przy bliższym oglądzie – postawa romantyczna okazuje się czystą hipokryzją! Chyba naprawdę w życiu liczy się tylko nieupudrowana rzeczywistość!

Jaka ja byłam głupia, że o tym nie wiedziałam!

– O tej porze się wybieracie? No to uważaj na siebie! – postraszyłam radośnie Mariolę. – Jarek gubi się na tym jeziorze nawet w biały dzień. Mnie prawie utopił, przyznał ci się?

– Dopłyniemy, nie martw się – wruszyła z urazą ramionami. Moja nieumotywowana radość wprawiała ją w lekki niepokój. – Jutro za dnia dopłyniemy. Dziś przenocujemy w hotelu na wprost dworca. Na dole jest podobno odlotowa knajpa. Jarek mówi, że od lat ma ją na oku, tylko dotychczas nie miał kogo zaprosić tam na kolację.

Nie mówiłam? Romantyzm jest denny! Aż żalność bierze!

Dobrze, że mnie to już nie dotyczy! Te porywy oszołomstwa! Zaślepienie pozbawione realizmu. Powtarzam wam, w życiu liczy się pragmatyczna rzeczywistość.

Wyłącznie!

Czyli Lutek i ja.

Nie ma innej rzeczywistości! Skonam, jeśli zaraz o tym nie powiem Lutkowi! Do Marioli przyszedłam zupełnie niepotrzebnie! Czego mogę się od niej dowiedzieć o Bingu? I co właściwie muszę o nim wiedzieć oprócz tego, że jest mi niezbędny do życia jak powietrze?

A to już wiem bez pomocy Marioli.

Jeszcze nie wiem, jako kto jest mi potrzebny, ale to w zasadzie nieważne! Ważne, że w porę się zorientowałam!

Zeszliśmy z Mariolą na dół.

– Stopy wody pod kilem! – pożegnałam się z wysublimowaną ironią.

– Nie zamierzam tłumaczyć się przed tobą, Dominiko, gdyż jesteś do mnie uprzedzona! – odpowiedziała mi z godnością Mariola. Widocznie moją drwinę znów zinterpretowała na swoją niekorzyść. – Już wtedy miałaś mi za złe, kiedy cię poprosiłam, żebyś poszła z nim na kawę. Szukasz mojej winy na siłę, takie mam o tym zdanie! Jesteś niesprawiedliwa! Bo Lutek to po prostu wariat i nikt postronny nie jest temu winien! A najmniej ja! Zrównoważony człowiek nie rzuca wszystkiego z dnia na dzień, choćby nie wiem jakie miał powody!

Złapałam ją za rękaw w drzwiach na ulicę. Zatrzymała się niechętnie.

– No co, nie jest tak? – burknęła obrażonym tonem.

– O czym ty mówisz?

– Jak to, o czym? O tym, po co przyszałaś! Żeby robić mi wyrzuty!

– O co?

Zerknęła na mnie podejrzliwie, poprawiając apaszkę pod szyją, bo przekrzywiła jej się, kiedy szarpnęłam za rękaw.

– O to, że Lutek zwolnił się z pracy, mieszkanie oddał bratu i wyjechał w siną dal!... – odpowiedziała niepewnie. – Ja mu tego nie kazałam!

Ugięły się pode mną nogi. Wata w kolanach i wata w głowie.

– W jaką stronę dał wyjechać?

– Skąd mam wiedzieć? Mnie nie pytaj, Dominiko. Jestem ostatnią osobą, której by się z tego zwierzył.

Samochód pod fontanną zamrugnął światłami i zatrzymał. To musiał być czekający Jarek.

– Coś przecież wiesz?

– Daję ci słowo, że nic nie wiem, Dominiko! Muszę lecieć! Cześć!

Zanim się ocknęłam, tamten samochód ruszył, więc widocznie wsiadła do niego. W każdym razie przy mnie już jej nie było.

Nie mogłam pozbierać myśli. Co się stało? Co Lutek knuje? Dlaczego nic o tym nie wiem? To ja teraz jestem dla niego ostatnią osobą na świecie! Sama tego chciałam!

Szłam do domu w zapadającym zmierzchu i szłam, i nie mogłam uwierzyć, że Lutek mógł mi naprawdę coś podobnego wywinąć. Raczej podejrzewałam Mariolę o złośliwe łgarstwo.

A jeśli jednak nie łże?

Jeżeli Lutek rzeczywiście wyjeżdża, pojedę za nim na koniec świata. Nie mam innego wyjścia! Muszę mu udowodnić, że jego szczęście jest gdzie indziej, a nie tam. Jest gdzieś tutaj, blisko mnie. Właściwie to ja pierwsza wpadłam dzisiaj rano na pomysł, żeby rzucić pracę, dom i to niedorzeczne miasto, w którym nikt nas nie kocha. Ja to wymyśliłam!

Czy nie planujemy tego samego, Lutek i ja? To coś chyba znaczy!

Pośpiesznie znalazłam w notesie numer i wystukałam go.

Głos, który odezwał się w mieszkaniu Lutka, nie był głosem Lutka. Aczkolwiek łądząco podobny. Zachodziłam w głowę, jak to się mogło stać, że dotychczas tego nie skojarzyłam.

– Jak miło! Witaj, mój drogi wychowanku Rapcuchowiczu! – wysiliłam się na żartobliwy ton. – Czy pamiętasz nauczycielkę, która rok temu uczyła cię ojczystego języka, choć bez szczególnego powodzenia?

– Jeszcze jak pamiętam! – zapewnił. – Ale już jej wybaczyłem, że usiłowała osiągnąć powodzenie moim kosztem.

– W takim razie ufam, że zrobisz dla niej wszystko? Otóż ona pragnie skontaktować się z twoim bratem.

– Jak to?! – zdziwił się Rapcuchowicz tak mocno, że wypadł z konwencji. – To pani go zna? Dlaczego nic o tym nie wiedziałem? Ale co tam mój brat! Nie ma pani jakiegoś poważniejszego życzenia? Ja mogę dla pani zaryzykować więcej. Śmiało, niech pani strzela! Żebym okradł bank albo popłynął kajakiem do bieguna!

– O, nie! Tyle nie wymagam. Wystarczy mi twój brat.

– Cholerna szkoda! – westchnął. – Tamto byłoby dziecinnie proste, a tego jednego nie mogę dla pani zrobić, niestety. Gdyby to jeszcze wczoraj... Ale dziś już nie da rady. Brat poleciał do Perth.

– Dokąd? – zmroziło mnie. – Chyba żartujesz? Przecież to jest w Australii!

– Tak mówią. Ja z geografii też nie byłem orłem, sama pani wie.

– Gadaj poważnie! – zirytowałam się. – Na długo wyjechał?

– To zależy, jak długo pociągnie w niesprzyjających okolicznościach przyrody, wśród skorpionów i pijanych misiów koala. Bo wybiera się na zawsze.

– Co ty mówisz? – wyszeptalam tak żałośnie, że samej siebie zrobiło mi się żal.

– Kolega ciągnął go z sobą od dawna, ale on odmawiał. Wczoraj zmienił zdanie. U nas cała rodzina jest w szoku. Dom wariatów! Ojciec się wściekł, mama przestała rozmawiać z babcią, papużki nierozłączki rozłączyły się i jedna utknęła za szafą. Wyprowadziłem się stamtąd. Prawdopodobnie mój brat jest idiotą.

Poprosiłam o numer komórki Lutka. Dał mi. Długo nikt nie odbierał, po czym ponownie odezwał się młodszy Rapcuchowicz.

– No niestety, komórkę zostawił w lodówce.

– Gdzie? – przeraziłam się.

– W lodówce. Znalazłem ją na dolnej półce pomiędzy groszkiem konserwowym a pastą do zębów. Czy wspominałem pani, że mój brat jest prawdopodobnie idiotą?

– Nie mów tak o bracie! – upomniałam go z pedagogicznego nawyku i odłożyłam słuchawkę w szoku.

Jeszcze coś takiego mi się nie przydarzyło!

A jeśli Lutek zwariował z miłości? Albo z rozpacz? I to przeze mnie!

Mogłabym pojechać za nim na koniec świata, ale przecież nie do Australii! Są granice szaleństwa! Rozumiem wszystko, nawet moją własną winę – jednak zdecydowanie przesadził z odległością!

Utknęłam we własnych rozterkach jak papużka nierozłączka za szafą.

Zaparzyłam sobie herbatę i stwierdziłam, że na stole stoją już dwie zrobione poprzednio. Tej trzeciej też nie wypić.

Lutek musi być jeszcze w Polsce! Nie ma wątpliwości!

Niemożliwe, żeby spakował się i zniknął w jeden dzień. Przed wyjazdem trzeba pozałatwiać kupę spraw. Tym bardziej do Australii. Tym bardziej na stałe! Nikt nie wybierze się tam w ciemno, licząc, że zakwateruje go w torbie napotkany kangur.

Chyba że ten kolega, z którym Lutek jedzie, ma już na miejscu w Perth innego zadomowionego kolegę... Ale co on tam będzie robił, na Boga? Strugał bumerangi?

Zadzwoiłam do Gośki, czy wie, co się dzieje.

– Szok, nie? – jęknęła. – W południe zadzwonił się pożegnać. Czego on chce od tej cholernej Australii? Nie mogę mu darować, naprawdę! Tobie wszystko jedno, Do, ale ja się z nim ostatnio zżyłam. Przedwczoraj planowałam go na ojca chrzestnego. Podawaliście Witalisa razem, wiesz?

Łzy zakręciły mi się w oczach.

Nie zwierzyłam się Gośce, że ja też z Lutkiem zżyłam się ostatnio, ponieważ Gośka nie miała dla mnie chwilowo czasu. Akurat siedzieli z Bernim na walizkach. To znaczy Gośka

siedziała, a Berni znosił walizki do samochodu. Wyjeżdżali do jego rodziców. Tamci jeszcze nie widzieli swego wnuka, toteż nie mogą się doczekać.

– Aha, bo ty też nie widziałaś, Do! – ucieszyła się Gośka, że ma dla mnie newsa. – Dostałam zdjęcie z USG. Przeglądałam tych konowałów, bo twierdzili, że w czwartym tygodniu nic nie widać. No i miałam rację! Widzę wszystko jak na dłoni! Cudny jest, mówię ci! Jak marzenie! Chciałam ci od razu pokazać, ale nie było cię w domu. Co się z tobą działo? Nawet cię szukałam po nocy.

– Wiem – odpowiedziałam. – Lutek mi mówił. Obejrzę innym razem.

Następny telefon wykonałam do Aśki.

Trafiłam pechowo, bo jej komórkę akurat miał przy sobie Waldek. Aśka była na scenie. Złapałam ich w Jelcu, okazało się. Do końca roku realizują stary kontrakt, a potem Aśka wyjeżdża na tournée po Syberii. Będzie śpiewała w objazdowej operetce *Zemsta nietoperza*.

– Przypuszczalnie zwariowała – zawyrokował posępnie Waldek.

Chyba tylko dlatego ze mną rozmawiał, że było mu wszystko jedno, przed kim się wyżala. Strasznie wielu ludzi ma innych ludzi za wariatów, uświadomiłam sobie. Rapcu-chowicz brata, Waldek Aśkę, ja siebie.

Bez większej nadziei zapytałam go jednak o Lutka. Skoro już wykosztowałam się i tak na ten telefon...

Odpowiedź poderwała mnie z krzesła.

– Jest tutaj, a jakże! – warknął ze złością Waldek. – Szalona lokomotywa chciała, żeby zobaczył jej koncert przed wyjazdem. Jak nie wypali jej nietoperz na Syberii, będzie próbowała z Australią. Zawsze była ambitna, ale odkąd poznała tego Saszę, ma ambicje imperialne! Świat chce podbić! Ja się na to nie piszę, jeszcze mi polska wódka nie obrzydła!

Żyłam chyba dotychczas na jakimś świecie alternatywnym! Bo na tym świecie, jak się okazuje, wszyscy wiedzieli o emigracji Lutka i już się jej nawet nie dziwili.

O, nie! Nie ma mowy o Australii! Na pewno mu na to nie pozwolę! Za żadną cenę! Równie dobrze mogę mu spaprać życie na miejscu, z wygodami i za darmo!

I to właśnie będzie ta różnica pomiędzy mną a całą resztą ludzi, którym jest wszystko jedno! Los Lutka ich nie obchodzi!

– Poproś go do telefonu, dobrze? – zadysponowałam.

– Kogo? Lutka? Jest na widowni. Nawet nie wiem, gdzie siedzi.

– To poszukaj go z łaski swojej. Bardzo cię proszę, Waldku.

Prychnął w słuchawkę jak znarowiony koń.

– Już lecę! Swego czasu, Domi, przyszedłem cię prosić o jeden głupi numer telefonu. Nie mogłaś go dla mnie znaleźć. Dlaczego sądzisz, że teraz pójde dla ciebie szukać Lutka na widowni amfiteatru, w którym jest dwa i pół tysiąca ludzi?

Podobno dobre uczynki zawsze do człowieka wracają. Jak echo. Więc oto wrócił do mnie mój dobry uczynek, który zrobiłam dla Gośki.

– Jesteś bardzo miły. A czy możesz Lutka przynajmniej zatrzymać po koncercie? Przedzwonię wtedy do niego sama.

– Raczej niemożliwe. Nie zobaczę się już z nim – powiadomił mnie z satysfakcją. – Wyjdzie przed końcem, bo wyjeżdża stąd o dwudziestej drugiej.

Niech to szlag! Bez przerwy wyjeżdża! Nie zostawi mi najmniejszej szansy, jeżeli będzie bez przerwy wyjeżdżał ze wszystkich miejsc, w których go dopadnę!

– Do Perth?

– Możliwe. Do jakiegoś kolegi, ale czy on się nazywa Pert, to nie wiem.

Nie szkodzi, ja wiedziałam! Do tego kolegi, o którym mówił młody Rapcuchowicz. A z kolegą dalej. Jakże przeraźliwie daleko dalej!

Nie było chwili do stracenia!

Omali nie połamałam sobie paznokci, wystukując numer informacji. Z rosnącą irytacją dopytywałam się u oniemiałej

panienki o pociąg do Australii, zanim ocknęłam się i sprostowałam pytanie. Panienska wreszcie załapała, ale to nie pomogło. Pociąg do Jelca jechał z przesiadką, jak mnie poinformowała. Na połączenie czekało się czterdzieści minut. Znowu autobus do Jelca jechał wprawdzie bez przesiadki, ale dopiero o północy.

Do Goški nie miałam już po co dzwonić. Zdążyli wybyć z Bernim.

Zadzwoiłam do domu. Ojciec był na konferencji we Wrocławiu.

– Jego samochód też jest we Wrocławiu? – zapytałam nerwowo mamę.

– A gdzie? Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ojciec pojechał gdzie indziej, a samochód gdzie indziej. Raczej trzymają się razem.

Wystukałam numer Gustawa. Była dwudziesta osiem.

– Gustawie, liczę na twoją pomoc! – zapewniłam uroczyście, żeby się nie migał. – Najdalej za dwie godziny muszę koniecznie być w Jelcu.

Niestety!

Gustaw miał wypadek, kiedy wracał z mojego odczytu, dowiedziałam się. Prawie dachował, ale jakimś cudem utrzymał się na kołach. Za to wybił rękę w nadgarstku i nie może prowadzić. Samochód jest wprawdzie na chodzie, poszła tylko boczna szyba, więc gdyby zdążył ją wprawić... Na razie nie wprawiał, skoro nie jeździ. No i gdyby znalazł zaufanego kierowcę... Naprawdę zaufanego. Bo nie odda jednak samochodu w niepewne ręce, muszę go zrozumieć.

Nawet gdybym prowadziła, nie sądzę, żeby uznał moje ręce za pewne.

Chyba wszystkie dobre uczynki, o których dawno zapomniałam, waliły mi się teraz jednocześnie na głowę. Wracały jeden za drugim jak oszalałe!

Sasza! – olśniło mnie nagle.

Gdziekolwiek jest, przybędzie śmigłowcem opancerzonym i zabierze mnie prosto do Jelca. Wystukałam z pośpiechem

numer. W tle coś szumiało złowróźnie, być może jezioro Bajkał. A Sasza był dokumentnie pijany. Wcale mnie nie rozpoznał. Nie tłumaczyłam, kim jestem, bo w tej sytuacji nie działałam sensu.

Do kogo jeszcze? Do Janusza?

Przez kwadrans walczyłam z tym pomysłem, aż uległam i wystukałam numer. Raz i potem drugi raz. Janusz nie odebrał ani razu. Widocznie wyświetliło mu się, kto dzwoni.

Dochodziła dwudziesta czterdzieści.

Wystukałam w desperacji Jarka, ale telefon zareagował tak, jak przewidywałam – głucho. Najwidoczniej Jarek zdążył już dotrzeć tam, gdzie jest być może jakaś jego wysepka, ale na pewno nie ma zasięgu. Nie ma i kropka, tym razem żaden Bingo nie rozwiąże tego problemu.

Bo Binga też nie ma. Co za koszmar.

Jakby cały świat powoli zanikał na moich oczach.

Przed dziewiątą przestałam miotać się przy telefonie.

Już nie było po co.

Do Jelca jest sto pięćdziesiąt kilometrów z nawiązką. Powinam od razu dwie godziny temu wyjść na szosę i łapać okazję. Teraz nie złapię już nawet takiego, co wywozi naiwne panienki do lasu i tam je gwałci.

Wszystko przegrałam! Całe życie! Jak to się mogło zdarzyć? Szast-prast – i już! Skończone. Nikt mnie nie pokocha, nikt mnie nie zgwałci, nigdzie nie pojedę, zupełnie nic! Do końca życia będę prowadziła kabaret „Dziady Drezdeńskie”.

Siedziałam bez ruchu, patrząc na zegar z wiarą, że wskazówki dojdą do pewnego punktu, po czym zaczną się cofać. Wreszcie musi nastąpić któryś z tych cudów, jakie podobno czyni miłość.

Ale do dwudziestej pierwszej cud nie nastąpił, toteż straciłam resztki nadziei.

Oraz sens życia.

I wtedy rozległ się dzwonek u drzwi. Oprócz Lutka, nie było na świecie człowieka, którego miałabym teraz chęć ujrzeć, niemniej otworzyłam z powodu dobrego wychowania.

Aczkolwiek nie liczyłam, że dobre wychowanie wyjdzie mi na zdrowie, skoro nie wyszły mi na zdrowie moje dobre uczynki.

Za drzwiami stał Ken.

– Gustaw mnie przysłał – powiadomił.

Poczciviw Gustaw. Nie zostawił mnie na lodzie! Znalazł zaufanego człowieka, wstawił wybitą szybę, odżałował dla mnie swój samochód... Chociaż jeden mój dobry uczynek się opłacił! Ale co z tego? Teraz? O dwudziestej pierwszej siedem?

Rozpłakałam się w głos nad ironią losu. Aż się posmarkałam. Obraz nędzy i rozpaczy.

Ken patrzył na mnie z lekkim politowaniem. Wcale mu się nie dziwiłam.

– Dziękuję ci, Ken, za dobre chęci. Podziękuj też Gustawowi. Ale przyszedłeś za późno, niestety – wyszłochałam. – Już nie zdążymy.

– Ubierz się na cebulkę i załóż to! – zarządził Ken, podając mi błyszczący kask ufoludka, który dotychczas trzymał za plecami. – Mam najszybszy środek lokomocji po tej stronie Gór Skalistych!

Dwa i pół tysiąca ludzi

Byłam święcie przekonana, że dotrę na miejsce jako nieboszczka kurczowo uczeplona pleców Kena. W uszach zalegał mi non stop modulowany dźwięk, jakby ryk motoru i świst wiatru nie nadażały za nami. Pod warstwami odzieży lodowate igiełki kłuły moją skórę. Serce trzepotało mi w gardle.

Ponad ramieniem Kena widziałam fosforyzujący klin światła, który rozdzierał na pół asfalt i noc.

Na jego obrzeżach migotały w pędzie widmowe pnie drzew, samochody mknące wstecz, słupki, płoty, wyludnione przystanki. Czasem wpadaliśmy w kokon kolorowej mgły, która okazywała się neonową poświatą na ulicach jakiegoś

miasta. Potem znów widziałam przed sobą białą linię na środku szosy. Dygotała przed naszymi oczami, jakbyśmy gonili gigantyczny kłębek białej włóczki rozwijający się w mrok. I niezależnie od tego, czy była ciągła, czy przerywana – była ciągła.

Mówią, że miłość jest krewniaczką śmierci. Tej nocy zrozumiałam to powiedzenie.

Chowając się za skórzanymi plecami Kena.

Zatykając się własną śliną.

Cierpnąc przed każdym zakrętem.

Ani przez moment nie byłam pewna, czy Kocham, czy umieram.

Mówią też, że orgazm to mała śmierć. I to akurat jest nieprawda. Mała śmierć to jazda yamahą przez polską noc po polskich szosach. Z orgazmem nie ma to nic wspólnego, zaryczam wam!

Gdyby Lutek wiedział, że umieram dla niego!

Gdzieś po drodze ruszył za nami radiowóz z włączonym kogutem, ale zanim zdążyłam się przestraszyć, został daleko w tyle. Zawołałam coś do Kena, tylko że on nie usłyszał, a ja nie rozumiałam, co wołam.

Pod przyłbicą kasku z oczu płynęły mi łzy, jakby wyciskał je pęd powietrza. W duchu żegnałam się ze wszystkimi ludźmi, których spotkałam w moim krótkim życiu. Łącznie z wufistą z podstawówki, choć nie cierpiałam go swego czasu. Ze zwierzętami też się żegnałam, jeśli jakieś wychynęło z moich rozedrganych wspomnień. Żegnałam się z niedopitymi kompotami, z przespanymi wschodami słońca, z torebkami, których nie kupiłam, z ciastkami, których nie zjadłam w obawie o linię, z kremami przeciw zmarszczkom, na które wydałam tyle pieniędzy – niepotrzebnie, jak się właśnie okazuje. Nigdy bym nie przypuszczała, że żegnanie się z życiem może być tak beznadziejnie durne i chaotyczne!

Na łukach szosy yamaha prawie kładła się na asfalcie i wtedy przestawałam na mgnienie oka żegnać się z życiem, bo już nawet to nie miało żadnego znaczenia.

Niekiedy odnosiłam wrażenie, że oderwę się od siedzenia i polecę w przód prędeż od yamaha, już zupełnie nie panując nad tym, dokąd, którędy i po co.

Ken nie przesadził. Najbliższy szybszy środek lokomocji znajdował się bez wątpienia dopiero na przylądku Canaveral, gdzie czekał na odpalenie w kosmos.

Wpadliśmy do Jelca w tumanie zeschnych liści, które podrywały się na poboczach za nami i przed nami. Na czarnym kasku Kena widziałam odbicia miejskich latarni, które płynęły jak świetlista perforacja przez błękity, zielenie i czerwienie neonowego blasku.

Drżałam z ekscytacji.

Targające mną emocje były różnorodne i mieszały się we mnie tak samo chaotycznie jak wspomnienia. Czy dotrzemy na czas? Czy w ogóle dotrzemy? Czy on jeszcze tu jest? Czy go znajdę? Czy mi wybaczy?

I co ze mną będzie potem?

Perforacja na kasku Kena zaczęła przesuwać się wolniej i nagle usłyszałam huk, który zamienił się w ogłuszający śpiew Aśki, gdyśmy przystanęli na zatłoczonym parkingu przed amfiteatrem.

Od muzyki trzęsły się baterie głośników w otoczonej barierami niecce widowni, nad którą jaśniała łuna znad sceny.

Zlazłam z siodełka jak w transie, nogi się pode mną płatały. Ken pomógł mi zdjąć kask, bo nie trafiałam do niego ręką.

– Zdażyliśmy? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziałam, rozglądając się w półmroku.

W mojej głowie wciąż brzmiał ten sam modulowany dźwięk, który towarzyszył mi przez drogę. Musiałam odczekać, aż zegarek na moim przegubie przestanie krążyć po ziemskiej orbicie. Dopiero wtedy dostrzegłam godzinę.

– Jest za minutę dziesiąta. Pilnuj bramek, Ken, gdyby on wychodził. Ja się tymczasem rozejrzę.

Do ogrodzenia na koronie amfiteatru przyssali się ci, którzy nie mieli biletów. Poprosiłam kogoś, żeby mnie podsadził.

Kiedy siedziałam okrakiem na metalowym kątowniku, jak spod ziemi wyrósł przede mną porządkowy. Spadłam prosto w jego ramiona. Miał ponad dwa metry wzrostu i tyle samo w barach. Sądziłam, że po prostu wyrzuci mnie z powrotem za siatkę jak piłkę, która wyleciała poza boisko.

Na szczęście tuż za nim zauważyłam kogoś, kogo znałam, mimo że w życiu nie widziałam go na oczy. Zawołałam, żeby podszedł, a on zrobił to, na szczęście, choć bez szczególnego przekonania.

– Ty jesteś Kenem? – zapytałam, a gdy potwierdził, wyjaśniłam: – Ja do Aśki! Jestem jej najlepszą przyjaciółką!

– W tej chwili Aśka z nikim się nie przyjaźni! Pracuje! – mruknął, wskazując głową w stronę estrady.

W dole na eliptycznej wyspie z elektrycznego światła półgoła Aśka skakała przed frontem muzyków z zespołu. W każdym razie skacząca osoba trzymała mikrofon, a z głośników wydobywał się głos Aśki. Bo poza tym tamta dziewczyna zupełnie jej nie przypominała – miała długi pszeniczny warokcz, bladą cerę i diadem na głowie jak ruskie lale. Z wyglądu już była stuprocentowo syberyjska.

Najgorzej wyglądało to, co mnie od niej dzieliło.

Morze ludzkich głów majaczyło w mroku chłodnej wrzesniowej nocy. Męskie, damskie, dziecięce. Kolebały się miarowo, wystawały z ciepłych koców, z uniesionych kołnierzy kurtek. Z niezliczonych ust unosiła się przejrzysta para oddechów, śpiewały razem z Aśką, wychylały coś dla rozgrzewki.

Dwa i pół tysiąca stłoczonych ludzkich głów!

Jak mam w tym koszmarnym tłumie znaleźć Lutka?

– Słyszę, że pracuje! – odparłam ze złością. – Za to Walddek na mnie czeka!

– Czeka na ciebie? – powtórzył leniwie nowy Ken. – Nic o tym nie wiem.

– A wiesz, że skurcz serca trwa czterdzieści pięć setnych sekundy?! – wrzasnęłam nieludzko. – Też nie wiesz! Ale tak jest! Więc zaprowadź mnie po prostu do Waldka i nie filozofuj!

Widocznie moja rzetelna wiedza zbiła go z tropu, gdyż kiwnął głową, żebym szła za nim. Zbiegliśmy w dół pośród rozbawionych sektorów. W Jelcu garderoby mieściły się za sceną, a nie pod nią, jak w naszym miejskim amfiteatrze.

Waldek siedział na pudle fortepianu. Rozmawiał przez komórkę. Wyjęłam mu ją z ręki, powiedziałam „przepraszam” do kogoś po drugiej stronie i wyłączyłam się.

– Uwzięłaś się na mnie? – syknął wściekle Waldek.

– Zaraz sama połączę cię z powrotem – obiecałam. – Chcę wiedzieć, czy Lutek jeszcze tu jest? Albo dokąd się wybierał? Mów szybko!

Właściwie miałam już w duchu opracowaną jasną koncepcję, że niezależnie od okoliczności, nie poddam się. Ustale konkrety i będziemy z Kenem na jego cudownym pojeździe gonili pociąg z Lutkiem, samochód z Lutkiem, samolot z Lutkiem, cokolwiek z Lutkiem – wszystko mi jedno. Choćby do samego Perth czy innego przylądka Canaveral!

Waldek zde gustowany zerknął na zegarek.

– Powinien być – rzucił opryskliwie. – Miał wybyć piętnaście po.

– Mówiłeś, że wyjeżdża dokądś o dziesiątej?

– Że wychodzi stąd. Może powiedziałem, że o dziesiątej, tak się mówi. W zaokrągleniu. Normalnie ludzie nie są takimi pedantami jak ty...

– Gdzie siedzi?! – przerwałam mu popędliwie.

Waldek przyjrzał mi się z politowaniem, po czym złapał mnie za rękę. Poprowadził mnie pomiędzy wielkimi skrzyniami, płachtami malowanej dykty. Wyszliśmy na tyłach metalowych rusztowań. Dygotały od śpiewu Aški jak trzciny na wietrze.

Pokazał palcem, że Lutek siedzi po ich przeciwnej stronie.

– Tam jest! Wyjrzyj!

Kiedy zbliżałam oko do szpary w zastawce, czułam całym ciałem, jak spływa na mnie zasłużona ulga.

Więc udało się! Może miłość nie cofnie wskazówek zegara, ale potrafi obłędnie przyspieszyć zakochanych! Zawsze pozwoli im zdążyć na czas!

Ujrzałam przed sobą zalaną światłem estradę widzianą od tyłu. Tonęła w powodzi zmiennych barw. Plecy muzyków, kable wijące się po podłodze, syberyjski warkocz Aśki, tańczący jak żywe stworzenie wokół jej głowy podczas podskoków.

Ale poza estradą nie widziałam nic oprócz zamglonego czarnego nieba.

– Gdzie dokładnie? – wrzasnęłam Waldkowi do ucha.

– Tam! – odwrzasnął mściwie i wskazał palcem ciemność przed estradą. – Kazałem mu usiąść tam, gdzie znajdzie wolne miejsce. Gdzie ktoś nie przyszedł. Niestety, nie wiem, kto nie przyszedł i w którym rzędzie miał bilet. Ale na pewno sama się zorientujesz! Jesteś nadzwyczaj inteligentna! Powodzenia, Domi!

Odszedł ogromnie rad z siebie, zostawiając mnie naprzeciw ciemności wypełnionej tłumem gęstym jak jesienna noc.

Ogarnęło mnie równie czarne zwątpienie. Książę szukający Kopciuszka po całym królestwie miał może trudniejsze zadanie, ale nieograniczony czas. Tymczasem mój zegarek pokazywał dwudziestą drugą dziewięć.

Nie było na co czekać.

Przebiegłam się pomiędzy metalowymi rurami i wybiegłam na estradę. Na moment oślepiły mnie światła, a gdy przejrzałam na oczy, zobaczyłam przed sobą osłupiałą Aśkę. Jeszcze nigdy nie widziałam osłupiałej Aśki. Ewenement sam w sobie.

Stała naprzeciw mnie – zadyszanej i rozgorączkowanej znacznie bardziej niż ona – jakby zobaczyła ducha. Głos uwiązał jej w gardle, opuściła mikrofon. Wobec tego z muzyków też ulotnił się duch profesjonalizmu i zamilkli.

W ciszy rozległy się pojedyncze gwizdy widzów.

– Pomóż mi, Aśka, błagam! – szepnęłam bezradnie.

Kątem oka zobaczyłam ochroniarza, który wskakiwał na scenę od strony widowni. Błyskawicznie złapał mnie w pól i pociągnął ku kulisie. Opierałam się rękami i nogami, ale był silniejszy. Aśka szła za nami przez rozjarzoną scenę jak luna-tyczka, nie bardzo wiedząc, co się wyprawia.

Dopiero gdy wyrwałam się na moment, odzyskała werwę.
– Zostaw ją! – krzyknęła ostrzegawczo do ochroniarza.

A ponieważ nie zareagował, odwinęła się i butem na srebrnej podszwie wymierzyła mu cios pomiędzy nogi. Aż pękło srebrne sznurowadło owijające jej łydkę.

Ochroniarz stęknął głucho i przyklęknął.

– Zabierzcie tego cymbała! – ponagliła Aśka dwóch innych, którzy nadbiegli zza kulis. – Co za bijatyki mi tu urządzaćecie?!

Wykorzystałam zamieszanie dla własnych celów. Wyrwałam jej z ręki mikrofon i wyskoczyłam na środek sceny. W ciemnościach naprzeciw bardziej słyszałam, niż widziałam zebrany tłum. Poruszając się ciemną magmą, pełną błysków i połysków.

Tak pokazują potwory w horrorach. Tylko że potwory są mniejsze.

– Lutku, gdzie jesteś?! – wrzasnęłam do mikrofonu.

Moje wołanie uleciało ponad nocny Jelec z gigantycznych głośników ustawionych na estradzie i wokół niej. Wzbiło się rozpaczliwie w niebo i stamtąd runęło na amfiteatr. Lutek musiał je usłyszeć, choćby opuszczał już granice miasta.

– Tu jestem! – odkrzyknął mi głos po lewej.

– Tutaj! – wsparł go głos po prawej, jeszcze bardziej podпиты.

– Tu, tu, tu! – wołali inni ze wszystkich stron.

Co ciekawe, wielu było trzeźwych, zdarzały się głosy kobiece, dziecięce. Krótko mówiąc – amfiteatr bawił się szampańsko.

– Lutku, wiem, że tam siedzisz! – przekrzyczałam ich desperacko. – Wiem, że jesteś jedynym człowiekiem na widowni, który mi nie odpowiedział! Zrób to, błagam cię! Jestem winna! Przyznaję się i żałuję! Byłam głupia! Przeze mnie się rozstaliśmy, przeze mnie wyjechałeś, przeze mnie jestem teraz nieszczęśliwa! Lutku!

Łzy ciekły mi po twarzy jak groch, ale nie poddawałam się wstydlivej chęci, żeby uciec ze sceny i zniknąć z oczu tym

wszystkim ludziom. Całe szczęście, że przynajmniej oni zniknęli mi z oczu w ciemnościach i we łzach!

Lutek się nie odezwał!

Mimo że amfiteatr ucichł zasluchany i można było usłyszeć, jak rozpaczliwie pociągam nosem.

– Naprawię to, co zepsułam, Lutku! Przysięgam ci! Ale nie mogę tego zrobić bez ciebie! Tak się nie da! Wybacz mi, proszę! Kiedyś dałam ci szansę, pamiętasz? Gdy mnie o nią prosiłeś, dałam ci ją! Teraz jesteś mi ją winien, Lutku, dobrze o tym wiesz! Pięć minut! Takich samych pięć minut! A potem zrobisz, co zechcesz!

Odczekałam moment, ale odzew nie nastąpił! Może Lutka już tam jednak nie było? Ale nie przerywałam, bo nie miałam siły, żeby odejść bez niczego.

– Wierzyłam, że ty jeden mnie nie oszukasz, Lutku! Dlaczego nie ostrzegłeś, że znikniesz? Ludzie nie znikają w taki sposób! Miała być rzeczywistość, a co to jest? W rzeczywistości ludzie nie znikają ni z tego, ni z owego! Nie pozwól, żeby tak było, Lutku! Zabierz mnie stąd z sobą! Pokaż mi się chociaż! Niech w końcu naprawdę nastanie ta zakichana rzeczywistość! Obiecałeś!

Za moimi plecami ktoś wzruszony moim tragicznym losem lub moją sentymentalną przemową skierował szperacz na widownię. Teraz krążek światła wędrował po ludziach. Żaden z nich nie był jednak Lutkiem. Żaden nie wstał z miejsca, nie dał mi znaku. Siedzieli bez ruchu i patrzyli na mnie skonsternowani.

Nie byli pewni, czy śmiać się, czy płakać.

– Lutku! – wrzasnęłam do nich. – Kocham cię!

Chrypiące echo mojego głosu objęło się pokutnie poczynnym niebem.

– Nie krzycz takich rzeczy do ludzi, Do, bo potem żader melodramat im się nie spodoba! – odezwał się za moimi plecami Artur Żmijewski.

Odwrociłam się jak tygrysyca.

Nie, dzięki Bogu! Nie Artur Żmijewski!

Tylko jego głos, którym odezwał się do mnie ktoś absolutnie, ale to absolutnie inny! Ktoś nieporównywalnie inny!

Upuściłam mikrofon i rzuciłam się Lutkowi na szyję.

Całowaliśmy się z zamkniętymi oczami, bez tchu, w łoskocie ogromnego wodospadu, jakby siła uczuć przeniosła nas cudownie nad Niagarę czy do innych Wodogrzmotów Mickiewicza. Obawiałam się, że zaraz umrę na scenie jak Molier. Tylko że on dostał udaru, a mnie zanosilo się na tę rozkoszną małą śmierć, której nie zaznałam na siodełku motocykla.

Kompletnie odjechałam w ramionach Lutka, toteż długo nie mogłam się zorientować, skąd w amfiteatrze wziął się taki wielki szumiący wodospad? Aż zrozumiałam.

Chryste!

W życiu bym nie przewidziała, że mój pocałunek z Lutkiem będzie oklaskiwało dwa i pół tysiąca ludzi. Pohukiwali, wstali z miejsc, wywijali kocami nad głową.

Standing ovation. Aśka musiała teraz blednąć z zazdrości.

A mnie kręciło się w głowie od tego wszystkiego. Jak w kinie. Lutek był jednak bardzo dziwną rzeczywistością. Oderwałam się od jego ust niechętnie, wyłącznie z przyczyn cenzuralnych. Na widowni były dzieci, a ja jestem mimo wszystko nauczycielką.

– Co robisz, Lutku? – wydyszałam mu namiętnie do ucha.

– Spójrz na tych ludzi! Przecież jesteś nieśmiały.

– Widocznie mnie uleczyłeś – oddyszał.

– Dajmy lepiej spokój – zamruczałam, nie wypuszczając go z objęć. – Nie tutaj. To jest w końcu bardzo intymna chwila.

Z ciemności dwa i pół tysiąca gardeł wyło unisono: „Biiiiis! Biiiiis!”.

No to zabisowaliśmy na odchodnym. A niech mają!

W pewnym sensie tak

Lutek zapewnił mnie, że nie zamierzał emigrować do Australii, tylko wyjechać na tydzień do kolegi w Niemczech. Nie wiedział jakoby, skąd wzięła się dezinformująca plotka. Na-

tomiast komórkę zostawił w lodówce, żeby było ciekawiej. Jeśli żyje się w poszanowaniu rzeczywistości – to jeszcze nie znaczy, że nie należy tej rzeczywistości ubarwiać. Należy, jak tylko się da!

Zwykle Lutek mówił prawdę, ale tym razem? Nie wiem. Nie dociekałam.

Było mi dobrze.

Szczęśliwy nie docieka, dlaczego jest szczęśliwy.

Trzy dni później wprowadził się do mnie, a następnego piątku zagrał tylko dla mnie *Somebody Loves Me* na saksofonie. Oraz wiele innych precudnych jazzowych standardów. Grał do białego świtu, bo dopiero wtedy przyszedł Traczyk z drugiego piętra i zapowiedział, że rozkwasi mu gębę, jeżeli Lutek nie przestanie hałasować po nocy.

Ale i tak lubię moich sąsiadów. Może Traczyka najmniej.

Miesiąc później Lutek zaproponował, żebym za niego wyszła. Ostatecznie znamy się ponad rok. Mówiąc precyzyjnie, ja znam go dwa miesiące, on mnie dwa lata, więc średnia wypada nam rok z haczykiem.

Byłam zdania, że skoro mieszkamy z sobą i nieźle nam to wychodzi, nie powinniśmy niczego ulepszać. Zbędne ryzyko.

Lutec był jednak uparty jak to Lutec.

– Ślub jest poważną decyzją – uświadomiłam go. – Wiem coś o tym, wierz mi. Nie jestem jeszcze na nią w pełni gotowa. Twarda rzeczywistość ma to do siebie, że człowiek czuje przed nią respekt. Nie rzuca się w nią głową naprzód jak do przydomowego basenu. Kocham cię, Lutku, pragnę jak na razie kochać cię aż do śmierci, ale mam w życiu parę zasad, których nie poświęcę dla małżeńskiej złudy. Aż tak mi za nią nie tęskno.

– Jakich zasad? – zainteresował się konkretnie Lutec.

– Różnych. Na przykład uważam, że mąż powinien być starszy od żony, a nie młodszy. Czy jesteś ode mnie starszy?

– Nie – przyznał się. – A czy ty jesteś drobnomieszczanką? Co to za przedpotopowe zasady?

– Nie zmieniaj tematu. Mąż powinien być choć odrobinę wyższy od żony. Czy jesteś wyższy ode mnie?

– Nie. Jesteśmy prawie równego wzrostu.

Zamilkłam na moment, żeby przekonać się, czy nie kpi. Ale zachowywał powagę. Widocznie urósł subiektywnie pod wpływem uczucia do mnie.

– Mąż nie powinien pracować w wypożyczalni sukien ślubnych – kontynuowałam zatem. – Co innego żona, ale mąż...

...mąż nie – zgodził się ze mną dzielnie Lutek.

– Sam widzisz. Poza tym lepiej, żeby to mąż miał więcej doświadczeń przedmażeńskich niż żona. Tymczasem ja mam za sobą małżeństwo i rozwód, a ty?

– Jeśli małżeństwo jest doświadczeniem przedmażeńskim, to nie mam takiego. Ale za to mam mniej konserwatywne poglądy niż ty.

– Gdybym miała konserwatywne poglądy, Lutku, tobyś tu nie mieszkał. A skoro już mieszkamy razem, czy uważasz, że mam złamać wszystkie moje zasady tylko po to, żeby za ciebie wyjść?

– Tak uważam, Dominiko – potwierdził Lutek. – Dokładnie tak.

Dopiłam kawę, rozłożyłam bezradnie ręce i westchnęłam.

– No cóż... W takim razie zgadzam się, Lutku – oświadczyłam. – Szczerze mówiąc, odczuwam niejaką chęć, żeby być twoją ślubną małżonką.

Ustaliliśmy termin na kwiecień. Poprzedni ślub brałam w grudniu i ta stara teoria ze szczęśliwą literą r zupełnie się nie sprawdziła. A w długoterminowych prognozach pogody przyszłoroczny kwiecień miał być wyjątkowo piękny.

I faktycznie był, mimo że poprzedziły go moje dwudzieste siódme już urodziny.

Kiedy wysiedliśmy z Lutkiem przed urzędem stanu cywilnego, czekali na nas wszyscy. Ale jakże inni! Nie to, że uroczyści, poprzetykani wiazankami i życzliwymi uśmiechami, tylko w ogóle jacyś tacy odmienieni.

Goście urósł wielki brzuch, dyrektorce noski przy butach, Gustaw i Ken przyszli w identycznych fiołkowych garniturach.

Aśka rozdawała przed wejściem autografy przechodniom. Nośła toczek z woalką, zrobiła sobie operację nosa i wyglądała jak Greta Garbo. Choć na obecnym etapie swojego życia była od tamtej znacznie pulchniejsza. Zajechali z Saszą czterema mercedesami, z tego w trzech siedziała ochrona.

Sąsiad Zenobiusz przyprowadził żonę w przedwojennej etoli i jamnika w nowej kamizelce. Odmeldowało się pół gimnazjum ze składkowymi kwiatami. Dwie moje koleżanki przez pomyłkę zaliczyły już poprzedni ślub w sali urzędu, podobno bardzo wzruszający. Pojawiła się nawet stara arystokratyczna ciocia na wózku pchanym przez lokaja w liberii. Roman przyszedł z synkiem, rezolutnym kędzierzawym chłopczykiem imieniem Dominik – z oboma wycalowałam się serdecznie. Zwłaszcza rozczuliło mnie znaczące imię synka, które podobno wybrał mu sam Roman.

Mój ojciec dyskretnie podawał kropelki mamie, która płakała jak przy moim poprzednim ślubie. Aż się przestraszyłam, że znowu zapeszy. Na szczęście rodzice Lutka nie płakali i przestali wreszcie zwracać się do mnie per „pani profesor”.

Goście uformowali dla nas szpaler. Krocząc nim dostojnie, zauważyłam w tłumie nieznanego. Kręciło się paru nieznanomych – szczególnie ze strony Aśki i jej łowców autografów – ale ten nieznanomy był szczególny. Założyłabym się, że go skądś znam.

To osobliwe jak na nieznanomego.

Wykorzystałam zamieszanie przy składaniu dokumentów i spytałam o niego młodego Rapcuchowicza, który był świadkiem razem z Goską.

– To taki najbliższy kolega Lutka – wyjaśnił mi. – Nie przedstawił ci go jeszcze? Ciekawe czemu.

Po tym wyjaśnieniu mnie samej zaczęło się to wydawać ciekawe. Niezaprzeczalnie znałam faceta. Tylko skąd?

Siedzieliśmy już w fotelach i czekaliśmy na rozpoczęcie ceremonii, kiedy odwróciłam się w jego stronę jeszcze raz. Ukłonił się, mrugnął nawet do mnie porozumiewawczo.

Ta nieoczekiwana poufałość też mnie zaintrygowała. Aż poczułam od niej na plecach takie nieprzyjemne igielki sensacji. Jak przy oglądaniu *Rozmów w toku*.

Facet był wysoki, więc jego głowa wystawała z tłumy cały czas. Długa, prostokątna, z niskim czołem.

Z płyty puścili marsza weselnego i nagle spłynęło na mnie olśnienie.

To był potwór Frankensteina! Ten, który napadł mnie po nocy na budującym się osiedlu, kiedy to Lutek mężnie mnie przed nim ocalił!

Urzędnik zza biurka rozpoczął podniosłą przemowę, ale prawie go nie słyszałam.

W głowie kręciła mi się karuzela z myślami.

Więc to było ukartowane?

Lutek zmówił się z kolegą i odstawili szopkę na mój użytek. A ja dałam się nabrać jak blondynka! Ależ byłam głupia! Powinnam od razu zorientować się, że Lutek nie dałby rady takiemu wielkoludowi. Już wtedy byłam zaślepiona przez miłość, tylko jeszcze nie miałam o tym zielonego pojęcia.

Przez minione pół roku odkrywałam w Lutku najwartościowszego człowieka jakiego znam. Najuczciwszego, prostolinijnego.

A tu bomba wybuchła! Żyłam w świecie pozorów. Rzeczywistość okazała się znacznie mniej realna niż ułuda, w której zdaniem Lutka tak strasznie się poprzednio męczyłam.

On mnie najbezczelniej okłamał!

Byłam głupią wariatką! Kompletnie nieodpowiedzialną! Tylko dlaczego odkryłam tę prawdę w najmniej odpowiedniej chwili?

A może przeciwnie? Może to jest ostatnia odpowiednia chwila?

Może to ostatnia szansa od życzliwego mi losu, żebym nie sparzyła się jeszcze raz, jak na poprzednich mężczyznach mojego życia?

Za plecami wyczuwałam dostojnych zgromadzonych gości, którzy oddychali uroczyście, szeleścili dostojnie, odchrząkiwali z namaszczeniem.

A karuzela z moimi myślami doprowadzała mnie prawie do mdłości.

Jak mam poznać, że wszystko dookoła nie zostało tak samo przez Lutka ukartowane jak tamten fałszywy ratunek?

Nic nie musi być prawdziwe! Sama obrzydliwa sztuczność. Kłamstwa i pozory. Skąd mogę wiedzieć, że tak sam jak najął kolegę do fałszywej bójki – Lutek nie wynajął urzędnika do fikcyjnego ślubu, i moich rodziców, żeby się z tego cieszyli, i tych odpicowanych gości, i płyty z Mendelssohnen i restauracji na wesele...

Nie, sorry! Restaurację wiem, naturalnie, że wynajął.

Ale co z resztą?

Poczułam nieopanowaną niechęć do mojego niedoszłego męża, który siedział obok liryczny i zadowolony jakby nigdy nic. Albo też skrupiły się teraz na nim wszystkie antymęskie doświadczenia mojego życia. Wszystkie krzywdy, obawy i stracone złudzenia. Wszystkie niewiary w to, że będzie dobrze. Że tym razem będzie dobrze. Bo skoro nie było dobrze w moich wyidealizowanych marzeniach, jak może być dobrze w brutalnej rzeczywistości, pełnej naczyń do mycia, zafajdanych pieluch, niezaplanowanych wydatków.

Nagle poczułam lęk przed tym, co robię.

Narastały we mnie przedziwne uczucia mieszane. Oganiała mnie ochota, żeby bukiecikiem panny młodej walnąć odświętnego Lutka przez kark, aż goście pootwierają uroczyste gęby ze zdziwienia.

Te plotki o Australii na pewno sam rozpuszczał.

Robił wszystko, żeby mnie podstępem usidlić. Nic nie było naprawdę!

A ten telefon w lodówce?

Przecież to idiotyzm! Nikt czegoś takiego nie robi. Telefon w lodówce też służył do zdobycia mnie. Nie wiem, w jaki sposób

sób – ale tak było. A nawet powiodło się, jak widać. A te telefony dzień w dzień? A te bezsensowne propozycje zniżek, byle tylko ze mną pogadać? A ta ciągła nieproszona opiekuńczość? To ratowanie mnie z niezliczonych opresji? To wszystko była jedna wielka sieć, w którą dałam się złapać! Nie ma innego logicznego rozwiązania. Nawet Agatha Christie nie znalazłaby dla Lutka usprawiedliwienia.

Zaciągnął mnie do tego urzędu za pomocą ordynarnych sztuczek!

Jeszcze paręnaście sekund – i udałoby mu się dopiąć swego! Zrobiło mi się gorąco, jakbym miała zemdleć.

Podniosłam przerażony wzrok na urzędnika stojącego za biurkiem.

I w tym najmniej stosownym momencie moich przerażających zwątpień, ten gość zapytał mnie bez najmniejszego sensu, czy chcę pojąć za męża obecnego tu Ludomira Rapcuchowicza!

Gapiałam się na wygalantowanego urzędasę z rozpaczą, nie rozumiejąc pytania ani w żąb. Uśmiechnął się do mnie przymilnie i kiwnięciem głowy podpowiedział mi, że tak. Chcę pojąć Lutka.

– Nie! – zaprzeczyłam głośno i wyraźnie.

Urzędnik opuścił Dziennik Ustaw czy co tam trzymał przed sobą w ozdobnej okładce i zdezorientowany spojrzął na Lutka. Goście zaszumieli za moimi plecami jak gotująca się woda. Lutek spojrzął na mnie osłupiały. Przeczuwałam, że jest na tyle bezczelny, że zaraz powie tamtemu, żeby powtórzył pytanie, bo nie zrozumiałam. Albo przejęczyłam się. Albo jeszcze coś.

Więc nachyliłam się do Lutka i dla jasności oznajmiłam mu jeszcze raz:

– Nie, Lutku! Nie chcę cię pojąć za męża!

Wybiegłam na świeże powietrze, lawirując pomiędzy gośćmi, którzy znieruchomieli, jakbym brała ślub w gabinecie figur woskowych. Złapałam pierwszą taksówkę i kazałam się wieźć dokądkolwiek. Byle dalej od tamtych, którzy zaraz zaczęli mnie gonić i zawracać, i przemawiać mi do rozsądku, i robić ze mnie kretynkę, która nie wie, czego chce.

Zaraz w pierwszej przecznicy kazałam taksówkarzowi przystanąć. Nie miałam przy sobie pieniędzy na dłuższą jazdę. Schowana za sklepem warzywnym widziałam, jak cztery mercedesy Saszy rozjeżdżały się w cztery strony świata na poszukiwanie mnie.

Kiedy uspokoiło się, poszłam w mojej ślubnej sukience, gdzie oczy poniosą. Wyłączyłam tylko przedtem telefon w torebce, bo dzwonił jak najęty. I wyrzuciłam do ulicznego kosza bukietek panny młodej.

Co teraz z moim cudem uratowanym życiem bezmażeńskim?

Do domu nie mogłam wrócić, bo to pierwsze miejsce, w którym będą na mnie czatowali.

Nie mogłam iść do znajomych, bo dzisiaj znajomi i przyjaciele byli przeciwko mnie jak jeden mąż.

Nie mogłam włóczyć się po ulicach, miałam na sobie tylko ślubną sukienkę, a kwietniowy wieczór coraz bardziej obszczypywał mi skórę chłodem.

Nie mogłam schronić się w przytulnej kawiarni, bo w torebce nie miałam ani grosza.

Jak to jest? Czy każda kobieta, która w ostatniej chwili zrezygnuje ze ślubu, musi skończyć pod mostem? Albo na dworcu kolejowym?

W każdym razie ja tam skończyłam. Na długich ławkach w dworcowej poczekalni było w miarę ciepło. Choć i tutaj natknęłam się na znajomego.

To był nieszkodliwy znajomy. Spoza spisku.

Jakub z pizzerii.

Jechał do dziewczyny, mieszkającej w mieście, w którym niegdyś odbywał służbę wojskową. Tam się poznali. Na przepustce. Przypomniało mi się, że właśnie tego dotyczyła jego zabawna przygoda z wojska, której nigdy nie mogłam sobie przypomnieć. Ale kiedy tylko wsiadł do pociągu, od razu zapomniałam, o co tam konkretnie chodziło.

Wybrał się wtedy do dziewczyny czołgiem czy jak? Nie mam pojęcia.

Najwidoczniej jego przygoda nie była na moją głowę. Zresztą już mnie nie śmieszyła jak kiedyś.

Myślałam sobie, że ta cholerna rzeczywistość jest zdecydowanie przereklamowana. Nie zamierzam w niej żyć. Jest samotna, chłodna, wietrzna, głodna, znerwicowana, pełna przepychających się na perony nieznanymi osobami i beznadziejnych myśli o tym, co mogło być, ale nie było i nie będzie.

Obok mnie usiadła zadbane staruszka i poprosiła, żebym odczytała numer wagonu na jej bilecie, bo okulary wsadziła do walizki.

Jak widać, ona też walczyła z rzeczywistością.

Odczytałam jej ten numer.

Moja usłużność ją ośmieliła, więc zainteresowała się, czy mi nie przeszkadza, że obok siedzi. Przemogłam się, żeby zapewnić ją kulturalnie, że nie. Do tego służy poczekalnia dworcowa, żeby siedzieć.

To była zła odpowiedź. Odtąd staruszka nie mogła już beze mnie żyć. Kiedy w jej torbie odezwała się komórka, wyjęła ją i spytała, czy mogę pomóc jej odebrać. Troskliwa rodzina zmusza ją do noszenia takich supernowoczesnych urządzeń, a ona nie potrafi się z nimi obchodzić.

Wcisnęłam odpowiedni przycisk i oddałam jej.

– Nie, nie, serdecznie! – opędziła się rękami przestraszona.
– Spytaj się, czego chcą.

Zrezygnowana przyłożyłam komórkę do ucha.

– Czy pani jest zdecydowana, żeby wyjątkowa okazja matrymonialna przeleciała pani koło nosa? – zapytał w komórce tamten dawno niesłyszany głos.

Doznałam czegoś na kształt szoku, który jednakże nie odebrał mi głosu. Choć trochę go zmodyfikował bez wątpienia.

– To ty? – szepnęłam ochryplym basem.

– Bingo!

Spojrzałam na staruszkę, która uśmiechała się do mnie dobrotliwie jak dobra wróżka. Pokazała palcem na komórkę, żebym mówiła dalej.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytałam oszołomiona. – To przecież nawet nie jest mój telefon. Gdzie jesteś?

– Za tobą – odpowiedział Lutek.

Odwrociłam się.

Siedział na następnej ławce z komórką przy uchu. W swoim ślubnym garniturze, z muchą pod szyją.

Wstał, kiedy wstałam.

Podszedł do mnie, schował do kieszeni komórkę, którą bezradnie trzymałam w spoconej dłoni. Podziękował staruszcze za pomoc i pocałował ją w rękę. A ona – wciąż uśmiechnięta jak dobra wróżka – życzyła nam wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia.

Jakby we dwoje z Lutkiem ułożyli już moją szczęśliwą przyszłość niezależnie od tego, co ja sama o tym sądzę.

– Wyjaśnij mi to? – zapytał Lutek, gdy usiedliśmy z boku tylko we dwoje.

Nad poczekalnią z brzękiem zapalały się świetlówki.

– Nie ma czego wyjaśniać! Rozpoznałam tamtego faceta! – wygarnęłam mu. – To twój najlepszy kolega!

– No oczywiście – skinął głową Lutek.

Wcale nie zamierzał palić się z wstydu.

– Więc raczej ty mi to wyjaśnij! – powiedziałam.

Wyjaśnienie było proste. Prozaiczne. Chciał mnie odwieść od samotnego wałęsania się po nocach w podejrzanym miejscach. Dla mojego dobra. Kuracja wstrząsowa. Dlatego nadszedł na mnie kolega, z którym był wtedy przypadkowo.

– Nie wykręcaj się, Lutku! – uparłam się. – Oszukałeś mnie tamtej nocy!

Popatrzył mi prosto w oczy bez uśmiechu.

– Ty też mnie oszukałeś tamtej nocy, Dominiko! Taka noc!

Zdrętwiałam. Więc on wiedział o Januszu? Zabiję się!

Na szczęście oszczędził mi konieczności zareagowania na swoje słowa. Nałożył mi na ramiona mój płaszcz, który z sobą przyniósł. Potem wziął mnie pod rękę i wyprowadził na ulicę. Wydawało mi się niekiedy, że on wie o mnie wszystko.

Okazało się jednak, że wie o wiele więcej. A poza tym, jak się zdaje, wybacz mi to, co wie.

Inaczej nie wyprowadziłby mnie pod rękę z dworcowej poczekalni.

Dopiero teraz wszystko rozgryłam.

Wyjechał do tej koszmarnej Australii, ponieważ przeciągnęłam strunę. Jeżeli więcej nie przeciągnę struny, zostanie ze mną do końca świata. Nawet po moim dzisiejszym numerze, który właściwie mnie samą zaskoczył. Teraz mnie zaskoczył. Że go zrobiłam. Bo przedtem wydawał mi się uzasadniony i logiczny.

Ciekawe, czemu?

– Lutku, ty mnie naprawdę kochasz! – westchnęłam z zachwytem.

– Nie sądziłem, że na to wpadniesz – zdziwił się uprzejmie.

– Ja cię Kocham jeszcze bardziej! – zapewniłam.

– To też niełatwo rozgryźć.

Skręciliśmy ku postojowi taksówek i tam przegrałam walkę z sobą. Zatrzymałam się.

– Nie wrócę do tego urzędu, nie wyobrażam sobie tego! – przyznałam się Lutkowi. – Pomędzy tych wszystkich ludzi? Po tym, co odstawiłam? Nigdy! Co teraz zrobimy? Nie jestem w stanie usiąść przed tamtym urzędnikiem jeszcze raz, Lutku! Wstydę się!

– Wystarczy, że ja jestem śmiały jak lew! – zapewnił Lutek. – Damy sobie radę. Poza tym po co mamy wracać do urzędu? Nasz termin dawno minął.

O, psiakość! Mogłam się tego domyślić!

Szliśmy po wiadukcie, trzymając się za ręce. W oddali ponad płataniną torów zachodziło wiosenne słońce. Zbierało mi się na płacz.

– Wszystko schrzaniłam, Lutku! Ślubu nie ma, goście wystrychnięci na dudka, pieniądze na wesele wyrzucone w błoto! I ty chcesz jeszcze ze mną być?

– Bez przesady, Dominiko! – uspokoił mnie. – Urząd stanu cywilnego rzeczywiście już nieczynny. Ale wesele? Sala wynaję-

ta, orkiestra opłacona, goście się bawią. Powiedziałem im, że niedługo cię przywiozę. Będziemy balowali do białego rana!

– Jak to, balowali? Na weselu? – Struchlałam. – A ślub?

Lutek roześmiał się z lekka złośliwie. Zwycięsko.

– Jeżeli tak się przy nim upierasz, Dominiko, może się jeszcze kiedyś z tobą ożenić. Nic nie jest wykluczone!

Pobiegliśmy do taksówki objęci wpeł.

Tylko na dnie serca kłuła mnie samotna igielka podejrzliwości. A jeśli to tylko kolejna wielka mistyfikacja Binga? Ta euforia w moim skołatanym sercu. To szczęśliwe zakończenie. Ten cudowny zachód słońca, pod którym nawet nieprawdopodobna gmatwanina torów zdaje się prowadzić prosto ku jasnej przyszłości.

Daję wam słowo, że to było zbyt piękne jak na rzeczywistość.